

MEAGAN MCKINNEY



# MEAGAN MCKINNEY

*Meagan*  
LIVING  
BY DESIGN



© 2013 Meagan McKinney

*Cóż można na to poradzić, że pragnąc uzyskać wpływ na ludzi, musisz ich oszukiwać?- Jeśli chce się przyciągnąć ich i skłonić, by tak, a nie inaczej postępowali, koniecznie trzeba mieć ich obietnicami i zabawkami. Choćby moje książki i czasopismo „Theosophist” były tysiąc razy ciekawsze i poważniejsze, czy sądzisz, że miałabym z czego żyć i osiągnęłabym jakikolwiek sukces - bez wszystkich tak zwanych*

*„fenomenów”?* Nie doszłabym absolutnie do niczego i dawno już umarłabym śmiercią głodową!

Madame Bławatska

Spowite w białe draperie widmo sunęło przez salon, jego astralna szata falowała niby poruszana wiatrem i choć w sierpniu na Manhattanie chłodne powiewy były rzadkością, wielka księżna Renski dygotała przejęta zimnym dreszczem, gdy dziewczęca zjawa dotykała lodowatymi wargami policzka każdego z uczestników seansu.

- Wracaj do swego świata, miły duchu. Nakazuję ci, zjawo, powrócić na Tamtą Stronę! - Wielka księżna siedziała przy stole i wykonywała nad nim tajemnicze ruchy rękami. Widmo zatrzymało się, potem postąpiło z gracją krok do tyłu, jakby odciągane jakąś niezmierną siłą.

Przykryty szalem stół, na którym wielka księżna trzymała ręce, zaczął

się unosić. Jakby zachęcony przerażonymi okrzykami widzów zawisł, a po chwili grzotnął mocno o podłogę. W tym samym momencie jedyna oświetlająca salon gazowa lampa buchnęła płomieniem i zgasła. W

ciemności rozległy się krzyki; zamieszanie potęgowało jeszcze kilku dżentelmenów, usiłujących na nowo zapalić gazowy kinkiet. Kiedy wreszcie światło zajaśniało, ducha już nie było, a stół stał spokojnie.

- Brawo, księżno, brawo! - zawołał reporter z „New York Post”.

Gryzmoląc coś w notatniku, przedstawiciel „Harper's” drżącą ręką sięgnął po piersiówkę.

Wielka księżna wstała. Jej młoda blada twarz wydawała się jeszcze bielsza pod burzą czarnych włosów, opadających swobodnymi falami, jak na obrazach preraphaelitów.

- Muszę odpocząć... - szlochała bardzo przekonująco, dotykając ręką czoła.

Żurnaliści poczłapali do drzwi; robili pospiesznie notatki, pocąc się obficie.

- Sensacja na pierwszą stronę! - wykrzykiwał przedstawiciel „Post”.

Inny reporter podszedł do stołu i uniósł podejrzliwie przykrywający go szal. Niczego jednak nie odkrył. Pod blatem znajdowały się jedynie cztery masywne, rzeźbione nogi.

- Sam nie wiem... Doprawdy nie pojmuję, jak można to było zmagistrować... - mruknął, opuszczając salon.

Wielka księżna wydała głębokie westchnienie ulgi, kiedy ostatni dżentelmen z tej grupy wyszedł z pokoju. Urządzanie popisów dla prasy nie było łatwe, ale przynosiło ogromne korzyści. Kiedy ukażą się artykuły poświęcone wydarzeniom dzisiejszego wieczoru, obie z Lawinią będą miały tłumy chętnych, dobijających się do drzwi w nadziei, że uda im się porozmawiać z drogimi nieobecnymi. Licząc po pięć dolarów od głowy powinno wystarczyć na opłacenie rachunku za gaz i coś niecoś jeszcze zostanie.

Medium wyciągnęło się w fotelu. Pokój niemal całkowicie tonął w mroku. Jeśli wielka księżna wyczuwała lodowatą obecność zmarłych, jakoś tego nie okazywała. Prawdę mówiąc, było jej aż za gorąco - w Nowym Jorku była przecież pełnia lata!

Spirytystka spojrzała na zamknięte drzwi salonu. Przekonana, że przedstawienie ostatecznie dobiegło końca, przeciągnęła się i upięła włosy na czubku głowy, bo łaskotały ją w kark i grzały nieznośnie! Ze stojącego w pobliżu srebrnego dzbana naląła wody do dużej szklanki.

Już miała rozpiąć ciężką pelerynę, gdy nagle zauważyła jeszcze jednego dżentelmena, który nadal siedział w mrocznym kącie salonu.

- Seans już zakończony, proszę pana. Muszę teraz odpocząć. Kontakty z duchami są ogromnie wyczerpujące. - Popatrzyła znacząco na ciemną postać w nadziei, że ostatni gość wyniesie się tak samo jak inni.

Mężczyzna wstał i podchodząc do medium, znalazł się w kręgu światła gazowej lampy. Był znacznie wyższy od księżnej; musiała zadrzeć głowę, by przyjrzeć mu się dokładniej. Miał na sobie stosowny strój: czarny garnitur i jedwabną kamizelkę w paski. W mdłym świetle jego włosy wydawały się równie ciemne jak jego surdut. Nosił niewielką spiczastą bródkę a la Van Dyck - ostatnio bardzo popularną wśród panów, która nadawała twarzy nieznanemu jakiś diaboliczny wyraz.

Błyski gniewu w jego oczach bynajmniej nie poprawiły księżnej humoru.

- Seans już zakończony, proszę pana - powtórzyła.

- Chce pani powiedzieć, że komedia już się skończyła?

Utkwiła wzrok w jego twarzy. Bardzo przystojnej twarzy.

Niewątpliwie gniewnej.

- To nie żadna komedia tylko autentyczne kontakty z zaświatami...

niezwykle wyczerpujące dla mnie, proszę pana. Zechce pan odejść, jak wszyscy, i pozwolić mi

wypocząć.

- Jak szalbierstwo może być autentyczne? - Czarne brwi zbiegły się na zmarszczonym czole. - Nie sądzę, żeby to było możliwe. - Dotknął

policzka, na którym zjawa złożyła pocałunek. - Miała lodowate usta.

Założę się, że jej serce jest równie zimne.

- Przybyła zza grobu, proszę pana. Jak mógł pan liczyć na dotyk gorących warg?

Rzucił jej ironiczny uśmiech.

- A gdzie się podziała pani siostra, księżno? Owa słynna hrabina?

Czemu nie wzięła udziału w dzisiejszym seansie? Czy i ona ma równie zimne usta? Swą nieobecnością sprawiła ogromny zawód przedstawicielom prasy. Mnie zresztą także.

- Moja siostra jest bardzo zmęczona i musiała się położyć. Kontakty z duchami odbierają jej siły.

- Może cierpi na bezsenność? Czyżby dręczyło ją nieczyste sumienie?

- Uniósł szyderczo brew; spojrzenie, jakie rzucił spirytystce, mówiło wyraźnie, że jest dla niego niczym stwór pełzający w błotnistym rynsztoku. - A jak pani sypia, księżno Renski? - dodał z jawnym sarkazmem.

- Bardzo dobrze, proszę pana. Nawet doskonale. - Zerknęła nerwowo w stronę drzwi. Nagle pojawił się w nich Rawlings, ich angielski lokaj.

Księżna nie zdołała ukryć wyrazu ulgi. - Rawlings, odprowadź pana...

pana...? - spojrzała pytająco na stojącego obok niej dżentelmena z gniewną miną.

- Stuyvesant-French. Edward Stuyvesant-French. Radzę zapamiętać to nazwisko. W ciągu najbliższych kilku tygodni będziemy się często widywać, moja pani.

- Nasze seanse rzadko bywają dostępne dla szerszej publiczności, proszę pana. Wpuszczamy na nie przedstawiciele prasy tylko wówczas, gdy opinia publiczna zdecydowanie się tego domaga.

- Wobec tego urządźcie dla mnie prywatny seans. Opłaci się wam nawrócić zagorzałego niedowiarka!

- Duchy nie życzą sobie obecności niedowiarków ani szyderców.

- Znakomita wymówka, co?

- Zechce pan łaskawie odejść. Musimy się już pożegnać.

- Przyślę jutro list wraz z pieniężnym załącznikiem. Obie z siostrą musicie urządzić seans specjalnie dla mnie.

- O ile duchy zechcą się pojawić. Ale teraz już naprawdę dobranoc, proszę pana.

Rawlings otworzył drzwi: Edward Stuyvesant-French skinął niedbale głową i wyszedł w towarzystwie lokaja. W porównaniu z potężną sylwetką Stuyvesanta stary Rawlings wyglądał jak karzełek.

Wielka księżna podbiegła do okna. Gdy ujrzała, że natręt wsiada do czarnej eleganckiej dwukółki, oparła się o parapet i głęboko westchnęła.

- Wyniósł się wreszcie? Co za wstrętny typ! Jak myślisz, czemu się nami zainteresował? W tym tygodniu był na każdym seansie, jaki zorganizowałyśmy dla prasy! - Te słowa wydobywały się spoza welonu okrywającego twarz zjawy, która wyłoniła się zza parawanu. Tuż za nią dreptał chłopiec, najwyżej ośmioletni, z olbrzymim wachlarzem w kształcie palmowego liścia - to właśnie było źródło tajemniczych powiewów.

Spod stołu rozległ się skrzyp zawiasów; otworzyły się drzwiczki i ze skrytek w dwóch rzeźbionych, pozornie masywnych, ale pustych w środku nogach stołu, wyskoczyły dwie małe dziewczynki: cztero- i pięcioletka.

- Edward Stuyvesant ma świętą rację - odezwała się wielka księżna, patrząc za znikającym w oddali powozem. - Nawet nasze słynne lewitacje to tylko sztuczki dzieci, unoszących stołowe nogi... Ale czy to jego sprawa? Czemu chce nas zdemaskować?

- Nie jest dziennikarzem. Ani naukowcem. Z pewnością by nam powiedział, gdyby tak było. - Duch uniósł biały welon i wyjrzał przez okno na mokre od deszczu kocie łby ulicy, przylegającej do placu Waszyngtona. - Ma chyba do nas jakąś osobistą urazę. Nie podoba mi się to. Ten człowiek budzi we mnie lęk.

Hazel Mae Murphy, wychowanka przytułku dla bezdomnych dzieci w St. Louis, ostatnio zaś wielka księżna Renski, sensacja Nowego Jorku, roześmiała się nagle.

- Ten człowiek budzi w tobie lęk, Lawinio?! Popatrz na siebie! Ta trupia szminka jest naprawdę efektowna. Nawet mnie zrobiło się dziś niewyraźnie na twój widok... a przecież wiedziałam, że to ty!

Lawinia Murphy, znana również jako hrabina Lovaenya, niezwykle utalentowane medium z Piątej Aleji, dotknęła swego policzka i spojrzała na białą plamę na dłoni. Uśmiechnęła się. Śnieżne zęby błysnęły nieco upiornie w księżycowej poświacie.

- O tej porze roku lód jest na wagę złota... Ale daje cudowny efekt przy trupich pocałunkach, nieprawdaż? Myślałam, że pan Champignon z

„Heralda” posika się ze strachu, gdy musnęłam jego policzek lodowatymi wargami.

- Okropna jesteś, Lawinio!

- Całkowicie się z tobą zgadzam!

- Że też nasza kochana Lawinia potrafi obmyślić te wszystkie szczegóły! - Hazel odwróciła się do stojących z tyłu dzieci. Obie dziewczynki ledwie trzymały się na nogach, a i chłopiec powinien już iść do łóżka. - Doskonale się dziś spisaliście, moje złotka!

- Naprawdę - potwierdziła Lawinia. Przyklękła i ucałowała całą trójkę.

Tym razem jej wargi nie były lodowate. - Jestem z was taka dumna!

Byliście cudowni! Absolutnie cudowni!

Najmniejsza dziewczynka przytuliła główkę do okrytego białą draperią ramienia zjawy. Lawinia pogłaskała dziecko po włosach i wzięła je na ręce.

- Zmęczyłaś się, wróbelku? Nic dziwnego! Już dobrze po północy. -

Uśmiechnęła się do chłopca, kiedy wziął za rączkę drugą dziewczynkę. -

Jamie, zaprowadź Fanny na górę, a ja zaraz pójdę za wami z Ewą.

- Ten człowiek... Czy on na pewno już sobie poszedł? - Mały Jamie kręcił się niespokojnie, jakby dręczył go jakiś lęk.

- Więc i ty go zauważyłeś? - spytała Lawinia, spoglądając z ukosa na Hazel.

- On nas nie przyłapie, prawda?... A jeśliby mu się udało, to czy będziemy musieli wrócić do przytułku? - Jamie spojrzał z rozpaczą na dwie młode kobiety.

- Nie wrócisz do żadnego przytułku! - Lawinia stała, trzymając w ramionach zaspaną Ewę. - Nie ma mowy! Nawet nie myśl o tym okropnym miejscu! Mamy już rok 1881, chyba o tym wiesz, Jamie?

Może w St. Louis nie zdają sobie z tego sprawy, ale niewolnictwo zostało zniesione! Dotyczy to również wszystkich osieroconych dzieci.

- Ty i Hazel jesteście już dorosłe i nikt nie może was zmusić, żebyście tam wróciły. Ale ja i dziewczynki... No, mogą nas złapać... Dowiedzą się, że tak naprawdę to wcale nie nazywamy się Murphy... - mówił

placzkliwie chłopiec.

- Właśnie że się nazywacie! To moje nazwisko, więc i wasze: jesteście przecież moją rodziną i tak już będzie zawsze!

- Nie chcę tam wrócić. Nigdy! - Nawet w słabo oświetlonym salonie widać było, że mały wyraźnie zbladł.

Lawinia położyła mu rękę na głowie i gładziła delikatny pulchny policzek. - Nie pozwolę, żeby was tam zabrali! Zbyt dobrze pamiętamy z Hazel tamto miejsce i nigdy się nie zgodzimy, żebyście - ty, Ewa albo Fanny - znowu tam zamieszkali. Więc skończ z tymi obawami. Dobrze?

Chłopiec zdołał się jakoś uśmiechnąć.

- Dajesz słowo?

- Daję słowo! Zrobiłam już dużo dziwnych rzeczy, byle nas uratować od zdychania z głodu na ulicy. Jeśli trzeba będzie, zrobię jeszcze więcej!

Uspokojony chłopiec wziął na ręce drugą zaspaną dziewczynkę i ruszył nieco chwiejnym krokiem ku drzwiom salonu. Lawinia chciała pójść za nim, ale Hazel ją zatrzymała.

- Co zrobimy, jeśli ten człowiek uweźmie się na nas? - spytała z pobladłą, wystraszoną twarzą. - Nie pozwolę, by odebrali mi Ewę...

Lawinia uniosła rękę. Rola fałszywej heroiny była dla niej ciężkim brzemieniem; miała już jednak na sumieniu zbyt wiele ciemnych nieuczciwości, popełnionych po to, by utrzymać całą „rodzinkę” przy życiu. Nie pozwoli, by wszystko poszło na marne! W gruncie rzeczy zależało jej tylko na tym, by Hazel wyszła za męża, a Ewa znalazła ojca.

Lawinia była pewna, że pozostała dwójka dzieci również będzie miała dobre życie. Dopiero gdy znajdą ojca, staną się prawdziwą rodziną... I może wówczas jej własne poczucie winy zmaleje?... Dzieciom i Hazel należy się coś od życia! Lawinii najbardziej ciążyła świadomość, że wszyscy mogli liczyć wyłącznie na nią... a ona czuła się tak niedoskonałą podporą.

Oczy jej zalśniły determinacją.

- Ten człowiek nic nam nie zrobi. Nie pozwolę na to! Usunę go z drogi, choćbym miała sama wlec go za włosy!

- Wydawał się taki zawzięty... Widziałas te zaciśnięte szczęki, to wściekłe spojrzenie? - dodała Hazel.

Lawinia nie dała się zastraszyć. Wyszła z pokoju ze słowami:

- Kiedy go pocałowałam, czułam, że ma policzek z żelaza! Będę więc miała godnego siebie przeciwnika! Zapominasz, droga siostrze, że po wszystkim, cośmy razem przeszli, stałam się kobietą ze stali!

Edward Stuyvesant-French uderzył pięścią w gzyms kominka z marmuru. Salon w apartamencie, który wynajmował w hotelu Piąta Aleja, był urządzonej z przytłaczającym wprost przepychem. Wnętrze zdobiły ciężkie kotary z brązowego aksamitu, meble obite kasztanową skórą, jedwabne chwaściki wielkości sporych butelek. Ta elegancja tylko irytowała Edwarda. Prawdę mówiąc, wszystko go teraz irytowało.

- Mogę ci jakoś poprawić humor? - spytał starszy dżentelmen, siedzący na pluszowym tureckim fotelu. Niezbyt przejmował się chandrą Edwarda; całe jego zainteresowanie skupiało się na tacy ze śniadaniem, wniesionej osobiście przez właściciela hotelu. - Mam wrażenie, mój chłopcze, że w tej chwili najbardziej ci się przyda duża whisky. Zagłuszy nawet smak tego paskudztwa, które serwują tu jako kawę. Zaraz zniknie twoja naburmuszona mina!

- To są oszustki. Zdemaskuję je! - gorączkował się Edward.

- Dobrze, dobrze... ale co ci z tego przyjdzie? Wilhelm wcale się tym nie przejmie. W ogóle ci nie uwierzy. - Starszy pan nalał kawy do wytwornej filiżanki z Limoges i skrzywił się, upiwszy łyk.

Edward otworzył już usta, by zaprotestować, ale na widok przyjaciela omal się nie roześmiał. Korneliusz Cook, dżentelmen i poszukiwacz przygód, miał sylwetkę misia grizzli i bajeczne siwe bokobrody, tworzące w tej chwili zdumiewający kontrast z kruchym cackiem, które usiłował przytknąć do ust.

Cook odstawił filiżankę. Najwidoczniej borykanie się z tą babską zabaweczką było ponad jego siły. Odwrócił się do Edwarda i podjął na nowo rozmowę.

- To tylko dwie dzierlatki, które próbują w ten sposób zarobić na życie. Po co im przeszkadzać? Zerwij raz na zawsze z przeszłością, chłopcze. Tyle ci powiem.

- Tak jak ty z nią zerwałeś? - Głos Edwarda był cichy, ale słowa pełne ukrytego znaczenia.

Korneliusz odwrócił wzrok; jego twarz miała jakiś nieobecny wyraz.

- Niektórzy powiadają, że on sobie gawędzi z Alicją w saloniku osławionej hrabiny. - Edward nie starał się złagodzić tonu. - A ja twierdzę, że to najohydniejsze szalbierstwo!

- Nie gawędzi sobie z Alicją. Obaj dobrze wiemy, że Alicja odeszła -

odparł cicho Korneliusz.

Edward wziął z biurka ozdobny złoty medalion na szerokiej aksamitce, czarnej jak skrzydło kraka i podniósł go do góry. W zetknięciu z tą żalobną czernią blask złota wydawał się dziwnie martwy.

- Tak, odeszła - powiedział Edward. - Tylko to mi po niej zostało.

Moja matka, Alicja Stuyvesant-French, umarła zaraz po moim urodzeniu. Nie pozwolę, by ktoś jarmarczonymi sztuczkami uwłaczał jej pamięci, udając, że ją „przywołuje”!

Cook wpatrywał się w medalion, kołyszący się w ręku Edwarda.

Widać było, że ten widok sprawia starszemu panu ból.

- Posłuchaj, Edwardzie; hrabina i wielka księżna to tylko dwie młode dziewczyny, bawiące się w spirytystki. Przecież celem twoich ataków jest Wilhelm Vanadder, nie one. Zostaw dziewczęta w



spokoju. Niech się bawią.

- Dzięki tej zabawie dorobiły się luksusowo umeblowanej miejskiej rezydencji - odparł Edward przez zaciśnięte zęby. - Widziałeś pierścień hrabiny? Te brylanty, ten szafir? Widziałem już kiedyś to cacko, gdy wybrała się na popołudniową przechadzkę. Jest ogromny. Wszyscy o nim mówią. Vanadder podarował go jej za „usługi, które mu oddała”.

Kupuje jej takie klejnoty, trwoniąc pieniądze Daisy!

- Twój ojciec jeszcze nie umarł, Edwardzie, choć tak bardzo tego pragniesz. Pieniądze nie należą do twojej siostry, dopóki ich po nim nie odziedziczy. Jak długo Wilhelm Vanadder żyje, ma prawo je wydawać jak mu się podoba.

- To wariat! A co gorsza, zbrukał swoim szaleństwem pamięć mojej matki. - Oczy Edwarda zabłysły. Odłożył medalion na biurko.

- Nie życzę sobie, by kontynuował te groteskowe rozmówki z Alicją; on nie ma nawet pojęcia, że ta harpia go oszukuje!

- Nie możesz być tego pewny. Kto wie, może hrabina naprawdę podczas seansów nawiązuje łączność z duchami.

- To szalbierstwo, dobrze o tym wiesz! Te dwie kobiety to zwykłe tanie dziwki. Gdyby trzymały się swego fachu, zostawiłbym je w spokoju. Ale one udają kogoś lepszego. I w dodatku „nawiązały kontakt”

z nieodpowiednim duchem!

- Widziałem niedawno hrabinę w sklepie Stewarta. - Cook gładził się po bokobrodach. Czynił to zawsze, gdy się nad czymś zastanawiał. - Ona oczywiście nie miała pojęcia, że ją rozpoznałem i że się jej przyglądam.

Uderzyło mnie, że zachowuje się niezwykle uprzejmie wobec subiekta i że jest bardzo skromna.

- Podobno to ona umożliwia mu pogawędki z Alicją. - Edward spojrzał

zimno na przyjaciela. - Ona... z Alicją!

Korneliusz nie odpowiedział. Obracał tylko w palcach stojącą obok niego kruchą filiżankę, jakby to przynosiło mu ulgę. Edward wpatrywał

się w przyjaciela.

- Jak długo się znamy?

- Kawał czasu, Edwardzie.

- Trzydzieści pięć lat. Rzeczywiście kawał czasu. Całe moje życie.

- Jaki związek ma nasza długoletnia znajomość z Vanadderem i tymi dwiema nieuczciwymi damami z placu Waszyngtona?

Edward odpowiedział szorstko, ale z pewnym wahaniem.

- Zanim moja matka umarła, miała podobno, oprócz Wilhelma Vanaddera, drugiego wielbiciela. Powiadają, że pewien szlachetny, zacyjny człowiek był zakochany w Alicji Stuyvesant-French. Złamała mu serce, wdając się w tę skandaliczną aferę z Vanadderem.

- Nie było żadnego drugiego wielbiciela - odparł Cook. Głos miał

spokojny, ale twarz dziwnie spiętą.

- Doprawdy? No to Bogu dzięki! Przez chwilę obawiałem się, że w tym zepsutym do szczętu mieście gnieździ się jakaś szlachetna istota.

Cook nie odpowiedział. Nie odrywał oczu od filigranowego naczynka.

Girlandy różowych dzwoneczków, zdobiące brzeg filiżanki, wyraźnie go fascynowały.

- Wiesz co? - kontynuował Edward cicho. - Mówiono również o jakiejś przysiędze, złożonej umierającej, i o miłości, która przetrwała poza grób. Plotkarze twierdzili, że ów zacyjny człowiek nie pozwolił, by nawet śmierć rozłączyła go całkowicie z Alicją. W ostatnich chwilach jej życia, nim jeszcze urodziła bękart, który stoi teraz przed tobą, wielbiciel złożył jej przysięgę, iż zaopiekuje się dzieckiem. Że będzie troszczył się o odrażający pomiot rywala, który odebrał mu ukochaną. -

Edward wpatrywał się w Cooka, aż wreszcie tamten podniósł oczy i spojrzał na niego. - Przez trzydzieści pięć lat wierzyłem święcie w twoją wierną przyjaźń, Korneliuszu - szepnął. - I nigdy się nie zawiodłem.

- I nigdy się nie zawiedziesz. Wiesz o tym dobrze.

Edward patrzył na niego przenikliwie.

- Tylko na ciebie mogłem zawsze liczyć. Nawet wtedy, gdy byłem jeszcze niemowlęciem, a Stuyvesantowie zbiegli się tłumnie, chcąc zagarnąć pieniądze mojej matki, stawiliś im czoła w imieniu nowo narodzonego syna Alicji. A gdy wygrali proces i pozbyli się zawadzającego wszystkim dzieciaka, wzięłaś mnie do siebie i dzięki tobie miałem dom. A potem, kiedy dorosłem i poprzysiągłem sobie zdobyć majątek na złotonośnych terenach pogranicza, udałaś się tam razem ze mną. Cierpiałeś mróz, kuliłaś się wraz z innymi poszukiwaczami złota pod przeciekającym brezentem namiotów, nie jadłaś nic prócz fasoli i suszonego mięsa, zapewniając przez cały czas głupiego żółtodzioba, którym wówczas byłem, że robisz to z czystego umiłowania przygody.

- No i nie ominęła nas wielka przygoda! - uśmiechnął się w końcu Korneliusz. - Kiedy odkryłaś żyłę złota w pobliżu Fort MacKenzie, byłem zdumiony jak nigdy w życiu!

- A jeszcze bardziej zaskoczyło cię to, że nazwałem złotodajną działkę twoim nazwiskiem. - Usta Edwarda wygięły się w lekkim uśmiechu. - I dobrze pamiętam, że byłeś całkiem zbity z tropu, gdy podzieliłem się z tobą zyskiem pół na pół.

- Nie potrzebowałem połowy twoich zysków. Najważniejsze, że nazwałeś swoją kopalnię „Cook” i dzięki temu stałem się sławny. A teraz wszyscy umierają z ciekawości, odkąd Edward Stuyvesant powrócił do rodzinnego Nowego Jorku i tarza się w złocie, choć nikt nie ma pojęcia, skąd je bierze.

- Nie muszę się przed nikim tłumaczyć.

- Nie musisz też spłacać żadnych długów wdzięczności, Edwardzie.

- Czyżby? - Edward zmarszczył brwi. - No tak, oczywiście. Nie mam żadnych długów wdzięczności. Ten szlachetny człowiek to tylko wytwór wyobraźni plotkarzy. W rzeczywistości nie istnieje.

- Nie istnieje - potwierdził zdecydowanie Korneliusz. Edward uśmiechnął się z przymusem.

Starszy pan potrząsnął głową. Najwyraźniej miał ochotę na whisky.

- Wróćmy więc do realnego świata, dobrze? Chcesz udowodnić, że twój ojciec jest niespełna rozumu, bo ciągle lata na te seanse. Nie zapominaj jednak, chłopcze, że Wilhelm Vanadder jest rzeczywiście szalony i że cały Nowy Jork doskonale o tym wie. Cóż zatem chcesz udowodnić?

- Że nie może decydować o życiu Daisy. Wszystko się we mnie buntuje, gdy o tym myślę! To ja powinienem być jej opiekunem.

- Los twojej przyrodniej siostry jest rzeczywiście bardzo ciężki; przykuta do inwalidzkiego fotela i zależna od woli tyrana. Ale nadał nie pojmuję, jak przez zdemaskowanie tych dwóch spirytystek zamierzasz osiągnąć pożądany efekt?

Edward odwrócił się do kominka i spojrzał na wiszące nad nim lustro w złoczonej ramie.

- Doprowadzę do tego, że Vanaddera zamkną z innymi wariatami. I posłużę się w tym celu Hazel i Lawinią Murphy.

Korneliusz odstawił filiżankę i utkwiał wzrok w przyjacielu.

- Chcesz ubezwłasnowolnić starego? Na drodze sądowej?

- Jeśli w Anglii udało się oficjalnie uznać za obłąkanego króla Jerzego IV, to chyba i ja zdołam ubezwłasnowolnić tego ohydneho typa, mojego ojca.

- - Naprawdę nienawidzisz tego starego satyra, co?

Edward spojrzał na Cooka oczami pełnymi bólu i zawziętości. Cook popatrzył nań ze współczuciem i po chwili odwrócił wzrok.

- Czy to nie dość, że wyparł się ojcostwa? - wykrztusił Edward. -

Pomysł, że przez niego moja matka zmarła przytłoczona hańbą, jaką było urodzenie nieślubnego dziecka!

- Twoja matka należała do elity towarzyskiej. Przypomnij sobie, jakie nosisz nazwisko, na litość boską! Nigdy nie mogłem pojąć, jak Vanadder sprawił, że o tym zapomniała i zstąpiła z piedestału...  
- Oczy Korneliusza pociemniały.

- Podobno mój ojciec był wtedy bardzo przystojny. Umiał sobie radzić z kobietami tak dobrze, że nawet panna Stuyvesant-French nie zważała na to, że złoto Yanadderów jeszcze się nie spatynowało.  
- Edward spuścił oczy, jakby nie chciał, by zdradził go ich wyraz. - Matka musiała być przekonana, że się z nią ożeni. Jestem przekonany, iż zapewniał ją, że przyzna się do dziecka. Tylko w ten sposób można jakoś wyjaśnić jej postępowanie. Nie wiedziała, że Vanadder lubuje się w okrucieństwie.

Za to Daisy wie o tym aż za dobrze!

- Nikt nigdy nie stwierdził z całą pewnością, że Vanadder jest twoim ojcem, French - powiedział Korneliusz; najczęściej tak właśnie nazywał swego przyjaciela.

Edward podniósł wzrok. Wziął do ręki dagerotyp oprawny w rokokową ramkę.

- Masz co do tego jakieś wątpliwości? Naprawdę?

Twarz Korneliusza stężała. Mężczyzna na fotografii był wiernym odbiciem stojącego przed nim przyjaciela. Ta sama mocna szczęka, ta sama pociągła, przystojna twarz, te same nieugięte usta. Gdyby nie charakterystyczny melonik i tweedowy surdut o kroju sprzed dwudziestu lat, można by przysiąc, że to ten sam człowiek.

- Zabił moją matkę. Nie przeżyła hańby, jaką było poczęcie bękarta.

Rodzice zmusili ją do odrzucenia oświadczyn Vanaddera; była przecież panną Stuyvesant, a on tylko nędznym dorobkiewiczem. Potem w złej godzinie uległa mu. Jakaż podłą radość musiało mu sprawić porzucenie jej w chwili, gdy najbardziej go potrzebowała!

- To było okrutne... takie okrutne - szepnął bezradnie Korneliusz.

- Tak - potwierdził Edward, a jego wargi zacisnęły się w identyczną twardą linię, jak usta na fotografii.

- Ale jeśli zaatakujesz Vanaddera, wszyscy powiedzą, że chcesz po prostu dobrać się do jego pieniędzy.

- Nie potrzebuję jego pieniędzy.

- Ja o tym wiem, ale nikt inny w to nie uwierzy. Powiedzą, że robisz to, by zagarnąć cały majątek.

- Nic mnie nie obchodzi, co ludzie sobie pomyślą. Zresztą, dążenie do ubezwłasnowolnienia Vanaddera dla dobra jego kalekiej córki nie jest równoznaczne z przyznaniem się do pokrewieństwa z nim. Nic na tym nie zyskam - prócz opieki nad moją przyrodnią siostrą. Ale uwolnię Daisy ze szponów tyrana, choćbym miał zatrudnić wszystkich adwokatów świata.

- I choćbyś musiał posłużyć się siostrami Murphy?

- Oczywiście. Odgrywają kluczową rolę w moim planie. Zdemaskuję ich oszustwa i udowodnię, że Vanadder jest niepoczytalny. Będę walczył

na śmierć i życie!

- Żal mi tych biednych siostrzyczek.

- Nie są wcale siostrami, to jeszcze jedno oszustwo. Obie uciekły z jakiegoś sierocińca na Środkowym Zachodzie i od tej pory uprawiają swe oszukańcze sztuczki - Edward podszedł do sterty papierów leżących na wielkim biurku. - Tutaj mam ich całą historię. Udały się na wschód, przyłączając się do różnych wędrownych trup aktorskich. Wypędzono je z niejednego miasta za napastowanie mężczyzn. W końcu zjawily się w Nowym Jorku i odniosły nieprawdopodobny sukces. Mają jednak pecha, bo idealnie mi się nadadzą do przeprowadzenia mojego planu.

Korneliuszowi opadła szczęka.

- Zdumiewasz mnie, Edwardzie. To niegodne ciebie zamiary. I skąd u licha zdobyłeś te wszystkie informacje?

- Zatrudniłem agentów Pinkertona. Natknęli się na nazwisko Lawinii Murphy w przytułku dla sierot w St. Louis. - Stuyvesant z wyraźną satysfakcją dzielił się informacjami na temat niechlubnej przeszłości hrabiny. - Jej rodzice byli, zdaje się, farmerami i zmarli podczas epidemii cholery. Pięcioletnią dziewczynkę zabrano do sierocińca i spędziła tam jednaście lat. Potem uciekła pewnej nocy wraz z inną dziewczyną w tym samym wieku, czteroletnim chłopcem i dwojgiem niemowląt. Prześledzenie ich dalszych losów nie było trudne. Ładna młoda kobieta, podróżująca w towarzystwie trzech sióstr i brata, raczej rzuca się w oczy!

- Chyba masz rację. - Korneliusz spochmurniał. - Oskarżono ją o nagabywanie, powiadasz? Szesnastolatkę? Aż przykro o tym myśleć.

Obserwowałem hrabinę u Stewarta i trudno mi wprost wyobrazić sobie tę nobliwą młodą damę w tak upokarzającym położeniu.

- Dość już tych wszystkich bajeczek! Z Lawinii Murphy jest taka sama hrabina jak z jej rzekomej siostry wielka księżna. - Edward skrzyżował

ramiona na piersi. - Cały ich proceder jest odrażający. Pomyśl, z jak zatwardziałymi kryminalistkami mamy do czynienia!

Korneliusz znów przypomniał sobie spotkanie z Lawinią i złagodniał.

- Niewątpliwie jest bardzo ładna, choć takie długie, jasne włosy nie są teraz w modzie. I zupełnie nie mogę sobie wyobrazić, że taka dziewczyna...

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że i ciebie usidliła swymi niewinnymi minkami? - Edward zmierzył starego przyjaciela takim wzrokiem, jakby Cook przemienił się nagle w strusia. - To jej specjalność, nie rozumiesz?

Musi udawać niewiniątko, bo zdaniem ekspertów, najlepszym medium, przyciągającym duchy, bywa czysta dziewczeczka - prychnął pogardliwie.

- Powiedziałem tylko, że nie wygląda na zatwardziałą kryminalistkę.

Zachowywała się bardzo grzecznie w stosunku do obsługującego ją subiekta i nawet nie kazała wyręczać się w noszeniu paczek.

- Widać dobrze gra swoją rolę. - Edward przerzucał stos papierów dotyczących Lawinii Murphy. - Ale i tak ją zdemaskuję. Wiążę z jej osobą wielkie nadzieje.

- Chcesz pozbawić tę dziewczynę środków do życia? Młoda kobieta nie ma wielu możliwości uczciwego zarobku.

Jego przyjaciel znów prychnął.

- Uczciwego?! Przecież już ci mówiłem, że w niej nie ma ani krzty uczciwości! To oszustka. Kryminalistka. Niech zdobywa pieniądze w sposób zgodny z prawem, albo zarabia je w pozycji horyzontalnej, jak reszta podobnych do niej ładacznic! Taka kobieta nie nadaje się do niczego lepszego.

- Jesteś rzeczywiście nieodrodnym synem swojego ojca, Edwardzie -

zauważył melancholijnie Korneliusz.

Stuyvesant nie odpowiedział od razu. Sprawiał wrażenie, jakby słowa przyjaciela w pierwszej chwili go sparaliżowały.

- Nie ulega wątpliwości - powiedział wreszcie. Rysy mu stwardniały, gdy rzucił okiem na dagerotyp.

2

*Gdyby ktoś obdarował mnie umiejętnością wysłuchiwania na odległość gadaniny starych bab i klechów z pobliskiego prowincjonalnego miasteczka, odmówiłbym przyjęcia takiego prezentu.*

*Mam ważniejsze sprawy na głowie. Jeśli zaś istoty z zaświatów wypowiadają się równie niemądrze i bezsensownie, jak to relacjonują ich wielbiciele, zaliczę ich rozmowy do tej samej kategorii co poprzednia. Jedynym dobrem, jakie dostrzegam w tym „objawieniu prawdy o zaświatach”, jest*

*fakt, że stanowi ono jeszcze jeden argument przeciw samobójstwu.*

T. H. Huxley

Lawinia rozejrzała się po salonie ich miejskiej rezydencji w pobliżu placu Waszyngtona. Urządzenie tego pokoju stanowiło jej osobisty triumf. Zdobyć każdego wyściełanego atłasem krzeselka z epoki Ludwika XVI, każdej starannie dobranej zielonkawej wazy w stylu

„starego Paryża” kosztowało ją wiele ciężkiej pracy. Teraz jednak mogła rozglądać się po olśniewającym wnętrzu swego nowego domu i czerpać poczucie bezpieczeństwa z jego zamożności. W ciągu czterech krótkich lat z głodującej żebraczki stała się przedstawicielką zamożnej burżuazji, mieszkanką kwitnącego miasta - a co ważniejsze, miała obok siebie Hazel, Fanny, Ewę i Jamiego. Dzieci już nigdy nie przeżyją koszmarów, które okaleczyły ją raz na zawsze w dzieciństwie: strachu przed porzuceniem, dokuczliwego głodu, lodowatej pewności, że nie ma na całym świecie nikogo, kto by o nas dbał.

Lawinia wiedziała, że zarówno ona, jak Hazel zachowają do końca życia blizny na duszy, ale rany młodszych dzieci zaczęły się goić.

Uświadamiała sobie to za każdym razem, kiedy słyszała ich śmiech, kiedy bawiły się w berka wokół nakrytego do herbaty stołu, kiedy dziewczynki beztrąsko pozostawiały na jedwabnych sukienkach ślady upapranych czekoladą paluszków. Żyje nam się wygodnie - myślała Lawinia, rzucając wyzwanie całemu światu - i we własnym domu!

Nareszcie mamy swój dom.

W tej chwili jednak wszystko to - różowe aksamitne draperie a la księżna Walii, należycie spatynowany dywan Aubusson, lustro w ramie z matowego złota, a zwłaszcza bezpieczeństwo, którego symbolem był

każdy szczegół umeblowania - zostało zagrożone. Zagroził im ktoś, kto nie miał powodu do wrogości, kogo dosłownie nic z nimi nie łączyło.

Lawinia opadła na obity atłasem taborecik, ogarnięta niewytłumaczalnym lękiem. Nigdy nie zapomni nocy, podczas której wymknęły się z Hazel z sierocińca. Uciekły dosłownie w tym, co miały na grzbiecie, a były to łachmany. Teraz stąpała cicho po salonie w czerwonych jedwabnych pantofelkach, z dyskretnym szelestem bladoniebieskiej, taftowej sukni. Olśniewające szkarłatne przybranie i tren tej toalety sprawiały, iż w jasnoblond lokach Lawinii błyskały czerwone światełka.

O tak, przeszła długą drogę od tamtych niekończących się godzin ucieczki wśród ciemności, o głodzie i w strachu, które na zawsze wyryły się jej w pamięci. W pewnym momencie, gdy stanęło przed nimi widmo śmierci głodowej, pożałowała, że zabrały ze sobą dzieci. Wiedziała jednak aż za dobrze, jakie życie czekałoby je w przytułku. Spędziła tam przecież jedenaście lat.

Zaparła się i postanowiła walczyć z losem. Decydowała się na rzeczy, do których nigdy nie zniżyłyby się kobiety szczęśliwsze, nie pozbawione

- jak ona - opieki. Gdy nachodziły ją wyrzuty sumienia, odpędzała je od siebie. Jakąż radością napełniało ją to, że i ona i jej „rodzinka” mają teraz własny dom w Nowym Jorku, służbę, a nawet stylowy salon z egzotycznym tureckim kącikiem pod spływającymi z sufitu draperiami.

Mówiło o nim całe miasto!

Zdarzały się chwile takie jak ta, gdy Lawinia myślała jedynie o tym, jak dobrze się stało, że zabrała ze sobą dzieci! Ewa, Jamie i Fanny siedzieli teraz na górze, w pokoju szkolnym i pod opieką guwernantki uczyli się wielu rzeczy, o których nigdy nie dowiedzieliby się w swoim dawnym „domu”. W przytułku dla sierot w St. Louis dziecięce dusze kształtowały okrucieństwo i nędza. Dzięki Bogu, że przyszłość ich trójki zapowiada się tak pięknie!

Ale teraz przyszedł ten list. Lawinia spojrzała na trzymany w ręku arkusik. Pospiesznie, być może nawet z gniewem nagryzmołony na firmowej papeterii hotelu Piąta Aleja, liścik:

Musimy porozmawiać. Zjawię się po południu. ESF

Lawinia oczami duszy widziała Edwarda Stuyvesanta, ciemnowłosego olbrzymia, siedzącego w hotelowym barze pod dekadentycznym aktem pędzla Bouguereau i planującego ich zgubę.

Ciągle nie mogła pojąć, czemu ten człowiek pragnie ją zniszczyć. I chyba właśnie to najbardziej ją przerażało. Nie był przecież naukowcem ani reporterem, którego kariera zależała od zdemaskowania jak największej liczby osób takich jak ona. Nie, wziął się na nią wyłącznie z pobudek osobistych. Nie miała zielonego pojęcia, o co mu chodziło, ale sądząc z niechętnego człapania wchodzącego po schodach Rawlingsa, nie będzie musiała długo czekać na wyjaśnienie.

- Przyszedł pan Stuyvesant-French, panienko - Rawlings ukazał się w drzwiach salonu, był jakiś niepewny i wystraszony. - Czeka na dole. Co mam z nim zrobić?

Lawinia przywołała na twarz najbardziej promienny i pewny siebie uśmiech i odpowiedziała ciepłym tonem:

- Wprowadź go na górę, Rawlings. Cóż innego mógłbyś zrobić?

Stary majordomus wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę.

Zaczerwienione oczy pociemniały z niepokoju.

- Wszystko będzie dobrze - odparła z krzywym, nieco drżącym uśmieszkiem. - Słowo daję!

- Za często panienka daje słowo. Czasem się obawiam, że ciężar tych wszystkich obietnic zwali panienkę z nóg.

- Chyba cię jeszcze nigdy nie zawiodłam, staruszkule? - szepnęła.

Uśmiechnął się, ale natychmiast zwiesił siwą głowę.



- Zaraz go przyprowadzę.

Lawinia patrzyła za odchodzącym staruszką i znów wróciło wspomnienie dawnych dni. Podczas czteroletniej podróży do celu, który wreszcie osiągnęły, ona i Hazel spotkały Rawlingsa i zabrały go ze sobą.

Był to stary angielski lalkarz, którego szczęście opuściło, gdyż skradziono mu wszystkie marionetki. Kiedy dziewczęta natknęły się na niego, siedział przy drodze do Albany i płakał. Rawlings utrzymywał, że ma sześćdziesiąt pięć lat, Lawinia była jednak pewna, że zbliża się raczej do siedemdziesiątki. Niemniej jednak zaproponowały staremu, by dzielił

ich los. Teraz pełnił w ich domu funkcję majordomusa. Poza tym wspaniale im pomagał dzięki umiejętności naśladowania różnych głosów i brzuchomówstwa. Potrafił tak operować głosem, że słowa zdawały się dochodzić z pustego kąta pokoju i można by przysiąc, że przemawia sama królowa Anglii! Podczas seansów pomoc Rawlingsa była wprost nieoceniona.

Lawinia spojrzała na trzymany w ręku liścik i odłożyła go zdecydowanym ruchem.

- Możesz spuścić lwa z łańcucha, Rawl! Sama go zapędzę z powrotem do klatki - szepnęła do siebie, czekając aż groźny demon pojawi się w drzwiach jej salonu.

Lawinia Murphy wyglądała zupełnie inaczej niż kiedy widział ją ostatnim razem. Edward uśmiechnął się sarkastycznie, gdy zbliżała się ku niemu, strojna w bladobłękitną taftę, dyskretnie upudrowana, z kaskadą starannie ufryzowanych loków spływającą na plecy.

Kiedy widział ją poprzednio, cała była w bieli. Podczas seansu doprowadziła do perfekcji swoją upiorną maskaradę, wyćwiczyła każdy mięsień smukłego ciała. Edward dobrze zapamiętał to ostatnie spotkanie.

Chronił ją pancerz lodowatej bieli, ale każdy jej ruch był pełen wyrazu, jak u doskonałej tancerki. Osłonięta welonem twarz była nieruchoma, ale włosy bynajmniej nie przypominały dzisiejszej kunszlowej fryzury.

Były rozpuszczone i opadały ciężką kaskadą aż do pośladków, falując przy każdym ruchu. Właśnie dlatego ludzie tak się tłoczyli, by ujrzeć tę zjawę. Hazel i Lawinia Murphy były najlepiej zarabiającymi spirytystkami w Nowym Jorku, bo jak już wywołały ducha, to było na co popatrzeć!

Ostatniego wieczoru, kiedy Lawinia Murphy występowała z takim talentem w roli zjawy, nawet Edward Stuyvesant-French musiał

przyznać, że była ucieleśnieniem jego męskich fantazji, jakimś niezwykłym połączeniem madonny i kusicielki. Kiedy zjawy krążyła wśród zebranych z wyzywającą niewinnością, Edward uświadamiał sobie jej potęgę, zdolną powalić na kolana każdego mężczyznę. I z tej racji nawet teraz czuł dla niej podziw.

- Pan Stuyvesant-French? Nareszcie się spotykamy. Siostra wspomniała mi o pańskiej obecności na

ostatnim seansie. - Nie wyciągnęła do niego ręki, nie przyłożyła drżącej dłoni do serca. Nie była ani chłodną, wyrachowaną kobietą interesu, ani chowaną pod kloszem panienką. Prawdę mówiąc, nie wiedział, co ma o niej myśleć. Było w niej coś, co dla mężczyzn było najgroźniejsze: opanowanie dojrzałej kobiety połączone z aurą niewinności. I właśnie dlatego Edward nie mógł doczekać się chwili, gdy zedrze z niej maskę. Przeciętą panienką nie umiała tak manipulować mężczyznami. Żadna kobieta z krwi i kości nie powinna dysponować tak bezlitosną znajomością męskiej natury!

- Pani hrabino... - Edward pochylił głowę w ukłonie, a ich spojrzenia się spotkały.

- Czym mogę służyć, panie Stuyvesant? - spytała słodko Lawinia, płynnym ruchem ręki wskazując gościowi miejsce na pobliskiej sofie.

- Chciałbym zamówić seans. Prywatny seans.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę. Edward mógłby przysiąc, że jej niebieskie oczy miały w tej chwili barwę fioletu. Przez sekundę płonęły takim ogniem, że ku swemu najwyższemu zdumieniu wydało mu się, iż widzi w nich szkarłatny błysk.

Odetchnął głęboko. Ogień i lód. Taka właśnie była jej natura, to go w niej pociągało. Nieodparcie. I budziło w nim gniew.

- Proszę pana, zasadniczo nie organizujemy prywatnych seansów bez uprzedniej rekomendacji. Obawiam się, że pan takowej nie posiada? -

Bez pośpiechu usiadła w fotelu. Radziła sobie z usztywnioną drutem tiurniurą jeszcze lepiej niż pani Astor. - Musiałby pan użyć wyjątkowo silnych argumentów, żebyśmy odstąpiły od tej zasady.

- Oto moje argumenty; mam nadzieję, że wystarczająco silne. - Rzucił

na stojący pomiędzy nimi stolik jedwabną sakiewkę. Była tak ciężka od złotych monet, że na orzechowym blacie powstała rysa.

Lawinia popatrzyła na stół, potem na swego gościa.

- Pańskie argumenty są doprawdy przekonujące, ale nie o takie mi chodziło. - Delikatną ręką popchnęła sakiewkę w stronę Edwarda. Miała na twarzy wyraz takiego obrzydzenia, że nie zdziwiłby się, gdyby zatkała sobie nos. - Moja siostra podobno rozmawiała z panem po ostatnim seansie. Wspomniała mi, że chce pan zdemaskować nas jako oszustki. Duchy nie lubią takiej podejrzliwości, panie Stuyvesant-French.

Edward uśmiechnął się i potarł ręką brodę. Był to chłopięcy, rozbrajający gest, od którego topniało każde niewieście serce. Na Lawinii Murphy nie zrobiło to jednak wrażenia. Postanowił zmienić taktykę.

- Duchy, które pani przyzywa, hrabino, na pewno nie złęką się byle sceptyka. Zjawa z ostatniego seansu z pewnością nie zeskoczyła z jakiejś niedosiężnej chmurki. - Uśmiechnął się z przymusem. - Założę się, że nieraz miała do czynienia z grzesznikami.

- Nie brałam udziału w ostatnim seansie mojej siostry. Nie mam pojęcia, jaka dusza przybyła wówczas zza grobu.

- Ten duch był uderzająco podobny do pani, hrabino. Musnął mój policzek wargami i odkryłem, że pragnę znów poczuć dotyk jej ust.

Lawinia wstała z fotela i podeszła do okna. Mógł teraz podziwiać jej ponętą figurę w obramowaniu imponujących draperii z blad różowego aksamitu. Profil dziewczyny był delikatny, bezbronny, rysy ściągnięte niepokojem.

- Naprawdę nie możemy zorganizować dla pana prywatnego seansu.

Czuję, że nie jest pan ze mną szczery. Widzi pan, posiadam pewien dar...

z łaski duchów. Potrafię zajrzeć w ludzką duszę i dotrzeć do prawdy, jaka w niej gości. W pańskiej duszy nie dostrzegam prawdy, jestem więc przeświadczona, że jej tam nie ma.

Co za zimna krew! - pomyślał Edward, wpatrując się w spirytystkę.

Kobieta aż tak opanowana stanowiła dla niego niezwykle wyzwanie.

Kiedy stała przy oknie, a światło padało prosto na nią, widział w jej włosach rude błyski. Tajemnicze, kuszące ogniki, dostrzegalne tylko w niektórych momentach, zwiastuny żaru tym bardziej palącego, że krył

się pod powłoką lodowatej obojętności.

- Może właśnie przybyłem po to, by poznać zagadkę własnej duszy? -

Stuyvesant także wstał i podszedł do Lawinii. Wpatrywał się w nią tak intensywnie, że niemal przewiercał ją wzrokiem.

- Obawiam się, że podobnych usług nie oferujemy, panie Stuyvesant-French. Gdyby pan miał jakiegoś zmarłego krewnego albo przedwcześnie zgasłą ukochaną, którą pragnąłby pan przywołać, zapewne mogłabym panu pomóc, ale...

Wziął ją za rękę i zdumiał się, że jest taka ciepła. Lawinia rzuciła mu zaskoczone spojrzenie, a on uśmiechnął się z triumfem. Nie mylił się!

Pod grubą warstwą lodu kryła się słodka, pełna ognia nimfa, która zwabiała żeglarzy na przybrzeżne skały. Może to prawda, co szeptano na temat Lawinii Murphy? Może istotnie seanse były tylko parawanem dla luksusowej prostytutki? W takim wypadku gotów był dołączyć do grona wtajemniczonych. Niech żąda, ile chce, żadna cena nie będzie dla niego zbyt wysoka.

- Proszę wyrazić zgodę na prywatny seans, hrabino. Zostawiam pieniądze. Wrócę o piątej po południu i mam nadzieję, że ujrzę wówczas tamtą zjawę.

- Duchy ostrzegają mnie, że to niebezpieczny zamiar - odparła cicho Lawinia; w jej oczach widać było niepokój.

Edward pochylił się i przycisnął wargi do wnętrza jej dłoni. Lawinia wydawała się zaszokowana jego zachowaniem, przysięgłby jednak, że miała ochotę stulić palce, zachowując wspomnienie tej pieszczoty.

- Duchy mają świętą rację - mruknął i z tymi słowy odszedł, skinąwszy jej głową na pożegnanie.

- Sądzę, że najlepiej będzie nie otwierać drzwi, pogasić światła i czekać aż się wyniesie. Seans z jego udziałem to nie jest dobry pomysł! -

Lawinia z rozpaczą patrzyła na Hazel, która znów przeliczała złote monety.

- Zostawił sto dolarów. Spójrz tylko, sto dolarów! - Hazel aż się zatchnęła.

- Musimy zwrócić mu te pieniądze. Naprawdę uważam, że nie powinniśmy urządzać tego seansu.

Hazel spojrzała wreszcie na przyjaciółkę.

- To do ciebie niepodobne! Nigdy się tak nie przejmujesz.

- Ten człowiek nie przypomina naszych klientów. To nie naiwniak, który aż się prosi, żeby go wystrychnąć na dudka. On jest... jest...

- Jest bardzo przystojny - powiedziała ponuro Hazel, wpatrując się w złoto. - Wyjątkowo przystojny. Nie w mówisz mi, że tego nie zauważyłaś! Włosy czarne jak skrzydło kruka, bezlitośnie piękne zielone oczy. A w dodatku taki wysoki! - Zaczęła wsypywać z powrotem monety do jedwabnej sakiewki. - Masz rację, oczywiście. Lepiej dajmy temu spokój. Sama jestem w strachu, i to nie na żarty!

- Ja nie jestem w strachu.

- Nie zrezygnowałabyś tak łatwo z seansu, Lawinio, gdybyś się nie bała tego człowieka!

- On mnie niepokoi, ale to nie jest strach.

Hazel popatrzyła na nią. Nie zadała jednak cisnącego się na usta pytania.

- Zresztą, to co czuję nie ma znaczenia - dodała Lawinia. - I tak nie zdołałybyśmy go oszukać. Lepiej pomyślmy o Wilhelmie: zjawi się za godzinę. Nie zapominaj, że pieniądze od niego to podstawa naszych dochodów. Zapomnijmy o panu Stuyvesancie. Jutro rano odeślę mu sakiewkę przez posłańca, a dziś wybierzemy się do teatru.

- Jeśli myślisz, że tak będzie najlepiej. Może w tej sytuacji to jedyne rozwiązanie.

- Tak właśnie sądzą - odparła Lawinia. Na jej czole nadal widniała zmarszczka niepokoją.

Wilhelm Vanadder był ich najlepszym klientem. Dzięki jego ustawicznemu zapotrzebowaniu na seanse, dziewczęta zarobiły tyle pieniędzy, że mogły kupić dom w mieście. Zjawiał się w każdy wtorek po południu, by pogawędzić ze swą zmarłą ukochaną. Właśnie dzięki Wilhelmowi Lawinia odkryła, że spirytyzm się opłaca. Co prawda, było to zwykłe oszustwo. Niekiedy dręczyły ją z tego powodu wyrzuty sumienia. Oszukiwanie niektórych klientów podczas seansów sprawiało jej przykrość i napełniało wstydem. Kiedy indziej jednak nie przejmowała się aż tak bardzo swą nieuczciwością. Rozmowa ze zmarłymi była dla ludzi niewątpliwą pociechą. Ona i Hazel dawały więc klientom możliwość zaspokojenia odwiecznych ludzkich marzeń o życiu wiecznym, o ponownym spotkaniu z ukochanymi. Głównym lekarstwem uśmierzającym sumienie była dla Lawinii świadomość, że jej usługi stanowią swego rodzaju terapię - choć wszystko sprowadzało się do tanich sztuczek i marnego oświelenia.

Największą, niekiedy nieznośną udręką były dla niej zwierzenia klientów. Wydawało im się, że rolą medium jest nie tylko przywoływanie osób dawno zmarłych, ale i podnoszenie na duchu tych, którzy nie rozstali się jeszcze ze światem. Hrabina Lovaenya i wielka księżna Renski snuły fantastyczne opowieści o tym, jak pielgrzymowały do Paryża, Rumunii i Nepalu, by pogłębić swą wiedzę tajemną - podczas gdy w rzeczywistości dotarły tylko z St. Louis do Albany i na Manhattan, po drodze z trudem zarabiając na chleb jarmarcznymi sztuczkami. Prawda jednak nie miała większego znaczenia i siostry Murphy odniosły wyraźny, choć oparty na kłamstwie, sukces.

Przybrawszy wyssane z palca tytuły hrabiowskie i książęce, uchodziły za pośredniczki między światem ziemskim a światem duchów. Toteż cały Manhattan wypłakiwał się im na ramieniu. Przedstawiciele wyższych sfer wyznawali im swoje najbardziej wstydlive sekrety. Wilhelm Vanadder nie różnił się pod tym względem od innych.

Miał się zjawić o czwartej. Lawinia popatrzyła na rosyjski zegar z brązu i stwierdziła, że jest za pięć czwarta.

Nie była w odpowiednim nastroju na to spotkanie. Rozmowa z Edwardem Stuyvesantem-Frenchem wstrząsnęła nią. Czy będzie ją stać na te wszystkie sztuczki, czy wytrzyma do końca seansu? Ale trzeba było zapłacić rachunki. A pan Stuyvesant-French, otrzymawszy z powrotem swoje pieniądze może nie będzie im się więcej naprzykrzał?

- Pan Wilhelm Vanadder, pani hrabino - zaanonsował Rawlings, wprowadzając klienta do salonu.

- Ach, Wilhelmie, jak to miło znowu pana widzieć! Tydzień tak nam się dłużył bez pańskiego towarzystwa. Nasi zmarli wprost tęsknili za rozmową z panem. - Lawinia płynęła po pastelowym dywanie, wyciągając rękę do Vanaddera.

- Droga przyjaciółko! - powiedział i pochyliwszy się, ucałował jej dłoń. Był potężnie zbudowany, a skutkiem długoletniego pijaństwa i folgowania sobie pod każdym względem stał się otyły. Nadal jednak można było dostrzec w jego twarzy resztki dawnej urody. Kiedy teraz Lawinia przyglądała mu się, jakaś niewyraźna myśl zamajaczyła w jej mózgu.

- Może usiądziemy? Jakoś mizernie pan dziś wygląda, Wilhelmie -

mruknęła, wskazując ruchem głowy rzeźbiony stół, stojący pośrodku salonu. Dzisiaj Fanny i Ewa nie brały udziału w seansie. Gdy Lawinia chciała zadowolić klienta jak najtańszym kosztem, ograniczała się do

„pukających duchów”. Podobnie jak siostry Fox odkryła, że stawy palców u nóg głośno trzeszczą. Za pomocą tych odgłosów, wydawanych w odpowiedniej chwili, jeśli klient był łatwowierny, mogli prowadzić ożywioną rozmowę z duchami.

- Muszę porozmawiać z Alicją - powiedział niespokojnie Vanadder.

Otarł pot z czoła, choć dzień nie był wcale upalny. - Obawiam się, że mój syn znowu się pojawił.

- O? - Lawinia uniosła brew. Sporo się nasłuchiwała o nieślubnym synu Wilhelma. Jej klient dla jakiegoś małosłownego powodu wyparł się ojcostwa i teraz dręczyły go wyrzuty sumienia. Każdy seans z udziałem Alicji był żalosną spowiedzią, pełną spóźnionych żalów z racji nieślubnego pochodzenia chłopca. Kiedy raz Alicja zasugerowała, by uznał go wreszcie oficjalnie za syna, Wilhelm wybuchnął płaczem.

Okazało się, że próbował już naprawić swą winę, ale chłopiec nie chciał

z nim w ogóle rozmawiać.

Lawinia usiadła przy stole obok Vanaddera, zastanawiając się po raz nie wiadomo który nad brzemieniem win, obciążających ludzi z najwyższych sfer. Aż jej się niedobrze robiło na myśl o ich brudnych sekretach. Było ich tak wiele i takie wstrętne.

- Wielka księżna nie dotrzyma nam dziś towarzystwa, Wilhelmie.

Wezwano ją do Camp Woodvine: ma tam wystąpić na seansie.

Wilhelm próbował się uśmiechnąć. Chociaż miał czarne kręgi pod oczami i wyglądał tak, jakby cierpiał na jakąś chorobę, Lawinia pomyślała, że jest dziś niemal przystojny. Kogoś jej przypominał.

Zdziwiła się, że Vanadder mógł jej się wydać pociągający. Zawód, który wykonywała, nauczył ją, że nie wolno lekceważyć intuicji i podświadomych skojarzeń. Zaczęła szukać jakiejś racjonalnej podstawy swoich odczuć i doszła do wniosku, że Wilhelm zrobił na niej wrażenie, bo wyglądał dziś inaczej niż zwykle. Policzki miał bledsze i chyba schudł.

- Myślałem o zapisaniu moich pieniędzy Camp Woodvine - odezwał

się Vanadder, z trudem chwytnąc dech. - Wspomniałem chyba pani o tym, hrabino?

Lawinia z namaszczeniem złożyła ręce. Właśnie w utopijnej kolonii spirytystów w Woodvine obie z Hazel rozpoczęły swą karierę jako media. Choćby z tego tylko powodu należały się Camp Woodvine same pochwały.

- Istotnie, wspominał pan o tym, drogi przyjacielu. To bardzo szlachetny zamiar.

- No cóż... rozmyśliłem się. Nie dam ani grosza tamtym spirytystom.

Straciłem sympatię dla Olcotta.

- Wolno spytać czemu?

- Bo to zwykła mała! Darwin miał rację. Przedwczoraj widziałem we śnie pułkownika Olcotta, słowo daję! To wypchany pawian: był w białej koszulce i muszce i uderzał w cymbały. Przecież nie mogę zapisać majątku takiej kreaturze!

- Tak, tak, oczywiście. - Lawinia starała się okazywać zrozumienie i zainteresowanie, choć podobne rozmowy toczyli z Vanadderem co tydzień. Ciągłe miewał jakieś sny czy wizje, które zmieniały całkowicie jego stosunek do różnych osób. A ostatnia wola Wilhelma ulegała tak częstym zmianom, że Lawinii wcale by nie zdziwiła wieść, że kolejnym spadkobiercą został prezydent Hayes.

- Zostawię wszystko, co posiadam, mojemu synowi. To ostateczna decyzja. Może wreszcie zauważy swego starego ojca. - Tak mocno przytknął chusteczkę do ust, jakby chciał zdławić ból.

- Nadal się pan martwi synem, Wilhelmie? - szczebiotała Lawinia.

Dyskretnie zsunęła z nogi pantofel i rozprostowała palce. „New York World” napisał kiedyś złośliwie, że hrabina i wielka księżna powinny postarać się o paziów, noszących treny ich podejrzenie długich sukien!

Ale podczas seansów z Wilhelmem nie potrzebowała nawet dłuższej sukni. Gotów był uwierzyć we wszystko! A to, że był pomyłony, nie przeszkadzało jej nic a nic.

- Jak on śmie wyrzekać się swego ojca?! Zwykły bękart! Taki brak respektu powinien być zabroniony prawem!

- Jego wroga postawa bardzo pana dręczy, nieprawdaż? - powiedziała Lawinia automatycznie. Nie musiała wcale uważać, znała to już na pamięć: Wilhelm będzie szlochał, Alicja będzie go pocieszała. Potem ciężka sakiewka trafi do górnej szuflady biurka, a jutro rano Rawlings odniesie pieniądze do banku.

- Nie widziałem go ani razu, odkąd stuknęła mu trzydziestka - mówił

Vanadder, pocierając lewe ramię, jakby go złapał skurcz. - Za co on mnie tak nienawidzi?!

Lawinia zakaszła dyskretnie w chusteczkę, by ukryć swe zaskoczenie.

- Myślę, że za tą wrogością kryje się coś więcej, Wilhelmie. Jestem pewna, że wasze dusze toczą ze sobą wieczny pojedynek. To by wyjaśniało tak silną animozję.

Nie wspominając już o tym, żeś wyrzekł się syna i wpędziłeś Alicję do grobu! - dodała w duchu.

Podobne bzdury więzły jej niekiedy w gardle, ale od czegoż chusteczka z brukselskiej koronki, którą

zawsze miała pod ręką?

Nieprzystojny śmiech można było łatwo przemienić w kaszel.

- Ma pani słuszość, hrabino. Kiedy tylko go ujrzałem, poczułem od razu, że znamy się od dawna. Było... było w jego twarzy coś dziwnie znajomego...

Pewno jest podobny do ciebie, durniu! - pomyślała Lawinia.

- Doprawdy? - spytała z ożywieniem. - Cóż, przywołałyśmy chyba Alicję i spytamy, czy nie wie czegoś o konflikcie, jaki dręczy wasze dusze od wielu pokoleń?

- Tak, tak - odparł z roztargnieniem. Masował swe lewe ramię tak, jakby dokuczało mu coraz bardziej.

- Czy pan się dobrze czuje, Wilhelmie? Może skaleczył się pan w ramię? Wygląda pan nie najlepiej...

- Nie! Nie przerywajmy seansu. To ten piekielny upał. - Vanadder otarł pot z czoła, choć Lawinia myślała właśnie, że chętnie okryłaby się szalem.

- Wobec tego proszę mnie wziąć za rękę. Zobaczymy, czy uda nam się nawiązać kontakt z zaświatami. - Lawinia ujęła obie dłonie Wilhelma.

Były zimne jak lód na rzece Hudson. - Czy na pewno dobrze się pan czuje, Wilhelmie? Może jednak wezwę lekarza? Niechby pana zbadał...

- Nie! Muszę pomówić z Alicją.

Lawinia zerknęła na niego raz i drugi. Potem wzięła głęboki oddech i przymknęła oczy.

- Przez potężne impulsy magnetyzmu zwierzęcego... Alicjo, wzywamy cię! Wilhelm chce z tobą pomówić. Alicjo! Alicjo? Jeśli dotarły do ciebie moje impulsy, czy zechcesz się z nami skontaktować?

Spod stołu dobiegł głośny stuk. Wilhelm jak zawsze zajrzał tam i wydawał się zadowolony, nie dostrzegłszy niczego.

- Alicja?... - spytał miękko. Kolejne stuknięcie spod stołu.

- Alicjo? Czy to ty? Znow coś głośno puknęło.

- Jesteś mi potrzebna, Alicjo... - popłakiwał żałośnie Wilhelm. Jakoś zapomniał o swoim ramieniu, ale pocił się okropnie. - Przyznam się do chłopca, wezmę go do siebie.

Jeszcze jedno stuknięcie.



- Wiedziałem, że cię to ucieszy. W końcu to ty namówiłaś mnie, żebym naprawił swoje błędy. Ale on nie chce ze mną nawet rozmawiać, Alicjo. Nienawidzi mnie.

Stuk! stuk!

- Naprawdę! Naprawdę mnie nienawidzi. Uważa, że przeze mnie umarłaś.

Stuk! Stuk!

- Nie sprzeczasz się ze mną! Mówię ci, że się z nim widziałem i że on mnie nienawidzi! Rzucił mi to prosto w twarz. A podczas naszego ostatniego spotkania nazwał mnie wariatem!

Stuk! stuk!

- Naprawdę! Naprawdę tak powiedział, Alicjo! I nawet nie przeprosił!

Lawinia głośno westchnęła. Ręce Wilhelma drżały. Niepokoiła się o niego: zachowywał się inaczej niż zwykle.

- Alicjo?... - spytał, zniżając nagle głos do szeptu. Brzmiało to tak, jakby się dusił. - Alicjo? Chcę, żeby odziedziczył cały mój majątek. To mój syn! Uznam go oficjalnie i pozwolę mu opiekować się Daisy.

Pojedyncze stuknięcie.

- Dzięki Bogu, że się zgadzasz! Wobec tego załatwione. Zmienię testament. Jeśli komuś należy się spadek... - urwał i próbował złapać dech. Poczł widać ból w piersi, bo zaczął ją rozpaczliwie trzeć.

-

Mówię ci, Alicjo, jeśli komuś... Gdybym wiedział, że wyrośnie na takiego mężczyznę... on... nasz syn... Przyznałbym się do niego... dawno temu...

- Co panu jest, Wilhelmie? Wezwę lepiej doktora! - Lawinia wpatrywała się błagalnie w klienta, choć oznaczałoby to przerwanie seansu.

Wilhelm jednak nie zwracał na nią uwagi. Był zajęty rozmową.

- Alicjo?... Jeszcze jedno. Chyba w testamencie zażądam, by zmienił

nazwisko. Co... co o tym myślisz?...

Lawinia trzasnęła stawem, nie odrywając oczu od mężczyzny, który trzymał ją za rękę.

- Bogu dzięki! Teraz wiem... że wszystko będzie dobrze. Uznam go za syna. Naprawię swój błąd. Będzie się nazywał Edward Vanadder, jak powinno być od początku. A i ty, Alicjo, uradujesz się w grobie, że twój syn nie jest już Stuyvesantem-Frenchem...

- Boże święty!... co pan mówi?! - wyjąkała Lawinia, zapominając o trzaskaniu palcami, Alicji, i dziwnym niedomaganiu klienta. Dotarła wreszcie do niej straszna prawda. W tej chwili nie była zdolna do myślenia - była zbyt zaszokowana i zdumiona.

Wilhelm wstał raptownie z krzesła. Przez całą wieczność - czy może kilka sekund? - wpatrywał się w Lawinie i w końcu wysapał:

- Edward... już... nie... Stuyvesant... Stuyvesant-French... - Wciągnął głęboko powietrze. Oczy wyszły mu na wierzch. Chwycił się za pierś.

- Wilhelmie! - krzyknęła Lawinia i podbiegła do niego.

- Ja... jakoś... mi... nie... dobrze... - wystękał. I to był już koniec.

Runął do tyłu, ciągle trzymając się za pierś. Gdy padł, zmiażdżył

swoim ciężarem pozłacane krzeselko. Martwe ciało zważyło się na podłogę z głośnym stukiem.

3

*PROWADZĄCY DOCHODZENIE: Chyba nie słyszał pan o medium, które nie zostało w końcu zdemaskowane?*

*ALFRED RUSSEL WALLACE: Wręcz przeciwnie: słyszałem o bardzo niewielu mediach, które zostały zdemaskowane. Moncka nie schwytano na gorącym uczynku. Monck był wówczas gościem i gdy postanowiono go zrewidować, wyszedł przez okno.*

Zeznanie w procesie Moncka

- Już po nim. Nie ma żadnych wątpliwości - orzekł Rawlings.

Stał razem z Lawinią i Hazel w ich salonie, wpatrując się w ciało Wilhelma, skąpane w bladym świetle popołudnia. Trup Vanaddera przypominał stertę śmieci, rażącą wśród pastelowych, kwiatnych wzorów dywanu Aubusson.

- Wielki Boże! Co my teraz zrobimy?! - wykrzyknęła Hazel.

Wpatrywała się w ciało oczami wielkimi jak spodki.

- Biedaczysko! Chyba nie wiedział, co się święci. Nie powinnam była zważać na jego protesty i wezwać lekarza. - Lawinia otarła wilgotne policzki. Nie była skora do płaczu, ale nie da się ukryć: widok nagłej śmierci wytrącił ją z równowagi! Mogła myśleć w tej chwili jedynie o tym, co powinna była zrobić... a czego nie zrobiła.

- Lekarz i tak by nie zdążył na czas - uspokajał ją Rawlings. -

Zajmijmy się lepiej czymś ważniejszym: trzeba przenieść zwłoki w jakieś inne miejsce. Gdyby znaleźli u nas trupa, nie pozbieralibyśmy się po tym skandalu - dodał, praktyczny jak zawsze.

- Jego powóz czeka na dole. Co powiemy stangretowi? - spytała Hazel w panice.

Lawinia wytarła nos w koronkową chusteczkę i odzyskała zimną krew.

- Przede wszystkim musimy go odesłać.

- Zejdę na dół i powiem, żeby wracał do domu — zgłosił się na ochotnika Rawlings. - A potem może wezwiemy Monty'ego?

Lawinia próbowała zebrać myśli. Jeśli zależało im specjalnie na jakimś seansie dla prasy, korzystały niekiedy z pomocy Monty'ego.

Zawarły znajomość z tym młodym człowiekiem na ulicy Bleelcer, kiedy jeszcze zajmowały się sprzedażą horoskopów. Monty grywał od czasu do czasu w operetkach i wodewilach, jeżeli zaś nie miał angażu, pełnił funkcję dorożkarza i niemiłosiernie zdierał skórę z pasażerów.

- Tak. Musimy sprowadzić Monty'ego! Jeśli mu dobrze zapłacimy, pomoże nam wpakować Wilhelma do dorożki i odwiezie do jego rezydencji, kiedy już wymyślimy jakąś prawdopodobną historyjkę.

- Ale czy nie będą wypytywali Monty'ego, jak to się stało, że Wilhelm nie żyje? - wtrąciła się Hazel.

- Oczywiście, ale Monty jest przecież tylko dorożkarzem! Powiemy najpierw stangretowi Wilhelma, że starszy pan przy takiej ślicznej pogodzie postanowił po seansie udać się spacerkiem do Delmonico.

Potem Monty oświadczy, że Vanadder zatrzymał dorożkę przy placu Waszyngtona, bo źle się poczuł. Chciał wrócić jak najszybciej do domu, zamiast wzywać stangreta i czekać aż po niego przyjedzie. Monty powie, że jego zdaniem pasażer dostał ataku serca podczas jazdy dorożką i w całej sprawie ani razu nie padnie nasze nazwisko.

- Dobry pomysł. Doskonały! Miejmy nadzieję, że Monty dowiezie go do domu, zanim nastąpi stężenie pośmiertne. - Rawlings usiłował dodać otuchy dwóm przerażonym młodym kobietom.

Lawinia wpatrywała się w zwłoki Wilhelma. Stężenie pośmiertne!

Jakie to okropne! Modliła się w duchu, by Monty zjawił się jak bardzo szybko.

- No więc powiedz stangretowi, żeby się stąd zabierał. Ma czekać na Wilhelma o dziesiątej przed Delmonico. Potem wyślij gońca na postój dorożek. Jeśli Monty będzie wolny, niech tu natychmiast zajeżdża!

- Bardzo dobrze, panienko. - Rawlings zręcznie ominął zwłoki i opuścił salon. Hazel w osłupieniu wpatrywała się w martwe ciało, jakby nie wierząc, że naprawdę tu leży.

- Wydaje się taki spokojny... - szepnęła.

- Wygląda tak miło i łagodnie, jak nigdy... - Lawinia znów sięgnęła po koronkową chustkę.

- Ciekawam... Jak myślisz, czy miał przy sobie dużo pieniędzy? -

Hazel, prawdziwe dziecko ulicy, myślała przede wszystkim o sprawach materialnych.

- Jestem pewna, że przyniósł tyle, ile się należało za seans. Był zawsze bardzo akuratywny pod tym względem, pamiętasz? - Lawinii znów zebrało się na płacz.

- Ale nie zapłacił ci z góry?

Lawinia popatrzyła na przyjaciółkę. Sama myśl o przeszukaniu kieszeni zmarłego wydała jej się równie okropna jak jego nieoczekiwana śmierć w ich salonie.

- Nie zapłacił mi z góry. Dobrze wiesz, że nigdy tego nie robił.

- I nigdy już ci nie zapłaci - stwierdziła Hazel z żalem.

- Naprawdę nie mogę teraz o tym myśleć! Ten człowiek miał

nieszczęście umrzeć... i jeśli nie zdążył mi zapłacić, to muszę się obejść bez tych pieniędzy. Nie będziemy przecież obszukiwać zmarłego dla niewielkiej sumki! To byłoby poniżej naszej godności. - Opadła na taboret. - Poza tym, mam ważniejsze sprawy na głowie. Muszę ci o czymś powiedzieć: Wilhelm zdradził mi podczas seansu, kto jest jego synem. To bardzo zagmatwana historia, ale teraz wreszcie rozumiem powody jego wrogości! Wyobraź sobie, że...

- Panienko! Panienko! - Rawlings wpadł do salonu bez tchu, przyciskając ręce do wzburzonej piersi.

- Panienko!... Edward Stuyvesant-French wysiadł właśnie z powozu i zmierza do frontowych drzwi!

Lawinia czuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

- Zdążyłeś odprawić stangreta Wilhelma?

- Tak. Dosłownie w ostatniej chwili. Powóz Stuyvesanta zajechał

zaraz po tym, jak tamten ruszył.

- Udawajmy, że nas tu nie ma. - Miała ochotę zatkać sobie uszy, by nie słyszeć głośniego stukania kołatki na drzwiach frontowych. - Idź i powiedz, że obie panie wyszły.

- Dobrze, panienko. - Rawlings odsapnął i pospiesznie opuścił salon.

Zapadła pełna napięcia cisza. Walenie do drzwi ucichło.

- Jak myślisz, o czym oni rozmawiają? - spytała szeptem Hazel.

- Ciii... - ostrzegła ją Lawinia, gdy dobiegł do nich gniewny głos.

- Byłem umówiony na piątą!

- Rozumiem, proszę pana... ale ani pani hrabiny, ani księżnej pani nie ma obecnie w domu.

- Kim jest ten dżentelmen, którego zabawiają na górze?

- Dżentelmen?... Nie rozumiem, proszę pana...

- Nie chcesz mi chyba wmówić, że któraś z panien Murphy ubiera się w melonik i męskie rękawiczki?

Lawinia zerknęła na Wilhelma. Nie miał na sobie kapelusza ani rękawiczek i leżał w błogiej nieświadomości panującego wokół

zamieszania.

- O Boże! Rękawiczki i melonik Wilhelma zostały na kredensie w przedpokoju! - Hazel wachlowała się ręką, jakby miała zaraz zemdleć.

- Jeśli mi natychmiast nie powiesz, kto wepchnął się na zamówiony przeze mnie seans, pójdę na górę i sam sprawdzę! - huczał gniewnie Stuyvesant-French.

Z bladej twarzy Lawinii odpłynęła resztką krwi. Dotarł do niej okrzyk oburzonego Rawlingsa i odgłos jakiejś przepychanki w przedsionku.

- Powiadam panu, że nie ma ich w domu! Nie może pan iść na górę! -

upierał się Rawlings nieco histerycznym tonem.

Lawinia schwyciła Hazel za ramię. Rozejrzała się po salonie i wzrok jej zatrzymał się na przytulnym tureckim kąciku, który przysporzył im tyle rozgłosu.

- Pomóż mi go tam wciągnąć! - poleciła zdecydowanym szeptem, chwytając Wilhelma pod pachy.

- O Boże, ależ on ciężki! - utyskiwała Hazel.

Wwindowały trupa na pokrytą haftowanym aksamitem ławeczkę.

Potem Lawinia zasłoniła wejście do ustronnego kąciaka mnóstwem doniczkowych roślin.

- A teraz siadaj przy nim i podtrzymuj go - poinstruowała przyjaciółkę.

- I masz chichotać!

Hazel spojrzała na nią oczami pełnymi lęku i niedowierzania.

- Mam chichotać?! - wykrztusiła.

- Nie ośmieli się tam wtargnąć, jeśli będzie myślał, że zebrało się wam na amory. A potem jakoś się go pozbędzie. - Lawinia odgarnęła z czoła potargane włosy. Spojrzała w lustro, poszczypała się w policzki, by nabrały rumieńców, i spokojnie podeszła do drzwi.

- Jak miło znów pana widzieć, panie Stuyvesant - mówiła właśnie, gdy schowana za palmami Hazel wybuchnęła kokieteryjnym śmiechem.

Stuyvesant-French z wściekłą miną popatrzył w stronę tureckiego kącika. Zza palm w doniczkach widać było tylko falbanki spódnicy Hazel i boczny szew na nogawce ciemnych, wełnianych, niewątpliwie męskich spodni.

Spódnica zafalowała, rozległ się odgłos lekkiego klapsa i nowa seria chichotów. Lawini oczyomal nie wyszły z orbit, gdy zobaczyła, że męska noga także zmienia pozycję. Hazel miała wyraźny talent do improwizacji!

- Jak pan widzi, jesteśmy zajęte - zwróciła się do Stuyvesanta Lawinia.

- Zechce pan łaskawie wybaczyć.

Oczy Edwarda zwęziły się w ironiczne szparki.

- Tak, panno Murphy, widzę wyraźnie, że jesteście zajęte.

- Więc proszę odejść! - Wybiegła z salonu i odprowadziła gościa po schodach do przedpokoju.

Edward zatrzymał się na dolnym podeście.

- Zapłaciłem z góry za seans. Kiedy się odbędzie? A może nie bawmy się w piękne słówka i nazywajmy rzeczy po imieniu? - Popatrzył na nią ze złością.

Lawinia ugryzła się w język, by powstrzymać cisnące się jej na usta gniewne słowa. Podczas każdego seansu z Wilhelmem dokładała wszelkich starań, by skłonić go do naprawienia krzywdy, wyrządzonej nieślubnemu synowi. A teraz ten bękart stoi przed nią i traktuje ją jak dziwkę! Ciekawe, po co się tak wysilała!

Nie pofolgowała jednak złości. Była w posiadaniu niezwykle ważnej informacji, za którą ten człowiek wiele by pewnie dał! Mogła go powiadomić, jaką decyzję podjął jego ojciec tuż przed śmiercią. Zrobi to jednak jedynie wówczas, jeśli Stuyvesant-French będzie zachowywał się przyzwoicie. Jeśli nie, to ostatnia wola Wilhelma nie zostanie zakwestionowana i niech się Camp Woodvine wzbogaci o cały jego majątek! Ona z pewnością nie będzie rozpaczać z tego powodu.

- Zechce pan łaskawie odejść, panie Stuyvesant. Nie zamierzam urządzać dla pana seansu ani teraz, ani nigdy. Bezzwłocznie odeślę panu pieniądze.

- Nie potrzebuję tych pieniędzy. Zależy mi na udowodnieniu, że pani i jej siostra jesteście

oszustkami. Jeśli złoży pani takie oświadczenie, nie będziemy zwracać sobie głowy idiotycznym sensem.

- O, wreszcie gramy w otwarte karty! - niecierpliwym gestem wskazała mu frontowe drzwi. Za plecami gościa zmaterializował się Rawlings; wyglądał zupełnie jak duch. - Nie jestem oszustką, więc nie zamierzam przyznawać się do tego. A pańskie intencje wydają mi się podejrzane. Czemu pana tak interesują nasze seanse?!

Guzik mnie to obchodzi - pomyślała.

- Pani seanse interesują mnie w najwyższym stopniu, panno Murphy.

- „Pani hrabino”, jeśli łaska.

- Łaskawa pani hrabino - podkreślił ironicznie. - I wobec tego zjawię się jutro o tej samej porze. Będę przychodził codziennie, póki nie zdecyduje się pani na seans.

Spojrzała mu prosto w twarz. Gdyby nie była taka oszołomiona i przerażona, chyba by się roześmiała. Jego ojciec, o krok od *rigor mortis* [stężenie pośmiertne], tkwi w tureckim kąciku razem z Hazel, chichoczącą jak ostatnia dziwka. Za ich plecami Rawlings trzyma się za serce i w każdej chwili może powiększyć liczbę nieboszczyków. A bękart Wilhelma stoi przy drzwiach i grozi, że zdemaskuje ją jako oszustkę - tylko dlatego, żeby zrobić na złość papie!

Jedno było pewne: ojcu już nie zaszkodzi, choćby nie wiem jak chciał!

- Proszę wyjść, panie Stuyvesant - wykrztusiła.

- Będę tu jutro, punktualnie o piątej.

- To doprawdy nie ma sensu. - Lawinia popatrzyła w górę. Z salonu nadal dobiegał śmiech Hazel. - Tyle się może zmienić do jutra...

- Stawię się o piątej. - Dotknął palcem kapelusza, ale go nawet nie uchylił. Uśmiechnął się szyderczo i wsiadł do czekającego nań powozu.

Lawinia zamknęła drzwi frontowe na klucz. Następnie podkasała spódnicę i pobiegła na górę. Rawlings za nią.

Hazel w dalszym ciągu grała swą upiorną komedię, nim dotarli do niej przez gąszcz doniczkowych palm. Siedziała obok Wilhelma, jakby skamieniała w rozpaczliwej pozie, próbując utrzymać ogromne cielsko w równowadze. Jednak siły grawitacji brały wyraźnie górę nad jej wysiłkami: drobna postać Hazel nie była dostateczną podporą dla wielkiego, bezwładnego trupa.

- Poszedł wreszcie? - spytała z rozpaczą w głosie. Była blada jak zjawa na seansie.

- Poszedł - odparła Lawinia.

Hazel zerwała się na równe nogi. Zaczęła machać rękami, jakby odpędzała chmary insektów.

- Brrr! - chrypiała z twarzą wykrzywioną wstrętem. - Nigdy już nie zmusisz mnie do czegoś takiego! Nigdy w życiu!

- Ale poskutkowało, prawda? - zauważyła Lawinia, przyglądając się ciału, które osunęło się, lądując znów na podłodze.

- Teraz uważa nas za dwie... Sama wiesz, za co! Lawinia pokiwała głową z roztargnieniem.

- Tak, tak... I cóż z tego? Nieraz już nas tak nazywano. Nawet kiedyś napisali coś podobnego w gazecie. Tym się nie przejmuję. Takie oszczerstwa nie przeszkodzą nam w interesach... Ale wiadomość, że ktoś zmarł podczas seansu, mogłaby nas zrujnować. Ludzie odwiedzają nas, żeby pogawędzić z duchami, a nie dołączyć do ich grona! Nie zapominaj o tym.

- Mam posłać po Monty'ego? - przerwał jej Rawlings. Zamglone oczy Lawinii patrzyły w przestrzeń.

- Oczywiście. Musimy pozbyć się Wilhelma jak najprędzej. Dzięki za przypomnienie.

Rawlings skinął głową. Miał zwyczaj szarpać guziki kamizelki, ilekroć był zdenerwowany. Nie raziło to u bezrobotnego lalkarza, za to u angielskiego majordomusa wyglądało dość dziwnie. Lawinia usiłowała go od tego odzwycząić, ale bez skutku. Teraz Rawls mocował się z guzikami tak energicznie, że jeden nagle oderwał się i potoczył po dywanie, lądując obok zastygłej twarzy Wilhelma.

- Zaraz sprowadzę Monty'ego - mruknął Rawlings, nawet nie próbując odzyskać zguby.

Lawinia pochyliła się i podniosła guzik.

- Zanim pan Stuyvesant-French wtargnął tutaj, chciałaś mi opowiedzieć o czymś, co usłyszałaś od Wilhelma. Co to było? - Tym razem Hazel opadła ze znużeniem na taboret. Odwróciła się plecami do zmarłego, jakby nie mogła znieść jego widoku.

- To on jest tym bękartem Wilhelma. Pan Stuyvesant-French! Stężała twarz Hazel nagle ożyła. Odmalowało się na niej zdumienie.

- Kpisz, czy co?! On mówił zawsze o „chłopcu” i byłam pewna, że to naprawdę chłopiec. Wiesz, te zranione uczucia, i w ogóle... to wyglądało mi na niedorostka. Trudno uwierzyć, że Wilhelm miał wyrzuty sumienia, bo skrzywdził tego... tego straszego człowieka!

- Ten straszny człowiek wyrósł już ze „zranionych uczuć” i jest na etapie zemsty. Obawiam się, że uwzględni w swoich planach także nas.

- Ale dlaczego?!

- Chyba zamierza skompromitować swego ojca, tak czy inaczej. I chce się w tym celu posłużyć nami. - Lawinia opadła na kozetkę. - To, co teraz powiem, będzie okropne... Wybacz mi, Wilhelmie!... Ale



zdaje się, że nasz drogi pan Vanadder umarł w samą porę. Kiedy Stuyvesant--

French dowie się o jego śmierci, chyba odczepi się od nas.

Hazel westchnęła.

- Mam nadzieję! Nie chcę go już widzieć na oczy!

- Ja też - odparła Lawinia i po raz ostatni popatrzyła ze skrucą na Wilhelma. - Jeśli duchy staną po naszej stronie, to może już nigdy nie usłyszymy o tym człowieku!

4

*Zrozum, Kate, że choć dotąd ani ty, ani Maggie nie posunęłyście się tak daleko, okoliczności zmuszą was kiedyś do ranienia uczuć innych ludzi. Przed laty nigdy by wam do głowy nie przyszło, że mogłybyście postępować tak, jak dziś postępujecie; z czasem staniecie się gorsze od tej zatwardziałej baby, pani Fish, która gromadzi wokół siebie otumanione ofiary.*

Elisha Kent Kane do Kate Fox, 1853

- W eż jeszcze jedno ciastko, Monty! Dolać ci herbaty? - Lawinia podniosła ciężki srebrny czajnik i poleciła swemu gościowi gestem, by przysunął filiżankę.

- Starczy już, Lawinio! Pierwszy głód zaspokoilem, ale co byś powiedziała na mały deser? - Chwycił ją, nie zważając na tiurniurę i przyciągnął do siebie.

- Monty, ty potworze! Gnieciesz mi suknię!

- No to może ją zdejmujemy, co?

Lawinia spoglądała na niego rozbawiona, ale nie podniecona. Od tragicznego wypadku minął już dzień. Było niezbyt późne popołudnie, ale przez otwarte okna dobiegały już krzyki gazeciarzy, obwieszczających ukazanie się wieczornej prasy. Nawet w położonym na piętrze salonie wyraźnie było słychać wyrzaskiwane przez chłopców nagłówki: MIEDZIANY BARON NIE ŻYJE!

SPADKOBIERCY NIEZNANI!

- Decyduj się wreszcie, Monty, zależy ci na mnie, czy na tych ślicznych, złotych pieniążkach, które ci obiecałam wczoraj wieczorem, kiedy się zjawiłeś i wytaszczyłeś stąd Wilhelma? - Wyjęła zza dekoltu niewielką jedwabną sakiewkę i pomachała nią Monty'emu przed nosem.

Chwycił woreczek i przeliczył monety. Każdą po kolei wypróbował

zębami i upewniwszy się, że wszystko w porządku, schował je do kieszeni kamizelki.

- A teraz mnie puść! - poleciła mu Lawinia.

Uśmiechnął się do niej szeroko. Miał bardzo ujmujący uśmiech i doskonale o tym wiedział. Gdyby mógł sobie pozwolić na lepszą garderobę, nietrudno by mu było zrobić karierę fordansera. Nawet w obszarpanym stroju dorożkarza, z rozkudłanymi ciemnoblonde włosami, spłowiałymi na słońcu, i z nieogoloną gębą mógłby niejednej zawrócić w głowie. Lawinia była zdania, że to przede wszystkim z powodu jego oczu: ciemnobłękitnych tęczywek i bezczelnego spojrzenia.

- Dość już tego, Monty! Przestań się wygłupiać. - Spojrzała na ręce, tak śmiało obejmujące ją w talii.  
- Nie proponuję ci stałego wikt i opierunku, dobrze o tym wiesz.

- Ależ, Lawinio, wcale nie o to chodzi! Zakochałem się w tobie, i tyle!

Wywróciła oczami.

- Słyszałam, że masz ostatnio kłopoty z pracą. Rawl wspomniał mi, że usiłowałeś zaczepić się w wodewilu, którego główną atrakcją był

orangutan i jakiś grubas, wielki jak szafa. Czyżbyś już schodził na psy?

- Nie będę kłamał: źle mi idzie.

Lawinia spojrzała na Monty'ego ze współczuciem. Nie zamierzała wziąć go na utrzymanie, ale miała do niego wyraźną słabość. Ktoś mógłby powiedzieć, że to zwykły, ordynarny dorożkarz, ale ona wiedziała, że tak nie jest. Nieraz oglądała występy Monty'ego w teatrzykach muzycznych przy końcu Piątej Alei. Miał czysty, chwytający za serce głos - prawdziwie irlandzki tenor - i wiele łobuzerskiego wdzięku. Czasami zastanawiała się, czemu nie wzięła go sobie za kochanka? Pewnie nigdy jej się nie trafi ktoś równie miły.

- Wiele ci zawdzięczam i nigdy o tym nie zapomnę - powiedziała, dotykając pieszczotliwie szczeciniastego policzka. - Uwolniłeś nas od kłopotliwego przesłuchania, nie mówiąc już o nieboszczyku.

- Wiem, jak mogłabyś mi wyrazić swoją wdzięczność. - Pochylił się, by ją pocałować.

Z prawdziwym poczuciem winy Lawinia odsunęła się.

- Mówiłam ci już setki razy, kochany Monty, że nie chcę wiązać się z żadnym mężczyzną, nawet tak uroczym jak ty.

- Czy to lodowe serduszko nigdy nie poczuje się samotne? - Z

nadaśaną miną bawił się koronką przy jej staniku.

- Serce nie ma tu nic do gadania! Chodzi o zdrowy rozsądek, a on już dawno podpowiedział mi, co robić. Nie pozwolę, żeby jakiś mężczyzna odrywał mnie od pracy! Jeszcze nie zgłupiałam, żeby się zakochać. I pewnie niańczyć potem bękartą.

- Zawsze można złożyć wizytę pani Odenheimer i po kłopotcie.

- Wiem, wiem! Przyrost ludności na Manhattanie byłby dwa razy większy, gdyby nie usługi tej paniusi. Ale jakoś się nie palę do zawarcia z nią znajomości. Postanowiłam raz na zawsze: żadnych mężczyzn! -

Ześlizgnęła się z jego kolan, poprawiła suknię i bez pośpiechu podeszła do okna.

- Zrobiłbym dla ciebie wszystko. Dobrze wiesz, Lawinio!

- Wiem. Od razu pomyśleliśmy o tobie, kiedy był nam potrzebny ktoś, na kogo można liczyć. - Odwróciła się i popatrzyła na Monty'ego. - Ale nie zwracaj sobie mną głowy. Żyjmy w przyjaźni! Nie chciałabym cię zranić. Choć twoja propozycja jest dla mnie kusząca, mój zdrowy rozsądek zwalczy wszelkie pokusy. Nie będę zdana na łaskę żadnego mężczyzny. Żadnego, rozumiesz?

- Chcesz, żebym ci się oświadczył? O to ci chodzi? Ależ ożenię się z tobą! Dobrze wiesz, że to zrobię z ochotą!

Lawinia uśmiechnęła się.

- Pozwolisz, żeby małżeństwo zrujnowało twoją olśniewającą karierę dorożkarza? - Wskazała luksusowo umeblowany salon. - Miałabym wyjść za ciebie i zmusić cię do życia w tych okropnych warunkach?

Ależ nigdy bym się nie ośmieliła, Monty! To byłby szczyt egoizmu z mojej strony.

Monty podeszedł do niej i objął ją w pasie.

- Myślisz, że lecę tylko na twoje pieniądze, co? A jednak, choćbyś była obdarta, bezdomna i głodna, też bym ci patrzył w oczy i pragnąłbym cię. Ach, gdybym mógł cię zmusić, żebyś się we mnie zakochała zaraz bym się z tobą ożenił, choćbyś była żebraczką. W

obliczu miłości człowiek jest bezbronny. Sama się o tym kiedyś przekonasz, jeśli się zakochasz.

Cmoknęła go w policzek.

- Nie łudzę się, że zakochałeś się we mnie; oczarowała cię ta efektowna otoczka. Ale tak czy owak, nie uda ci się ze mną, Monty. Nie rób rozczarowanej miny! Nie trać czasu i poszukaj sobie innej.

- Jesteś bez serca!

- Nie bez serca, tylko rozsądna.

- Ach, chciałbym być szczęściarzem, który wybije ci ten rozsądek z głowy! - Popukał ją delikatnie w czoło. - Wszystkie te mądre myśli ulecą wtedy z wiatrem, założę się!

- Jeszcze się taki nie urodził, kto zdołałby tego dokonać!

- Panienko! Panienko!... - Głos Rawlingsa przerwał intymną pogawędkę. Lawinia spojrzała w stronę

drzwi i zobaczyła stojącego w nich starego lokaja.

- O co chodzi, Rawl? - spytała, zapominając o tym, że Monty nadal ją obejmuje w talii.

- On tu jest! Upiera się, że był umówiony na piątą.

- Jaki on? - spytała, marszcząc brwi. - Nie masz chyba na myśli pana Stuyvesanta? Przecież on nie ma już żadnego powodu... - Słowa uwięzły jej w gardle. Na Rawlingsa padł cień stojącej za nim wysokiej postaci.

Edward Stuyvesant-French!

Przystojną twarz szpecił jak zawsze niemiły grymas. Pogłębił się jeszcze na widok obscurnego łotra, który trzymał Lawinie w objęciach.

- Znów pani zajęta, panno Murphy? - spytał głośno przybysz.

Rawlings aż podskoczył.

- Ależ, proszę pana! Należało poczekać, póki nie zaanonsuję... - dukał

lokaj.

- Wpuść pana Stuyvesanta, Rawl. Jeżeli nadal upiera się przy seansie, będzie go miał. - Popatrzyła na Monty'ego i wysunęła się z jego objęć. -

Proszę się rozgościć, panie Stuyvesant-French. Zaraz wrócę, tylko odprowadzę mojego gościa do drzwi.

- Zawiadom mnie, gdybym był ci potrzebny, Lawinio... to znaczy hrabino. - Monty zerknął na Rawlingsa i znów popatrzył na Lawinie.

Nie dostrzegła tego. Jej spojrzenie napotkało wzrok Edwarda.

- No to już idę. Wiesz, gdzie mnie szukać, gdybym ci był potrzebny. -

Monty skinął głową Stuyvesantowi i raz jeszcze spojrzął na Lawinie.

Prawie nie zauważyła jego odejścia. - Nie zapomnij o tym, co mówiłem, hrabino - rzucił jeszcze Monty znaczącym tonem. Złożył jej teatralny ukłon i w ślad za Rawlingsem zszedł na dół.

- Nie przypuszczałam, że będzie pan w dalszym ciągu zainteresowany seansem. Proszę przyjąć kondolencje z powodu śmierci ojca... Wilhelm Vanadder był pańskim ojcem, nieprawdaż? - spytała, patrząc mu prosto w oczy.

- Moje nieprawie pochodzenie nie jest dla nikogo tajemnicą.

- Doprawdy?

- Wszyscy w Nowym Jorku wiedzą, że Stuyvesant-French to nazwisko mojej matki. Ale jeśli ktoś przybył niedawno z St. Louis, to skąd właściwie mógłby o tym wiedzieć? - Uśmiechnął się i usiadł przy stole.

Lawinia wpatrywała się w niego, starając się opanować lęk. A zatem wiedział o St. Louis! Nic nie szkodzi. Świat się przez to nie zawali.

Zajęła miejsce obok gościa i dopiero wówczas uświadomiła sobie jego niegrzeczne zachowanie.

- W St. Louis panowie czekają, aż dama usiądzie pierwsza. - Spojrzała na swego gościa z góry. - Nie przypuszczałam, że w Nowym Jorku panują inne obyczaje.

- W Nowym Jorku również czekamy, aż dama usiądzie pierwsza, panno Murphy. - Pogardliwy błysk w oku Edwarda mówił dobitnie, że nie zalicza rozmówczyni do tej kategorii.

- Czemu pan się tak upiera przy tym seansie, panie Stuyvesant-French? Zależy panu na skontaktowaniu się z duchami, czy na zdemaskowaniu medium? Jeśli chodzi o to drugie, to doprawdy nie rozumiem, co panu z tego przyjdzie, zwłaszcza teraz. - Cierpliwość Lawinii była na wyczerpaniu. Najwyższy czas skończyć z tym!

- Mój ojciec był niespełna rozumu i zamierzam to udowodnić. Jeżeli wierzył w te brednie, którymi pani go karmiła, znajdę chyba sąd, który uzna to za wystarczający dowód niepoczytalności.

- Ale po co to panu? On przecież nie żyje!

- Chodzi o jego testament.

Lawinia uśmiechnęła się. Bardzo chłodno.

- Nie wygląda pan na nędzarza, panie Stuyvesant-French. - Uniósłszy brew, obejrzała go od stóp do głów. Był doskonale ubrany, jego strój świadczył o zamożności. Miał na sobie elegancką pasiastą kamizelkę z zielonego jedwabiu, doskonale uszyty wełniany żakiet i spodnie z tego samego materiału; takie garnitury weszły od niedawna w modę. Być może jednak - jak u wielu innych - dochody nie dorównywały jego kosztownym upodobaniom.

Jeszcze raz spojrzała mu prosto w oczy.

- Chyba już pojmuję. Nadszarpnięty kredyt to doprawdy okropność!

Zwłaszcza jeśli ktoś ma skłonności do życia ponad stan. Chce pan zagarnąć spadek i popłacić długi, nieprawdaż? A zatem chodzi po prostu o pieniądze? Wcale się nie dziwię.

- Pozwolę sobie zauważyć, hrabino, że to pani należy do czcicieli złotego cielca, nie ja.

- O cóż innego może panu chodzić? - Omal nie uśmiechnęła się z satysfakcją. Czowała, że ma go w

garści. Bardzo przyjemne uczucie!

- Nie zależy mi na pieniądzach. A już z pewnością nie na pieniądzach Vanaddera! Chcę zyskać prawo do opieki nad moją przyrodnią siostrą i doprowadzić do tego, by ona, i tylko ona została spadkobierczynią ojca, którego tyranie musiała znosić przez te wszystkie lata.

- Skąd przypuszczenie, że siostra nie jest spadkobierczynią? Czy testament został już odczytany? W gazetach nie ma o tym żadnej wzmianki. Zresztą, pogrzeb jeszcze się nie odbył.

- Dowiedziałem się od adwokatów, że Vanadder miał słabość do zmieniania testamentu. Dali mi do zrozumienia, że Daisy nie jest aktualną spadkobierczynią. Stwierdzono wyraźnie, że jej obecność nie będzie konieczna przy odczytywaniu testamentu.

Camp Woodvine! Lawinia wzniosła oczy do góry i westchnęła.

Najwyższy czas powiedzieć prawdę i pozbyć się diabła, nim pożre ją na surowo!

- Proszę posłuchać, podczas seansów pański ojciec niejednokrotnie poruszał sprawę testamentu. Domyślam się, komu zapisał swoje pieniądze. Ale wiem również, że podczas naszego ostatniego seansu oświadczył niedwuznacznie, że spadkobiercą powinien być pan, jego syn. Chętnie złożę w tej sprawie zeznanie przed sądem. Poświadczę to panu na piśmie. Nic mnie nie obchodzi, komu dostaną się te pieniądze, panu czy pańskiej siostrze, byleście mnie zostawili w spokoju i nie psuli mi interesów!

Stuyvesant wydawał się zaskoczony tym wyznaniem. Nie wiedziała jednak, czy dziwi go jej gotowość do współpracy, czy prawdomówność.

- Zdumiewa mnie pani, panno Murphy! Nic dziwnego, że gazety tak się nad panią unoszą! Bezbłędnie gra pani rolę niewiniątka. Nawet oferuje mi pani swoją pomoc. Doskonałe zagranie! Nie doceniałem pani.

- Po prostu mówię prawdę. - Spojrzała mu prosto w twarz, nie chcąc, by dostrzegł jej wzburzenie. W kącikach jego pięknych ust igrał

uśmiech. Pociągałby ją, gdyby nie szyderczy grymas, który zawsze je wykrzywiał, ilekroć Edward spoglądał na nią.

- Ma pani prawdziwy talent, panno Murphy! Jestem naprawdę pod wrażeniem. Nie dziwię się już, że tak słono każe pani płacić za swoje usługi. Może więc na moje zamówienie wywoła pani na sali sądowej ducha mego ojca, żeby sam mógł poinformować nas o swej ostatniej woli? To by chyba przekonało najbardziej zatwardziałyh sceptyków, nieprawdaż?

- O ile to rozwiąże pańskie problemy i spowoduje, że zostawi mnie pan w spokoju, zrobię, co w mojej mocy.

- Doprawdy?

- Pan wyraźnie wątpi w moją szczerość. - Nastroszyła się. - Wiem, że trudno panu w to uwierzyć, ale naprawdę lubiałam pańskiego ojca.

Chciałabym, żeby jego majątek dostał się osobie, którą sam chciał nim obdarować. Jeśli cynizm nie pozwala panu w to uwierzyć, cóż, niech i tak będzie.

Edward odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Był on donośny, spontaniczny i miły w brzmieniu. Gdyby nie kryjąca się w nim złośliwość, Lawinia również by się roześmiała.

- Co z moim sensem, hrabino? - uśmiech nagle zniknął z jego twarzy.

Lawinia poczuła, że jeżą jej się włosy na karku. Nie lękała się duchów, ale przestraszył ją wyraz tej twarzy, całkowicie wypranej z wesołości.

- Z kim pragnie pan nawiązać kontakt?

- Z tą zjawą, z którą Vanadder zawsze konwersował. Chcę porozmawiać z moją matką, Alicją Stuyvesant-French.

- Dobrze pan wybrał.

- Nie pamiętam jej.

Lawinia popatrzyła na niego. Czyżby i on odczuwał zwykłą ludzką tęsknotę? To chyba niemożliwe. Nie, ten silny, nieugięty mężczyzna nie mógł odczuwać wewnętrznego bólu, pragnienia kontaktu z matką. To nie do pomyślenia, by dojrzały człowiek, despotyczny, skłonny do okrucieństwa, mógł marzyć o macierzyńskiej miłości. Mimo woli jednak Lawinia, patrząc na niego, zadawała sobie pytanie: a jeśli istotnie tak było?

- Zawsze namawiałam pańskiego ojca, by się z panem pojednał -

powiedziała miękko. - Alicja była jego dobrym duchem. Uczyła go wczuwać się w cudze położenie.

- Doprawdy?

Ręce Lawinii zaczęły drżeć. Zdjęła je ze stołu i złożyła na podółku.

- Opowiedziała mu podczas seansu o swoich cierpieniach.

- A cóż pani może wiedzieć o podobnych cierpieniach, hrabino?

Lawinia zamrugnęła. Zbyt szybko się zagalopowała.

- Proszę pamiętać, że to nie ja rozmawiałam z Wilhelmem, to mówiła Alicja przeze mnie. Ja byłam tylko przekaźnikiem.

- Więc co... Alicja powiedziała mojemu ojcu, by go nauczyć empatii?

- Ona... - Jego wzrok sprawił, że strach ścisnął Lawinię za gardło.

Powściągane z trudem emocje odbiły się na jego twarzy: była przerażająca. Lawinia miała wrażenie, że stoi na skraju przepaści i nie ma już odwrotu. Nie wiedziała, co ją czeka.

- Zwierzyła mi się ze swego cierpienia. - Lawinia ugryzła się w język i umilkła. Nie powiedziałaaby już nic więcej, gdyby nie wyraz jego twarzy: miała wrażenie, że pochyli się zaraz przez stół i wydrze jej słowa prosto z gardła. - A raczej... mówiła Wilhelmowi o swoim cierpieniu. Nie było jej łatwo, gdy widziała jak z dnia na dzień rośnie w niej dziecko. Gdy myślała, że będzie to dziecko bez ojca... Wiele płakała... Tak, chyba i o tym mu powiedziała. Mówiła Wilhelmowi, że nie była w stanie znieść hańby. Nie kochała go wprawdzie, ale pod koniec, przed śmiercią, bardzo go potrzebowała... a on ją porzucił. Więc każdej nocy płakała...

płakała nad... Sam pan rozumie, jakie to było straszne...

- Nie, nie rozumiem - rzucił ostro. Zacisnął zęby i dodał:

- Proszę mówić dalej.

- To już... to już prawie wszystko.

- Proszę mówić dalej! - domagał się z błyskiem w oczach. - Co mu opowiadała? Czy wytłumaczyła mu, dlaczego płakała? No, jak mu to wytłumaczyła?

- Powiedziała... że co noc, aż do śmierci... chwycił ją płacz... gdy spoglądała na swoją rękę, bez ślubnego pierścienia... Tak, chyba dokładnie to mu przekazała za moim pośrednictwem.

Stuyvesant milczał. Zapadła taka cisza, że Lawinia aż się wzdrygnęła, gdy w końcu przemówił.

- Tak pani cedzi słowa, hrabino, jakby zeznawała pani przed sądem.

- Nie chcę, by mi pan zarzucił, że coś przekręciłam. Przesłania duchów nie zawsze łatwo odczytać. Mam nadzieję, że przekazałam wszystko dokładnie.

- Owszem. Dodała pani kilka teatralnych efektów, ale ogólny zarys jest zgodny z prawdą. - Patrzył na nią niewidzącym wzrokiem. Gniew, który w sobie zdławił, widać oślepił go na chwilę.

- Czy pan wreszcie zrozumiał, że nie miałam żadnego wpływu na pańskie stosunki z ojcem? Zostawi mnie pan w spokoju?

Ocknął się i popatrzył na nią takim wzrokiem, że niemal przygwoździł

ją spojrzeniem do fotela.

- To ja byłem owocem tego... błogosławionego związku. To ja byłem powodem tego, że moja matka - jak to pani melodramatycznie określiła -



plakała co noc, spoglądając na swoją rękę bez ślubnego pierścienia.

Czarujące sformułowanie, hrabino. Każdy by się wzruszył.

- Proszę, niech pan już idzie. Nie mam nic wspólnego z tym, co tak pana gniewa. Błagam...

Spojrzał na nią z taką nienawiścią, że zaparło jej dech.

- Jesteś zwykłą dziwką, Lawinio Murphy! Dorabiając się forsy na tych bajeczkach, żerujesz na cudzej tragedii. Jesteś stokroć gorszą szmatą niż inne dziwki!

- Wiem, że to pana zabolalo. Cierpienie Alicji sprawiło panu ból.

Rozumiem - powiedziała cicho. - Ale teraz musi pan już iść, panie Stuyvesant-French. Proszę wyjść.

- Jesteś nędzną kuglarką! Odkryłaś, że Vanadder spłodził kiedyś bękarta, i z brudnego palca wyssałaś wszystkie te chorobliwe szczegóły!

- Prosiłam już, żeby pan sobie poszedł, panie Stuyvesant-French.

-Lawinia wstała. Serce tłukło się w jej piersi. Miała nadzieję, że przybrała odpowiedni ton: współczujący, ale stanowczy. Ten człowiek musi wyjść! Budził w niej lęk... Nie mogła pozwolić, by został dłużej.

Edward nie ruszał się jednak. Nawet mięsień nie drgnął mu w twarzy.

Grymas obrzydzenia wydawał się wykuty w marmurze.

- Siedzisz tu i udajesz, że jesteś kimś innym, udajesz, że odczuwasz cudzy ból! - mówił twardo, chrapliwie. - Zadajesz cios za ciosem, strojąc współczujące minki. A przez cały czas rachujesz w myśli pieniądze, które ci dadzą za to zgrywanie się! Mniejszą hańbą okryłabyś się, gdybyś po prostu pozwałała każdemu chętnemu, żeby na tobie jeździł! Wtedy miałbym dla ciebie przynajmniej odrobinę szacunku, Lawinio Murphy!

Nawet sobie nie uświadomiła, że zamachnęła się do uderzenia. Nie miała zwyczaju tak załatwiać porachunków, ale jego zniewagi były zbyt bolesne: musiała się bronić!

- No, dalej! - podjudzał ją, nie odrywając od niej wzroku. Przeszywał

ją tymi swoimi... jak to określiła Hazel?... bezlitośnie pięknymi, zielonymi oczami.

- Proszę wyjść. I więcej tu nie wracać. - Mówiła z trudem, bez tchu.

Placz schwycił ją za gardło.

Stuyvesant-French podniósł się z krzesła. Lawinia myślała, że skieruje się do drzwi, ale schwycił ją za ramię i zmusił, by także wstała. Była zbyt przerażona, by się opierać.

- Uczylaś go wczuwać się w cudze położenie? No to ja cię teraz tego nauczę!

- Proszę mnie puścić! - Chwył był mocny i nieustępliwy, ale na razie bezbolesny.

Na razie.

- Tak się wspaniale wczuwasz w lęki kobiety zniewolonej i porzuconej! Nie miałabyś ochoty sama skosztować, jak to smakuje? Jako nieodrodny syn mojego ojca potrafię ci to chyba zapewnić!

- Proszę mnie puścić... - jąkała się, bardziej przerażona wyrazem jego twarzy, niż twardym uściskiem ręki.

- Jest tylko jeden problem - mówił chłodno. - Powiedz no mi, hrabino, czy można zniewolić dziwkę? Zwłaszcza taką jak ty, szmatę nad szmatami?

- Niech pan przestanie! - wykrztusiła.

- Jeśli nie zapłacę za usługę, może da się to zakwalifikować jako gwałt? Tylko że ja już ci zapłaciłem, nieprawdaż? Dobrze pamiętam, że podczas rozmowy o seansie dałem ci worek złota. A seansu nie było. Bo też w gruncie rzeczy nie frymarczysz duchami, tylko sobą, co?

- Dlaczego pan mnie traktuje w ten sposób? Co ja panu zrobiłam? -

mówiła z trudem, drżąc na całym ciele.

- Jeszcze nic, ale zrobisz, co się da, w przyszły piątek. Daisy Vanadder, moja przyrodnia siostra, spędza całe dni na płonnych marzeniach przy oknie; jest kaleką, przykutą do fotela. To ślubne dziecko Vanaddera i jego majątek powinien przypaść właśnie jej!

- Tak się z pewnością stanie - odparła, walcząc z ogarniającą ją histerią.

- Nie. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Dlaczego?!

Wyciągnął z kieszeni surduta plik papierów. Rzucił je na stół tak, jakby paliły mu ręce.

- W piątek zostanie odczytany testament Vanaddera. Adwokaci zawiadomili mnie, że obecność Daisy nie będzie konieczna. - Jego oczy stały się zimne jak stal. - Za to ty masz się zjawić!

Lawinia spojrzała na dokumenty, była jak ogłuszona. Edward wpatrywał się w nią ze wstrętem.

- Myślisz, że ci się uda? Mylisz się! Uznają go za niepoczytalnego, choćby po śmierci! Już ja się o to postaram! Zdemaskuję cię jako oszustkę i zapewnię Daisy spadek po ojcu!

- Ale skąd to przypuszczenie, że Wilhelm wymienił mnie w swoim testamencie? Nigdy mi o tym nie wspominał...

- A wspominał, że zapisze majątek Daisy?

- Wcale nie słyszałam ani słowa o córce. Wiem tylko, że tuż przed śmiercią powiedział...

Lawinia zacisnęła usta, zatrwożona własną głupotą. Mówiąc najdelikatniej: byłoby niezbyt mądre wyjawianie śmiertelnemu wrogowi czegoś, co mogło mu pomóc. Nie chciała bynajmniej pozbawiać kalekiej córki Wilhelma należnego jej spadku, ale nie orientowała się w sytuacji i nie mogła ocenić jej właściwie. Wilhelm życzył sobie wyraźnie, by jego spadkobiercą został Stuyvesant-French, ale nie wyjawiał jej całej prawdy.

Stuyvesant mógł się tu zjawić wcale nie jako rzecznik biednej Daisy, tylko - jak większość ludzi - mając na względzie własne interesy!

Jeśli owa Daisy naprawdę istniała i była rzeczywiście naturalną spadkobierczynią Vanaddera, Lawinia gotowa była - z prawdziwą przyjemnością i za przyzwoitą rekompensatą - zrzec się wszelkich ewentualnych praw do spadku i pomóc córce Wilhelma w przejęciu majątku.

Do licha, jeśli dziewczyna istotnie była kaleką, Lawinia gotowa była posunąć się choćby do krzywoprzysięstwa i oświadczyć, że Wilhelm wymienił przed śmiercią imię córki, nie syna. Takie rozwiązanie zresztą najbardziej Lawinii odpowiadało, zwłaszcza po ostatnich pogroźkach Stuyvesanta. W tej chwili nie miała wcale ochoty pomagać mu w zdobyciu majątku. Ten człowiek nie miał sumienia!

Daisy - jeśli w ogóle istniała - obróciłaby się zapewne w proch, nim braciszek wypuściłby ze szponów rodzinną fortunę i przekazał ją przyrodniej siostrze.

- To musi być jakieś nieporozumienie - odezwała się Lawinia, odzyskując zimną krew. - Cieszy mnie, że Wilhelm pamiętał o mnie i zostawił mi jakąś drobną sumkę w testamencie, ale jeśli idzie o pana i pańską przyrodnią siostrę, lepiej chyba przed odczytaniem testamentu powstrzymać się od pochopnych wniosków, a tym bardziej od ohydnych pogroźek pod moim adresem!

- Nie odziedziczysz fortuny Vanaddera! Będę walczył na śmierć i życie i nie dopuszczę, by przypadła komuś takiemu jak ty!

A ja prędzej dam się żywcem pogrzebać niż pozwolę, by wpadła w łapy kogoś takiego jak ty! - pomyślała Lawinia.

- Wcale mi nie zależy na fortunie Vanaddera. Może trudno panu w to uwierzyć, ale całkiem nieźle mi się powodzi i nie dybię na cudze skarby.

Poza tym, znam się co nieco na interesach i na prawie. Nie wyobrażam sobie, jak mogłabym rościć sobie pretensje do majątku Wilhelma, jeśli zostawił on legalnego potomka. Nawet jeżeli podczas odczytywania testamentu zostanie wymienione moje nazwisko, z całą pewnością nie okażę się główną spadkobierczynią. To byłby absurd!

- Przekonamy się w piątek. Adwokaci żądają, by hrabina stawiała się w rezydencji Vanaddera w tym terminie.

Lawinia odetchnęła głęboko, ale nie spuściła wzroku.

- Wobec tego spotkamy się. tam, panie Stuyvesant-French, i wszystko się rozstrzygnie.

- Istotnie.

Przyglądał się jej bacznie, w półmroku jego twarz była niewyraźną maską - tylko z korytarza docierał przez szparę blask lampy gazowej. W

końcu Edward odezwał się:

- Nigdy nie wspominał o córce?

- Nie.

- Nigdy nie mówił, że Daisy powinna odziedziczyć majątek?

- Nie.

Tym wszystkim, co przemilczała, można by zapełnić całe tomy! Na zakończenie podeszła do drzwi. Gdy je otworzyła, Rawlings - z okiem przylepionym do dziurki od klucza - omal nie runął na ziemię.

- To ty, Rawl? Dobrze, że tu jesteś. Pan Stuyvesant właśnie wychodzi.

Odprowadź go do drzwi.

- Dopnę swego, jak nie tym sposobem, to innym, panno Murphy!

Proszę o tym nie zapominać - powiedział stojący za nią Edward.

- Więcej można osiągnąć uprzejmością niż pogrózkami. Niech pan to zapamięta. - Skinęła mu głową.

- Mam nadzieję, że to pańska ostatnia wizyta.

- Do zobaczenia w piątek, hrabino.

Odparła głosem wypranym z wszelkich uczuć.

- Do widzenia, panie Stuyvesant-French.

5

- Nie musisz tego wcale robić ze względu na mnie, Edwardzie. - Mała kobietka, drobna i krucha jak filizanka z sewrskiej porcelany, odsunęła się z fotelem od olbrzymiego okna. Wychodziło na Piątą Aleję tak samo jak okna w domu Murphych. Jednak rezydencja Vanadderów położona była znacznie dalej na północ niż plac Waszyngtona. Nie była też z brunatnego piaskowca, ale z marmuru. W chwili obecnej okolica nie wyglądała malowniczo: zwały ziemi i kupy gruzu z wyburzonych podmiejskich farm. Nie licząc rezydencji Vanaddera i kilku innych równie rzucających się w oczy, północna część

Piątej Alei świeciła pustkami. Nie stały jeszcze po obu jej stronach zameczki, zaprojektowane przez Richarda Morrisa Hunta[słynny architekt; wprowadził do amerykańskiego budownictwa tradycyjne elementy architektury francuskiej]. Całe miasto wiedziało jednak, że to niebawem nastąpi.

- Wiesz, Edwardzie, wszystko sobie przemyślałam. Wcale nie pragnę ani domu, ani pieniędzy ojca. Będzie mi znacznie przyjemniej w małym domku w Adirondacks. Z pewnością na moim koncie powierniczym znajdzie się dość pieniędzy na kupienie czegoś takiego. I wiesz co?

Tamtejsze świeże powietrze z pewnością mnie wzmocni. - Spojrzała na stojącego obok niej mężczyznę. Mieli identyczne czarne włosy i takie same niezwykle, zielone oczy. Ale niemal przezroczysta skóra kobiety świadczyła o złym stanie jej zdrowia.

Brat popatrzył na nią i jego zazwyczaj twarde rysy złagodniały.

- Ta okropna marmurowa stodoła to twój dom, Daisy, i nikt inny nie ma do niego prawa. Powinien być twój - i będzie!

- Ale ja go wcale nie chcę, Edwardzie! - Daisy patrzyła niemal ze strachem na niezliczone płytki mlecznego kararyjskiego marmuru, stanowiące posadzkę wielkiego salonu. W porównaniu z jego ogromem dziewczyna wydawała się taka mała: mikroskopijna figurynka w fotelu na kółkach, zagubiona w olbrzymiej, rozbrzmiewającej echem komnacie ze szlachetnego kamienia. Nawet draperie były tu imponujące i bezduszne: ze sto metrów wiśniowego atłasu ozdobionego frędzlami zwisało z połączonych gzymsów, na których swawoliły pulchne kupidynki. Dosłownie zapierało dech: kolosalne bogactwo i absolutny brak gustu.

Wzrok Edwarda powędrował za spojrzeniem siostry w stronę tej dekoracji okiennej. Mruknął bez zastanowienia:

- Ten pokój zawsze kojarzył mi się z burdelem.

- Ojciec wydał mnóstwo pieniędzy na urządzenie salonu.

- Brakuje tu tylko Nerona, żeby po pijanemu, na golasa tarzał się w płatkach róż.

Daisy odwróciła się nagle do brata.

- Skąd wiesz, Edwardzie, że to przypomina burdel?

Popatrzył na nią i w jego oczach błysnęło zdumienie.

- A ty skąd w ogóle wiesz, co to jest burdel?

- Czytam przecież książki, Edwardzie.

Brat uśmiechnął się niewyraźnie.

- No widzisz, i ja też, Daisy.

Wpatrywała się w niego z brodą opartą na ręce i w zadumie bębniła palcami po policzku.

- Jakoś ci nie wierzę, Edwardzie.

- Nie przyszedłem tu, żeby się spowiadać z grzesznych uciech, tylko żeby pomówić o testamencie.

- No więc powiedziałam ci, że niczego nie chcę. - Wpatrywała się w swoje ręce, złożone teraz na podołku. - Ojciec umarł i niech spoczywa w pokoju. Miał prawo zapisać ten okropny dom i wszystkie swoje pieniądze komu tylko chciał. To po prostu śmieszne, żebym mieszkała samiutka w tej ogromnej, zimnej, pełnej przeciągów budzie!

- Kiedyś wyjdiesz za mąż, Daisy, może będziesz miała dzieci. Duży dom jeszcze ci się przyda.

Popatrzyła na niego z wyrzutem.

- Mąż? Dzieci? Jak możesz tak okrutnie żartować, Edwardzie?

Ukląkł obok jej fotela z żelaza i drzewa orzechowego.

- To nie są okrutne żarty, Daisy! Wydaje ci się, że nic nie jesteś warta, ale tylko dlatego, że ojciec stale cię poniżał.

- A jeśli odziedziczę to wszystko, to zaraz nabiorę wartości? Chcesz po prostu powiedzieć, że taka dziedziczka znajdzie człowieka, który zgodzi się prawić słodkie słówka kalece? Och, Edwardzie, czy naprawdę myślałeś, że nie przejrzę twoich planów? Litujesz się nade mną.

Nienawidziłeś ojca. Wydaje ci się, że jeśli dzięki tobie odziedziczę to wszystko, spłacisz swój dług wobec nas obojga. Ale ja nie chcę twojej litości, a ojciec nie żyje! Za późno już na zemstę, Edwardzie.

- Nie robię tego ani po to, by ci kupić męża, ani po to, by się odegrać na ojcu. Uwierz mi, robię wszystko, żebyś odziedzyczyła jego pieniądze, bo ci się słusznie należą! Ojciec nie traktował cię dobrze, Daisy. Nigdy nie miał dla ciebie czasu. Trzymał cię tu w zamknięciu, jak więźnia, zupełnie jakby się wstydził własnej córki. Nie pozwolę, by krzywdził cię nadal po śmierci!

- Jeden powód więcej, by się stąd wyrwać.

Edward wstał i zacisnął szczęki.

- Sprzedaj to ohydztwo, jeśli masz ochotę! Zabieraj pieniądze i jedź, choćby do Egiptu. Ja po prostu chcę, żeby to było twoje, rozumiesz? Nie zastąpi ci to ojcowskiej miłości, ale zawsze będziesz miała coś naprawdę swojego.

- Edwardzie, pamiętasz jeszcze nasze dzieciństwo? Pamiętasz, jak po raz pierwszy zakradłeś się do tego domu? Miałam wtedy chyba pięć lat, a ty osiem. Pamiętasz?

- Pamiętam.

Wpatrywał się w nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Mimo wszystkich twoich arystokratycznych przodków, wyglądałeś całkiem jak ulicznik z czapką na bakier i z umorusaną buzią, Dostałeś się tu wyciągiem kuchennym i schowałeś się w kącie z zabawkami.

Wyjrzałeś stamtąd, kiedy niania wyszła z pokoju.

- Dowiedziałem się, że mam siostrę, więc chciałem zobaczyć, jak wygląda.

- Ojciec nigdy mi nie wspomniał o tobie. Może sądził, że sama się dowiem z plotek, a może liczył, że nie dowiem się nigdy? Niewiele go to zresztą obchodziło.

- Pewnie, że niewiele.

- Kiedy ujrzałam cię, Edwardzie, nie wierzyłam własnym oczom.

Byłeś taki do mnie podobny. A równocześnie taki dzielny, silny i porywczy! Pamiętasz, jak niania wyłoiła cię miotłą, bo była pewna, że to jakiś złodziejasek z ulicy zakradł się do dzieciennego pokoju? Naprawdę bałam się, że cię zabije!

Kąciki ust Edwarda wygięły się i parsknął nagle śmiechem. Zdarzało mu się to bardzo rzadko. Kiedy się jednak śmiał, to już tak zaraźliwie, że sam diabeł by nie wytrzymał i ryknął śmiechem do towarzystwa.

- Ale stanęłaś po mojej stronie i ocaliłaś mi życie!

- Byłeś okropnie niegrzeczny, Edwardzie, każdy to przyzna. Wdzierać się do cudzego domu.

- Chciałem zobaczyć siostrę!

- Jakżeś się musiał rozczarować, kiedy ją wreszcie ujrzałeś, unieruchomioną w tym okropnym fotelu, pozbawioną twojej odwagi, twojej siły, twojego zapału.

- Miałaś więcej siły i odwagi ode mnie - odparł z powagą. -

Powiedziałaś tej kobiecie, żeby przestała mnie bić, i zmusiłaś ją do posłuchu! Dokonałaś tego, Daisy. Nie jesteś słabeuszem. Jesteś silna!

Pod wieloma względami silniejsza ode mnie.

- Temu chłopcu, który zakradł się do dzieciennego pokoju, zależało tylko na spotkaniu z siostrą, na niczym więcej... - Daisy zawahała się.

Nie chcąc spojrzeć bratu w oczy, popatrzyła przez okno na rojną ulicę w dole. - Jeśli... jeśli nie odziedziczę majątku ojca... Obawiam się czasem...

że temu chłopcu teraz by nie wystarczyło już samo spotkanie z siostrą...

Edward pochwycił jej obie ręce. Na jego twarzy malowało się wielkie wzruszenie. Przez długą chwilę wpatrywał się w siostrę. Ponieważ w dalszym ciągu nie patrzyła na niego, ukląkł przy niej i oparł głowę na jej kolanach.

- Rodzina mojej matki modliła się, by jej dziecko urodziło się nieżywe

- powiedział wzruszony. - A matka? Czasem mi się wydaje, że umarła, bo nie mogła znieść mojego widoku. Byłem taki podobny do niego! Od urodzenia wisiała nade mną klątwa, wszyscy się ode mnie odsuwali.

Tylko nie ty, Daisy. Nie ty. Tylko twoje oczy zawsze lśniły radością, kiedy wchodziłem do pokoju.

- Nie mów tak, Edwardzie. - Łzy spływały po policzkach Daisy.

Powoli podniosła drobną, kruchą rękę i pogłaskała ciemną głowę, spoczywającą na jej kolanach.

- Moje uczucia do ciebie, Daisy, nie mają nic wspólnego z pieniędzmi.

- Wiesz? Czasem się ich boję. Czasem mam wrażenie, że pieniądze pozbawią mnie tej odrobinki siły, którą jeszcze posiadam i będę całkiem pusta w środku. Stanę się taka jak moja matka. Nie będę już wcale kobietą, tylko kontem w banku. I cała miłość, która jest we mnie, umrze, bo nikt jej nie odwzajemni. Ojciec kochał tylko Alicję. Powtarzał to mojej matce codziennie przez wszystkie lata małżeństwa.

- Lubował się w okrucieństwie. Dręczenie innych zawsze go bawiło.

- Nienawidzę jego pieniędzy!

- I właśnie dlatego musisz je dostać. Żeby stały się twoimi pieniędzmi!

- Dlaczego tak ci na tym zależy, Edwardzie?!

Jego spojrzenie, pełne nienawiści, pomknęło gdzieś daleko, jakby chcąc przywołać z zaświatów ducha ojca.

- Musisz odziedziczyć jego pieniądze, Daisy! Na tym podłym świecie nie ma sprawiedliwości, ale ja upomnę się o twoje prawa. Daisy Vanadder - zaniebawiana, trzymana w ukryciu córka szaleńca odziedziczy jego fortunę! - Zamilkł na chwilę i dodał:



- Czyli to, co jej ojciec miłował nade wszystko.

6

*Maggie, droga moja, masz wiele zalet, które sprawiają, że górujesz nad innymi, którzy uprawiają to samo co ty rzemiosło, ale nie jesteś warta nieustającej miłości i szacunku z mojej strony. Nigdy nie wzniesiesz się na tyle, by podzielać moje myśli i moje dążenia, ja zaś nigdy nie zniżę się do twoich. Maggie, kochanie, nie zaprzataj sobie mną głowy. Zbyt cię kocham, by wystawiać cię na cierpienia, a sama dobrze wiesz, że powołany jestem do zgoła odmiennych celów. Ty tracisz siły w nieustannej pogoni za groszem, a ja ulegam własnym żalostnym próżnostkom. Jestem równie silnie związany z moim powołaniem jak ty, biedactwo, ze swoją profesją. Wspominaj więc odtąd jak miniony sen miłość, którą doktor Kane, żeglarz mórz polarnych, darzył Maggie Fox, przyjaciółkę pukających duchów.*

Elisha Kent Kane do Margaret Fox, 1852

Był to pięciokaratowy szafir otoczony brylantami. Vanadder wspomniał kiedyś Lawinii, że kamienie pochodzą z jego własnych kopalń. Podarował jej pierścień tego wieczoru, gdy po raz pierwszy nawiązała kontakt z duchem Alicji. Piękno tego klejnotu nadal budziło w Lawinii nabożny podziw, gdy przyglądała się kamieniom połyskującym w ukośnych, żółtawych promieniach zmierzchającego dnia. Nosiła pierścień bardzo często: był symbolem jej sukcesu. Dodawał pewności siebie, która niekiedy ją opuszczała. Klejnot bardzo rzucał się w oczy, jego ostentacyjność była wręcz wulgarna - ale Lawinia odczuwała satysfakcję, popisując się tą niesmacznie kosztowną błyskotką. Kiedyś przeczytała na łamach „Sun”, że zdaniem niektórych osób część nadprzyrodzonych sił hrabiny spoczywa w tym pierścieniu.

No, no! A ona pochlebiała sobie, że nie ma równych, jeśli chodzi o wymyślanie bzdur!

Lawinia potrząsnęła głową i uśmiechnęła się smutno. Pierścień migotał w promieniach zachodzącego słońca. Naprawdę dodawał jej pewności siebie. Kiedy czuła się załęczniona lub samotna, spoglądała na szafir. Choćby pozbawiono ją wszystkiego: domu w mieście, modnych strojów, nawet rozkosznych draperii z różowego aksamitu a la księżna Walii, wiedziała, że zdoła znów wypłynąć, o ile nadal będzie miała ten pierścień. Nosiła na smukłym palcu szczęście całego swego życia.

- Jestem już gotowa.

Lawinia odwróciła się i popatrzyła na wchodzącą do pokoju Hazel.

Młoda kobieta wspaniale prezentowała się w spacerowej sukni z oliwkowej tafty. Ten odcień zieleni podkreślał jej brzoskwiniowe rumieńce i połysk brunatnych loków. Ozdabiające mankiety i dół sukni arabski z czarnej pasmanterii dodawały powagi, a łobuzerskie iskierki w oczach Hazel były mniej widoczne.

- Jesteś stworzona, by być milionerką, nieprawdaż, szelmo? -

roześmiała się Lawinia.

- O, nie! To Ewa będzie największą bogaczką w rodzinie - odparowała Hazel.

Lawinia uniosła brwi.

- A co z Fanny?

- Wszystko, co ma Ewa, należy również do Fanny. Zabrałyśmy ją przecież po to, by Ewa miała siostrę. Tak jak ja znalazłam ją w tobie -

Hazel spojrzała na przyjaciółkę z czułością.

- Jesteś mi bliższa niż rodzona siostra, Hazel.

- Mam nadzieję, że Ewa kiedyś powie to samo do Fanny. Wtedy będziemy wiedziały, że postąpiłyśmy słusznie, zabierając i ją.

- Trzeba było zabrać wszystkie dzieci! Co do jednego. Do śmierci będę żałowała, że tego nie zrobiliśmy - szepnęła Lawinia.

- Kościół roztoczył nad nimi opiekę. A to okropne miejsce zamknęli, pamiętasz? Nie ma już tamtego sierocińca! - odparła Hazel wyraźnie wzruszona. - Musimy o nim zapomnieć, i już!

- Nigdy go nie zapomnę. - Lawinia rzuciła przyjaciółce wymowne spojrzenie, pełne niewypowiedzianych emocji. - I ty również, jestem tego pewna.

- Ale ja chcę zapomnieć! - Hazel zamilkła na chwilę i smutno się uśmiechnęła. - Tym się właśnie różnimy.

Lawinia zaczęła wciągać rękawiczki z kozłej skórki. Mocowała się prawie kwadrans ze specjalnym prawidełkiem z kości słoniowej, ale czarna skórka nadal boleśnie opinała palec z pierścionkiem.

- Może zdobędziemy więcej takich błyskotek, zanim dzień się skończy? - zachichotała Hazel.

- Nie jedziemy tam po to, żeby się czegoś dorobić. Dobrze o tym wiesz.

- Ale co to by była za frajda! Być milionerką, choćby przez godzinę!

- Dłużej to by z pewnością nie trwało - odcięła się Lawinia, zapinając ostatni guziczek na przegubie i zeszła za Hazel na dół. Monty czekał już na nie z dorożką.

Gdy wchodziła do biblioteki Edward obserwował ją uważnie. Lawinia Murphy nie wyglądała tym razem na pewną siebie uwodzicielkę - jak wówczas, gdy kilka dni temu po raz pierwszy powitała go w swym osławionym salonie. Teraz w ciemnoniebieskim stroju, prezentowała się niemal skromnie. Nadal jednak prześladowało go przykre wspomnienie ich ostatniego spotkania.

Nie mógł wierzyć tej kobiecie! Cała jej egzystencja opierała się na fałszu. Prezentowała te swoje rzekome duchy po to, by wycisnąć ostatni grosz ze swych otumanionych, pogrążonych w smutku ofiar.

To był w najwyższym stopniu niemoralny proceder! Edward zetknął się w życiu z wieloma zatwardziałymi grzesznicami, ale żadna z nich nie umiała się tak maskować jak Lawinia Murphy.

Opowiedziała mu o Alicji. Pamiętał jedynie wściekły gniew, który go wówczas ogarnął. Lawinia Murphy nie wiedziała nic o jego matce, a ośmielała się mówić o niej tak, jakby były dobrymi przyjaciółkami, pokrewnymi duszami! On sam nie pamiętał matki, skądże więc ta zupełnie obca kobieta, żerująca na łatwowiernych, mogła coś o niej wiedzieć?! Nawet zawodowe prostytutki, z którymi się stykał, miały więcej serca, więcej sumienia niż Lawinia Murphy!

Więc chwycił ją za ramię. Rzucał jakieś pogrożki i obelgi, zapomniał

już, co wygadywał. Wiedział tylko, że ją przeraził. Pamiętał łzy, błyszczące w jej oczach, w tych ślicznych, błękitnofioletowych oczach.

Było w nich tyle bólu...

Edward zacisnął powieki, chcąc odpędzić od siebie to wspomnienie.

Jej wzruszenie, emanujące z niej współczucie, wszystko tak doskonale wyreżyserowane, że wydawało się niemal prawdziwe, zupełnie jakby miała w sobie ludzkie, gorące serce, a nie twardy kamień, taki jak w pierścionku, którym się teraz popisywała.

Edward spojrzał na nią jeszcze raz. Jakże skromnie siedziała obok swej siostry! Z zaciśniętą w rękę torebką wyglądała jak nauczycielka obarczona podręcznikami. Wydawała się przestraszona. I znów to bolesne spojrzenie, oskarżające cały świat, jakby był pełen knujących zradę wrogów!

Edward otarł usta grzbietem ręki. Co za paskudny smak! Smak winy.

Czuł go na języku, ilekroć przypomniawszy sobie, jak brutalnie chwycił ją za ramię. Była taka krucha, że mógłby w jednej chwili przełamać ją na pół.

Starał się więc opanować, ale nie zdołał powściągnąć furii, którą w nim roznieciła. Nikt jeszcze nie uświadomił mu tak wyraźnie tragedii jego matki, jak ona. Ta oszustka sprawiła swoją wyssaną z palca historyjką, że cierpiał nad losem matki, jak nigdy dotąd. Jeden powód więcej, by zniechęcić Lawinię Murphy! By zniszczyć Lawinię Murphy!

Obserwował ją ze swego miejsca, ona zaś nie patrzyła na niego. Miał

wrażenie, że ignoruje go rozmyślnie. Ale to nie potrwa długo! Zebrali się tu wszyscy na odczytanie testamentu. Potem z pewnością dojdzie do konfrontacji.

Teraz tkwiła tu obok siostry, rozglądając się dyskretnie po pokoju.

Unosiła główkę tak wojowniczo, jakby chciała stawić czoła całemu światu.

Może wczoraj wieczorem obszedł się z nią zbyt bezwzględnie?

Zdenerwował go ten kundel, z którym ją przyłapał. Wyglądał jak śmieciarz! No, ale ma prawo zadawać się z kim chce. W końcu to nie jego sprawa.

Nie powinien był zapominać, że ta rzekoma spirytystka to także kobieta. Podstępna dziwka bez serca. Ale zawsze przedstawicielka słabszej płci. Znał dobrze ten gatunek: od lat zadawał się z damami z półświatka i miał ich już serdecznie dość. On - bękart, hańba rodu Stuyvesant-French, od urodzenia otoczony aurą skandalu, nie zaliczał się do śmietanki towarzyskiej. Ale pewnego dnia zdobędzie sobie pozycję w najwyższych sferach! Posiądzie miłość czystej, nieskalanej kobiety, która tam właśnie na niego czeka. Nie spotkał jej dotąd, ale dobrze wiedział, jaka będzie: połączy w sobie wszystkie przymioty jego matki i Daisy. Będzie piękna, dobra, mądra i zakocha się właśnie w nim, niegodnym. A on udowodni, że jest jej wart. Ożeni się z nią i zabierze ją do wieży z kości słoniowej. Będzie tam żył u boku ukochanej i codziennie dziękował Bogu za ten cudowny dar.

Krótko mówiąc, zamierzał zrobić dokładnie to, czego nie uczynił jego ojciec.

Edward odetchnął głęboko. Naprzeciw niego siedziała Lawinia Murphy, poważna i pełna godności w swym ciemnoniebieskim stroju.

Zwykła łajdaczka, upadły anioł, zarabiająca na życie w sposób jeszcze bardziej haniebnym niż inne. Mimo jej piękności, mimo pożądania, jakie w nim budziła, czuł dla niej pogardliwą litość. Nigdy nie zdobędzie ludzkiego szacunku, nigdy nie upodobni się do tej kobiety, z którą on się kiedyś ożeni. Znowu pomyślał o tym, jak brutalnie zaatakował Lawinię ubiegłego wieczora, i znów poczucie winy napełniło mu usta niesmakiem. Chyba posunął się za daleko w swoich pogroźkach.

Należało potraktować ją z pogardliwą wyższością, z jaką dżentelmen odnosi się do tego typu kobiet. Trzeba było zachować chłód i opanowanie. Powinien był okazać jej lodowatą grzeczność połączoną z litością. Nie pozwolić sobie na żadne emocje!

A jednak... cóż to była za satysfakcja, kiedy ta zawsze opanowana dziwka dygotała ze strachu! Czuł, że pękają w nim jakieś tamy, gdy szarpnął ją brutalnie. Łaknął kontaktu z nią, posunął się do jawnej przemocy, ale w końcu zdarł z niej tę maskę obojętności.

Zmusił ją wreszcie do jakiejś ludzkiej reakcji!

Lawinia siedziała statecznie w bibliotece Vanadderów. Jej drobna postać w sukni z tiurniurą ginęła wprost w otoczeniu ogromnych mahoniowych szaf, pełnych książek, oraz stołów z blatami krytymi skórą. Grono prawników zebrało się wokół kominka; przeglądali jakieś papiery i sprzeczali się o różne sformułowania. Lawinia przypatrywała się im i zastanawiała, czy nie należało jednak zabrać ze sobą adwokata?

Prawdę mówiąc, nie znała żadnego prawnika. Był jej potrzebny jak psu piąta noga! Po pierwsze: wcale jej nie zależało na majątku Vanaddera; nie brakowało jej pieniędzy. Poza tym czuła, że nie ma żadnego prawa do tej fortuny. Po drugie: żeby ją odziedziczyć, musiałyby staczać boje, a tego pragnęła uniknąć za wszelką cenę.

Zwłaszcza jeżeli miała to być walka z tym stalowym potworem, Edwardem Stuyvesantem-Frenchem!

Porzuciła więc myśl o adwokacie. Każdy z nich, obdarzony choć szczyptą rozumu, po odczytaniu testamentu Vanaddera uznałby go za żyłę złota dla siebie. Lawinia obawiała się, że gorliwy obrońca jej praw zmusiłby ją do walki - nawet wbrew jej woli.

Naprawdę nie chciała tych pieniędzy! Zwłaszcza że oznaczały dla niej ruinę i hańbę. Stuyvesant groził jej tym, i nie tylko tym. Spirytystyczny interes prosperował, Lawinia odłożyła już okrągłą sumkę, więc po co narażać się na niepotrzebne ryzyko? Nie była pazerna z natury. A Wilhelm mógł sobie być wariatem, ale niewątpliwie pragnął, by majątek został w rodzinie - tak jak być powinno! Lawinia nie zamierzała się temu sprzeciwić. Zwłaszcza teraz, gdy poznała prawowitych spadkobierców.

Spojrzała ukradkiem na dwie osoby w przeciwległym końcu pokoju.

Jedną z nich była kobieta na wózku inwalidzkim; jej śliczna twarz chwytiała wprost za serce. Wydawała się łagodna i dobra, a jej oczy miały tyle wyrazu. Jak można było żyć wobec niej wrogie uczucia?

Tak, ale podobne rysy mogą wyglądać zupełnie inaczej, jeśli kryje się za nimi zła dusza.

Zerknęła na stojącego obok inwalidki mężczyznę. Miał takie same oczy jak siostra; kiedy jednak skierował je w stronę Lawinii, ujrzała w nich wszystkie ognie piekła.

- Może już zaczniemy? - Osobisty doradca prawny zmarłego, Weisman, zasiadł przy ogromnym biurku. zaproponował Lawinii i Hazel miejsca naprzeciw siebie. Lawinia odmówiła, wcale nie miała ochoty zbliżyć się do niego. Nie chciała mieć nic wspólnego z całą tą procedurą!

Weisman nie robił wrażenia kompetentnego fachowca. Miał szarawą apatyczną twarz, podobną do pyska basseta. Lawinia uprzedziła się do Weismana i winiła go za całe to zamieszanie. Cóż z niego za doradca prawny, jeśli nie potrafił skłonić swego klienta do sporządzenia sensownego testamentu?! Zwłaszcza że ów klient miał córkę-kalekę!

- Zebraliśmy się tu w celu odczytania ostatniej woli Wilhelma Giddinga Vanaddera III. Mam pytanie do obu panien Murphy... -

Adwokat skinął głową w stronę Lawinii i Hazel. - Pan Stuyvesant-French pragnie wraz z siostrą, panną Daisy Vanadder, być obecny przy odczytaniu testamentu. Chciałbym się dowiedzieć, czy panie mają co do tego jakieś obiekcje? Jeżeli tak jest, poproszę tych państwa o opuszczenie biblioteki.

Lawinia zebrała wszystkie siły i spojrzała na Edwarda. Przeszył ją wzrokiem na wylot.

Hazel pochyliła się ku niej i szepnęła, zasłaniając usta ręką:

- Siostra może zostać, ale braciszka wyprośmy. Od razu poczuję się lepiej!

- Nie mamy żadnych obiekcji - oznajmiła Lawinia. Hazel ścisnęła ją za ramię, ale zignorowała to.

- Doskonale, a więc zaczynamy. - Weisman włożył okulary i zaczął

odczytywać leżący przed nim dokument.

Lawinia czuła na karku palący wzrok Stuyvesanta. Weisman czytał i doprowadzał ją do rozpaczyci łacińskimi terminami, dodatkowymi objaśnieniami i zastrzeżeniami. Lawinia bała się odwrócić i spojrzeć na Edwarda. Z pewnością napotka jego wzrok i wtedy ostatecznie się rozklei.

- ...tak więc ostatecznie ja, Wilhelm Gidding Vanadder III, będąc zdrowy na ciele i umyśle...

Stuyvesant-French prychnął tak głośno, że Weisman musiał na chwilę przerwać.

- ...i na umyśle, zapisuję cały swój majątek, włącznie z kopalniami miedzi w Dakocie, rezydencją w Nowym Jorku na Piątej Alei, kontami bankowymi u Lloyd'a w Londynie oraz w Banku Nowojorskim, hrabinie Lovaenya, za jej poświęcenie...

W całym pokoju rozległy się stłumione okrzyki. Trzech adwokatów zerwało się natychmiast, zgłaszając swe obiekcje. Lawinia z wolna odwróciła głowę. Kobieta na fotelu inwalidzkim wpatrywała się w swoje splecione ręce, jej czoło przecinała niewielka zmarszczka. Stuyvesant patrzył prosto na Lawinię; jego mściwe spojrzenie ugodziło ją prosto w serce.

- ...gdyby zaś ktoś ośmielił się kwestionować moją ostatnią wolę, żądam przywołania mego ducha za pośrednictwem hrabiny albo jej siostry, wielkiej księżnej Renski.

- Bravo! To stawia całą sprawę w lepszym świetle! - szydził Edward.

Weisman spojrzał na niego znad testamentu.

- Panie Stuyvesant-French, zechce pan nie przerywać...

- Jeszcze czego! - Edward wystąpił do przodu. - To zwykła farsa! Pan siedział spokojnie i spisywał te bzdury pod dyktando Vanaddera, choć nie ulega wątpliwości, że był on szaleńcem! Cała wasza paczka nie ma pojęcia o etyce zawodowej.

- Szanowny panie, nie czujemy się powołani do diagnozowania czyjegoś szaleństwa. Jesteśmy prawnikami, nie lekarzami!

- A, to wyjaśnia wszystko!

Weisman był równocześnie rozdrażniony i zbity z tropu. Jego podobna do psiej mordy twarz ożywiła się, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że go obrażają.

- Istnieją sposoby zakwestionowania testamentu. Sugeruję, żebyście -

pan i zatrudnione przez pana znakomitości prawnicze - wstąpili na tę wojenną ścieżkę.

- Uczynię to z pewnością, a moim pierwszym krokiem będzie żądanie zastosowania sankcji wobec pana, przyjacielu! Pański klient był

niepoczytalny, a pan nie wyperswadował mu tego szaleńczego kroku!

-Stuyvesant-French uderzył pięścią w stół.

Wszyscy podskoczyli. Nawet Weisman.

- Mój klient miał święte prawo dysponować swoimi pieniędzmi jak chciał, a zechciał obdarzyć nimi tę osobę! - Weisman wskazał na Lawinie.

Hazel chwyciła przyjaciółkę za ramię. Lawinii zrobiło się niedobrze.

- Dość się już nasłuchałam - powiedziała cicho i wstała z miejsca.

- On jeszcze nie skończył! - szepnęła Hazel.

- Mnie to zupełnie wystarczy. Muszę wyjść na świeże powietrze. -

Lawinia pospiesznie wyciągnęła rękawiczki z jedwabnej torebki w kolorze indygo dobranej odcieniem do sukni. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Wszyscy obecni wpatrywali się w Stuyvesanta i jego adwokatów, którzy kłócili się z Weismanem.

- Może chociaż ja zostanę? - spytała Hazel.

- Nie - odparła stanowczo Lawinia, ściągając przyjaciółkę z krzesła. -

Wszyscy już usłyszeliśmy dość. Według mnie, aż za dużo! - Odwróciła się i zatrzymała. Kobieta siedząca na fotelu inwalidzkim patrzyła wprost na nią. W jej oczach nie było potępienia, jedynie rezygnacja.

Zaszokowało to Lawinie. Była teraz pewna, że ta kobieta wcale nie liczyła na pieniądze Vanaddera. To przechodziło wprost ludzkie pojęcie: zostawiać własne dziecko, i to kalekę, bez grosza! Ale to było właśnie w stylu Wilhelma, a ta kobieta dobrze o tym wiedziała.

- Lawinio, może lepiej wysłuchać do końca? - szepnęła Hazel, ale Lawinia nie zwróciła na to uwagi. Było jej niedobrze i czuła się jak w potrzasku. Wszyscy będą ją teraz uważać za złego ducha, który opętał

Wilhelma, a przecież wcale tak nie było! Uważał ją po prostu za narzędzie, dzięki któremu mógł wylewać swój żal za grzechy. Ale teraz nikt w to nie uwierzy. Ciężar jego fortuny przytłaczał ją i dusił.

Wybiegła do ogromnego, mrocznego przedsionka, nadaremnie usiłując włożyć rękawiczki.

- Powinniśmy wiedzieć, co się tam dzieje - przekonywała ją Hazel, drepcząc za przyjaciółką.

Lawinia mocowała się z rękawiczką z kozłej skórki. Szarpała i szarpała, ale cienka, mocno napięta skóra ani rusz nie chciała zasłonić olbrzymiego pierścionka z szafirem i brylantami, który otrzymała

od Vanaddera.

- Psiakrew! - zakląła Lawinia, z gniewną zmarszczką na czole.

- Lawinio! - jęknęła Hazel.

Za jej plecami zahuczał męski głos.

- Panno Murphy, radzę pozbyć się tego klejnotu raz na zawsze.

Niektóre ręce nie są widać stworzone do pierścieni. Jeśli ta aluzja coś pani mówi...

Lawinia obejrzała się i zobaczyła w drzwiach biblioteki Stuyvesanta, z szyderczym uśmiechem na przystojnej twarzy.

Zmierzyła go złym wzrokiem; czuła równocześnie wstyd i gniew. Bez słowa wetknęła rękawiczki do torby i wybiegła z rezydencji Vanadderów.

Wyszły na Piątą Aleję. Hazel dreptała za przyjaciółką, usiłując dotrzymać jej kroku.

- Co my teraz zrobimy? Tyle pieniędzy! Co to będzie za uciecha!

- Nawet o tym nie myśl. Nie możemy ich sobie przywłaszczyć! -

Lawinia uniosła nieco spódnicę i niemal biegła, by znaleźć się jak najdalej od strasznej rezydencji.

- Wiem - powiedziała Hazel, oglądając się za siebie trochę z żalem, a trochę ze strachem: czy ktoś ich aby nie goni?

Lawinia przystanąła i rozejrzała się dokoła. Upewniwszy się, że nikt za nimi nie idzie, wyjęła z torebki kilka monet i wetknęła je w rękę Hazel.

- Weź dorożkę i każ się odwieźć do domu. Chcę przez jakiś czas zostać sama. Kiedy wrócę, pomówimy o wszystkim. Może nawet skapituluję i zasięgnę rady adwokata.

- Dobrze się czujesz, Lawinio? - spytała Hazel, otwierając szeroko oczy równie niewinne jak oczy Ewy.

- Doskonale. Po prostu muszę się przejść. Zaczepnąć trochę powietrza. Pomedytować.

- No to sobie pomedytuj - zgodziła się potulnie Hazel. - Spotkamy się w domu.

- Dziękuję ci, kochanie! - Lawinia popatrzyła w ciemne oczy przyjaciółki. - Wszystko będzie dobrze! To straszny człowiek, ale nie wyrządziłyśmy nikomu krzywdy i na pewno nie wyrządzimy.

- Jego siostra wygląda bardzo miło. Takie bezbronne biedactwo!

dodała Hazel ze smutkiem.



Lawinia skinęła głową.

- Owszem, ale nie jest całkiem bezbronna. Nie zapominaj o jej bracie,

- Założę się, że chce tych pieniędzy dla siebie. Wykorzysta ją. On jest po prostu okropny!

- Mnie też to przyszło do głowy. Właśnie dlatego nie będę się spieszyć. Muszę się upewnić, że ta fortuna, jeśli się jej zrzeknę, przejdzie we właściwe ręce. - Rozejrzała się po ulicy i dostrzegła czarną dorożkę z podniesioną chorągiewką: wolna! Lawinia pomachała ręką. Powóz zatrzymał się przy krawężniku obok nich. - No to do zobaczenia przy placu Waszyngtona!

Lawinia patrzyła za odjeżdżającą dorożką. Widziała wyglądającą z niej bladą, wrażliwą twarzyczkę Hazel.

Potem pomaszerowała w dół Piątą Aleją, rada, że z każdym krokiem oddala się od mrocznego domu Vanaddera. Po prawej stronie alei, aż po linię horyzontu, widniały tylko góry gliniastej ziemi, stosy odpadków; i doły pełne brudnej, stojącej wody. Na północ od rezydencji Vanaddera, na terenie dawnej farmy, stało kilka ruder irlandzkiej biedoty, ale nawet i te chałupiny przeznaczono już do rozbiórki.

Odpowiednia sceneria dla tych wszystkich machlojek i podłości! -

pomyślała Lavinia. Po jednej stronie Piątej Alei marmurowe pałace bogaczy, po drugiej - nieuchronna zagłada biedaków. Ta okrutna metafora zmroziła jej krew w żyłach.

Szła coraz gęściej zabudowaną ulicą, nie dostrzegając prawie, że początkowa mżawka zmieniła się w ulewę, nim dotarła do Czterdziestej Siódmej ulicy. Zatopiona w rozmyślnościach nie zwracała uwagi na szereg nowoczesnych wielkich sklepów z olśniewającymi wystawami, na obryzganym błotem omnibusy ani na poplątaną sieć drutów telegraficznych na rogu Piątej Alei i Broadwayu. Widziała tylko twarz Edwarda Stuyvesanta, nachylającą się groźnie ku niej, i jego pięść, miażdżącą ją z nienawiścią.

Samotnie spacerująca po mieście dama zwracała ogólną uwagę.

Lawinia nagle uświadomiła sobie, że gapi się na nią mnóstwo mężczyzn, których pełno tu było o tej porze. Ten i ów uchylił melonika, ale większość tylko mierzyła ją wzrokiem. Pierścionek na środkowym palcu przyciągał ich spojrzenia. Znajdował się nie tam, gdzie trzeba: obrączka na serdecznym palcu oznaczałaby szacowną mężatkę.

Lawinia pospiesznie wyciągnęła z torby rękawiczki i znów próbowała je włożyć. Szła przy tym dalej, obawiając się, że przejdzie całą Piątą Aleję i dotrze do domu, nim zdoła wbić upierścienioną rękę w rękawiczkę.

- Kwiatków za centa? Tylko za jednego centa! Paniusiu! Pszepana!

Lawinia spojrzała w tamtym kierunku i dostrzegła brudną i wynędzniałą kobietę. Kołysała przytroczone do pasa niemowlę, podsuwając przechodniom bukietek więdnących fiołków.

- Kwiatków za centa? - powtarzała. Twarz miała ściągniętą od głodu i troski.

Dziecko zaczęło płakać, kobieta cofnęła się pod ścianę domu. Z

rozpaczą zanuciła jakąś kołysankę, by uspokoić maleństwo i wrócić do swego żalosego sposobu zarobkowania.

Lawinia bezwiednie przystanąła. Tłumy przechodniów przepływały obok nich jak wezbrana rzeka. Jedni próbowali dogonić turkoczący, zaprzężony w muły omnibus, inni - zatrzymać pomalowaną na czarno dorożkę. W tej chwili jednak, wśród tej ciżby przepychających się ludzkich istot wszystko przestało dla niej istnieć, z wyjątkiem tej zrozpaczonej kobiety i jej płaczącego dziecka.

- Centa? Proszę - zwróciła się do niej, podając monetę. Kobieta nerwowo podsunęła jej pęczek fiołków i pełna wdzięczności próbowała się uśmiechnąć. Dziecko przez cały czas płakało.

- Ile to maleństwo ma miesięcy? - spytała Lawinia, nie zważając na to, że jest może zbyt ciekawska. Miała nagle, nieodparte, przerażające wrażenie, że oto patrzy na samą siebie. Gdyby nie łaska losu i szczęśliwy zbieg okoliczności, ona czy Hazel wyglądałyby teraz jak ta przedwcześnie postarzała, pozbawiona nadziei kobieta, która pragnęła już tylko jednego: uciszyć płacz swego dziecka. Gdyby nie łaska losu, szczęśliwy zbieg okoliczności i żelazna determinacja.

- Ma pół roczku, a nazywa się Becky - odpowiedziała kobieta nieśmiałym szeptem, jakby nie wiedziała, czy wolno jej się odezwać.

- Rebeka? Jakie śliczne imię! - Lawinia wyciągnęła ku dziecku palec.

Maleństwo schwyliło go brudną rączką i nagle uspokoiło się. Spojrzało na trzymany w łapce skarb i usiłowało wsadzić go do buzi.

Było głodne. Lawinia dobrze wiedziała, co to głód, ale nie zaznała go od dobrych kilku lat.

Popatrzyła na pierścień od Wilhelma. To była ich „polisa ubezpieczeniowa”: dzięki niemu będzie mogła nadal cieszyć się domem i różowymi draperiami w salonie. Dzięki niemu głód nigdy nie zajrzy im w oczy.

Tak jak zaglądał tej kobiecie.

- Jesteś samotna? - spytała Lawinia tak cicho, że nie była pewna, czy kobieta ją usłyszy. Jednak usłyszała.

- Tak - odparła i wstyd na jej twarzy był równie widoczny jak brud.

Lawinia odwróciła wzrok. Becky znów się rozplakała, a matka zaczęła ją kołysać; niewiele to jednak pomagało na pusty brzusek. Myśl o głodującym dziecku przeszła Lawinie jak nóż. Jakże łatwo ona sama mogła stać się taką żebraczką z płaczącym z głodu bękartem! Rozpacz tej kobiety byłaby jej rozpaczą. A gdyby zginęły z głodu - cóż, po prostu przybyłyby jeszcze dwie ofiary męskiej bezwzględności i wielkiej chciwości.

- Masz! - szepnęła miękko Lavinia, ściągnając pierścionek z palca. -

Teraz już ani ty, ani Becky nie będziecie zdane tylko na siebie. Pomoże wam to. - Wcisnęła pierścień z wielkim szafirem w spracowaną rękę nieznaną.

Kobieta wyglądała tak, jakby miała za chwilę zemdleć. Kwilenie dziecka, tłumy popychających się nawzajem przechodniów, wszystko to gdzieś odpłynęło. Istniał dla niej tylko w trzymanym w ręku klejnot.

- Pani chyba nie chce mi tego dać? - spytała szeptem. Lavinia pomyślała o swojej luksusowo urządzonej rezydencji, aksamitnych draperiach, szczęśliwym domu. I nagle uświadomiła sobie, że pierścień nie ma z tym nic wspólnego: prawdziwą „polisą ubezpieczeniową” była jej determinacja. Dzięki swej niezłomnej woli, swojej sile zdołała utrzymać dom i pośle Edwarda Stuyvesanta do wszystkich diabłów!

Pierścionek, choćby z brylantami i szafirami, nie posiada takiej mocy!

- Nie jest mi potrzebny - szepnęła Lavinia. Z twarzą rozjaśnioną łagodnym uśmiechem dodała: - Teraz już wiem, że go nie potrzebuję.

Doskonale się bez niego obejdu. - Dotknęła rączki Becky. - Ta dziewczynka powinna mieć dom, dobre jedzenie, wykształcenie. Jeśli mi obiecasz, że zadbasz o to wszystko, pierścionek będzie twój. Dostaniesz za niego dużo pieniędzy.

- Zadbam! Pewnie że zadbam! - Kobiecie oczy omal nie wyskoczyły z orbit. Była o włos od ataku hysterii. - Ale nie rozumiem... czemu pani mi to daje?... Całkiem obcej kobiecie?

Lavinia patrzyła na nią tak, jakby miała przed sobą Hazel z Ewą na ręku. Potrząsnęła głową, uśmiechnęła się i bez trudu włożyła rękawiczki.

Jak cudownie, że pozbyła się tego ciężkiego, zawadzającego jej pierścienia!

- O to właśnie chodzi, wcale nie jesteś obca! Wcale a wcale! Dotknęła puszystych loczków Becky. Pochyliła się i ucałowała dziecko w główkę i odeszła.

Nawet się nie obejrzała na kobietę, która spoglądała za nią takim wzrokiem, jakby właśnie ujrzała anioła.

7

Po powrocie do domu Lavinia nie zamieniła ani słowa z Hazel. Udała się do swej sypialni i kazała Rawlowi, żeby przyniósł jej kieliszek czerwonego wina i miskę z lodem. Bordeaux było lekarstwem na jej skołatany umysł, lód - na obolałe stopy. Przeszła pieszo pół Manhattanu.

Ledwie zdążyła odpiąć pierwszą haftkę gorsetu, gdy do jej pokoju wpadła Hazel.

- Lawinio! Nie masz pojęcia, co na ciebie czeka na dole! Nigdy nie zgadniesz! - Panika w jej głosie

sprawiła, że Lawinia domyśliła się od razu.

- Chyba nie Stuyvesant-French?

- Jeszcze gorzej: jego powóz! Siostra Stuyvesanta przysłała ci liścik z zaproszeniem na herbatę o czwartej.

Lawinia opadła na poduszki. Wcale nie chciała spotykać się teraz z jego siostrą. Nie przemyślała jeszcze strategii i nie zamierzała zdradzić swoich planów nawet po to, by uspokoić tę kobietę. Jej braciszek zaraz by się o tym dowiedział!

- Nie pojedę do niej.

Hazel zmarszczyła brwi.

- Nie możesz jej tak potraktować! Pomyśl, Lawinio: pozbawiono ją dzisiaj całego majątku, który przypadł tobie!

Lawinia przyłożyła rękę do czoła. Do diabła z nogami! Zrobi sobie zimny kompres na bolącą głowę.

- No, dobrze. Oczywiście, że pojedę i porozmawiam z nią. Uspokoję, że nie zostanie na lodzie, choćby taki los spotkał jej braciszka, co daj Boże!

- To jest właściwe rozwiązanie!

- Podaj mi purpurową suknię, Hazel. Tę z tafty, w kolorze perskiego bzu.

- Czy nie powinnaś włożyć czegoś, no, czegoś skromniejszego?

Lawinia popatrzyła na swoje odbicie w lustrze toaletki. Sine kręgi pod oczami - co prawda niezbyt widoczne. I te okropnie blade policzki.

Wyglądała na zmaltretowaną ofiarę. Ale nią jeszcze nie była! Jeśli mocny makijaż i wyzywająca suknia nadadzą jej wygląd pewnej siebie przeciwniczki, to wykorzysta te atuty w całej pełni!

- Tafta w kolorze bzu, Hazel! Na wszelki wypadek: a nuż Stuyvesant-French zechce napić się z nami herbaty? - Lawinia odwróciła się znów do lustra i sięgnęła po puder. Pora zacząć malunek wojenny!

- Czy podczas seansów ma na głowie turban? Może taki atłasowy, jasnoniebieski, z wielkim pawim piórem? Cóż to za niezwykle powołanie. Hrabina Lovaenya - medium. No, sam powiedz! Wiesz, nie wygląda wcale tak, jak przewidywałam. Jest elegancka i ładna! Nawet piękna. Moim zdaniem, całkiem w twoim typie, Edwardzie: blondynka i... jak to mówią „należycie wyposażona”? - Daisy popatrzyła na brata z szelmowskim błyskiem w oku.

- Teraz jest z całą pewnością należycie wyposażona - warknął, pociągnąwszy spory łyk koniaku.

Daisy rozejrzała się po ogromnym salonie, który wyglądał jak mauzoleum.

- Będzie mi o wiele przyjemniej w moim domku w górach. Prawdę mówiąc, nie mogę się już doczekać przeprowadzki. Zresztą, ona znacznie lepiej pasuje do tej rezydencji. Wprost niesamowite, jak to wnętrze podkreśla jej elegancję! Nic dziwnego: w końcu jest hrabiną.

Sam los widać chciał, by tu królowała.

Brat prychnął pogardliwie.

- Uchowaj Boże! - Odstawił kieliszek. Rozległ się dzwonek, zwiastujący przybycie gościa, więc Edward dodał jeszcze, zwracając się do siostry: - Rozporządzaj swoim zamkiem jak chcesz, moja damo, ale twój rycerz i tak pokona wszystkich uzurpatorów! - i wstał.

- Jeśli ona rozmawia z duchami, to może potrafi też czytać w naszych myślach? Jak sądzisz?

Skrzywił usta z niesmakiem.

- Gdyby potrafiła, to zwiewałaby stąd co sił w nogach!

- Okropny jesteś, Edwardzie! Naprawdę okropny! - zaśmiała się Daisy.

Majordomus pojawił się w przedsionku podobnie jak rano, ale tym razem zaprowadził Lawinie nie do biblioteki, ale na lewo, do zdumiewająco wielkiego pokoju; był to zapewne główny salon rezydencji.

Czekali tam na nią oboje. Lew i jagnię. Nie mogła zranić jednego, nie krzywdząc drugiego. Zatęskniła znów za okładem z lodu.

- Jak to miło, hrabino, że zechciała nas pani odwiedzić. - Stuyvesant-French stał już w chwili, gdy Lawinia się zjawiała. Podszedł więc tylko do niej i podprowadził ją do kanapki krytej rubinowym aksamitem.

Jeśli kipiał w nim gniew, to doskonale go ukrywał. W jego przystojnej twarzy nie było ani śladu napięcia, tylko mięsień w policzku drgał

ledwie dostrzegalnie. Wystarczyło to jednak, by żołądek Lawinii wywinął koziołka.

- Jestem ogromnie wdzięczna za zaproszenie, panno Vanadder -

powiedziała, zajmując wskazane miejsce. - Brat wyrażał się o pani z najwyższym szacunkiem. Rada jestem, że mogę nareszcie poznać panią osobiście.

- Edward mówił pani o mnie? - Sympatyczna dziewczyna roześmiała się, jakby to była największa bzdura pod słońcem. - Wielkie nieba! Co też wygadywał?!

- Mówił, że powinna pani odzyskać to, co się jej słusznie należy.

Zapewniam panią, że i ja, i moja siostra również tego pragniemy, z całego serca. - Lawinia

uśmiechnęła się. Niewymuszona grzeczność Daisy była wprost zaraźliwa. Jaka szkoda, że nie udzieliła się temu przekłętemu bratu!

- Mam wszystkie dokumenty w pogotowiu i może pani choćby w tej chwili zrzec się całego majątku na rzecz Daisy, jeśli wola - oznajmił

Stuyvesant-French bardzo niemiłym tonem.

Lawinia popatrzyła na niego, ale Daisy skierowała rozmowę na inne tory.

- Proszę mi powiedzieć - szepnęła, pochylając się ku niej - czy potrafi pani również czytać w myślach? Zawsze o tym marzyłam! Pewnie dlatego, że stale brakowało mi towarzystwa. Wyobrażałam sobie, jakie to byłoby cudowne - choć z pewnością naganne! - gdybym mogła dowiedzieć się wszystkich ploteczek, które przede mną ukrywano! Wie pani, zawsze podejrzewałam, że nasza gospodyni romansuje ze stajennym...

Lawinia roześmiała się na całe gardło. Nie było to w najlepszym tonie i szkoda, że nie zdołała się powstrzymać, ale Daisy zupełnie ją rozbroiła.

- Bardzo zabawne. Ale co z tą herbatą? - wtrącił się Edward. Jego lodowaty ton zmroził wesołość dziewcząt.

- Mam zadzwonić na Adolfa? Nie, nie, sama zobaczę, co się stało. -

Daisy uśmiechnęła się do gościa i do brata. - Odgaduję, że oboje macie wiele spraw do omówienia, choć nie potrafię czytać w myślach.

Niebawem wrócę.

Lawinia ugryzła się w język, by nie wykrzyknąć „Wracaj natychmiast!”. Z zamierającym sercem patrzyła na Daisy, mknącą w swoim fotelu po parkiecie z mlecznego marmuru. Wyjechała z salonu szybciej niż ktoś sprawny fizycznie zdołałby z niego wybiec.

Lawinia spuściła wzrok na swe ręce. Dużo by w tej chwili dała, by znalazł się znów na jej palcu pierścion z szafirem. Czułaby wówczas spokojną pewność, że wróg nie zdoła jej zniszczyć.

Ale pierścienia już nie było.

Mogła liczyć jedynie na własne siły.

- Miałam nadzieję porozmawiać sam na sam z pańską siostrą -

powiedziała, podnosząc oczy na Stuyvesanta.

- Zapoznałem się z pani przeszłością, panno Murphy. Wiem na przykład o niechlubnym incydencie w Rochester.

Nie odrywała od niego wzroku, zdumiewając się w duchu, że taki paskudny typ może być tak nieodparcie pociągający.

- O jakim znów incydencie w Rochester? - spytała niewinnym tonem.

- O tym, jak obywatele tego zacnego grodu wypędzili panią i jej siostrę, gdyż napastowałyście mężczyzn.

- Wcale ich nie napastowałyśmy. Zajmowałyśmy się tam po prostu wróżeniem, a mieszkańcy miasta bez żadnych dowodów powzięli co do nas najgorsze podejrzenia.

- Sąd był odmiennego zdania niż pani.

- Widzę, że moja przeszłość niezwykle pana interesuje! - Lawinia uniosła brew. Taka reakcja zbijała z tropu najzagorzalszych sceptyków.

Na nim jednak nie zrobiło to wrażenia.

- Proszę podpisać akt zrzeczenia, panno Murphy. Uniknie pani w ten sposób skandalu.

- Odziedziczyłam mnóstwo pieniędzy, panie Stuyvesant-French.

Znacznie więcej niż pan ich posiada, o ile fortuna Vanaddera została właściwie oszacowana.

- Nie zobaczy pani z tego ani grosza! Skąd weźmie pani fundusze na procesowanie się ze mną, jeśli wystąpię o unieważnienie testamentu? -

Tym razem on uniosł jedną brew.

Lawinia marzyła o tym, by zedrzeć mu pazurami z twarzy tę pogardliwą minę.

- Nie ugnę się pod pańskimi pogrózkami!

- Doprawdy? Woli pani okradać kalekę? - Wskazał ruchem głowy drzwi, za którymi znikła Daisy.

- Nie zamierzam zabrać jej ani grosza!

- Więc proszę podpisać dokumenty. Chyba pani rozumie, że jestem naturalnym opiekunem siostry.

- I jako taki może pan ją ograbić z majątku! Przyzna pan, że to duża strata, jeśli trzeba dzielić się majątkiem ze ślubnym potomkiem ojca!

Edward roześmiał się.

- A więc w ten sposób chce pani zagłuszyć własne sumienie?

Wmawiając sobie, że broni pani Daisy przede mną? - Usiadł obok Lawinii na kanapce, stanowczo za blisko. Ich uda się stykały. - Ale to nie ja dybię na cudze pieniądze. To nie ja codziennie oszukuję

łatwowiernych.

- Chyba lepiej będzie, jeśli skontaktuję się z adwokatem. A potem mój doradca prawny porozumie się z pańskimi. I nie będziemy już narażeni na dalsze niemiłe sam na sam.

Pochylił się nad nią. Był tak blisko, że czuła zapach koniaku w jego oddechu. O dziwo: coś, co normalnie budziło w niej odrazę, tym razem ją podnieciło.

To przez tę jego bliskość - mówiła sobie. Tę agresywną postawę, to pochylanie się nad nią musiała odczytać podświadomie jako coś w rodzaju zmysłowej zaczepki. Jego oczy płonęły żądzą zemsty, widziała to wyraźnie. Nie mogła jednak pozbyć się wrażenia, że od tej żarliwej nienawiści był tylko krok do namiętności. Ta myśl jak uparty chwast zapuściła korzenie w jej mózgu i Lawinia nie mogła jej stamtąd wyrwać.

- Zawiadomiłem redakcję „Harper's”, że zamierzam zdemaskować panią jako oszustkę - powiedział, zniżając głos, jakby w nadziei, że echo złowieszczego szeptu, rozbrzmiewając w tym marmurowym mauzoleum, przestraszy Lawinie jeszcze bardziej.

Udało mu się to w zupełności.

- Jutro wieczorem o ósmej wszyscy nowojorscy reporterzy stawiają się w pani salonie.

Patrzyła na niego w milczeniu, jak zahipnotyzowana.

- Chyba najwyższa pora podpisać dokumenty, panno Murphy.

Natychmiast. Póki może pani jeszcze uniknąć kompromitacji.

- Uważam, że powinien pan zostawić sprawę spadku mnie i swojej siostrze. Nie musi się pan do tego wtrącać. Postąpię z nią uczciwie. Daję słowo.

- Doprawdy? Jeśli zamierza pani postąpić z nią uczciwie, to czemu wzdraga się pani przed podpisaniem dokumentów od ręki?

- Skąd mogę wiedzieć, czy pan zamierza postąpić uczciwie? Nie znam się na podobnych procedurach prawnych. Nie jestem biegła w łacinie.

Nie rozumiałam dokładnie, o czym była mowa dziś w bibliotece.

- To bardzo proste: Vanadder pozostawił wszystko pani - Edward wyprostował się i popatrzył na nią z góry. - Jeśli zdemaskuję panią jako oszustkę, hrabino, upiekę dwie pieczenie na jednym ogniu: udowodnię, że ojciec był niespełna rozumu, i że jego ostatnia wola nie ma ważności prawnej. Wówczas - zgodnie z obowiązującym w Nowym Jorku prawem, cały majątek przypadnie Daisy. A zatem, niech pani decyduje: czy mam wystąpić na pani jutrzejszym seansie?

- Jeśli nawet weźmie pan udział w seansie, a widzę, że się pan uparł, jeśli nawet udowodni mi pan oszustwo i doprowadzi do unieważnienia testamentu, co panu z tego przyjdzie? Wszystko przypadnie



Daisy, która jest jedynym ślubnym dzieckiem Wilhelma. Jakoś nie mogę uwierzyć, że panu na tym właśnie zależy. Sądzę raczej, że chce mnie pan zmusić, bym na ślepo podpisała jakieś dokumenty, nie znając ich treści, nie zastanawiając się, komu mogą przynieść szkodę. - Lawinia odsunęła się na sam brzeg kanapy, ale mebel był niewielki, a Stuyvesant-French potężnie zbudowany. Nie uniknęła całkowicie kontaktu z nim. - Nie, nie!

Musi pan pozwolić, byśmy omówiły całą sprawę we dwie z pańską siostrą. Tym sposobem...

- Tym sposobem pani i „wielka księżna” otrzymacie pokąźną część.

Nie mylę się, prawda?

- Wilhelm wyraźnie życzył sobie, byśmy po nim dziedziczyły.

Zostawił nam mnóstwo pieniędzy. Jesteśmy tylko ludźmi, panie Stuyvesant. Na taką ofiarę, jakiej się pan od nas domaga, zdobyłby się jedynie anioł.

- Albo duch? - Edward znowu pochylił się ku niej, przyciągając wzrok Lawinii, jakby był hipnotyzerem. - Jak duchy zapatrują się na mój plan, hrabino?

- Duchy są zdania, że powinien pan zostawić wszystko mnie i swojej siostrze.

- Czy duchy cieszą się już na jutrzejszy wieczorny seans?

- Mają nadzieję, że się pan podczas niego ośmieszy. - Wysunęła wojowniczo brodę i odpowiedziała na jego zimny wzrok równie lodowatym spojrzeniem.

Edward odchylił się na oparcie kanapy, skrzyżował ramiona na piersi i patrzył na Lawinie tak przenikliwie, jakby chciał zajrzeć do wnętrza jej duszy. Kącik jego ust uniósł się w pogardliwym uśmiešku.

- Jaka zادیorność! Nawet ci z nią do twarzy, Lawinio Murphy! W

porządku: chcesz seansu, będziesz miała seans.

- Oto herbata! - zawołała Daisy, wjeżdżając znów do salonu. Za nią kroczył majordomus. Postawił ciężką srebrną tacę na stole, a Daisy zabrała się do napełniania filiżanek.

- Z cukrem czy z cytryną, hrabino? - spytała miłym głosem.

- Z cukrem - odparła Lawinia bezbarwnym głosem. Próbowwała zebrać myśli. Będzie musiała wyteżyc wszystkie siły, jeśli ma sprostać jutrzejszej próbie. Ale dokonywała już tego nieraz, dokona i tym razem!

- Panna Murphy zgodziła się urządzić dla mnie seans jutro wieczorem, Daisy. - Edward nie przyjął filiżanki z herbatą. Nadal wpatrywał się w Lawinie.

- Jaka znów panna Murphy? - spytała Daisy, wyraźnie zdezorientowana.

- Obecna tu hrabina Lovaenya. Naprawdę nazywa się Lawinia Murphy. Tak mi się przynajmniej zdaje, choć nie jest to prawdziwe nazwisko jej siostry, która zresztą wcale nie jest jej siostrą. Tak samo jak panna Murphy nie jest prawdziwą hrabiną. Nie bardzo wiem, kim ona naprawdę jest, ale chyba po jutrzejszym seansie sprawa się wyjaśni -

dorzucił z wyraźną satysfakcją.

- To będzie prawdziwy seans? - Daisy zrobiła wielkie oczy. -

Nawiążecie kontakt ze zmarłymi?

Lawinia otwierała już usta, ale Edward ją uprzedził.

- Tak, Daisy. Będziemy siedzieli po ciemku, trzymając się za ręce i skłonimy Wilhelma do zmiany testamentu. - Uśmiechnął się szeroko i biorąc do ręki kieliszek koniaku, uniósł go w stronę Lawinii.

- Naprawdę? - Daisy wlepiła oczy w spirytystkę. - Rzeczywiście wywoła pani ducha naszego ojca?

Lawinia odetchnęła głęboko.

- Jeśli pani chciałaby się skontaktować z nim...

- Niespecjalnie - wypaliła bez ogródek Daisy. Edward znów się wtrącił.

- Chcę koniecznie pogawędzić z dziewczyną w bieli. Pani wie, o kim mówię, hrabino. Jest pani nieco do niej podobna.

- Doprawdy? - Daisy aż się zatchnęła, jej oczy błyszczały podnieceniem. - Czyżby to było pani poprzednie wcielenie?

Edward jęknął.

Lawinia pewnie by się roześmiała, gdyby nie była taka przerażona.

Daisy tak łaknęła jakiejś rozrywki, że gotowa była uwierzyć we wszystko. Dlatego właśnie ich spirytystyczny kramik prosperował, a mała Lawinia Murphy zdołała dorobić się domu w mieście, różowych kotar i pierścionka z szafirem.

- Przykro mi rozwiać pani złudzenia, Daisy, ale pani brat po prostu kpi sobie ze mnie. Jest zagorzałym sceptykiem i pragnie zdemaskować mnie jako oszustkę.

- Wiem - odparła gładko Daisy, jakby ani to, ani inne podobne drobiazgi nie mogły stanąć na przeszkodzie ich rozkwitającej przyjaźni. -

Ale kim jest ta dziewczyna w bieli?

- To duch, który niekiedy zjawia się podczas seansów w naszym salonie, gdy ma na to ochotę.

- Och, muszę ją zobaczyć! - szepnęła Daisy z nabożnym szacunkiem.

- Zobaczysz ją, Daisy. Mam przecucie, że pojawi się jutro. Choćby po to, by zrobić mi na złość - rzucił niedbale Edward.

Lawinia zmiażdżyła go spojrzeniem.

- Nie mam żadnej władzy nad tym duchem. Nie mogę nawet ręczyć, czy się zjawi. Tylko moja siostra potrafi przywołać tę zjawę.

- A zatem wielka księżna musi jutro wziąć udział w seansie!

Domagam się dziewczyny w bieli. Mam jej coś do powiedzenia.

Lawinia obejrzała się na Stuyvesanta. Chciała głośno zaprotestować, ale zorientowała się, że wpadł już na trop i pójdzie za nim nieustępliwie jak pies gończy.

- Doskonale. Będzie pan miał swoją dziewczynę w bieli. - Nie odwróciła wzroku.

Skrzywił usta w grymasie przypominającym nieco uśmiech.

- Chyba za dużo szczęścia, panno Murphy! Na razie wystarczy mi, że ją zobaczę.

Lawinia poczuła, że pieką ją policzki. Nie była tylko pewna: z gniewu czy z zażenowania? Wypiła łyk herbaty, by uspokoić nerwy. Wstała.

- Było uroczo, ale muszę się już pożegnać, panno Vanadder - zwróciła się do siostry swego wroga. - Z przyjemnością ujrzymy panią w naszym domu. Mam nadzieję, że weźmie pani udział w seansie?

- Och, za nic bym nie przepuściła takiej okazji! Nigdy nie spotkało mnie nic równie podniecającego!  
- Daisy odsunęła się od stolika z herbatą i podjechała do Lawinii. - Chciałabym nawiązać kontakt z moją matką. Jak pani myśli, czy...

- Daisy!- przerwał jej Edward.

Obie kobiety odwróciły się w jego stronę. Lawinia nigdy jeszcze nie widziała tak antypatycznego mężczyzny.

- Nie powinniśmy zasypywać hrabiny żądaniami. Założę się, że ma i bez tego mnóstwo spraw na głowie. - Znów uśmiechnął się szyderczo.

Co za wstrętny typ!

- Oczywiście, oczywiście! Jaka ja niemądra - odparła Daisy z uśmiechem, nie odstępując Lawinii. - Nie chciałam pani zanudzać! Mam nadzieję, że mimo to będę mogła wziąć udział w pani seansie?

- Koniecznie, jeśli sprawi to pani przyjemność. - Lawinia obejrzała się na Stuyvesanta. Skinął jej głową na pożegnanie. Przymrużone oczy rzucały złe błyski.

Gdy były już przy drzwiach salonu, Lawinia wyciągnęła rękę do Daisy.

- Ogromnie się cieszę, że wreszcie panią poznałam. Rozumiem teraz, czemu brat darzy panią takim przywiązaniem. Ja... ja... - Spojrzała znów ukradkiem na Stuyvesanta, który wyglądał jeszcze groźniej na tle wszystkich tych marmurów. - Chciałabym, żeby pani wiedziała... w sprawie tego testamentu... że my obie, Hazel i ja, zachowamy się przyzwoicie. Rozumie pani?

- On strasznie na was naciska, co? - szepnęła Daisy tonem psotnego dziecka.

- Ma pani na myśli brata? - spytała Lawinia słabym głosem.

- Tak, Edwarda. Wie pani, on jest naprawdę cudowny, ale doskonale rozumiem, czemu niektórzy uważają go za wcielonego diabła. Zwłaszcza ci, którzy niebacznie z nim zadarli - Daisy uśmiechnęła się i serdecznie uściśnęła rękę Lawinii. - Do zobaczenia, hrabino! Nie jestem wróżką, ale coś mi mówi, że zostaniemy przyjaciółkami.

Lawinia popatrzyła na nią. Uśmiech Daisy był taki szczery, że musiała odpowiedzieć tym samym.

- Obawiam się, że nie należę do pani świata, panno Vanadder.

Byłabym jednak bardzo rada, gdyby nasza znajomość nie zerwała się całkiem.

- Ja mówię o przyjaźni! Nie wiem czemu, ale jestem pewna, że jest nam pisana. - Daisy popatrzyła na nią z dziwnym wyrazem twarzy. -

Chyba pani prędzej mogłaby to wyjaśnić. Nieprawdaż, hrabino?

- Nie potrafię wyjaśnić nic z wyjątkiem tego, o czym już wspomniałam: nie należę do pani świata, panno Vanadder. - Lawinia popatrzyła na drogie kararyjskie marmury, złożone karnisze, ciężkie kotary z wiśniowego aksamitu. - Widzi pani, należę do tych kobiet, które muszą... muszą zarabiać na życie, rozumie pani? Nie należę do wybrańców losu.

- Wybrańców losu?

Lawinia nie wiedziała, co odpowiedzieć. Popatrzyła na kobietę w fotelu inwalidzkim i czyniła sobie w duchu gorzkie wyrzuty. Trudno zaliczyć do wybrańców losu Daisy Vanadder, która nie była w stanie chodzić. A jednak w słowach Lawinii było dużo prawdy. Nie należała do jej świata, nie posiadała wysokiej pozycji ani majątku. Całe życie Lawinii Murphy było żmudnym, rozpaczliwym wydobywaniem się z rynsztoka, podczas gdy jej rozmówczyni nie miała w ogóle pojęcia o takich problemach. Cóż więc mogły mieć ze sobą wspólnego? Chyba tylko to, że obie od urodzenia borykały się z cierpieniem.

- Bardzo bym chciała, żebyśmy mogły zostać przyjaciółkami. -

Lawinia znów spojrzała na Edwarda. Nie ruszył się ze swego miejsca obok kanapy, ale i on patrzył w jej stronę. - Jeśli nimi nie zostaniemy, będzie to wina losu i niesprzyjających okoliczności. Jak wszystko w życiu.

- Tak, losu i okoliczności... - Daisy uśmiechnęła się. - Ale one przecież nie zawsze bywają niesprzyjające?

Lawinia uśmiechnęła się bez przekonania.

- Kto wie? - powiedziała. Po raz ostatni obejrzała się na Stuyvesanta i zmrożona do szpiku kości ruszyła za majordomusem do frontowych drzwi.

- Odeszła już, Edwardzie. Dobrą minutą temu. I nie ma większej nadziei, by jej urocza postać znów tu się pojawiła, mimo że ją przyzywasz myślą.

Edward obejrzał się na siostrę raptownie. Daisy uśmiechała się do niego. Wyrażnie się z nim droczyła.

- Ze względu na ciebie, siostrzyczko, potraktuję te brednie z wrodzonym poczuciem humoru.

- Też coś! Dawno już utraciłeś swoje poczucie humoru, kochany braciszku! I to przez nią. Dlatego jestem pewna, że hrabina naprawdę załaziła ci za skórę.

- Nie pleć głupstw!

- Głupstw, powiadasz? Jeszcze się przekonamy, kto z nas lepiej umie przewidzieć przyszłość!

- Ależ z ciebie przekora, Daisy! Wreszcie dostrzegam między nami rodzinne podobieństwo. - Edward podszedł do marmurowego stolika z trunkami i otworzył kryształową karafkę.

- Edwardzie - odezwała się Daisy, objeżdżając dookoła kanapę. -

Wizyta takiego gościa daje dużo do myślenia, nieprawdaż? Zastanawiam się nad tym, jaka z nas obojga żałosna para: ja - pomyłka natury i ty -

wieczny włóczęga. Ciekawe, co też sobie o nas pomyślała?

- Ona jest jeszcze gorszą pomyłką natury i zakosztowała tułaczki. -

Podniósł kieliszek do ust. - Jeśli chcesz wiedzieć, to zwykła, nędzna... -

urwał i wypił resztę alkoholu, jakby obelga stanęła mu w gardle.

- Spoglądała na ciebie, Edwardzie - Daisy zatrzymała swój inwalidzki fotel - tak, jak tylko kobieta może patrzeć na mężczyznę. Wydawała się bardzo bezbronna.

- To zwykła poza.

- Nie mogłaby tego udawać, Edwardzie! Nie wierzę.

- Udawanie należy do jej profesji. Nie zapominaj o tym.

- Ach, wy, mężczyźni! Wszyscy jesteście podli. - Daisy westchnęła ciężko i skierowała się ku drzwiom.

- Dokąd się wybierasz? - spytał opryskliwie.

Nawet się na niego nie obejrzała. Sztucznie lekkim tonem odparła:

- Powiem Aggie, żeby się zabrała do pakowania. W przyszłym tygodniu przeprowadzam się do mego domku, jeśli tylko zdążę.

- Akurat! Zostaniesz tu, i basta!

- Nie miałam nigdy żadnych nadziei na spadek. Przecież rozmawialiśmy już na ten temat. A teraz, po odczytaniu testamentu, nie tylko chcę, ale nawet muszę się stąd wynieść.

- Ani słowa więcej, Daisy! Powiedziałem ci już, że dom będzie należał

do ciebie.

- Wcale tego nie pragnę! Nic by się wówczas nie zmieniło. Znów byłabym uwięziona w tym zimnym, luksusowym grobowcu. Nie, Edwardzie! Ja chcę mieć ogród, a w nim kwiaty i motyle. Chcę czuć chłodny jesienny wiatr, przyglądać się jak zimną sypie śnieg. Ja chcę mieć swój domek na wsi!

- Daisy, wszystko się zmieni, choć zostaniesz tutaj. - Edward z kieliszkiem w ręku podszedł do siostry. Oparł się o poręcz jej fotela. -

Wiele o tym myślałem. Będziesz miała przyjaciół, możesz mi wierzyć!

Będziemy prowadzić dom otwarty, będziemy wydawać przyjęcia.

Zaczniesz zwiedzać świat, Daisy, zaczniesz nareszcie żyć... Postaram się, żeby to było piękne, pełne życie. Jestem przy tobie. Nie zapominaj o tym.

Popatrzyła na niego z taką miłością i podziwem, że niemal zadrżał.

- Kocham cię, Edwardzie. Kocham cię za to, że mi to wszystko mówisz, a zwłaszcza za to, że w to wierzysz. Czasami jesteś tak cudowny, że nie pojmuję wprost, jak możesz być moim bratem.

- A ty moją siostrą. Moją jedyną siostrzyczką.

- Tak. - Poklepała go po policzku. - Jestem twoją praktyczną siostrzyczką. Pozwól, że ci to wytłumaczę po raz ostatni, i nie wracajmy już do tego tematu, Edwardzie. Pragnę zamieszkać na wsi. Tutaj nie widzę dla siebie żadnej przyszłości. Nie próbuj mnie oszukiwać. Mam trzydzieści dwa lata

i jestem starą panną. Starym pannom najlepiej w wiejskim zaciszu.

Potrząsnął jej fotelem, pragnąc podkreślić swoje słowa.

- Znajdziesz kogoś, kto cię pokocha. Jestem tego pewien! Nie rezygnuj z tego, Daisy!

Odjechała kilka kroków.

- Mężczyźni zjawią się, oczywiście, jeśli się uprzesz i wywalczysz dla mnie ten majątek. Ale już ci mówiłam, że nie chcę takiego małżeństwa. I wcale nie potrzebuję tych pieniędzy.

- Nawet bez pieniędzy jesteś godna miłości! - syknął przez zaciśnięte zęby.

Twarz Daisy stężała. Odwróciła wzrok.

- Ty, Edwardzie, jesteś owocem grzesznej namiętności, ale to była namiętność, rozumiesz? Ale ja jestem zrodzona z małżeństwa bez odrobiny miłości. Zawsze cierpiałam nad tym, że jestem uszkodzonym towarem, żalonym efektem nieszczęsnego związku. Przez całe życie czułam wrogość ojca. Byłam nieudaną córką spłodzoną w nieczułym uścisku. Czasami bardzo trudno było mi to znieść, ale jakoś zniosłam. -

Przerwała na chwilę; płacz ścisnął ją za gardło. Po chwili odezwała się znowu ochryplym szeptem. - O Boże! Proszę cię, Edwardzie, pozwól mi stąd odejść. Nie chcę być drugim wydaniem mojej matki. Nie zmuszaj mnie do tego! Wolę już nędzę albo śmierć.

Edward wpatrywał się w siostrę. Przez długą okropną chwilę żadne z nich nie wymówiło słowa. Potem Daisy w milczeniu opuściła salon.

Nagły trzask rozbrzmiał głośnym echem. Edward w oszołomieniu patrzył na krople krwi plamiące nieskalaną biel marmuru. To była jego krew.

Z trudem rozwarł rękę, w której kurczowo ścisnął zmiażdżony kieliszek. Z gniewnym i bolesnym pomrukiem przyglądał się, jak odłamki szkła sypią się z brzękiem na posadzkę.

8

*Śmiałam się w głos, czytając te brednie i odrzuciłam raport ze zrozumiałą wzgardą czystej duszy, która potrafi ocenić uczciwość bratnich istot i brzydzi się kłamstwem.*

Annie Besant po odrzuceniu raportu Towarzystwa

Badań Metafizycznych, dotyczącego zdemaskowania

oszustw Madame Bławatskiej

Lawinia przeglądała się w lustrze: twarz pokryta białą szminką, nos mocno posypany krochmalem, rozpuszczone włosy przykryte welonem z brunatnej gazy.

Była znów zjawą w bieli, duchem. Skryła pełne życia, młode ciało pod zetlałą koronką i sinawym makijażem. Nie mogła jednak zamaskować oczu, tych przeklętych oczu! Patrzyły na nią z lustra, zdradzały ją. Były zrozpaczone, przerażone. Zerkały spod śmiertelnej maski zbyt niespokojnie i podejrzliwie.

- Możemy zmienić program - odezwała się Hazel, spoglądając na przyjaciółkę. - Ty odegrasz rolę medium, a ja wymówię się bólem głowy.

- Nie! - odparła Lawinia. Ręce jej drżały, gdy sięgnęła znów po puder.

- Naigrawał się ze mnie! Nie zniosę tego! Chcę to zrobić. Muszę to zrobić!

- Ale co będzie, jeśli nam się nie uda?

Ręka Lawinii zawisła w powietrzu.

- Wówczas sprzedamy dom i wyniesiemy się stąd. Zawsze możemy gdzie indziej zacząć od nowa. Żadym spirytysta nie zbankrutował tylko dlatego, że przyłapano go na jakichś sztuczkach. Przegrywają jedynie ci, którzy kurczowo czepiają się prawdy. - Odwróciła się do Hazel. -

Musimy sobie obiecać, że cokolwiek się wydarzy, będziemy twardo obstawać przy swoim. Nazwij to znową albo oszustwem, albo jak chcesz, ale istnieje „nasza prawda” i „ich prawda”. Jeżeli chcemy przetrwać, musimy być solidarne.

- Przecież to ja, Lawinio! - powiedziała Hazel z niepokojem i żalem w głosie. - Nie musisz mi tego wszystkiego tłumaczyć. Dobrze o tym wiem. Byłyśmy już w gorszych opałach, pamiętasz?

- Ale tym razem jest jakoś inaczej, sama nie wiem czemu. - Spojrzała pochmurnie na słoiczki z kosmetykami. - Mam wrażenie, że gramy o wyższą stawkę. Tym razem czuję... Och, nie mam pojęcia, co czuję!

Może po prostu ryzyko jest większe? Przedtem nie miałyśmy nic do stracenia. Ale teraz już tyle zdobyłyśmy...

Hazel unikała wzroku przyjaciółki. Zaczęła krzątać się po pokoju tak gorliwie, jakby każdy drobiazg, którym się zajmowała, był niesłychanie ważny. Lawinia miała wrażenie, że przybrana siostra coś przed nią ukrywa.

- Uważasz, że nie powinnam dziś wystąpić, prawda? - spytała.

- Co znowu! Będzie tak, jak zechcesz. - Hazel poprawiła koronkową serwetkę na gzymsie kominka. Każdy kryształek ozdobnego świecznika lśnił, bo Rawlings regularnie sprawdzał - w białych rękawiczkach - czy nie ma na nich kurzu; Hazel jednak wyciągnęła chusteczkę i zaczęła je polerować.

- O co chodzi? - Lawinia starała się nie okazywać niepokoju, ale przyjaciółka doprawdy zachowywała się dziwnie!



- O nic. Jeśli uważasz, że powinniśmy odbyć ten seans, to go odbędziemy, nie ma o czym mówić.

- Co cię tak niepokoi?

Hazel podniosła wzrok, napotkała spojrzenie Lawinii i odwróciła oczy.

- Sama nie wiem. Jestem pewna, że nie ma powodu do obaw.

Lawinii zapało dech.

- Boże święty! Próbujesz mnie okłamać! Jeszcze nigdy ci się to nie zdarzyło.

- Wcale nie chcę, tylko, widzisz... ty... ty nie masz pod tym względem żadnego doświadczenia!

Lawinia oddychała z trudem. Czyżby cały świat zwariował?!

- O czym ty mówisz?! Przecież to ja planowałam wszystkie nasze numery!

- Mówię o mężczyznach! On jest atrakcyjny. Bardzo atrakcyjny! Na widok miny Lawinii słowa uwięzły jej w gardle. - Właśnie dlatego ogarnia cię dziś lęk! - Ostatnie sylaby zabrzmiały jak zduszony pisk.

Lawinia nie wyrzekła ani słowa. Wpatrywała się w Hazel, jakby przyjaciółka dostała pomieszania zmysłów.

Hazel potrząsnęła głową jak żrebak. Często jej się to zdarzało, gdy była zdenerwowana.

- Zawsze powtarzasz, że przystojni mężczyźni nic cię nie obchodzą.

Może to i prawda, Lawinio. Ale nawet w tym stroju jesteś tak samo jak ja żywą młodą dziewczyną. Tylko że ja już przez to przeszłam, pamiętasz? - Skrzyżowała ramiona na piersi w geście zarazem obronnym i wyzywającym.

Lawinia popatrzyła na nią przeciągle, potem przymknęła oczy i skinęła głową. Powiedziała skruszona:

- Pewnie że pamiętam. Gdybym kiedyś zapomniała, wystarczy spojrzeć na Ewę.

Hazel uśmiechnęła się. Chciała dodać przyjaciółce otuchy.

- Zupełnie nie wiem, co mnie dziś napadło! Zawsze przecież tak ci ufam! Wszystko, co mamy, zdobyłyśmy dzięki tobie! Tylko, widzisz, jak zobaczę tego Stuyvesanta, to dostaję dreszczy! Patrzy na człowieka tak, jakby mógł zajrzeć do serca, wykryć wszystkie kłamstwa. Ale ty jesteś silną; Lawinio. Byłam niemądra, wątpiąc w ciebie. Z pewnością go pokonasz!

Oczy Lawinii napotkały wzrok Hazel.

- Tak, jestem silna. Nigdy nie zapominaj o tym, że jestem silna!

Hazel rzuciła jej przeciągłe, bezradne spojrzenie.

- Nie musisz mnie o tym przekonywać.

Lawinia odwróciła się. Była odrętwiała ze strachu, straciła wiarę w siebie. Popatrzyła na swe odbicie w lustrze, jakby chcąc dodać sobie w ten sposób odwagi. I tak samo jak zawsze zatraciła własne „ja”, utożsamiła się ze zjawą. Przeniknąwszy do niewidzialnego świata zmarłych, poczuła, że jej strwożony duch wznosi się do lotu. Znow mogła poszybować na skrzydłach iluzji i znaleźć schronienie tam, gdzie cień nigdy nie styka się z żywym ciałem i krwią.

- Kiedy się to wszystko zacznie? Umówiłem się w operze z pewną baletniczką, słodką myszką. Chce mnie zobaczyć na widowni, kiedy zjawi się w trzecim akcie z całym baletem. - Herman Langley, wybitny dziennikarz, filar gazety „New York Comet”, szczerknął kopertą złotego zegarka i sprawdził godzinę.

- Księżna pani zjawi się niebawem. Bardzo panów przeprasza, ale dostała nagłego zawrotu głowy, gdy miała już opuścić swój pokój -

oznajmił Rawlings. W ręku trzymał srebrną tacę i podsuwał zebrany kieliszki koniaku.

- Cóż to znowu za zawrót głowy? - spytał William Boatman, zapominając na chwilę nawet o swoich kopalniach srebra.

- Taki, którego doświadcza każde medium, gdy ogarnia je chętką zagrania na nosie kolejnej bandzie durniów - Edward Stuyvesant ruchem ręki podziękował za podsuwany mu koniak i zmierzył wzrokiem grupę zebranych w salonie dżentelmenów.

- Brawo, stary! Po mojemu, French ma świętą rację. - Chudy, wąsaty dziennikarz z Wysp Brytyjskich uniósł kieliszek w stronę Edwarda.

- Wielka księżna nie jest oszustką. Zaledwie tydzień temu rozmawiałem dzięki niej z moją nieboszczką żoną. - Jeszcze jeden reporter, niemłody już przedstawiciel „Astoria Gazette”, zgromił ich spojrzeniem, nie ruszając się ze swego przytulnego kącika. Czoło osłaniały mu liście stojących tam palm.

- Skąd pan wie, że to była pańska żona? - spytał Stuyvesant-French.

Rzekomy duch mógł być owocem bogatego doświadczenia księżnej i jej jeszcze bogatszej wyobraźni!

- Nie, nie! Wszystkie odpowiedzi się zgadzały. Księżna podała prawidłowo imię mojej żony i zdrobnienie, którym ją nazywałem. W

ogóle wszystko.

- A jak miała pańska żona na imię? - spytał Edward.

- Margaret.

Stuyvesant prychnął pogardliwie:

- Wielka księżna i ta druga oszustka, jej siostra, mogły dowiedzieć się tego bez trudu. Wystarczyło przejrzeć nekrologi. Jeśli podał pan datę śmierci żony, podał pan...?

- No, prawdę mówiąc, tak. Wielka księżna spytała, kiedy Margaret zmarła, zanim wyraziła zgodę na nawiązanie kontaktu z duchem. Ale przecież w gazecie nie zamieszczono zdrobnienia!

- A jakież to było zdrobnienie, łaskawy panie? Maggie? Peggy? A może Peg?

Starszy pan nieco przygasł.

- Peg. Ale skąd mogłaby o tym wiedzieć?

- To bardzo często spotykane zdrobnienie. Można się go było domyśleć bez pomocy ducha! Gdybym w starym parku Castle Garden wrzasnął: „Peg!”, zleciałyby się całe tłumy. - Edward oparł się o framugę szczelnie osłoniętego okna. - Cóż jeszcze powiedziała panu wielka księżna?

- Wszystko, co mówiła, zgadzało się co do joty. Odpowiedziała na każde moje pytanie. - Reporter skrzyżował wojowniczo ręce na piersi i parsknął nagle śmiechem. - Tylko jeden szczegół nie pasował i właśnie dzięki niemu upewniłem się, że księżna Renski nie jest oszustką. Byłem pewien, że rozmawiam z Peg!

- Cóż to było, łaskawy panie? - spytał Edward. Kącik jego ust uniósł

się w krzywym uśmiešku.

- Peg powiedziała, że bardzo jej się podoba w niebie; dają jej łyk czekolady, ile tylko zechce! Kiedy księżna powtórzyła mi słowa żony miałem już pewność. To musiała być Peg!

- Mnóstwo ludzi przepada za czekoladą, drogi panie. Moim zdaniem, można to zastosować prawie do każdego.

- Tak się panu wydaje?! - Reporter zerwał się i wycelował palcem; w pierś Stuyvesanta. - Ale tylko ja znałem naprawdę Peg! Tylko ja wiedziałem, że nie znosiła czekolady! Dostawała po niej potwornej wysypki!

Edward wydawał się całkiem zdezorientowany.

- To, co pan mówi, to przecież woda na mój młyn! Wielka księżna popełniła błąd, jest więc oszustką.

- To pan popełnia błąd, mój panie! - Reporter uśmiechnął się z wyższością. - Ja od razu poznałem po tym moją Peg - zachichotał. -

Rozumie pan? Ona ubóstwiała takie żarciki! - Śmiał się już na cały głos.

- Peg opychająca się czekoladą! Mała szelma! Ciekawe, co wymyśli następnym razem?

Edward nie posiadał się ze zdumienia. Gdyby go ktoś nie chwycił za ramię, zwałiłby się chyba jak długi.

- Nie przekonasz gorliwego neofity, synu! - Korneliusz wręczył mu swój pusty kieliszek po koniaku i zerknął na tacę, pozostawioną przez lokaja. - Właśnie dlatego tak się rozpiłem!

- Przecież to śmieszne!

- Śmieszne? Co ty gadasz?! Ten człowiek udowodnił ci przecież, że nie masz racji! - William Boatman odstawił swój kieliszek i uściśnął

dłoń reportera z „Astoria Gazette”.

Ku zdumieniu Edwarda, pozostali mężczyźni także zaczęli gratulować dziennikarzowi.

- Ja tam trzymam z tobą, French - odezwał się Korneliusz. -

Stanowczo wolę od spirytyzmu... spirytualia. - Sięgnął po następny kieliszek koniaku i opróżnił go jednym haustem.

- Przecież to wariaci! Kompletni obłąkańcy! Gdzie tu logika?! -

Mięsień w policzku Edwarda zaczął drgać, gdy patrzył na grupę entuzjastów.

- Ani śladu. Tylko że oni wcale nie szukają w tym logiki, ale nadzwyczajnych przeżyć i mocnych wrażeń. To o wiele atrakcyjniejsze niż jakaś tam logika. Nic na to nie poradzisz, French! A poza tym, na jednego sceptyka przypada dziesięciu fanatyków. Dlatego właśnie media cieszą się takim uznaniem i dorabiają się takich pieniędzy.

- Wszystko przez to, że baby usiłują dorwać się do władzy, choćby za pomocą nędznych sztuczek. A wspomaga je w tym każdy dureń, który aż się prosi, żeby go nabić w butelkę.

- Racja! Tylko że ci durnie to przeważnie bogate chłopcy... Kobiety od wieków wodzą takich za nos.

- Święta racja - syknął Edward przez zaciśnięte zęby.

- Wielka księżna jest już gotowa. Czy zechcieliby panowie zająć miejsca? - Rawlings wskazał duży stół pośrodku salonu. Mężczyźni usadowili się wokół niego. Reporterzy z „Harper's" i „Gazette" zaczęli się sprzeczać o to, który z nich zajmie miejsce po prawicy księżnej.

- Panowie - oznajmił majordomus - wielka księżna nadchodzi! -

Zwrócił się w stronę drzwi. Wszyscy spojrzeli w tamtym kierunku.

- Rawl, czy on tam jest? - spytała szeptem Lawinia, schodząc tylnymi schodami.

- Właśnie od nich wyszedłem - odparł. - Czy wolno mi zauważyć, że wygląda panienka tak samo upiornie jak zawsze?

Rzuciła mu zza welonu szeroki uśmiech.

- Dzięki za komplement, Rawl!

Stali na podeście służbowych schodów, niewidoczni dla przybyłych do rezydencji gości. Nad nimi klatka schodowa wznosiła się trzema kondygnacjami aż na poddasze. Stopnie pod nimi wiodły do kuchni i na podwórko na tyłach domu.

- Nie zabawię tam długo. Temu człowiekowi nie można ufać! Tylko im się pokażę i znikam. - Popatrzyła na służącego. - Rawl, kiedy będziesz dziś manewrował światłem, uważaj na mnie! Być może będę musiała przerwać nagle występ, gdyby ten Stuyvesant zaczął sprawiać jakieś kłopoty. Przypatruj się uważnie. Jeśli zauważysz, że znalazłam się w opresji, błysnij światłem wcześniej niż zwykle i zaraz potem gaś!

Wtedy będę mogła zniknąć.

- Nie odegra panienka wszystkiego, jak zawsze? - Stary majordomus był nieco rozczarowany.

- Nie dziś. Wolę nie tracić czasu na tę błazenadę. Ten okropny człowiek jest zbyt podejrzliwy! - Lawinia wspięła się na palce i zajrzała do obramowanego mosiądzem judasza w ścianie, tuż obok posterunku Rawla. Otwór był zamaskowany jednym z zakrętasów mosiężnego kinkietu. Lawinia ze swej kryjówki miała doskonały widok na salon.

Grupa panów w ciemnych wieczorowych strojach zasiadła już wokół

stołu. Wielka księżna poleciła im, by schwycili się za ręce, tworząc zamknięty krąg. Hazel królowała nad wszystkimi: siedziała wyprostowana w gotyckim krześle z poręczami. Miała nieprzytomne spojrzenie. Udawała, że wpatruje się w niewidzialny świat duchów, gromadzących się teraz wokół niej.

Potem Lawinia dostrzegła Stuyvesanta. Siedział przy okrągłym stole w najbliższym sąsiedztwie obitego pluszem parawanu, jakby nie mógł się doczekać przybycia zjawy. Jego twarde rysy były oświetlone żółtawym światłem gazowej lampy, utkwione w Hazel oczy miały cyniczny, podejrzliwy wyraz. Przyglądając mu się, Lawinia zastanawiała się, czy ta twarz kiedykolwiek łagodnieje? Wydawał się zimny i nieustępliwy. Nie mogła sobie wyobrazić kobiecej ręki, gładzącej ten twardy policzek. Ani reakcji tego człowieka o kamiennej twarzy na podobną pieszczotę.

Chyba do nikogo się nie uśmiechał. Nie wiedział, co to uśmiech, nie znał

beztroskiej radości. Pewnie od urodzenia!

Lawinia odsunęła się od otworu i zerknęła na Rawla. Najwyższy czas przepędzić tego zatruwającego im życie demona, albo zginąć w walce z nim! Nacisnęła płytkę boazerii i otworzyła tajne drzwiczki w ścianie, znajdujące się obok majordomusa. Jak to dobrze, że Rawlings zawsze starannie oliwi

zawiasy! Ostrożnie wślizgnęła się do skrytki między schodami dla służby a salonem. Rawl zamknął za nią drzwiczki. Lawinia usłyszała, że majordomus wraca na swoje stanowisko obok włącznika gazu.

Skrytka przypominała trumnę; miała najwyżej trzydzieści centymetrów głębokości. Lawinia stała przyciśnięta do gipsowego wspornika przeciwległej ściany, trzymając przy ustach chusteczkę z lodem. Dziś nie odważy się całować wszystkich obecnych mężczyzn, ale jeśli Stuyvesant będzie siedział spokojnie, może cmoknie jednego czy dwóch stojących w pobliżu panów.

Tylko że najbliższe będzie właśnie Stuyvesant-French!

- Wzywam duchy, które tu przybyły, ujawnijcie swą obecność!

Wzywam wszystkie duchy! - Stłumione zaklęcia Hazel ledwie docierały przez grubą warstwę gipsu, ale Lawinia przyłożyła ucho do ściany.

Musiała zjawić się w odpowiednim momencie. Synchronizacja była podstawą ich widowiska.

- Wyczuwam jakąś obecność, panowie... To kobieta... duch młodej dziewczyny, która zmarła niegdyś w pobliżu... Błąka się teraz wśród nas, poszukując utraconego kochanka... Błądzi zagubiona i zapomniana...

Po tych słowach Lawinia bezszelestnie otworzyła tajemne drzwiczki w ścianie salonu. Kryty pluszem parawan zasłaniał je przed wzrokiem gości, nie pozwalając dostrzec wychodzącej z ukrycia Lawinii.

Znalazłszy się w salonie, poprawiła suknię i czekała na następny znak.

- Wyczuwam jej obecność, panowie... Jest tutaj, razem z nami. Czuję jej bliskość... Krąży wśród nas i szuka... szuka...

Lawinia czekała jeszcze na tajemniczy podmuch. Pierwszy silny prąd powietrza, który poczuła na twarzy, płynął z otworów wywierconych w dwóch przeciwległych ścianach salonu. Za jedną z nich olbrzymie miechy obsługiwały Ewa i Fanny. Każda z dziewczynek naciskała na nie całym ciężarem. Powietrze uchodziło i efekt był zdumiewający, zwłaszcza że Jamie po przeciwnej stronie obsługiwał drugie miechy.

Pojawienie się zjawy poprzedzał zawsze tajemniczy powiew. Dla dopełnienia upiornych efektów, lampa gazowa zaczęła niepokojąco, rytmicznie migotać. Nie na darmo Rawlings stał obok włącznika gazu.

- Otóż i ona, panowie, oto duch, którego obecność wyczuwałam w pobliżu!

Na te słowa Lawinia wyłoniła się zza parawanu. Jej przejrzysta szata falowała na sztucznym wietrze, dzięki któremu szybciej rozchodził się też po salonie stęchły, jakby martwy zapach lawendy i wetiwery, którymi „duch” skrapiał się przed każdym występem.

Rozległy się okrzyki, bardzo pochlebne dla odtwórczyni głównej roli.

Musiała rzeczywiście wyglądać niesamowicie, w powiewającym na wietrze cieniutkim całunie poruszała się tak lekko, że zdawała się raczej płynąć w powietrzu niż stąpać po solidnych deskach podłogi.

- To ona! Dziewczyna w bieli! Ta sama, którą chciałeś widzieć! -

szlochał niemal Boatman.

Lawinia przysięgła sobie w duchu, że ucałuje go najpierw.

- Czego pragniesz, miły duchu? Co cię tu sprowadza? - spytała Hazel.

Rola Lawinii była jednak niema. Wpatrywała się tylko w przestrzeń, jej oczy zdawały się nie dostrzegać otaczających ją przedmiotów. Sunęła w stronę Boatmana, starając się ominąć jak najszerszym łukiem Stuyvesanta. Kiedyś pozwoliła sobie nawet na okrążenie stołu, ale było to ogromnie ryzykowne. Mogła zostać otoczona i utknąć na drugim końcu pokoju, z dala od zbawczego parawanu i ukrytych za nim drzwiczek w ścianie. Teraz Lawinia zamierzała tylko przytknąć lodowate usta do drżącego policzka Boatmana i wycofać się z salonu.

- Duchu, jakie posłanie niesiesz nam z zaświatów? - dopytywał się Herman Langley. Ścisnął kurczowo dłonie Hazel i reportera z „Astoria Gazette”. Jego ręce drżały równie mocno jak światło gazowej lampy.

Kątem oka Lawinia dostrzegła, że Stuyvesant wstaje z krzesła.

Usłyszała jego syczący szept:

- No właśnie, opowiedz dokładnie!

Serce zaczęło tłuc się w jej piersi.

- Przerwałeś krąg, człowieku! - jęknął ktoś.

- Przez pana zjawa zniknie! - zawołał ktoś inny.

- Wracać na miejsce!

Ale Stuyvesant nie zważał na chór protestów i zrobił krok w kierunku zjawy.

Lawinia nie mogła na to zareagować. Z jej roli wynikało, że obecność żywych ludzi była dla niej niezauważalna. Stała więc bez ruchu, wpatrzona w przestrzeń. Krew pulsowała, serce biło tak głośno, że każdy chyba musiał je słyszeć i poznać, że ma do czynienia z żywą istotą.

Gaz wybuchnął nagle wielkim płomieniem i w jego blasku Lawinia dostrzegła idącego ku niej Stuyvesanta. Zgromadzeni za jego plecami głośno protestowali. Nawet gdy chwycił osłaniający Lawinie welon, nie mogła się poruszyć, nie była w stanie się bronić - przecież natychmiast by się zdradziła! Stała więc z pozorną obojętnością, modląc się w duchu, by Rawlings przyszedł jej z

pomocą.

Edward warknął jej do ucha, zaciskając rękę na welonie tak, że w każdej chwili mógł go z niej zedrzeć.

- No, słodka zjawo, ucałuj mnie teraz na oczach wszystkich widzów i udowodnij, że jesteś rzeczywiście ulepiona z lodu i zgnilizny!

Gazowy kinkiet świecił jak gigantyczna pochodnia. Stuyvesant szarpnął welon. Lawinia usłyszała trzask rozdieranego materiału i krzyk siedzących z tyłu mężczyzn.

Potem światło zgasło.

Zapadła nieprzenikniona ciemność.

Lawinia cofnęła się w stronę pluszowego parawanu. Podmuchy ustały w tym samym momencie, gdy zgasło światło. Bez wątpienia cała trójka: Ewa, Fanny i Jamie pędziła teraz w stronę judasza obok stanowiska Rawlingsa.

- Pocałuj mnie, duchu! - warknął Stuyvesant, przypierając Lawinie do stołu, o którym całkiem zapomniała.

Lawinia wydała jakiś dziki pomruk i sięgnęła na oślep paznokciami do twarzy prześladowcy. Za nimi mężczyźni kotłowali się w ciemnościach, mamrocząc coś o konieczności rozdzielenia ich. Wyraźnie jednak czuli lęk przed tym czymś, co Stuyvesant-French mógł trzymać w ramionach.

- No, pocałuj mnie. Jeszcze jeden całus tych lodowatych ust- szeptał

Edward szyderczo.

Lawinia próbowała go odepchnąć, ale przyciągnął ją do siebie. A potem jego usta spadły na jej wargi, uciszając protesty, urągając jej bezsilności.

Krzyk zamarł w gardle Lawinii. Napastnik targał jej uczucia na strzępy, jak zetlały jedwab. Czowała nienawiść do tego pogromcy, który chciał pozbawić ją wszystkiego. Ale pocałunek nie nappełnił jej wstrętem.

Sądziła, że będzie to niezręczny, brutalny kares, że jego usta po ciemku nie zdołają trafić do celu, jak u niewprawnego amanta. Odnalazł jednak jej wargi ze zręcznością drapieżnika oswojonego z mrokiem, dopadającego ofiary w najgłębszych ciemnościach piekieł. W ułamku sekundy zawładnął jej ustami jak zgłodniała bestia; wtargnął do wnętrza, aż wreszcie zadrżała pod tą żywiołową napaścią.

Straciła rozum. Tak jak niegdyś Hazel.

Wydała cichy, gardłowy pomruk, potem wyrwała mu się i uciekła za parawan. Wchodziła już do skrytki w ścianie, ale nim zdążyła się w niej całkiem schować, objął ją w pasie i wyciągnął z



kryjówki.

- Kto by pomyślał, że ten duszek z zaświatów to taka piekielnica?! -

Przycisnął ją do ściany, napierał na nią całym ciężarem, przytłaczał ją.

Znalazła się w pułapce - bezbronna i osaczona.

- Zaraz zapalę światło. Słyszysz te hałasy? - szepnął.

Lawinia dostrzegała w mroku niewyraźne zarysy mężczyzn, wpadających na meble, domagających się świateł.

- Co też powiedzą, kiedy wyciągnę cię stąd i zdemaskuję jako oszustkę? - Przez rozdarcie w welonie czuła jego gorący oddech na policzku.

Próbowała uwolnić się z jego ramion, ale były jak żelazne kajdany.

Biła go w pierś - bez skutku. Czuła pod palcami gładki materiał

żakardowej kamizelki, pomyśleć, że pod tak eleganckim strojem kryje się dzika bestia!

Blask gazowej latarni przenikał z ulicy mimo szczelnie zasłoniętych okien. Zdyszana Lawina spojrzała na swego przeciwnika. Zdołała w mroku rozróżnić jego rysy.

- No i co, duchu? Pokonałem cię? - spytał cicho.

Nie odezwała się. Starła się powstrzymać płacz. Nie była w stanie się sprzeczać.

- Spotkamy się o północy na placu Waszyngtona i omówimy warunki kapitulacji, czy mam wywlec cię zza tego parawanu, gdy zabłyszczą światła? - Przysunął się jeszcze bliżej i pochylił głowę tak nisko, że czuła drganie ust, wymawiających te słowa.

- Spotkamy się o północy - powtórzyła głosem zdławionym od łez.

Była jak ogłuszona. Wszystko to przypominało koszmar, zły sen, z którego rozpaczliwie usiłowała się obudzić.

Szydercze echo poprzedniej odmowy rozbrzmiewało w jej mózgu.

Gdyby z nim nie zadzierała! Gdyby tylko... Gdyby...

- Spójrz na mnie. Chcę zobaczyć twoją twarz.

Podniosła głowę, ale nie patrzyła na niego. Cóż by jej dało prowokowanie go? Nie był już dla niej wyzwaniem. Był jej pogromcą.

Ręka Edwarda uniosła się ku jej twarzy. Przesunął palcami po wargach Lawinii, jakby ze

zdziwieniem. Dreszcz przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa.

- Te usta wcale nie są zimne. Wcale a wcale... - Te słowa zawisły w ciemności, podobnie jak jego wyciągnięte palce.

Lawinia nie odezwała się. Nie miałoby to żadnego sensu. Znalazła się w pułapce. Przeciwnik był o wiele silniejszy od niej. Jeżeli chciał z niej sztydzić, triumfować nad nią, mógł to robić bezkarnie, nie była w stanie go powstrzymać.

- Do zobaczenia o północy, Lawinio Murphy. - Odsunął się od ściany i przeszedł na drugą stronę parawanu.

Lawinia pozostała sama w ciemności. Bez napierającego na nią ciała poczuła się jakby naga. Nagle z przerażeniem uświadomiła sobie, że uczestnicy seansu wygrzebali skądś świecę i usiłują ją zapalić. Nie tracąc już ani sekundy, Lawinia wcisnęła się do skrytki w ścianie, wciągnęła ogon sukni i podarty welon, po czym zamknęła jakieś sekretne drzwiczki.

- A, zjawiłeś się, chłopie! Kiedy pogoniłeś za tym widmem, myśleliśmy, że już nigdy cię nie ujrzymy!  
- Boatman klepnął z całej siły Stuyvesanta po ramieniu i potrząsnął jego ręką.

- Gdzie ona jest? - zawołał reporter z „Astoria Gazette”, gdy odsunął parawan i nie zobaczył nic prócz ściany.

- Jaka ona była w dotyku? Opisz mi to szczegółowo, a zrobię z tego sensację na pierwszą stronę! - Langley aż zacierał ręce z radości.

Wszyscy mężczyźni tłoczyli się wokół Edwarda. Nikt nie zauważył

Rawlingsa, który wszedł do salonu i zapalił znów gazowe lampy.

- Nie przypomina niczego, co do tej pory trzymałem w objęciach. -

Stuyvesant-French zerknął na Hazel. Patrzyła na niego z przerażeniem, jak na oprawcę.

- Naprawdę jej dotknąłeś? A czy spojrząłeś jej w twarz? - Langley zaczął coś gryzmolić w swoim oprawnym w skórę notesie.

- Było ciemno. - Oczy Edwarda napotkały spojrzenie księżnej.

- A kiedy zniknęła, to czy rozwiała się w powietrzu, czy też rozpadła jak zetlane płótno? - Teraz i Boatman domagał się szczegółów.

- Po prostu zniknęła. W jednej chwili trzymałem ją w ramionach, a w następnej już jej nie było. - Edward z wyraźną satysfakcją zauważył, że księżna osuwa się bezsilnie na krzesło. - No, moi panowie! Medium, któremu zawdzięczamy tego ducha, jest wyraźnie zmęczone. Pozwólmy księżnej wypocząć.

- Ale mam u ciebie wywiad dla naszej gazety, prawda? - dopytywał się natarczywie Langley.

Stuyvesant zmierzył go wzrokiem. Usta wygięły mu się w uśmiechu, kiedy spojrzał na Hazel.

- Masz u mnie sensację na pierwszą stronę. Ale sprawa nie została jeszcze zakończona.

- No więc, kiedy?

Stuyvesant-French machnięciem ręki zbył dalsze pytania. Pożegnał

wielką księżną niedbałym skinieniem głowy. Pozostali dżentelmeni wymykali się małymi grupkami z salonu. Pogrążeni w dyskusji, najrozmaiciej interpretowali niezwykle zjawisko. Nikt nie zważał na księżną, która z rozpaczą ukryła twarz w dłoniach.

9

*Najpierw na podłodze pojawia się, biała plamka wielkości dolara, stopniowo rośnie, aż wreszcie zmienia się w zwiewną, przejrzystą masę, tryskającą ku górze niczym fontanna. W końcu jest wystarczająco duża, by mogła stanowić schronienie dla ducha. A ta istotka wyślizguje się z gablotki pod osłoną czarnego materiału, energicznie rozwiera biały mglisty kielich, kryjąc w jego wnętrzu głowę i ramiona, a potem unosi się szybko i wdzięcznie, podczas gdy czarna tkanina zostaje wciągnięta z powrotem do gablotki. To tak urocze widowisko, że zawsze mam ochotę bić brawo.*

Dr H. H. Furness (Komisja Seyberta Uniwersytetu Stanu Pensylwania)

- Więc dotykałeś jej? Obejmowałaś ją?

- Tak.

- I to była prawdziwa, żywa kobieta?

- Jak najbardziej! Do tego stopnia, że drżała w moich ramionach.

Po tej wymianie zdań z Edwardem Korneliusz wlepił wzrok w kominek, nie zważając na to, że ogień dawno wygasł.

- Pójdiesz tam ze mną? - spytał przyjaciela Stuyvesant-French gdy kamerdyner podał mu surdut.

- Nie. Zabawa dobiegła końca. Chyba wrócę do mego pokoju w Lafayette Club. Spotkamy się jutro, French!

Cook włożył melonik.

Edward obserwował przyjaciela w lustrze, wsuwając ramiona w rękawy podsuwanego mu przez kamerdynera surduta.

- Przecież cię uprzedzałem, że zamierzam ją zdemaskować! Czemu teraz, gdy dopiąłem swego, masz taką minę, jakby świat się zawalił? Co w ciebie wstąpiło?

- Nic, nic. A zatem spotkasz się z nią i rozmówicie się ostatecznie?

- Owszem.-Edward uśmiechnął się z satysfakcją.- Nadal jestem zdania, że powinieneś iść ze mną. Być może zabawa jeszcze się nie skończyła!

- Dziękuję, nie skorzystam.

- To są oszustki, dowiodłem tego! Myślałem, że mi pogratulujesz. -

Edward zrobił zdziwioną minę.

- Wiem. Ja też tak myślałem. - Cook zastanowił się przez chwilę. -

Widać każdy człowiek w głębi duszy pragnie, by cud się ziścił. Dobrej nocy, French.

- To on! - Lawinia wyglądała przez okno swojej sypialni. Nie zapaliła w niej światła, by móc swobodnie obserwować park. Wysoki mężczyzna, wysiadłszy z powozu zmierzał na środek skweru. Ulice były puste. O tej porze nikt nie kręcił się w pobliżu, z wyjątkiem zamiatacza ulic, który po drugiej stronie placu czyścił łupkowe krawężniki.

- Co mu powiesz? Jak wytłumaczysz... - Hazel nie dokończyła.

Lawinia odetchnęła głęboko.

- Nie ma sensu niczego wyjaśniać. On i tak nie będzie słuchał. Nic go to nie obchodzi. Muszę dobrze zastanowić się, co mu powiem. - Ośloniła ramiona czarnym muślinowym szalem i przypięła kapelusz. Połyskliwe czarne pióra, którymi był ozdobiony, pasowały jak ulał! Jeszcze tylko czarne dżetowe kolczyki, chusteczka z żałobną obwódką i byłaby toaleta w sam raz na pogrzeb. W dodatku na własny.

- Bądź ostrożna, Lawinio! - Hazel uściśnęła rękę przyjaciółki i odprowadziła ją do drzwi. - Może chcesz, żebym poszła z tobą?

- Nie - odparła Lawinia. - Muszę załatwić to sama. Może ostateczny wynik nie będzie po naszej myśli, ale przedtem udowodnię, na co mnie stać.

Cmoknęła Hazel w policzek, a Rawl otworzył jej drzwi frontowe i zamknął je za nią. Lawinia przeszła na drugą stronę ulicy. Czowała na sobie spojrzenia Rawlingsa i Hazel, którzy obserwowali ją zza ciemnych okien.

- Proszę pani!

Lawinia zatrzymała się. Przy otaczającym skwer żelaznym ogrodzeniu stała jakaś potężna postać. Rozpoznała w niej jednego z mężczyzn, który brał udział w seansie. Zwróciła na niego uwagę: był

starszy, dobrze ubrany i miał niezwykle bujne bokobrody.

- Mam nadzieję, że pani nie przestraszyłem? Wiem, że ma się pani z nim spotkać. - Mężczyzna zastąpił jej drogę. Za plecami Lawinii przejechał ulicą jakiś powóz. Zmierzał w kierunku Czternastej ulicy.

Tupot kopyt i brzęk uprzęży zmąciły nocną ciszę.

Lawinia potrząsnęła głową z zakłopotaniem.

- Proszę pana, to nie wypada...

- Wiem, ale muszę z panią pomówić..- Ruchem głowy wskazał środek parku. - Zanim pani się z nim spotka.

- Dlaczego? - Lawinia wiedziała, że powinna wyminąć natręta i odejść. Każda dama tak by postąpiła. No tak, ale dama nie paradowałaby przed gromadą mężczyzn upačkana szminką, ani nie umawiała się na tajemne spotkanie w parku z szantażystą! A poza tym widziała wyraźnie, że ten człowiek jest zrozpaczony. W jego głosie brzmiało cierpienie.

Zależało mu na czymś tak bardzo, że Lawinia po prostu musiała go wysłuchać.

Nerwowym ruchem przyglądał bokobrody. Wyszedł na ścieżkę; najwyraźniej nie chciał kryć się po krzakach.

- Stuyvesant-French chce zniszczyć pani karierę, panno Murphy. Ani ja, ani pani nie zdołamy go powstrzymać.

- Być może, ale cóż to pana obchodzi?

- Najmocniej przepraszam. To rzeczywiście nie moja sprawa. Mam jednak niemal pewność, że jest pani oszustką. French zapewnił mnie, że przyłapał panią dziś wieczorem w salonie.

Nieznajomy zawahał się i popatrzył na strzyżone krzewy, ocieniające środkową część skweru, gdzie czekał Stuyvesant-French.

- Głupiec ze mnie! Zawsze nim byłem - mruknął i w jego oczach błysnęła rozpacz. - Przecież wiem, że pani jest w gruncie rzeczy komediantką, może kimś jeszcze gorszym.

Popatrzył na Lawinię. Uderzył ją smutek w jego spojrzeniu. Nawet w słabym świetle ulicznych latarni dostrzegła jak głębokie było jego cierpienie.

- Mam sześćdziesiąt pięć lat, panno Murphy. Od trzydziestu pięciu pędzę żywot samotnika. Nie istnieją dla mnie kobiety. Żadna z nich nie może się równać z nią. Żadna. - Odwrócił twarz.

Lawinia mogłaby przysiąc, że dostrzegła w jego oczach łzy. Chciała spytać tego człowieka, o kim mówi. Wiedziała jednak, że sam za chwile jej to wyzna.

- Edward wygląda całkiem jak jego ojciec. - Wykrzywił usta w gorzkim uśmiechu. - Vanadder stracił z wiekiem cały swój urok. Ale wewnątrz zawsze był zepsuty, zawsze! Edward niekiedy tak bardzo go przypomina: jest okrutny, wyrachowany, nieczuły.

Popatrzył znowu na Lawinie. Rozpacz w jego oczach zatrwożyła ją.

- Ale to tylko fasada. W głębi duszy ma w sobie tyle z Alicji. Mojej Alicji. - Schwycił Lawinie za ramię. - Błagam... French mówił mi, że pani się z nią kontaktowała. Że za pani pośrednictwem Vanadder mógł z nią rozmawiać. Wiem, że pani oszukuje ludzi, ale może oprócz tanich sztuczek jest w tym odrobina prawdy? - Patrzył na nią z takim bólem, z taką rozpaczą, że ledwie mogła znieść jego spojrzenie. - Czy naprawdę można kontaktować się z tymi, którzy odeszli? Czy pani rzeczywiście porozumiewała się z Alicją? Widziałem ją po raz ostatni trzydzieści pięć lat temu! To bardzo długo. Żyję w kompletnej pustce. Życie dłuży mi się nieznośnie, ale jedna chwila spędzona z nią pozwoliłaby mi znieść dalszą samotność. Muszę tylko wiedzieć, czy pani naprawdę nawiązała z nią kontakt. Widzi pani, pragnę o coś prosić. Alicja zmarła tak młodo, tyle problemów pozostało nierozwiązanych. Muszę wiedzieć, czy po śmierci ją zobaczę. Muszę wiedzieć, czy znów się spotkamy, czy wszystko da się jeszcze naprawić. - Głos uwiązł mu w gardle, zniżył się do szeptu. - Czy tym razem wybierze mnie?

Lawinii serce się ścisnęło. To było zawsze najgorsze: kontakt ze zbolalymi, zrozpaczonymi ludźmi, którzy w swym osamotnieniu i żalobie chwyтали się kurczowo kłamstw, przynoszących im ukojenie.

Nie mogła przecież oszukiwać tego człowieka! Nie mogła wmawiać mu, że zawarła znajomość z Alicją, że jej duch czaił się tuż za drzwiami salonu, gotów przybyć na każde jej skinienie. Gdyby tylko chciała, mogłaby teraz ograbić tego człowieka ze wszystkich pieniędzy. Nie miała jednak w sobie tyle cynizmu, by go okłamywać.

Ale czy można pozbawić go wszelkiej nadziei? To byłoby jeszcze okrutniejsze.

U wylotu ścieżki, pośrodku skweru, pojawiła się jakaś postać. Był to Stuyvesant-French. Lawinia orientowała się, że stoi on zbyt daleko, by słyszeć, o czym rozmawiają. Widziała go jednak wyraźnie: ramiona skrzyżowane na piersi, nogi w lekkim rozkroku. Miał postawę sędziego.

Nawet z tej odległości emanowała z niego siła. Przytłaczał ją swym potępieniem; był jak wyrzut sumienia. Nienawidziła go!

Głos, który rozległ się tuż nad jej uchem, przywrócił Lawinii poczucie rzeczywistości. Nieznajomy zaklinał ją szeptem.

- Jeśli pani przypuszcza, że jest jakaś szansa nawiązania kontaktu z Alicją, może byśmy spróbowali?

- Czy pan naprawdę sądzi, że Stuyvesant odziedziczył jakieś cechy po matce? - Lawinia zmarszczyła brwi. - Wydaje się taki podobny do ojca!

Wilhelm był dla mnie bardzo dobry, ale miał niewątpliwie skłonność do okrucieństwa. Wiedziałam, jak traktował innych.

- Edward odziedziczył dobroć Alicji. Czasami dostrzegam ją w nim i zawsze mnie to zdumiewa. Ale czy mogłaby pani...

Lawinia uciszyła go, przytykając palec do ust. Zamilkł i czekał na odpowiedź.

Mówiła wolno, spoglądając w kierunku dalekiej, złowrogiej postaci Stuyvesanta.

- Widzi pan, w duszy Wilhelma Vanaddera nie było nic prócz mroku.

Obawiam się, że dusza jego syna jest równie mroczna. Co do Alicji...

wiem o niej tylko jedno. Powiem to panu pod warunkiem, że już nigdy więcej nie będzie pan o nią wypytywał. Obiecuje pan?

Skinął głową. W jego oczach zapłonęła jakaś upiorna nadzieja.

Lawinia spojrzała znów w stronę wysokiego mężczyzny stojącego na końcu alejki. Stuyvesant doprowadzi ją dziś do ruiny, zabierze jej wszystko, co zdobyła, zniszczy ją tak, że nigdy już nie podniesie się po tej klęsce.

Odwróciła się znowu do stojącego obok niej dżentelmena, który patrzył na nią błagalnym wzrokiem. Przełknęła z trudem ślinę i powiedziała miękko:

- Nie potrafię tego panu wyjaśnić. Nie udowodnię logicznie i racjonalnie, jak się o tym dowiedziałam, ale wyjawię panu coś, co wiem o Alicji Stuyvesant-French. Potem musi pan żyć tak jak my wszyscy, niepewni tego, co nas czeka na tamtym brzegu.

Lawinia odetchnęła głęboko. Czuła w sercu cały ból tego czowieka.

Modliła się, by jej słowa mu pomogły. Odezwała się łagodnym głosem:

- Alicja popełniła straszliwą pomyłkę. Bolała nad nią aż do śmierci.

Nawet Wilhelm o tym wiedział. Powinna była wybrać pana. Wiem, że ona żałuje, iż tak się nie stało. Nie mogę panu powiedzieć, skąd to wiem, ale jestem tego pewna. Całkowicie. - Znów odetchnęła głęboko. - A teraz proszę odejść i o nic mnie już nie pytać. Powiedziałam panu prawdę i nie mogę dodać nic więcej.

Potańczał grzbietem nosa, jakby usiłował powstrzymać łzy. Przez dłuższą chwilę żadne z nich się nie odezwało. Pragnąc go pocieszyć, Lawinia uściśnęła jego ramię i odeszła w stronę czekającego na nią w samym środku parku wcielonego diabła.

- Panno Murphy! - usłyszała za sobą rwący się głos. Zatrzymała się, ale nie odwróciła głowy. Musiała stawić czoła Stuyvesantowi jak najszybciej, zanim opuści ją odwaga. Nie mogła sobie pozwolić na dalszą zwłokę.

- Dziękuję - powiedział po prostu starszy pan. W jego głosie nadal brzmiał ból. - Chyba teraz starczy

mi sił, by dalej żyć.

Lawinia skinęła głową, nadal na niego nie patrząc.

- Jej syn nie byłby sobą, gdyby nie jego ojciec - dorzucił jeszcze za odchodzącą. - Może tak właśnie miało być? Jest w nim wiele dobra, panno Lawinię Niech pani stara się je dostrzec, gdy będziecie ze sobą rozmawiać. Niech pani się odwoła do szlachetnej strony jego natury, a sama się pani przekona.

Szlachetna strona jego natury? Te słowa wstrząsnęły nią. Skinęła głową, ale nie obejrzała się. Wiedziała zresztą i bez tego, że jej rozmówca już odszedł.

Stuyvesant-French nie powiedział ani słowa na powitanie. Lawinia podeszła do niego dokładnie w chwili, gdy zegar na kościele ewangelickim wybił północ. Ich oczy się spotkały. Wpatrywali się w siebie przez dobrych kilka sekund, potem Edward podprowadził ją do ławki.

Lawinia odezwała się pierwsza.

- Chciałabym znaleźć jakieś rozwiązanie, które zadowoli nas oboje.

Pragnę wierzyć, że panu rzeczywiście leży na sercu dobro przyrodniej siostry.

Przyjrzała się Stuyvesantowi z uwagą. Był ubrany inaczej niż podczas ich ostatniego spotkania. Kołnierzyk koszuli był świeżo wykrochmalony, surdut starannie wyprasowany. Jedyne kamizelka ta sama, którą miał na sobie podczas seansu, której dotykała palcami. Lawinia popatrzyła na nią i odwróciła wzrok. Wolą nie wspominać teraz, co poczuła wówczas pod swoją ręką: ciemny, gładki jedwab, okrywający pierś z żelaza.

- W pani położeniu nie stawia się żadnych warunków, moja droga panno Murphy.

Wzrok Edwarda przemknął po alejce, w której rozmawiała z innym mężczyzną. Ciekawe, czy w ciemności zdołał rozpoznać, kto to był? -

pomyślała Lawinia. Miała nadzieję, że nie. Wdawać się w kolejne wyjaśnienia. Tego by jeszcze brakowało!

- Istotnie, wygrał pan tę bitwę - powiedziała. - Ale choć mnie pan przyłapał, pozostała mi w rękę decydująca karta.

- Chce pani nadal ze mną walczyć? - Edward uniósł jedną brew. -

Wobec tego następnym razem wyciągnę panią zza parawanu i zedrę z pani ten maskaradowy kostium. Może wówczas uzna się pani za ostatecznie zdemaskowaną?

Własna nieugięta postawa zdumiała Lawinię i dodała jej ducha.

Pragnęła rzucić się z płaczem do nóg tego człowieka i żebrać o litość, a zamiast tego siedziała sztywno wyprostowana, ze stopami osłoniętymi spódnicą, i mówiła tonem obojętnym, niemal



łodowatym.

- Tylko pan i ja wiemy, co się wydarzyło za parawanem, panie Stuyvesant-French. Jeśli pan zacznie trąbić o tym przed całym światem, być może okrzyczą pana wrogiem spirytyzmu i nie dadzą wiary pańskim rewelacjom. Trudno będzie panu dowieść, że ma pan rację! A jeżeli myśli pan że przyłapie mnie jeszcze raz, to grubo się pan myli. I w taki oto sposób wygrawszy bitwę, przegra pan wojnę. - Popatrzyła mu prosto w twarz. - Jestem więc zdania, że potrzebuje pan mojej współpracy w takim samym stopniu jak ja pańskiej.

Przyglądał się jej spod przymrużonych powiek z bardzo podejrzliwą miną.

- Do czego pani zmierza? Chodzi o pieniądze, prawda?

- Pański ojciec zostawił mi w spadku fortunę. Jeśli mam się jej wyrzec, muszę mieć po temu ważki powód.

- I tak pani tych pieniędzy nie odziedziczy. Czy to nie wystarczający powód?

- Wiem, że gdybym obstawała przy tym zapisie, w procesie ciągnącym się bez końca, musiałabym ponieść klęskę. Ale pan żąda, bym się wycofała dobrowolnie, zostawiając panu wolną drogę. Coś mi się chyba za to należy?

- Ile?

Lawinia milczała przez chwilę.

- Sama nie wiem. Muszę to sobie przemyśleć. Jeśli zniszczy pan moją karierę, powinnam zabezpieczyć sobie przyszłość w inny sposób.

- Chyba najłatwiej ją sobie pani zabezpieczy, naciągając jednego ze swych... opiekunów. Kogoś takiego jak ten podstarzały dżentelmen, z którym panią przed chwilą widziałem.

Ta uwaga zraniła Lawinie, ale nie dała tego po sobie poznać. Musi być odporna i chłodna. Ważyły się przecież nie tylko jej losy!

- Chcę mieć również pewność, że to Daisy Vanadder odziedziczy fortunę Wilhelma. Nie odejdę spokojnie, pozostawiając panu lwią część łupu!

Ujął ją mocno za brodę i zbliżył twarz do jej twarzy.

- To już szczyt bezczelności, panno Murphy! - rzucił wściekły. - A więc nie życzy pani sobie, żeby syn Vanaddera coś po nim odziedziczył?

Cóż by to była za tragedia, prawda? Niech sobie ten bękart zdobywa majątek własnymi rękami i nie wtyka brudnych paluchów w majątek papy, co?! - Odetchnął głęboko, jakby usiłował powściągnąć gniew. -

Nie potrzebuję fortuny Vanaddera i wcale jej nie pragnę! Robię to wyłącznie dla Daisy. Sama się pani przekona, kiedy testament zostanie skorygowany.

- Doskonale - odparła cicho, wpatrując się w niego. Nie potrafiła odwrócić głowy tak, by uniknąć dotyku jego ręki. - A ja w międzyczasie zastanowię się, czego zażądać w zamian za współpracę. Kto wie? Może to moja ostatnia szansa zabezpieczenia sobie przyszłości? Muszę to dokładnie przemyśleć.

- Lepiej niech pani pomyśli o tym - odparł z pewnym siebie uśmiechem - że jeśli dziś nie dojdziemy do porozumienia, jutro rano moi adwokaci zakwestionują testament. Kiedy proces się zacznie, nie wyjdą pani na zdrowie próby szantażu, pani hrabino!

- A jeżeli nagle zniknę? Jeśli w środku nocy spakuję manatki i zabiorę się stąd z całą moją rodziną? Z kim będzie się pan wówczas procesował?

Gdybym próbowała pokonać pana w długotrwałym procesie, pewnie bym źle na tym wyszła, ale jeżeli po prostu zniknę, przegrany będzie pan, panie Stuyvesant-French! Po głównej spadkobierczyni nie zostanie ani śladu i wszystko utknie w martwym punkcie. Choćby na wieczność!

A Daisy, jeśli pana w ogóle obchodzi jej los, nic na tym nie zyska.

Puścił ją i opadł na oparcie ławki. W jego oczach obok pogardy błysnęło coś w rodzaju niechętnego podziwu.

- Przemyślała to pani dokładnie, co? Krok po kroku!

- Muszę dbać o własne interesy. Zarabiam na życie i nie wyrzeknę się tego, co zdobyłam, chyba że mi się to opłaci.

- Przeze mnie będzie musiała pani pożegnać się z seansami, ale nie wtrącam się przecież do pani drugiej profesji, panno Murphy!

Chętnie dałaby mu w twarz, ale nie była to już pierwsza zniewaga i zabolą ją mniej od poprzednich.

- Nie zarabiam pieniędzy w sposób, jaki pan sugeruje, i nie zamierzam robić tego w przyszłości, gdy uniemożliwi mi pan karierę spirytystki.

- Po co tak komplikować sobie życie? Po co walczyć ze mną o testament, jeśli może pani zapewnić sobie stałą opiekę któregoś z dżentelmenów, którym umiła pani czas w swoim salonie?

- Bo nie należę do kobiet tego pokroju.

- Niech pani nie będzie śmieszna!

Jego niezłomne przeświadczenie zraniło ją do żywego. Gdyby był

jednym z tych podstarzałych, bogatych głupców, dopraszających się o prywatny seans, nie wzięłaby sobie tego aż tak do serca. Ale Stuyvesant nie był zauroczonym staruszką. Był mężczyzną, który ośmielił się ją pocałować. Mężczyzną, któremu - wstyd przyznać! - oddała pocałunek.

Stuyvesant-French nie chciał od niej niczego prócz szczerą prawdę.

Prawda jednak była zbyt ryzykowna. Lawinia nie mogła sobie pozwolić na ten luksus. W dodatku jego słowa naprawdę ją zabiły. Tym bardziej, że ten poszukiwacz prawdy oczerniał ją z takim przekonaniem, że sama niemal gotowa była mu uwierzyć!

- Muszę mieć zabezpieczenie na przyszłość - stwierdziła cicho. - Nie zrezygnuję z tego.

- Jakież to zabezpieczenie ma pani na myśli, panno Murphy? Bawi się pani w aluzje jak pannica, która chce się koniecznie wydać za męża!

- Może tego właśnie pragnę? Mąż musiałby mi przecież zapewnić jakąś przyszłość. Odpowiednie małżeństwo jest nawet lepsze od kariery zawodowej!

- Nie będę się starać o męża dla pani, hrabino! Takie machinacje są w sam raz dla kobiet. To one rozsnuwają sieci w salonie. Nie, w pani przypadku chyba raczej w sypialni.

Lawinia zawrzała gniewem.

- Szydzi pan, co?! Ale jeśli zniszczy pan moją karierę, zostanę na lodzie. I pan też!

Przyjrzał się jej uważnie.

- O jakiej sumie właściwie rozmawiamy?

- Pieniądze szybko się kończą. Pan chce mnie pozbawić jedyne sposobu zarobkowania, jaki znam. Potrzeba mi czegoś więcej niż pieniędzy.

- Więc czego pani w końcu chce, panno Murphy?! - Miał teraz minę jak gradowa chmura.

- Chcę... chcę sobie ułożyć życie od nowa, jeśli dotychczasowe przestanie istnieć. Jeżeli Hazel nie będzie już wielką księżną, a ja hrabiną musimy stać się kimś innym.

- A cóż ja mam z tym wspólnego?! Uważa mnie pani za magika, czy co? - Lawinia nie spuszczała z niego oczu. W jej głowie zakiełkował i zaczął się rozwijać całkiem nowy pomysł.

- Muszę to sobie przemyśleć. - Rozglądała się po zarośniętym; zielenią skwerze, jakby mogła gdzieś tutaj, w ciemnościach, znaleźć rozwiązanie swoich problemów. - Chciałabym opuścić Nowy Jork. Nie możemy tu zostać, jeśli mamy wyrzec się swej dotychczasowej tożsamości. Musimy poszukać sobie innego miejsca. Może za granicą?

- Z pieniędzmi pojedzie pani wszędzie, dokąd tylko zechce - zauważył

zgryźliwie. Był wyraźnie zirytowany.

- Ale czyż dwie młode, niezamężne damy mogą podróżować samotnie? To przecież nie wypada! Tym bardziej, że mamy stać się kimś innym. I to kimś lepszym niż dotychczas.

- O, z pewnością!

Lawinia udała, że nie dostrzega sarkazmu.

- Jeśli trafi się okazja, by któraś z nas - ja czy Hazel - zdobyła wyższą pozycję społeczną, to wykorzystamy tę szansę, panie Stuyvesant -

choćby się pan z nas natrząsał! Potrzebuję trochę czasu, by to obmyśleć.

Edward potrząsnął głową.

- Żadnego czasu na rozmyślania! Musi się pani zdecydować natychmiast. Czego pani sobie życzy? - Kiedy nie odpowiedziała, odezwał się znowu.

- No, wyduś to wreszcie z siebie, dziewczyno, bo zabieram się stąd i nie zobaczymy się więcej!

- Chcę wyjść za mąż. - Słowa same wyskoczyły z jej ust. Lawinia chciałaby wyprzeć się tych słów, uciec, zapaść się pod ziemię, ale stało się.

- A któż by się z panią ożenił, panno Murphy?!

Mogła się spodziewać takiej reakcji! Opanowała się i szybko odparowała cios:

- Jeśli nie ja, to Hazel. Musimy myśleć o nas wszystkich, rozumie pan.

Jeżeli Hazel wyjdzie dobrze za mąż, to i ona, i dzieciaki będą bezpieczne i szczęśliwe. A ja wówczas poszukam sobie innego zajęcia.

- Przykro mi rozwiewać te piękne marzenia, panno Murphy, ale zarówno pani, jak i jej siostra dobrze sobie zapracowałyście w waszym tureckim kąciku na opinię... niesłuchanie usłużnych dam. Żaden przyzwoity mężczyzna nie poprowadzi do ołtarza awanturnicy, choćby to nawet była pani urocza siostrzyczka.

- I właśnie dlatego musimy wyjechać za granicę! Zerwać z przeszłością. Zacząć całkiem nowe życie. Cieszyć się dobrą opinią.

Powinniśmy podróżować godnie, pod osłoną szacownego nazwiska. -

Spuściła oczy, umilkła na chwilę i z wahaniem spojrzała znów na niego.

- Takiego jak na przykład Stuyvesant.

Popatrzył jej w oczy, odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

- Może się pan śmiać, ale Hazel i mnie pańska rekomendacja niezmiernie by pomogła.

- Zamierzam dać wam trochę pieniędzy i dopilnować, byście się stąd wyniosły. I to będzie cały mój udział w tej sprawie. Jedźcie za granicę, jeśli wola. Nie będę was zatrzymywał.

- Zależy mi nie tyle na pieniądzech, co na zabezpieczeniu przyszłości.

Jeśli przez pana stracimy możliwość zarobkowania i nie otrzymamy nic w zamian, to co nam pozostanie?

Roześmiał się znowu.

- Właśnie pieniądze, niemądra dziewczyno! Proszę posłuchać: jutro wręczone pani okrągłą sumkę i zapniemy wszystko na ostami guzik. Jeżeli nie zaczniecie szastać tymi pieniędzmi, będą stanowiły doskonałe zabezpieczenie na stare lata!

- Ale wyjście za mąż byłoby znacznie lepszym rozwiązaniem. Jeśli pan nie znajdzie kogoś dla mnie, muszę postarać się o kogoś dla Hazel.

Muszę, i już!

Edward nachylił się i spojrzał Lawinii prosto w twarz.

- Jeśli pani myśli, że pomogę wam ukryć prawdziwe oblicze pod maską rzekomej „przyzwoitości” i złapać dzięki temu mężów, jest pani głupsza niż sądziłem. Z waszą reputacją nie radzę liczyć na coś więcej niż pozycja utrzymania lub miłe kontakty z właścicielem banku.

Umożliwię pani zawarcie takiej znajomości, kiedy tylko podpisze pani wszystkie papiery.

- Gdybyśmy udały się, powiedzmy do Londynu, a pan szepnąłby komu trzeba, jakie z nas bogaczki, miałybyśmy dobry start i można by zapomnieć o przeszłości. Gdyby pan nas zaprotegował, nie spoglądano by na nas z góry. To by nam wystarczyło, jakoś byśmy się urządziły.

- Nie będę wprowadzał ludzi w błąd!

- Ale mnie potrzebne jest zabezpieczenie na przyszłość!

- Umywam od tego ręce. Musi pani wystarczyć czek.

- To również będzie mi potrzebne. Nie zamierzam udawać bogaczki, nie mając ani grosza.

Stuyvesant-French potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić natrętne myśli.

- Muszę znów zburzyć pani iluzje, panno Murphy. Nie utrzymuję żadnych kontaktów z eleganckim towarzystwem w Londynie. i

- Przecież jest pan jednym ze Stuyvesantów!

- Owszem, ale z nieprawego łoża. - Kącik ust Edwarda uniósł się w szyderczym uśmiechu.

- Liczę na okrągłą sumkę i na pańską rekomendację. O resztę zadbam sama. W Londynie nie zważają na pochodzenie, gdy ktoś przybywa z Ameryki! Ważne są tylko jego miliony. Z pewnością zaakceptują tam i nas. Nie czytuje pan gazet? Nie dalej jak dwa tygodnie temu donosiły, że Lillian August wychodzi za księcia Winchfield. Każdy po tej stronie Atlantyku dobrze wie, że to nieokrzesa prowincjuszka z Denver. A jej ojciec był podrzutkiem, którego znaleziono na moło w Castle Garden.

Nie ma pojęcia, ani kim byli jego rodzice, ani skąd pochodzili. Był

nikim, póki nie trafił na żyłę złota. A teraz jego jedynaczka robi karierę!

Stuyvesant-French potrząsnął głową.

- Nie przyłożę do tego ręki! Nie udało się pani omamić mnie spirytyzmem, więc tym bardziej nie wciągnie mnie pani do tych matrymonialnych kombinacji. Ale muszę przyznać, panno Murphy, że wyobraźni pani nie brakuje. A pani tupet dosłownie zapiera dech!

- Chodzi o prosty układ. Dostaniemy od pana pieniądze i rekomendację przed podróżą do Londynu. Podpiszę panu wszystkie dokumenty, kiedy Hazel znajdzie sobie męża.

- Nie ma mowy! Dam pani trochę pieniędzy i wyruszajcie sobie na podbój świata w rytmie kankana z *Orfeusza w piekielku!*

Lawinia wstała z ławki i popatrzyła na niego, jeszcze nigdy nie był

równie wściekły! Na jej ustach błąkał się lekki uśmieszek. Wyciągnęła rękę i pogładziła Edwarda po twardym policzku.

- Chciał pan powiedzieć: w rytmie weselnego marsza Mendelssohna!

Spotkamy się jutro u mnie na herbacie i omówimy wszystkie szczegóły.

- Bezzwłocznie polecę moim adwokatom, by zakwestionowali testament.

- Doprawdy? W takim razie przekona się pan w porze herbaty, że ptaszki wyfrunęły z gniazda. Wyniesiemy się do innego stanu, wszystko jedno gdzie - i wznowimy naszą działalność spirytystyczną.

- Nie będę bawił się w swata i szukał mężów dla dwóch ulicznic!

- Ależ skąd, drogi Edwardzie! Dla dwóch posażnych Amerykanek.

Popatrzyła mu w oczy. Odwzajemnił jej się tym samym.

Nim zdążył wypowiedzieć słowo, Lawinia odeszła spieszonym krokiem. Pilno jej było podzielić się z Hazel dobrą nowiną!

*- Ta kobieta to geniusz - powiedział Henley - a geniusz nie może siedzieć bezczynnie.*

*To wyjaśnienie jakoś mnie nie przekonało...*

W B. Yeats podczas dyskusji o potknięciach Madame Bławatskiej Hazel wpatrywała się w Lawinię, która po raz trzeci sprawdzała, czy na tacy znajduje się wszystko, co trzeba. Wybiła czwarta. Jamie w swoim najlepszym ubranku wiercił się w fotelu, miętosząc wykrochmalony kołnierzyk. Ewa i Fanny siedziały na dwóch przeciwległych końcach kanapy. Miały na sobie najładniejsze sukienki z tafty, kokardy we włosach i wyglądały jak francuskie lalki z porcelany.

*- Na litość boską, Jamie! Zostaw ten kołnierz w spokoju! - Lawinia podeszła do chłopca i odciągnęła jego ręce od kołnierzyka. Jamie schował je pod siebie i zaczął machać nogami.*

*- To nie ma sensu, Lawinio. On z pewnością nie przyjdzie. - Hazel patrzyła na przybraną siostrę jak na wariatkę.*

*- Przyjdzie, jestem tego pewna! - Lawinia ustawiła filiżankę i podeszła do okna, by wypatrywać powozu. Na ulicy roilo się od nich; nie było jednak ani śladu znajomej czarnej dwukółki.*

*- A jeśli się nie zjawi? - Hazel podniosła się z miejsca. Dwie dziewczynki wpatrywały się w nią z takim uporem, że miała ochotę schować się w mysią dziurę. - Musimy znaleźć jakieś inne rozwiązanie. I to natychmiast, póki nie jest za późno!*

*- Na pewno się zjawi. Zaczekajmy jeszcze godzinę.*

*- A jeśli pójdzie na policję? - Hazel spostrzegła, że w jej głosie brzmi panika. - Lawinio, nie wolno nam tracić zdrowego rozsądku! - szepnęła.*

*- To jest najlepsze rozwiązanie - odparła również szeptem Lawinia. -*

To szansa dla ciebie i Ewy na znalezienie prawdziwego domu! Może twój mąż polubi Jamiego i Fanny i także weźmie ich do siebie? Kto wie?

*- Musimy trzymać się wszyscy razem, nie zapominaj! - Hazel obejrzała się na dzieci. - Jamie wykrzywił się do dziewczynek, a Fanny odplacała mu pięknym za nadobne, ku wielkiej radości Ewy. - Wiesz, że pragnę dla mojej małej wszystkiego co najlepsze, ale nie wyobrażam sobie rozłąki z tobą. Wymyślmy coś innego, błagam!*

Na czole Lawinii pojawiła się zmarszczka. Nadal wyglądała przez okno, jakby chciała przywołać wzrokiem to, co pragnęła ujrzeć.

*- Tamten człowiek skrzywdził cię, Hazel. Pozbawił cię tego, co powinnaś ofiarować ukochanemu z własnej woli. Najwyższy czas, byś znalazła sobie kogoś innego. Zaslugujesz na kogoś pierwsza klasa! Taki nigdy...*



- Taki nigdy mnie nie skrzywdzi? Myślisz, że bogacze nie krzywdzą kobiet? Jeszcze jak!

- Znajdę ci męża, który tego nie robi.

- Wcale nie potrzebuję męża! Do tej pory doskonale obchodziłam się bez niego. A do mojej hańby już przywykłam. Mogę ją znosić tak długo, jak będzie trzeba.

Lawinia odwróciła się do przyjaciółki. Wzięła ją za rękę i szepnęła:

- Wybacz mi, Hazel! Wiem, że moje plany to szaleństwo. Zawsze tak było. Ale muszę ci zapewnić godne życie! Nie udało się nam pociągnąć go do odpowiedzialności za twoją krzywdę. Zanim dorobiłyśmy się trochę grosza i zdobyłyśmy jakąś pozycję, Hinchley zerwał wszelkie kontakty z sierocińcem i opuścił miasto. Gdy o tym pomyślę, złość mnie ogarnia! Ilekroć spojrzę na naszą kochaną Ewę, czuję wściekłość.

Marzyłam, że ten drań zapłaci za twoją krzywdę! Nadal o tym marzę.

Ale póki co, postarajmy się urządzić jak najlepiej! Powiadają, że sukces to najlepszy rodzaj odwetu. Musimy więc zająć jak najwyżej i akurat nadarza się okazja!

Hazel wpatrywała się w siostrę. Lawinia snuła zawsze ryzykowne plany, ale w przeszłości wszystkie wychodziły im na dobre. Hazel popatrzyła na Ewę. Serce w niej stopniało. Czyż to nie aniołek prosto z nieba z tymi złotymi loczkami i chabrową kokardą z tafty? Ewa pojawiła się na świecie w pożałowania godnych okolicznościach, a jednak gdy tylko Hazel ujrzała malutką, czerwoną buzię córeczki, uznała ją za najcudowniejszy dar losu w swym nieszczęsnym życiu.

- Och, Lawinio! Dobrze wiesz, że nie potrafię się z tobą kłócić. -

Zdobyła się na uśmiech. - Mam nadzieję, że on jednak się zjawi. Zrobię wszystko, byle zapewnić Ewie prawdziwy dom i ojca!

- Już ja się postaram, żeby go miała! - Lawinia zmarszczyła czoło i znów zwróciła znów oczy na ulicę. - Przysięgam, że go dla niej zdobędę.

Była już piąta, gdy przed hotelem Piąta Aleja zatrzymał się prywatny powóz. Stangret najpierw wydobył z wnętrza fotel inwalidzki, a potem wyniósł swą młodą panią i posadził na wózku.

- Nie zabawię tu długo, Herrington.

- Tak jest, proszę panienki. - Stangret wtoczył fotel na kółkach do westybulu.

- Czy pan Stuyvesant-French jest u siebie? - spytała Daisy w recepcji hotelowej.

Schludnie ubrany recepcjonista skinął głową.

- Tak, panno Vanadder. Boy miał właśnie zanieść mu do numeru liścik, który przed chwilą doręczono.

- Może zechciałby mnie zaprowadzić do brata? - Daisy uśmiechnęła się promiennie. - Uwielbiam jeździć waszą windą!

Recepcjonista uśmiechnął się również. Odebrał boyowi liścik i wręczył go Daisy, po czym zwalniając stangreta, sam popchnął fotel w kierunku windy.

- Bardzo się cieszę, panno Vanadder. Cała przyjemność po mojej stronie.

Kiedy dotarli na czwarte piętro, Daisy zastukała do drzwi brata i aż podskoczyła, gdy odpowiedziało jej nerwowe warknięcie.

- Kto tam?!

- Zły wilk, ten od Czerwonego Kapturka! - odparła Daisy figlarnie.

Rozległy się kroki i drzwi otworzyły się szeroko.

- Wielkie nieba! Okropnie wyglądasz, Edwardzie! Nie przypuszczałam, że masz aż taką chandrę!

- Nie mam żadnej chandry, Daisy. Po prostu nie spodziewałem się gości. - Edward odsunął się od drzwi, a recepcjonista wtoczył fotel Daisy do apartamentu jej brata.

Daisy westchnęła z lekką przesadą na widok pustej butelki obok obitego skórą fotela.

- Piłeś? O tak wczesnej porze?

Edward wręczył dolara recepcjoniście, który szybko się wycofał.

Widać dobrze znał tego hotelowego gościa i jego złe nawyki.

- Dała ci się naprawdę we znaki, co? - Daisy podjechała do brata. -

Przyłapałeś ją na oszustwie? Korneliusz powiedział mi, że masz taki zamiar.

- Każdy, kto tumani naiwnych prostaczków, to oszust. Wszystko jedno, czy się go przyłapie, czy nie.

- Och! - Daisy przytknęła rękę do czoła. - Ale dziś z ciebie ponurak, braciszku!

Burknął coś w odpowiedzi.

- Spójrz tylko na siebie! Co ci się stało?! Wyglądasz jak śmierć na chorągwi! Nie ogoliłeś się, nie masz ani krawata, ani kołnierzyka.

- Mówiłem ci już, Daisy, że nie spodziewałem się gości. Musiałem sobie to i owo przemyśleć.

- I o czym tak rozmyślałeś?

- O tobie i o naszym ojcu. I o tym, co zrobimy z jego testamentem!

- Myślałam, że to już dawno postanowione. Ty miałeś się bawić w Machiavellego, o ile pamiętam, a ja postanowiłam nie zwracać na ciebie uwagi i robić to, na co mam ochotę. - Daisy uśmiechnęła się.

Edward także zdobył się na krzywy uśmiezek.

- Masz charakterek! - mruknął. Pociągnęła go pieszczotliwie za rękaw.

- Zamów dla mnie herbatę, dobrze? A to dla ciebie: właśnie doręczono, więc ci przyniosłam. - Podała mu liścik.

Otworzył, przeczytał i odłożył na bok.

- Od kogo, Edwardzie?

- Zadzwoń, żeby podali herbatę. - Pociągnął za sznur od dzwonka, ozdobiony ogromnym chwaścikiem.

- Unikasz odpowiedzi na moje pytania i robisz to bardzo niezręcznie. -

Daisy podjechała do stołu, na którym leżał porzucony liścik. - To od niej, prawda? - szepnęła, zapoznawszy się z jego treścią. - Ach, ty łotrze!

Sprawiłeś jej taki zawód! Jak mogłeś?! - Zmierzyła brata wzrokiem.

- Nie jest warta twego współczucia, Daisy. Zapomnij o niej.

- Polubiłam ją. Jest taka inna od wszystkich kobiet, z którymi miałam do czynienia. Taka naturalna! Zupełnie nie była skrępowana moim kalectwem.

- Nigdy jej już nie zobaczysz, więc nie zaprzataj nią sobie głowy.

Rozległo się stukanie do drzwi. Z korytarza dobiegały jakieś gniewne głosy. Edward otworzył: na progu stał recepcjonista, boy hotelowy, lokaj, a na końcu Lawinia Murphy, która patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby był królem piekieł.

- Tłumaczyłem tej osobie, że nie może wejść, jeśli nie jest z panem umówiona - irytował się recepcjonista. - Przyłapałem ją na jakichś konszachtach z boyem, który próbował ją tu przemycić!

Boy milczał pod gradem zarzutów, zwróciwszy głowę w stronę Stuyvesanta.

- Czy pan mnie wzywał? - odezwał się lokaj, nie zwracając uwagi na panujące napięcie.

Edward nerwowo przegarnął ręką włosy.

- Przynieś nam herbaty. Panie Johns, niech pan wyrzuci tę kobietę na ulicę. To dla niej najwłaściwsze miejsce.

- Edwardzie! - Daisy podjechała do drzwi. - Jak możesz tak się zachowywać?! Prosimy do środka, panno Murphy. Właśnie zamierzaliśmy napić się herbaty.

Edward skrzyżował ramiona na piersi. Był wściekły. Boy, recepcjonista i lokaj zaglądali przez drzwi i napawali się pikantną sytuacją.

- Muszę z panem porozmawiać, panie Stuyvesant-French. - Lawinia nadal stała w progu. Była niezwykle blada. W zestawieniu z ciemnym błękitem zapiętej pod szyją sukni jej twarz przypominała kruchą porcelanę. - Muszę się tylko dowiedzieć, co z naszą umową? Jeśli pan odmówi, wyjeżdżam i nigdy już pan o mnie nie usłyszy.

- Wydaje się pani bardzo zdenerwowana, panno Murphy. Proszę wejść do środka! Napije się pani z nami herbaty. - Daisy urwała i popatrzyła na tłoczących się w drzwiach mężczyzn. - Możemy o nią prosić?

Wszyscy nagle się ocknęli. Odsunęli się pospiesznie od drzwi i zamknęli je za sobą.

- Jak ty tu możesz wytrzymać, Edwardzie? Wszędzie pełno ludzi, jak na dworcu kolejowym! - Daisy wskazała gościowi miejsce na kanapce.

Lawinia usiadła sztywno, nie odwracając ani na chwilę oczu od Edwarda.

Daisy również zwróciła się w stronę brata. Obie kobiety gapiły się na niego, a on miał ochotę je udusić!

- Nie mamy ze sobą żadnych spraw do omówienia, panno Murphy.

Niepotrzebnie wdzierają się pani do mojego apartamentu - warknął.

- Proszę mi tylko powiedzieć, co zamierza pan zrobić, żebym mogła zgodnie z tym podjąć takie czy inne plany. Właśnie dlatego zaprosiłam pana do siebie na herbatę. Nie zjawił się pan, trudno, mimo to domagam się odpowiedzi.

- No więc, jakie masz zamiary, Edwardzie? - Daisy patrzyła na brata szeroko rozwartymi oczami.

Ręce aż go świerzbiły, żeby skrócić jej kark.

- To sprawa pomiędzy panną Murphy i mną. Ciebie to nie dotyczy, Daisy.

- Chyba ona nie jest w ciąży?

- Nie! - krzyknęli jednocześnie Edward i Lawinia. Ich twarze zastygły w grymasie przerażenia.

Daisy przycisnęła rękę do piersi.

- Och, proszę mi wybaczyć. Cóż za nietaktowne pytanie! Nie pojmuję, co mi strzeliło do głowy!

- Ja też tego nie pojmuję - burknął Edward z miną jak gradowa chmura.

- Ależ, Edwardzie! To była zwykła ciekawość. Wybaczy mi pani, prawda? - Daisy zwróciła się do gościa. - Ale zupełnie nie rozumiem, czemu mój brat tak pani unika.

Lawinia skinęła głową. Zaciskała kurczowo w palcach torebkę. Nie miała rękawiczek. Daisy od razu spostrzegła, że pierścień z szafirem zniknął. Zaciekawilo ją, czemu przestała go nosić. Jednak po ostatnim *faux pas* wolała nie zadawać dalszych pytań.

- Niech mi pan wreszcie odpowie, panie Stuyvesant-French, a zostawię pana w spokoju. - Lawinia nadal się w niego wpatrywała. Była spięta, na jej twarzy malował się niepokój.

- Odpowiesz pani w końcu, Edwardzie?

Stuyvesant-French popatrzył na siostrę.

- Jeszcze nie podjąłem decyzji.

- Co do tego, czy udzielisz panie Murphy odpowiedzi? Czy też co do swoich dalszych planów? To przecież dwie różne rzeczy!

- Jesteś dziś okropnie irytująca, wiesz?

Daisy uśmiechnęła się. Lawinia nie odezwała się ani słowem. Patrzyła na niego w milczeniu.

- Nie przyjmę pani warunków, panno Murphy. Wie już pani wszystko, więc proszę odejść. - Edward spojrzał jej prosto w oczy.

Lawinia wstała. Daisy nigdy jeszcze nie widziała równie pięknej i równie tragicznej twarzy.

- Ach, tak? W porządku. Odchodzę i nigdy już mnie pan nie zobaczy.

- Proszę zaczekać! - Daisy wjechała pomiędzy nich. - O czym wy mówicie? Mam przeczucie, że to dotyczy testamentu, a zatem i mnie!

Wobec tego żądam odpowiedzi. Panno Murphy, jakie warunki odrzucił

mój brat?

- Pani brat zamierza zniszczyć moją karierę, by dowieść w ten sposób niepoczytalności pana Vanaddera. Zaproponowałam, że oficjalnie zrzeknę się praw do spadku po nim, jeśli pan Stuyvesant-French udzieli mi rekomendacji, ułatwiającej mnie i mojej siostrze kontakty z osobami z towarzystwa podczas podróży zagranicznej. Nie przyjął mojej propozycji, więc odchodzę.

- Niech pani zaczeka! Czy to prawda, Edwardzie? - Oczy Daisy były wielkie jak spodki.

- Owszem. To zwykła awanturnica i szantażystka. Nie będziemy się zadawać z kimś takim.

- Ależ to idealne rozwiązanie! Czemuś mi o tym nie powiedział, Edwardzie?

Zarówno Stuyvesant-French, jak i Lawinia spojrzeli na nią ze zdumieniem.

Daisy roześmiała się.

- Nie dostrzegacie tego? Edwardzie, przecież upierasz się, żebym podróżowała, zawierała nowe znajomości. Jeśli udam się z pannami Murphy do Europy, będę miała zapewnione miłe towarzystwo!

Zapadła nagle cisza. Edward odezwał się tonem, który nie wróżył nic dobrego.

- Jeśli myślisz, Daisy, że pozwolę ci podróżować w towarzystwie podobnych osób, to chyba zwariowałaś!

- Do czego podobnych?! Przecież nic o nich nie wiesz! Zapoznajmy się z nimi, zanim zaczniesz je osądzać.

- Nie możesz zadawać się z takimi kobietami, Daisy. Zabraniam ci!

- Też coś! - Panna Vanadder zwróciła się do Lawinii. - Może zechciałaby pani wraz z siostrą odwiedzić mnie jutro po południu?

Lawinia zerknęła na Edwarda, potem na jego siostrę.

- Jeśli mogę być szczerą, panno Vanadder, wolałabym, żeby to raczej pani zechciała przyjąć naszą gościnę, którą pani brat tak ostentacyjnie pogardził. Czy mogę wręczyć pani wizytówkę z adresem i mieć nadzieję, że odwiedzi nas pani jutro o czwartej?

Daisy rozpromieniła się.

- Ach, jakże się cieszę, panno Murphy! Przyznam, że odkąd o pani usłyszałam, umieram wprost z ciekawości, by zobaczyć ten słynny salon!

- Robisz to tylko na złość mnie, Daisy! - Edward piorunował siostrę wzrokiem.

- Częściowo, mój drogi. - Zwróciła się do Lawinii. - Przyznam jednak, że przede wszystkim robię to z ciekawości. Mam bardzo niewielu przyjaciół i zbyt bujną wyobraźnię. Podróż zagraniczna w towarzystwie dwóch doświadczonych spirytystek bardzo mi odpowiada!

Lawinia uśmiechnęła się do Daisy, szczerze ubawiona. Jej czoło wygładziło się, z oczu znikł niepokój. Rozbawiła ją absurdalność sytuacji. Ucisnęła rękę panny Vanadder i zwróciła się do jej brata.

- Moje zaproszenie odnosi się również do pana. Mam nadzieję jutro ujrzeć państwa u siebie.

- Daisy nie przyjdzie, na mnie też nie ma co liczyć - odparł Edward, nie zważając na chichot siostry.

- A zatem do jutra, o czwartej. - Lawinia uśmiechnęła się do Daisy i wyszła, zanim podano herbatę.

Przypominało to spektakl, odgrywany dzień po dniu. O czwartej Jamie znów miał na sobie najlepsze ubranko i znów miętosił kołnierzyk.

Ewa i Fanny w taftowych sukienkach obserwowały chłopca z dwóch końców kanapy. Na stole, nakrytym do herbaty, wszystko było w idealnym porządku. Mimo to Lawinia coraz to upewniała się, czy każda filiżanka, każda kostka cukru, każdy plasterek cytryny prezentują się jak należy.

- Naprawdę nie wierzę, by się zjawili, Lawinio! - wybuchnęła Hazel.

Na dole zadzwieczał dzwonek.

Hazel zrobiła wielkie oczy.

- O Boże! Przyjechali!

Lawinia po raz ostatni zerknęła do lustra. Obejrzała się na dzieci.

Patrzyły na nią posępnie, jakby była pogromcą.

- Uśmiechnąć się, dzieciaki! Musicie ładnie wyglądać. Jamie, zaklinam cię po raz ostami: zostaw ten kołnierz w spokoju!

Jamie schował ręce za siebie. Jak na zawołanie zaczął machać nogami.

Lawinia stanęła koło kominka. Hazel przycupnęła na brzeżku fotela.

Rawl zaanonsował gości.

- Panna Vanadder. Pan Stuyvesant-French.

Serce Lawinii zabiło gwałtownie. Nie pojmowała, czemu jest aż tak zdenerwowana. Daisy Vanadder polubiła ją od razu, czuła to wyraźnie.

Tylko ten człowiek... Nie mógł jej znieść! Spostrzegła to od razu, gdy wszedł do salonu. Minę miał ponurą, pełną dezaprobaty.

- Panno Vanadder, czy mogę pani przedstawić moją siostrę, Hazel Murphy? - Lawinia podprowadziła Hazel do drzwi. Daisy podała jej rękę, po czym wtoczyła się na swym fotelu na środek salonu.

- Jak się nazywają te słodkie dzieciaki? - spytała, zwracając się do Lawinii.

- To Fanny i Ewa - powiedziała Hazel, podchodząc do dziewczynek.

Ewa ześlizgnęła się z kanapy i schroniła w ramionach mamy. Fanny, nieco starsza od niej, patrzyła

bez słowa na kobietę w inwalidzkim fotelu.

- A to jest Jamie - dodała Lawinia, spoglądając na chłopca. Daisy była wyraźnie oczarowana.

- Wiesz, Edwardzie, ten chłopczyk bardzo przypomina ciebie, gdy byłeś w jego wieku. Spójrz na tę groźną minę: musi być z niego niezły urwis!

Panie roześmiały się, a Jamie spytał:

- Szybko się na tym jeździ?

Daisy uśmiechnęła się.

- Na moim fotelu? Dość szybko. Dziwi cię pewnie, że ktoś jeździ na kółkach, zamiast chodzić na nogach, prawda?

- A pani nie umie chodzić? - spytał znów chłopiec.

- Jamie! - zawołała przejęta wstydem Hazel.

Daisy wzięła chłopca za rękę i odwróciła się do obu kobiet.

- Nic się nie stało. Jamie jest po prostu ciekawy. To naturalne w jego wieku. O, mogłabym opowiedzieć o takich wyczynach małego Edwarda, które całkiem zaćmiłyby to drobne *faux pas*.

- Naprawdę? - Lawinia uniosła brew i zerknęła w stronę rozgniewanego mężczyzny, ciągle stojącego w drzwiach.

- Słowo daję! - odparła Daisy. - No, Edwardzie, opowiedz paniom, jak to rzucałeś kamieniami w...

- To z pewnością nikogo nie zainteresuje - przerwał jej brat. Lawinia uśmiechnęła się. Przyjemnie było patrzeć na jego zmieszaną minę!

- Ależ się zagapiłam! Bardzo proszę usiąść, panie Stuyvesant-French.

O, tutaj; na kanapie. - Wskazała mu miejsce pomiędzy Fanny i Ewą.

Edward zawahał się, po czym ruszył we wskazanym kierunku zbyt szybko, jak ktoś, kto próbuje ukryć zmieszanie.

Dwie małe dziewczynki obserwowały bacznie wielkoluda, który usiadł

pomiędzy nimi. On również przyglądał im się podejrzliwie, bez cienia uśmiechu.

Cóż za groteskowy obrazek - myślała Lawinia - ciemnowłosa, wściekły mężczyzna wtłoczony pomiędzy dwa wielkookie aniołki z kokardami i w taftowych sukienkach! Wyglądał nieprawdopodobnie głupio. Lawinia napawała się tym widokiem.



- Może ja zajmę się herbatą? - Hazel spojrzała na siostrę.

- Doskonale - odparła Lawinia, rzucając Stuyvesantowi przekorny uśmiech.

Skrzywił się w odpowiedzi. Lawinia omal nie parsknęła śmiechem, ale wyczytała w jego oczach groźbę. Mimo rozbawienia, poczuła niepokojący dreszcz.

- Czy dzieci pojedą razem z nami? - spytała Daisy, gdy Hazel podała jej filiżankę z herbatą.

Lawinia otworzyła usta, ale nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć.

- No, cóż... Nie możemy ich przecież zostawić...

Hazel dorzuciła nerwowo:

- Jesteśmy nierozłączni, jak rodzina. To sieroty. Lawinia i ja jesteśmy ich jedynymi opiekunkami.

- Uważamy Jamiego, Ewę i Fanny za nasze młodsze rodzeństwo. Nie mogłybyśmy rozstać się z nimi. Nawet zmieniłyśmy im nazwisko: wszyscy nazywają się Murphy! - Lawinia popatrzyła na Edwarda. Wiele by dała, by zetrzeć mu z twarzy ten pogardliwy grymas! Dobrze wiedziała, co mu teraz chodzi po głowie. Większość nowojorskiego towarzystwa myślała podobnie. Fanny i Jamie nie byli ich nieślubnym potomstwem, tylko sierotami z tego samego przytułku co one. I rzeczywiście wszyscy nosili teraz nazwisko Murphy, choć nie dokonano tej zmiany formalnie.

- Jakie to wspaniałe, że wzięły je panie do siebie! - stwierdziła Daisy. -

Mało która samotna kobieta odważyłaby się zaadoptować małe dziecko i narazić się na straszne plotki!

- Jakoś dajemy sobie radę. - Lawinia znów spojrzała na Edwarda.

Pogardliwy grymas nie zniknął. Z pewnością podejrzewał wszystko, co najgorsze. A, do diabła z nim!

- Panno Murphy, kiedy pani, jej siostra i dzieci mogłybyście wyjechać? Ja nie mam żadnych zobowiązań i każdy termin mi odpowiada. Im prędzej, tym lepiej! - Daisy odstawiła filiżankę na stół i splotła grzecznie ręce na podołku.

Perspektywa wyjazdu za granicę i wiążących się z tym korzyści, o których wspomniała poprzednio w rozmowie z Edwardem, wytrąciła Lawinie z równowagi. Właściwie zrezygnowała już z tego projektu, zwłaszcza że Stuyvesant-French nie zjawił się wczoraj u nich w domu. A teraz wszystko zapowiadało się tak cudownie, że wprost nie mogła w to uwierzyć! Napotkała złowrogie spojrzenie zielonych oczu Edwarda i zrozumiała, że ta piękna bajka się nie ziści. On z pewnością wszystko popsuje, choć jeszcze nie wiedziała, w jaki sposób tego dokona.

- Mogłybyśmy wyruszyć w każdej chwili - powiedziała ostrożnie -

gdyby nie sprawa testamentu. - Jej spojrzenie napotkało wzrok Stuyvesanta. - Nie ustaliliśmy jeszcze warunków porozumienia.

Powinny być takie, by zadowolili wszystkich zainteresowanych.

- Oczywiście! - Daisy zwróciła się do brata. - Jutro zarezerwuję bilety na statek, Edwardzie. Może byś wobec tego zabrał dziś pannę Murphy na obiad? Jestem pewna, że przy kieliszku dobrego bordeaux dopracujecie bez trudu wszystkie szczegóły.

- Do stu tysięcy diabłów! - wybuchnął Edward i urwał nagle, ujrawszy minę Ewy. Dziewczynka spoglądała na niego z takim przerażeniem, jakby mu wyrosły rogi.

- No, no, Edwardzie! Żadnych brzydkich słów w obecności dzieci.

- Daisy uśmiechnęła się do Ewy. Dziewczynka odpowiedziała jej nieco drżącym uśmiechem.

Lawinia zasłoniła ręką usta. Stuyvesant-French wydawał się całkowicie zbity z pantałyku, gdy wpatrywał się w dziecięcą twarzyczkę w obramowaniu taftowej wstążki! Ciekawe, czy ktoś uciszył go kiedyś równie skutecznie, jak mała Ewa jednym niewinnym spojrzeniem?

- Prawdę mówiąc, chciałabym posiedzieć tu dłużej i zawrzeć bliższą znajomość z dziećmi. - Daisy machnęła ręką w stronę brata i Lawinii. -

Ruszajcie czym prędzej na obiad! Kiedy pani Hazel i dzieciom znudzi się już moje towarzystwo, Herrington odwiezie mnie do domu.

- Nigdy się nam nie znudzi pani towarzystwo - zapewniła ją Hazel, ale popatrzyła z niepokojem na przybraną siostrę. - Doprawdy, Lawinio, nie wiem, czy powinnaś iść...

- Z Edwardem? - Daisy podjechała do Hazel. - Ależ on jest całkiem oswojony, moja droga! Pani siostrze nic przy nim nie grozi.

Z wyjątkiem tego, że udusi mnie własnymi rękoma, i to z dużą przyjemnością - pomyślała Lawinia, spoglądając na Stuyvesanta. I tak podziwu godne, że nie zionął ogniem z nozdrzy. Ale jego pełne gniewu oczy przypominały rozżarzony nefryt.

- No cóż, idziemy, hrabino? - Uniósł czarną brew.

- Co za urocza propozycja! Wezmę tylko szal. - Ręka Lawinii podniosła się obronnym ruchem do gardła, jakby Stuyvesant mógł ją zabić wzrokiem.

- Pójdziemy pieszo - burknął French do stangreta, który czekał pod domem z brunatnego piaskowca. Następnie ujął Lawinie pod łokieć i poprowadził trotuarem w stronę Czternastej ulicy.

- Dokąd pójdziemy? Do Delmonico? A może do Everarda? - spytała zasapana Lawinia. Gniewna mina Edwarda i jego szybki chód pozbawiły ją tchu.

- Idziemy do mego apartamentu w hotelu. To jedyne miejsce, gdzie będziemy mogli przedyskutować sprawę.

Lawinia zatrzymała się. Chciał ją chwycić za ramię, ale się wyrwała.

- Nie pójdę tam. To niestosowne!

- Jakoś się tym pani nie przejmowała wczoraj, wdzierając się tam bez zapowiedzi! - warknął.

- To było co innego! Chciałam tylko zadać pytanie, usłyszeć odpowiedź i już by mnie nie było. A zresztą, zarówno pańska siostra, jak i Hazel są pewne, że udaliśmy się do jakiejś restauracji. Pańska propozycja jest nie do przyjęcia. - Ciekawe, czy mógł dosłyszeć panikę w jej głosie?

Przechodnie zaczęli przyglądać się parze blokującej chodnik. Było już ciemno. W głębi Piątej Alei Lawinia dostrzegła latarnika, stojącego na drabinie i zapalającego pierwszą z ulicznych lamp.

- Życzy sobie pani, żebym wezwał moich doradców prawnych i żeby cały Nowy Jork dowiedział się o naszej umowie? Doskonale. Idziemy zatem do Delmonico. Założę się, że plotki na ten temat dotrą aż do i Londynu. - Mierzył ją wściekłym wzrokiem.

Mężczyzn, którzy ich mijali, wyraźnie interesowała scena, rozgrywającą się na trotuarze. Gwizdali i pokrzykiwali, ale Lawinia prawie ich nie dostrzegała. Widziała tylko Stuyvesanta i płonący w nim gniew, równie potężny, jak jego postać. Jedno i drugie było wyraźnie widoczne nawet po ciemku.

- Wcale sobie nie życzę towarzystwa prawników. Mówią takim niezrozumiałym językiem! Chcę omówić wszystko wyłącznie z panem. -

Ścisnęła kurczowo torebkę. Czowała się mała i głupia, wdając się z nim w spory na trotuarze, w tłumie ludzi wracających po pracy do domu. Była tylko nic nie znaczącą kobietą, ale zawsze walczyła zażarcie o swoje prawa. I będzie walczyć dalej, jeśli trzeba.

- Idziemy! - Ujął ją pod ramię i pociągnął łagodnie w kierunku północnym, w stronę swego hotelu.

Czy przystał na jej sugestie? O tym przekona się dopiero wówczas, gdy znajdą się w jego apartamencie.

Hotel Piąta Aleja zawsze onieśmiał Lawinie. Był to imponujący budynek, miejsce spotkań panów z nowojorskiej elity, którzy przychodzili tu, by sobie popić i poromansować. Z pewnością nieraz w tym gronie padło także jej imię. Większość klienteli stanowili bogaci mężczyźni i wielu z nich nie ukrywało, że Lawinia bardzo im się podoba. Jednak jej żaden z tych panów nie przypadł do gustu. Trzymała się na dystans i odtrącała wszelkie zaloty. Zresztą ani jeden nie miał

wobec niej uczciwych zamiarów. Gdyby ktoś domyślił się jej pragnień, może przyjęłaby jego propozycję małżeńską, żaden jednak nie wystąpił z podobną ofertą. Po pierwsze, przeważnie byli już żonaci, a po drugie, nie zaliczała się do dam, którym dżentelmeni się oświadczaali.

Teraz Lawinia przestąpiła wreszcie próg słynnego hotelu w męskim towarzystwie i znalazła się w dziwnej sytuacji.

- Wkrótce podadzą nam obiad.

Edward obserwował ją z drugiego końca eleganckiego salonu. Zdjął

kapelusz i zamierzał zrobić to samo z surdudem, gdy dostrzegł

przerażoną minę Lawinii. Widać było w nim jednak coś z dżentelmena, bo pozostał w pełnym stroju.

- Wcale nie musimy jeść obiadu - powiedziała Lawinia, siadając z wahaniem na samym brzeżku obitego skórą fotela. - Wystarczy, że omówimy wszystkie szczegóły, może podpiszemy jakiś dogodny dla obu stron dokument.

- Wyraziłem na to zgodę tylko dla ułagodzenia Daisy. Chyba to pojmujesz, Lawinio? Będę ci mówił po imieniu, dobrze? Nie zawracajmy sobie głowy pustymi formułkami. - Usadowił się wygodnie w głębokim skórzanym fotelu i przyglądał się jej uważnie. - Moja siostra ma w sobie ducha przekory. Z prawdziwą przyjemnością robi mi na złość. Nie mogła znieść Vanaddera. I, możesz w to wierzyć, albo nie, wcale nie pragnie jego pieniędzy. Sama nie wie, co dla niej dobre!

Pieniądze odgrywają w życiu zasadniczą rolę, zwłaszcza gdy się ich nie posiada. - Powiedział to twardo i z goryczą, zdumiewającą u takiego wybrańca losu.

- Wystarczy obustronne wiążące zobowiązanie. - Lawinia pochyliła się ku rozmówcy niemal błagalnie. - Z pewnością pan rozumie, że potrzebny mi pewien fundusz i pańska rekomendacja, O resztę zadbam sama.

- Nie wątpię, że zdołałabyś wiele osiągnąć z pokaznym kontem w banku i listami polecającymi. - Skrzywił się ironicznie i zmierzył ją wzrokiem. Jego oczy zmieniły się w wąskie, mroczne szparki; taksował

ją przenikliwym, brutalnym spojrzeniem. Wcale jej się nie podobały te oględziny.

- Jesteś piękną kobietą, Lawinio. Mężczyźni muszą ci to chyba bez przerwy powtarzać?

Odwrociła się od niego. Chciała jak najszybciej załatwić sprawę i wyjść stąd. Miała już tego dość; igrał z nią jak kot z myszą.

- Słyszałem ich zachwyty na twój temat - ciągnął bez pośpiechu. - Nie wierzyłem, póki sam się z tobą nie zetknąłem. Posiadasz doprawdy zadziwiające talenty, ale nie przypuszczam, byś potrafiła pobudzić zmarłych do życia, chyba że wynalazłaś jakąś specjalną kurację przeciw impotencji.

- Budzi pan we mnie wstręt, panie Stuyvesant-French! - Nawet na niego nie spojrzała. - Może zajmiemy się tym, co powinniśmy przedyskutować?

- Właśnie o tym dyskutujemy. - Edward wstał i oparł się łokciami o gzyms kominka. - Nie dam się wciągnąć w tę farsę. Nawet dla przyjemności Daisy nie zamierzam przedstawiać nikomu ani ciebie, ani twojej siostry jako szacownych dam. Wymień sumę, jaką mam ci zapłacić, a potem zabieraj się do diabła!

- Pańska siostra czuje się osamotniona. Co w tym złego, że dotrzemy jej towarzystwa podczas podróży? A jeśli dzięki znajomości; z Daisy będziemy z Hazel miłej widziane w towarzystwie, cóż to panu; szkodzi?

- Nawet imię mojej siostry w twoich ustach jest dla niej zniewagą! -

Jego zjadliwy ton uraził Lawinie do żywego. - Nie pozwolę, by zadawała się z dziewczkami i bandą ich bękartów!

Zrobiło jej się słabo. Stuyvesant ugodził ją w najczulsze miejsce.

Zawsze potrafił wszystko zepsuć. Najwyższy czas zakończyć to spotkanie!

- Powiedz, ile chcesz, Lawinio. Wystawię czek jeszcze dziś, a ty podpiszesz papiery, które leżą na biurku. - Wskazał je ruchem głowy. -

Potem się rozstaniemy i skończy się ten koszmar.

Lawinia patrzyła na niego i czuła jak zamiera w niej wola walki. Tak, to był nierealny pomysł. Ani ona, ani Hazel nie mają większych szans na zawarcie uczciwego małżeństwa, niż siostra tego człowieka na odzyskanie władzy w nogach! Lawinia poczuła nagle, że głowa pęka jej z bólu. Prawie nic dziś nie jadła i ręce jej się trzęsły. Wszystko się skończyło. Definitywnie. Z tym człowiekiem nie mogła wygrać. Gdy sobie to uświadomiła, poczuła nieoczekiwaną ulgę. Teraz powinna ogarnąć ją radość, ale była tylko zmęczona i pokonana.

- Wezmę od pana pieniądze i podpiszę papiery, panie Stuyvesant-French. - Potarła tętniące skronie. - Ale musi pan przyrzec, że zostawi w spokoju mnie i moją rodzinę.

- Z przyjemnością. - Edward uśmiechnął się. Zęby miał białe jak u wilka. Kiedy się uśmiechał, był nieprzyzwoicie atrakcyjny. Nic dziwnego, że tak dobrze dawał sobie radę z kobietami. - Rozsądna z

ciebie dziewczynka! - mruknął. - Mów mi po imieniu. Chyba już wystarczająco się zaprzyjaźniliśmy, co, Lawinio?

- Proszę mi podać te dokumenty. - Powstrzymała piekące łzy.

Została pokonana, ale nie upokorzy się dodatkowo, płacząc w jego obecności.

- Doskonale. - Stuyvesant wstał i zaczął przerzucać papiery na biurku.

Lawinia ukradkiem otarła łzy.

- Proszę! Jak widzisz, wszystko jest w porządku. Cały majątek przechodzi na własność Daisy, jak mówiłem. - Złożył plik dokumentów na małym stoliku obok fotela Lawinii i podał jej wieczne pióro. Musiała się podpisać chyba z tysiąc razy w miejscach zaznaczonych krzyżykiem.

Kiedy wreszcie uporała się z tym, kręciło jej się w głowie.

- A to dla ciebie. Przekonasz się, że bywam szczodry, nawet w tak niemiłych okolicznościach. - Wręczył jej czek.

Rzuciła okiem, ale informacja nie dotarła do mózgu. Zauważyła tylko, że pieniądze pochodziły z jego osobistego konta w Banku Nowojorskim.

Nie miało to znaczenia. Czy będzie jutro bogata, czy biedna - i tak nic się nie zmieni. Zwykle, przyzwoite życie było dla nich równie niedostępne jak świat duchów, które rzekomo przyzywały. Cóż, hrabina i wielka księżna będą kontynuować swą podejrzaną karierę bez najmniejszej szansy na zdobycie ludzkiego szacunku.

- Dokąd się wybierasz? - spytał Stuyvesant widząc, że wstała i zmierza do wyjścia.

- Chyba załatwiliśmy już wszystko. - Chciała otworzyć drzwi. Znalazł

się nagle przy niej i zdjął jej rękę z klamki.

- Zaprosiłem cię przecież na obiad!

- Nie mam apetytu.

- Wybaczysz mi chyba te wszystkie przykre słowa? Musiałem przecież bronić interesów mojej siostry.

- Tak - szepnęła, odwracając oczy. Nie mogła pozwolić, by w nie spojrział.

- No chodź, zjemy razem obiad. Wypijemy butelkę bordeaux i kto wie, może się zaprzyjaźnimy?

Omam się nie roześmiała. Co za absurdalny pomysł!

- No, chodź! - nalegał miękko.

Spojrzała na niego. Kącik ust uniósł się w krzywym uśmiešku. Oczy spoglądały ciepło. Kiedy prosił w ten sposób, trudno było mu się oprzeć.

Nagle wyobraziła go sobie jako małego chłopca; musiał być równie słodkim urwisem jak Jamie. Nie pojmowała, jak Wilhelm mógł wyrzec się takiego syna! Chyba że z góry wiedział, jaki będzie z niego zimny drań!

- Kieliszeczek wina. Trzeba przypieczętować zawarcie umowy! -

Uścisnął jej rękę.

Rozległo się stukanie do drzwi: przyniesiono obiad. Wkroczył *maitre d'hotel* w towarzystwie dwóch kelnerów. Wtoczono kilka wózków z potrawami i nakryto do obiadu na stole koło okna.

Lawinia powiedziała sobie, że zostanie tylko dlatego, że jest głodna.

Bynajmniej nie dla towarzystwa Stuyvesanta! Ilekroć spojrzała na niego, kipiał w niej gniew. Potraktował ją jak ostatniego śmiecia, pozbawionego człowieczeństwa i wszelkich uczuć. Śmiecia, którego można pozbyć się jednym kopnięciem, w każdej chwili. Suma, którą jej zapłacił, była z pewnością niczym w porównaniu z fortuną, pozostawioną jej przez Wilhelma. Nie miała więc żadnych długów wdzięczności i wcale nie musiała jeść razem z nim obiadu!

Ale *maitre d'hotel* podsunął jej krzesło i zajęła miejsce przy stole. Był

zastawiony jak do królewskiej uczy: kaczka przyprawiona skórką, cytryny, sola z kaparami, cztery gatunki lodów. Obok na małym stoliczku cała góra sałatek. Niekiedy obie z Hazel zabierały dzieci do cukierni przy drogerii Albrite'a i zajadali wówczas różne przysmaki, siedząc przy kontuarze. Nigdy jednak nie była w restauracji hotelowej.

Nie wpuszczano tam samotnych kobiet, a żaden dżentelmen nigdy jej tam nie zaprosił.

Edward wsunął obsłudze kilka banknotów; pozbierali ogrzewacze, tace i wynieśli się. Kiedy usiadł przy stole, spojrzała na niego podejrzliwie.

- Nie lubię jak służba kręci mi się nad głową podczas jedzenia.

- Dlatego pan się ich pozbył? - Spuściła oczy na swój pełny talerz. -

Chyba zbyt szybko się pan pospieszył. Nie mam zamiaru bawić się w kelnerkę.

- W takiej roli jeszcze nie występowałaś? - uśmiechnął się z wyższością.

Kipiąc z gniewu, zabrała się do kaczki. Przysięgła sobie, że nie odezwie się już ani słowem. Usłyszała jednak plusk nalewanego wina.

- Dziękuję, nie - powiedziała, odsuwając kieliszek.

- To znakomite wino. Chateau Margaux. Może już nigdy nie będziesz piła równie dobrego! - Podał jej napełniony po brzegi kieliszek.

Nie wzięła go do ręki.

- Bardzo się dziwię, że pańska siostra podsunęła ten pomysł z dyskusją przy obiedzie. Mogę zrozumieć, że zależy jej na towarzystwie podczas podróży, ale nie pojmuję, czemu chciała, byśmy omawiali ważne sprawy przy winie.

- Lubi takie dowcipy. Ma przewrotne poczucie humoru.

- Co może ją bawić w tej sytuacji?

- Wie, jak bardzo mi się podobasz. - Zabrał się do jedzenia, ale nie spuszczał z niej oczu.

Lawinia nie była w stanie jeść. Oblała się piekącym rumieńcem.

- Nie wmawiaj sobie zbyt wiele, Lawinio! Wszyscy wiedzą, że podoba mi się każda atrakcyjna kobietka. Nie żałuję grosza, ale lubię, żeby wszystko odbyło się szybko i bez konsekwencji. Coś w sam raz dla ciebie!

- Jak pan śmie? - syknęła cicho, patrząc na niego z oburzeniem.

Edward odłożył widelec.

- No widzisz! Siedzisz tu jak uosobienie znieważonej cnoty. Twoje milczenie, wyraz twarzy, cała postawa, wszystko to jest jawnym wyrzutem dla gruboskórnego brutala! O Boże, jak możesz mieć mi za złe, że czuję pociąg do tak wspaniałej aktorki?

- Równocześnie pochlebia mi pan i uwłacza - odparła. - Doprawdy nie pojmuję, czego pan właściwie chce?

- Już mam to, czego chcę: uwolniłem Daisy od twego wpływu. Sam też się spod niego wyrwałem. - Oczy mu spochmurniały. - A teraz mam szansę ustawić nasze wzajemne stosunki na właściwej płaszczyźnie.

- Nie sądzę, żeby to było możliwe, panie Stuyvesant-French. -

Podniosła się znowu z miejsca.

Zmusił ją, by znów usiadła.

- Masz mi mówić: Edwardzie!

- Wobec tego... puść mnie, Edwardzie!



- Nie musisz już odgrywać przede mną tej komedii. Przyłapałem cię na oszustwie, zapomniałaś? Widziałem cię ucharakteryzowaną na ducha, dotykałem twego śmiertelnego całunu, obejmowałem cię. Nie miałaś na sobie gorsetu. Nie możesz już udawać niewiniątka. Zbyt dobrze cię znam! Twoją profesją jest zwodzenie mężczyzn i umiłanie im życia.

Teraz właśnie mam ochotę na to drugie.

- Wobec tego rozczarujesz się.

Roześmiał się.

- Czyżby? Nie sądzę. Od wieków kojarzono powinowactwo duchowe z pociągami zmysłowym. Jestem pewien, że potrafisz po mistrzowsku łączyć jedno z drugim.

Lawinii zaschło w ustach. Poczła coś dziwnego w dolnej części brzucha. Podniecenie wzmogło jeszcze jej strach. Wszystko wirowało wokół niej, nie mogła nad tym zapanować, a przecież nawet nie skosztowała wina!

- Naprawdę muszę już wracać. Hazel...

- Hazel bawi się teraz doskonale w towarzystwie mojej siostry, która, nawiasem mówiąc, ma ogromne poczucie humoru. Nasz obiad jest najlepszym tego dowodem. - Ruchem głowy wskazał jej kieliszek. -

Napij się: mamy tego znacznie więcej.

- Fałszywie mnie pan osądza - powiedziała, patrząc na drzwi.

- Doprawdy? A kimże był ten mężczyzna, z którym rozmawiałaś na ulicy, nim spotkałaś się ze mną pośrodku skweru? Albo ten drugi facet, zdaje się dorożkarz? Przyłapałem cię w jego objęciach, gdy zjawiłem się bez uprzedzenia w twoim salonie. A teraz udajesz przede mną cnotkę?!

- Nie jestem ladaczną bez serca i bez sumienia, panie Stuyvesant-French. Jestem kobietą, która musi walczyć.

- A ponadto duchem i medium w jednej osobie! I jasnowidząca, która czyta w myślach! Trudno się połapać we wszystkich twoich rolach. -

Pochylił się ku niej i kostkami palców musnął jej policzek. Jego ręka była tak rozpalona, że Lawinia aż się wzdrygnęła. - Zdrowy rozsądek podpowiada mi, że są one tylko przykrywką dla innej, wspaniałej kreacji!

- A pan, panie Stuyvesant-French? Czy potrafiłby pan oddać serce jednej kobiecie i związać się z nią na zawsze? Pański ojciec nie był do tego zdolny. Sądzę, że z panem jest tak samo, i dlatego wolę trzymać się od pana z daleka.

Edwardowi zadrgał mięsień na policzku.

- Jeszcze i to! Popeliłaś teraz niewybaczalny błąd, porównując mnie z Vanadderem!

- Powiedziano mi, że jest pan uderzająco podobny do swego ojca.

Wiedziała, że wstępuje na niebezpieczny grunt, ale nie mogła się powstrzymać. Musiała się jakoś bronić, a w tej chwili jedyną metodą obrony mógł być atak.

- Kto ci to powiedział? - Każde słowo było jak kłapnięcie wilczych kłów, rozdzierających ciało.

- Człowiek, z którym rozmawiałam w parku tuż przed spotkaniem z panem. - Zniżyła głos do szeptu. - Ten, który kochał Alicję.

Gniew ogarnął go niczym pożar. Zielone oczy sypały iskry. Usta zacisnęły się w twardą linię.

- Z nim także igrasz?! - powiedział równie cicho jak ona.

- Z nikim nie igram.

- Nie?! Pytam, czy karmisz go swoimi podłymi kłamstwami!

- Potrzebował pociechy.

- Więc mu ją dałaś bez oporów, co?

- Nie chodziło o zaspokojenie zmysłów, ale o wyzwolenie z duchowej udręki.

Przyciągnął ją do siebie i objął żelaznym ramieniem. Lawinia wrywała się, ale nic to nie dało. Trzymał ją mocno. Gdy się odezwał, gorący oddech muskał jej kark.

- A jakimiż to kłamstwami wyzwoliłaś go z duchowej udręki? Gadaj.

- Przysięgam, że nie okłamywałam go. - Pchnęła go w pierś, starając się uwolnić, ale uścisk ramienia wokół jej talii jeszcze się zacieśnił

Prawie nie mogła oddychać.

- Korneliusz Cook to porządny człowiek. Bardzo nieszczęśliwy człowiek. Nie miałaś prawa zerować na jego tragedii!

- Nie zerowałam! Chciałam mu tylko pomóc - wykrztusiła. Płacz i strach ścisnęły ją za gardło.

Objął dłońmi jej głowę, przechylił ją na bok i długo wpatrywał się w jej twarz. Usiłował znaleźć na niej ślady fałszu, wyrafinowanego kłamstwa. Nie było żadnych. Lawinia mówiła prawdę.

- O, Boże!... Jak ty doskonale kłamiesz!... Twoja twarz jest taka słodka... taka piękna... Nawet ja chciałbym ci wierzyć. - Był to ledwie dosłyszalny szept.

- Powinieneś mi wierzyć.

- Twoje sztuczki są ohydne!

Ramię Edwarda omal nie zgruchotało jej klatki piersiowej. Był tak wściekły, że mógł jej naprawdę wyrządzić krzywdę.

- Wysłuchaj mnie! - prosiła cicho, z twarzą przy jego twarzy, niemal dotykając go ustami. - To, co powiedziałam twojemu przyjacielowi, mógłby równie dobrze powiedzieć ksiądz do kogoś pogrążonego w żałobie. Wcale go nie oszukiwałam!

- Coś mu powiedziała? - Ciało Edwarda było jak napięta sprężyna, która w każdej chwili może pęknąć.

- Powiedziałam mu coś, w co sama rozpaczliwie pragnę wierzyć.

- A mianowicie?

Spojrzała mu prosto w oczy. Była przerażona własną bezsilnością.

Wzdragala się przed tym wyznaniem.

- Powiedziałam, by wierzył w miłość, która przetrwa nawet śmierć.

Niezwykle powoli, niemal niedostrzegalnie, uścisk ramienia wokół jej pasa stawał się coraz słabszy. Usta Edwarda znalazły się tak blisko jej ust, że sądziła, iż ją pocałuje. Nie pojmowała też, czemu nie wyrywa się i nie ucieka?

Oparł głowę na jej ramieniu. Oddychał głęboko, powoli, jakby upajał

się zapachem jej włosów.

- Edwardzie... - szepnęła. Jego imię wydało jej się dobrze znajome i obce zarazem.

- Dobrze wiem, kim jesteś! - Znów objął ją w pasie i przycisnął do siebie, ale jego głowa spoczywała nadal na ramieniu Lawinii, jakby na znak poddania. - Przejrzałem cię na wylot! A jednak, kiedy jestem przy tobie, marzę o tym, żeby to nie było prawdą...

Serce biło jej jak oszalałe. Przez sekundę pragnęła przesunąć ręką po jego ciemnych, krótkich włosach. Dotknięcie, pieszczota wydawały się czymś tak naturalnym! Jej ręce aż się do tego wyrywały. Lawinia wiedziała jednak zbyt dobrze, czym by się to skończyło.

- Może twój rozsądek prowadzi cię na manowce? - szepnęła bezradnie.

- Życie mnie nauczyło, że nie wolno kierować się sercem.

Oczy Lawinii napęłniły się nagle łzami.

- A może ty nie masz serca?...

Wszystkie mięśnie jego ciała napięły się.

- Nie jestem taki jak mój ojciec!

- Przekonaj mnie o tym!

Lawinia nie mogła wprost uwierzyć, że to powiedziała. Przecież to była wyraźna prowokacja! Wiązanie się z tym człowiekiem byłoby szaleństwem. Dobrze wiedziała, jaki bywał okrutny. Czowała jednak, jak bardzo ten mężczyzna ją pociąga. Z każdą chwilą, którą spędzili razem, ten pociąg rósł i dręczył ją uludą szczęścia, przekraczającego granice doznań fizycznych, unoszącego do krainy znanej jej tylko z marzeń.

Edward podniósł głowę. Jego spojrzenie było twarde: żądza mieszała się w nim z gniewem. Wydawało się, że toczy walkę z samym sobą.

Przesunął językiem po zębach, jak ktoś spragniony pocałunku.

Lawinia przymknęła oczy. W głębi duszy wiedziała, że i ona tego pragnie. Po raz pierwszy w życiu zapomniała o zdrowym rozsądku.

Wszystko, co się w tej chwili działo, było z nim sprzeczne. Pragnęła iść za głosem serca. Żyło w niej tylko wspomnienie ust Edwarda, gdy całował ją podczas seansu.

Chciała znów poczuć dotyk jego warg. Tylko jego! Prócz Edwarda Stuyvesanta nie istniał dla niej żaden mężczyzna.

I nagle, bez ostrzeżenia, znów stała na własnych nogach, a Edward ciągnął ją do drzwi. Jego brutalne zachowanie podziało ją jak kule lodowatej wody, wylanej na rozpaloną skórę.

ludowatej wody, wylanej na rozpaloną skórę.

- Wynoś się stąd i nie wracaj, bo rozszarpie cię na strzępy! Nie doczekasz się ode mnie litości. - Dyszał ciężko, jakby zmagając się z jakimś zwierzęcym impulsem. Wetknął Lawinii torebkę do ręki i popchnął ją ku drzwiom.

- Co się stało? - Język odmawiał jej posłuszeństwa. Słowa nie chciały przejść przez gardło. Szok był tak silny, że czuła się jak ktoś nagle obudzony ze snu.

- Nie jestem taki jak mój ojciec: nie skrzywdzę cię. - Przysunął się bliżej, ale tym razem nie po to, by uwodzić, ale by grozić. - Nie stawaj mi więcej na drodze, bo następnym razem nie będę się zastanawiał, czy masz jakieś ludzkie uczucia. - Chwycił ją za brodę. - Spojrzę tylko na ładną buzię i dobiore się do dziwki, która w tobie drzemie! Nic mnie to nie obejdzie, czy sprawię ci ból, czy nie!

Lawinia cofnęła się. Przez uchylone drzwi dostrzegła jednego z kelnerów: stał na korytarzu i obserwował ich. Przyłapany na gorącym uczynku wrósł w ziemię i zbladł jak płótno.

Poczuła się upokorzona do głębi serca. Ból odtrącenia jeszcze się pogłębił. Oczami pełnymi łez

popatrzyła po raz ostatni na Edwarda Stuyvesanta. Na jego twarzy znów dostrzegła pogardę. Rozpłakała się i wybiegła z pokoju. Ani razu nie obejrzała się za siebie.

Edward nie słyszał walenia do drzwi. W apartamencie nadal płonęły lampy gazowe. Pewnie one zdradziły jego obecność.

- French! Jesteś tam, French? Portier mówi, że nie opuszczałeś hotelu!

Edward podniósł ukrytą w dłoniach głowę i podszedł do drzwi. Otworzył

je: na progu stał Korneliusz.

- Co tu się działo dziś wieczorem? - dopytywał się Cook ze zmarszczonym czołem. - Daisy powiedziała, że widziała powrót Lawinii Murphy do domu. Dziewczyna była podobno śmiertelnie blada i natychmiast położyła się do łóżka.

- Cóż, ona i ja jesteśmy jak olej i woda: nie do połączenia.

- Zdarzyło się coś złego?

- Nie będzie żadnych niemiłych konsekwencji, jeśli to masz na myśli. -

Edward potarł brodę. Jego oczy nie zdradzały niczego.

Korneliusz wyraźnie się odprężył. Edward odsunął się wreszcie od drzwi i pozwolił przyjacielowi wejść do środka. Ruchem głowy wskazał

stół z nietkniętą kolacją.

- Chcesz się poczęstować?

Starszy pan sięgnął po butelkę wina i zerknął na pełne kieliszki.

- Nie wypiliście ani kropli, a pokłóciliście się?

- Nie powinna ci była nic mówić tamtej nocy na skwerze.

Cook wyraźnie stracił ducha.

- Poznałeś mnie? Miałem nadzieję, że nas nie zauważysz.

- Nie poznałem. Dopiero ona powiedziała mi dzisiaj, że to byłeś ty. -

Edward nie patrzył na przyjaciela. - I o co ją prosiłeś.

Korneliusz opadł na krzesło. W ciągu kilku sekund przeobraził się w zgrzybiałego starca.

- Wolałbym, żebyś o tym zapomniał, French.

- Już zapomniałem. - W spojrzeniu Stuyvesanta błysnęła mściwość. - I o niej też!

- Może tak będzie lepiej.

Edward wziął głęboki oddech.

- Mam już wszystkie papiery. Nareszcie Daisy Vanadder została jedną z najbogatszych kobiet w tym mieście! - Popatrzył na swego towarzysza.

- Ona lęka się tego bogactwa, French. Wiesz o tym, prawda? Obawia się wampirów, których zwabi zapach pieniędzy.

- Znajdzie się także ktoś, komu zależeć będzie tylko na niej.

- Daisy jest bardzo samotna. Nie ma przyjaciół, których mogłaby się poradzić. Jest bezbronna... całkowicie bezbronna. I zdaje sobie z tego sprawę.

- Zawsze może liczyć na mnie.

- Jesteś jej przyrodnim bratem, Edwardzie. Mężczyzną. Nie może rozmawiać z tobą na wszystkie tematy. Potrzeba jej towarzystwa kobiet; Życzliwych kobiet!

Stuyvesant-French zdusił w sobie gniew.

- Nie pojedzie za granicę z tymi Murphy! Kategorycznie zabraniam!

- Ale tak je polubiła...

- Nie pojedzie i już! Koniec dyskusji. - Edward rzucił przyjacielowi gniewne spojrzenie.

Korneliusz popatrzył na niego. Nie powiedział ani słowa. Ciężko westchnął.

*Sny dają początek wszelkiej ludzkiej wiedzy. W snach można przerzucić wątłą kładkę, nad bezdenną przepaścią pomiędzy duchem a duchem, pomiędzy tym światem a zaświatami.*

Edward Bulwier Lytton

Lawinia przewróciła się na bok i popatrzyła na pastelowo niebieskie ściany swej sypialni; jej oczy powędrowały krętym szlakiem złotego greckiego meandra, wymalowanego pod gzymsem. Stylizowane, załamujące się pod kątem prostym fale zmierzały ku nieskończoności, by wrócić znów na to samo miejsce. Nieuchronny powrót do samego początku: zhora jej życia.

- Obudziłaś się? - z kąta pokoju dobiegł szept Hazel. Lawinia zwróciła głowę w tamtą stronę.

Gładkie czoło przyjaciółki przecinała zmarszczka.

- Czy to już rano? - spytała Lawinia.

- Spałaś jak zabita! Dochodzi południe. - Hazel wstała z krzesła i przycupnęła na brzegu łóżka. - Źle się czujesz? Czy to było... Jak ci poszła rozmowa ze Stuyvesantem?

Lawinia przykryła głowę kołdrą. Jej włosy były straszliwie skołtunione. Wieczorem nie miała siły spleść ich porządnie w warkocz i teraz gorzko tego żałowała.

- Jeśli nie chcesz o tym mówić, to nie mów - powiedziała spokojnie Hazel.

- Miałam tej nocy dziwny sen - powiedziała Lawinia. Jej oczy były mroczne i dalekie. - Pamiętasz, jak mi się kiedyś przyśniło, że Fanny zginęła?

Hazel znieruchomiała.

- I obudziłaś się z krzykiem: „Ona jest w skrzyni!”

- Tak... - Lawinia skrzyżowała ręce na piersi, jakby przejął ją zimny dreszcz. - A potem tego samego lata, pamiętasz? Fanny odłączyła się od reszty, kiedy byliśmy w parku.

- Wszyscy jej szukali! Byłam przerażona. Rawl i Jamie po prostu szaleli. - Zmarszczka na czole Hazel pogłębiła się. - A Fanny wróciła do domu i postanowiła schować się w skrzyni. Jakoś jej się udało ją otworzyć, ale wieko było za ciężkie i zupełnie nie mogła go podnieść, kiedy chciała stamtąd wyjść! Udusiłaby się, gdybyśmy jej nie znaleźli.

- Strasznie się wtedy bałam - szepnęła Lawinia.

- Ale przecież to właśnie ty pobiegłaś do domu i zajrzałaś do skrzyni!

To ty ocaliłaś życie Fanny! Ty i twój sen. - Hazel wstała i zaczęła krążyć po pokoju. - A jeszcze

dawniej śniło ci się, że będę miała małą córeczkę. No i mam. A kiedy ją rodziłam, to przecież ty kazałaś akuszerce, żeby odcięła pępowinę, bo zacisnęła się na szyjce dziecka, choć szło pupcią naprzód. Powiedziałaś, że ci się to przyśniło. I rzeczywiście, Ewa omal się nie udusiła!

- Ten wczorajszy sen nie miał nic wspólnego z tobą ani z dziećmi.

Hazel przysiadła znów na skraju łóżka.

- No to czemu tak się nim przejmujesz?

Lawinia szepnęła ponuro:

- Pamiętam tylko jakieś strzępki... Było bardzo gorąco. Wiał straszny wiatr i tak wył! A ze mną był Stuyvesant. Miał włosy całkiem mokre od deszczu. - Przekręciła się na brzuch i objęła poduszkę obiema rękami. -

W tym dziwnym miejscu był hamak. Zwykły hamak. A on... - Ukryła twarz w pościeli. - Nienawidzę go! Nienawidzę z całego serca! I bardzo jestem rada, że go już nigdy nie zobaczę!

- Och, Lawinio - westchnęła cicho Hazel. - Naprawdę nie musisz się z nim spotykać! Zapomnimy o tych ludziach, choćby jego siostra obiecywała nam złote góry. Nie pozwolę, żeby spotkało ciebie to samo co mnie!

Lawinia uniosła głowę z poduszki.

- Co nam obiecywała Daisy? O czym ty mówisz?

- Spójrz, przysłała nam to dziś rano. - Hazel wyjęła z kieszeni szlafroka arkusik mięsistego welinu.

Lawinia przeczytała:

PANNA DAISY VANADDER

MA ZASZCZYT ZAPROSIĆ SZANOWNE PANIE

NA OBIAD

W NAJBLIŻSZY CZWARTEK

O SIÓDMEJ WIECZÓR.

U góry nagryzmołono: *Edwarda nie będzie!*

- Daisy Vanadder to przemiła dziewczyna. - Twarz Lawinii złagodniała. - Nie możemy jej odmówić. Tak bardzo jest spragniona przyjaźni!

- Tak, ale jeżeli jej brat mimo wszystko się zjawi? - Hazel zawzięcie gryzła wargę.



- To z pewnością nie będzie huczne przyjęcie. Nie zapominaj, że Daisy jest ciągle w żałobie po ojcu. Nie sądzę, żebyśmy wpadły na Edwarda.

- Daisy nie powinna zawracać sobie głowy żałobą: Vanadder ją okropnie traktował!

Lawinia skinęła głową.

- Był okrutny... dla obojga swoich dzieci.

- Dziwię się, że stać cię jeszcze na współczucie dla Stuyvesanta! -

Hazel bacznie obserwowała przyjaciółkę.

- Wcale nie mam dla niego współczucia! - Lawinia odwróciła głowę. -

To potwór! Pewnie nie włoży nawet czarnej opaski po Wilhelmie!

- Lubi szokować ludzi, prawda?

- I to jak! Ale jestem pewna, że Daisy zachowa się właściwie, zwłaszcza teraz. Dziedziczy wszystko po ojcu, Hazel! Oficjalnie zrzekłam się wczoraj spadku na jej korzyść. Podpisałam wszystko. Nie byłam w stanie dłużej z nim walczyć.

- O! - wykrzyknęła Hazel z niespokojną miną.

- Dał mi w zamian czek. Mam go w torebce. Jakieś nędzne grosze, ale wzięłam. Zawsze to pewne zadośćuczynienie za wszystkie nasze kłopoty.

Hazel podniosła torebkę leżącą na biurku.

- Dziś zaniosę czek do banku, gdy wyjdę po sprawunki. Na jaką sumę opiewa? Wyjęła z torby kartkę papieru. Wyrwał się jej zduszony jęk.

- Co się stało? - spytała Lawinia i siadła na łóżku.

- Czyś ty w ogóle na to spojrzała? - spytała Hazel podniecona.

- Co on znowu zrobił?! - jęknęła Lawinia.

- Zrobił z nas bogaczki! Popatrz tylko! Przyjrzyj się temu czekowi!

Hazel podbiegła do łóżka. Lawinia wzięła od niej świstek papieru.

Ujrzała kwotę wypisaną wyraźnym pismem i zrobiła wielkie oczy.

- Jesteśmy bogate, Lawinio! - stwierdziła Hazel, przeliczając jeszcze raz wszystkie zera. - Zupełnie nie rozumiem, czemu on to zrobił, ale jesteśmy bogate!

Lawinia zmarszczyła brwi. Sięgnęła znów po czek i sprawdziła jeszcze raz wypisaną na nim sumę, by przekonać się, czy jej oczy nie mylą. Nie myliły.

- Możemy teraz pojechać z Daisy do Europy, i to na własny koszt! -

wykrzyknęła Hazel.

- Niestety, nie. Musiałam przyrzec Stuyvesantowi, że zostawimy jego siostrę w spokoju.

Hazel roześmiała się.

- Wiesz? Ucięliśmy sobie wczoraj wieczorem dłuższą pogawędkę z Daisy Vanadder i mogę cię zapewnić, że to ona nie zostawi nas w spokoju! Uparła się, że będziemy jej towarzyszyły do Europy i zobaczysz, że tak się stanie! Gdybyśmy podróżowały razem z nią, nie potrzebowałybyśmy żadnych innych rekomendacji.

- Jeśli przyjęliśmy czek Stuyvesanta, musimy zastosować się do jego życzeń. Po prostu musimy!

Hazel wzniosła ręce do góry błagalnym gestem.

- Ale ja tak lubię Daisy! I wiem, że ty też ją polubiłaś. Mamy ją odtrącić i zranić jej uczucia z powodu idiotycznych wymagań, stawianych przez jej brata?!

Tym razem Lawinia przygryzła w zadumie wargę.

- Sama nie wiem, co robić.

- Będzie jej strasznie przykro, jeśli odwrócimy się od niej z racji głupiego czeku od jej brata! Nie możemy jej tego zrobić, Lawinio!

- Co za galimatias! Nienawidzę tego człowieka!

- Ale co z tym skromnym obiadkiem u Daisy? Stuyvesanta na nim nie będzie. I nie zapominaj, że Daisy jest w żałobie. Z pewnością nie zaprosiła wielu gości.

Lawinia jęknęła.

- No, dobrze. Pójdziemy na ten obiad. Wiem, że to nie w porządku, ale nie potrafię zrobić Daisy takiej przykrości. - Rzuciła przybranej siostrze niespokojne spojrzenie. - Ale pamiętaj: ostrzegałam cię! Zapowiedział

wyraźnie, żebyśmy trzymały się z daleka od jego ukochanej siostry.

Jeżeli się dowie, że nie dotrzymujemy warunków umowy, rozpęta się prawdziwe piekło!

- Znacznie bardziej się niepokoję twoim snem niż tym obiadkiem u Daisy! - Hazel zamilkła na chwilę. - Gdybyś mogła jakimś cudem spieniężyć swoje prorocze sny, Lawinio, miałybyśmy po raz

pierwszy uczciwy zarobek.

- Niestety, snów nie da się sprzedać. - Lawinia przymknęła oczy. -

Gdyby mi kiedyś przyszła ochota kupić hamak, obiecaj, że mi to wybijesz z głowy!

Hazel roześmiała się nerwowo.

- Na pewno cię powstrzymam, daję słowo!

Daisy obserwowała służących, którzy krążyli w tę i z powrotem po korytarzu wiodącym do zachodniego skrzydła, niosąc ciężkie płócienne pokrowce. Wskazała im osiem pokoi gościnnych i poleciła:

- Proszę pozakrywać wszystkie meble. Bóg raczy wiedzieć, kiedy tu wrócę!

- Co tu się dzieje? - zawołał Edward, wbiegając po schodach, po dwa stopnie naraz.

- A jak ci się wydaje? Zamykam dom na czas mojej nieobecności.

Wszyscy tak robią przed wyjazdem, nieprawdaż?

- Owszem, ale jeszcze nie sfinalizowaliśmy... - Urwał nagle i popatrzył

na siostrę. Przyjrzał się jej uważnie: była odziana od stóp do głów w matową czerń. Jediną ozdobę stanowił dyskretny wzorek z dżetów na kołnierzyku i wokół zapięcia. - Nie sądzę, Daisy, by warto było zakładać po nim żałobę - powiedział szorstko.

Daisy popatrzyła na swój strój.

- Po ojcu? Chyba rzeczywiście nie bardzo na to zasłużył. Ale cały Nowy Jork spodziewa się tego po mnie, więc muszę spełnić te oczekiwania.

- I masz zamiar nosić przez pół roku żałobę... po nim?! - Edward nie krył niedowierzania.

- Dziedzicę po nim cały majątek, Edwardzie. Dzięki twoim machinacjom. Jak by to wyglądało, gdyby jedyna spadkobierczyni nie nosiła żałoby po ojcu?

Oczy Edwarda spochmurniały.

- Nie zrobiłem tego po to, żebyś chodziła w okropnych czarnych sukienkach i zamknęła rezydencję na cztery spusty! Czy nadal chodzi ci po głowie ten idiotyczny pomysł z domkiem w górach?

- Jesteś strasznie irytujący, Edwardzie, kiedy okazujesz mi pogardliwą wyższość, wiesz?

Z trudem powstrzymał się od zjadliwej odpowiedzi.

- Nie okazuję ci żadnej wyższości. Po prostu nie rozumiem, co ty wyprawiasz?

- Wstępuję na drogę grzesznych uciech, ot co! - uśmiechnęła się Daisy. - Zamykam dom w Nowym Jorku, bo mam nadzieję, że za miesiąc będę już w Londynie. A jeśli idzie o te „okropne czarne sukienki”, no cóż... Nowojorskie towarzystwo spodziewa się, że będę je nosiła, ale wątpię, czy ktokolwiek zgorszy się, widząc mnie na statku w nieco jaśniejszym stroju. A kiedy dotrzemy do Europy, może rozstanę się z żalobą na dobre. Co o tym myślisz?

Edward uśmiechnął się do siostry.

- *Mea culpa!* Kiedy ruszamy na podbój Europy?

- Chciałabym znaleźć się na pokładzie „Maritimusa” pod koniec tygodnia. Odpływa do Londynu w poniedziałek.

- Jeszcze dziś zarezerwuję dla nas kajuty, jeśli chcesz.

Daisy wzdrygnęła się lekko, jakby przyłapana na gorącym uczynku.

- Wiesz, załatwiłam już wszystko, co trzeba. Zarezerwowałam nawet kabinę dla Korneliusza. Myślisz, że zgodzi się nam towarzyszyć? Marzę o tym!

Edward dotknął pieszczotliwie jej policzka.

- Jestem pewien, że będzie dumny, mogąc oprowadzać cię po miastach Europy. Tak samo jak ja.

Przytuliła się do jego ręki i westchnęła.

- Taki jesteś dobry dla mnie. Czemu ukrywasz przed wszystkimi swoją prawdziwą naturę?

- Na nikim innym mi nie zależy - odparł z nutką dziwnej goryczy w głosie.

Daisy nic na to nie odpowiedziała.

- To jest przepyszne! Wprost nie do uwierzenia! Mogłabym spałaszować całe ciasto! - unosiła się Hazel.

Lawinia skończyła deser i spojrzała przez stół na siedzącego naprzeciw niej dżentelmena. Nazywał się Korneliusz Cook. W końcu zostali sobie oficjalnie przedstawieni. Był dziś jedynym, oprócz nich, gościem Daisy.

- To rzeczywiście wyborne, Daisy. Twój szef kuchni, Pierre, z pewnością rozpacza, że zamykasz rezydencję - powiedział Cook, sięgając dyskretnie po porto.

- Zabieram Pierre'a ze sobą. Podobnie jak wiele innych osób, bez których nie mogłabym się obejść. - Daisy mrugnęła znacząco. - Jakie to podniecające, prawda? Cały ten wyjazd za granicę!

Lawinia uśmiechnęła się. Obiad był obfity i pyszny, nadał jednak nie wiedziała, co było powodem zaproszenia. Daisy Vanadder miała pełne ręce roboty przed wyjazdem do Europy; szyła sobie nową

garderobę i snuła plany podróży. Czemu więc jeszcze zawracała sobie głowę organizowaniem przyjęcia, choćby na tak niewielką skałę? To nie miało przecież sensu!

- Najwyższa pora uchylić rąbka tajemnicy! - Daisy wypła łyk herbaty.

Popatrzyła na troje gości, siedzących przy stole. - Zarezerwowałam ci, Korneliuszu, kajutę na „Maritimusie”. I jeszcze pięć innych: dla ciebie, Hazel, dla ciebie, Lawinio, dla waszego przemiłego majordomusa, dla dzieci i dla ich guwernantki.

Hazel otworzyła usta ze zdumienia. Korneliusz Cook popatrzył na Lawinie.

Mało brakowało, a zerwałaby się od stołu w popłochu. Opanowała się jednak i powiedziała z namysłem:

- Dobrze wiesz, Daisy, że z największą przyjemnością dotrzymaniśmy ci towarzystwa, ale twój brat wyraźnie...

- Też coś! Edward nie ma tu nic do powiedzenia! - odparła Daisy. -

Czyż nie jestem teraz milionerką? Nie muszę się z nikim liczyć! Wasze towarzystwo sprawiłoby mi tyle radości! Nie mam przecież rodziny ani prawdziwych przyjaciół. Stokroć wolę podróżować z wami i waszą rodziną niż samotnie!

- Tak, ale my nie możemy ci towarzyszyć. Nie wolno ci ze względu na nas wyrzekać się braterskiej opieki! Poza tym... - Lawinia z trudem przełknęła ślinę. Nerwy miała napięte jak struny. - Poza tym, gdy zawierałam z panem Stuyvesantem porozumienie co do testamentu, postawił wyraźny warunek: nie ma mowy o wspólnym wyjeździe za granicę. Nie możemy narzucać ci się ze swoim towarzystwem.

- Znowu się rządzi jak szara gęś, co?

Lawinia spostrzegła z ogromną ulgą, że Daisy nie poczuła się wcale urażona. Raczej ją to rozśmieszyło.

- Dałaś mu słowo? - ciągnęła dalej. - Doskonale! Wcale nie musisz go łamać. Ale ja mam prawo, nie pytając go o pozwolenie, zapraszać was do siebie, a wy nie musicie odrzucać moich zaproszeń, otrzymanych już po zakończeniu wszelkich układów! Nie mam racji? Tego chyba nie było w umowie, prawda?

- Nie było... - przyznała z wahaniem Lawinia.

- No i układ z Edwardem nie zabrania wam chyba samodzielnego wyjazdu za granicę? Może się przecież zdarzyć, że wasza rodzinka znajdzie się przypadkiem na pokładzie tego samego statku, którym popłynie Korneliusz i ja! Nie mam racji?

- Może i masz - Lawinia złożyła błagalnie ręce - ale twój brat wyrzuci nas za burtę, kiedy zobaczy, co się święci!

- Chciałbym to zobaczyć! - zachichotał Cook. Daisy spiorunowała go wzrokiem.

- Doprawdy nie pojmuję, czemu wszyscy tak się boją Edwarda?! Co on ma tu w ogóle do gadania? Co w tym złego, że rodzina Murphych postanowi wydać swe niedawno zdobyte pieniądze na podróż do Anglii?

- Święte słowa! - odezwała się Hazel, nabierając pewności siebie. -

Czyż ona nie ma racji, Lawinio? Mamy przecież prawo udać się, dokąd chcemy, prawda? Znacznie lepiej podróżować z kimś, kto pomoże nam nawiązać właściwe znajomości! Wiesz dobrze, że same nie zdołałybyśmy tego dokonać!

- Wszystko to bardzo piękne - odparła zniecierpliwiona Lawinia - ale moim zdaniem zupełnie nierealne!

- Boisz się, że będę wam ciężarem?

Zapadło przykre milczenie. Swobodny nastrój prysnął. Na oczach Lawinii z Daisy uchodziło życie. Była załamana. Lawinia poczuła, że coś ją ścisną w gardle.

- Rozumiem, że nie masz ochoty ze mną podróżować - mówiła dalej Daisy. - To musi być okropnie krępujące...

- Bzdura! - Lawinia krzyknęła tak głośno, że aż się zawstydziała.

Wzięła się w garść. Przemogła dławienie w gardle i powiedziała spokojniejszym tonem: - Ależ Daisy! Nie chodzi wcale o ciebie. Wierz mi! Ani o ciebie, ani o twój inwalidzki fotel, ani o nic podobnego! Nie masz pojęcia, jak bardzo byśmy chciały, Hazel i ja, podróżować razem z tobą! Nigdy nie byliśmy w Europie. Nie mamy żadnych znajomości. A ty, co prawda, żyłaś dotąd w ukryciu, ale twój ojciec był ogólnie znany i ludzie będą stawać na głowie, byś przyjęła ich zaproszenie!

- Ze względu na moje pieniądze?

- I na pieniądze, i na... - Lawinia znowu zamilkła. Wszystko tak się już poplątało, że nie miała pojęcia, jak z tego wybrnąć.

Daisy uśmiechnęła się wreszcie.

- Nie martw się, Lawinio. Sama orientuję się w sytuacji. Kiedy człowiek spędza całe życie na fotelu inwalidzkim, nie ma zbyt wielu złudzeń.

- Ale nam zależy na tobie, nie na twoich pieniądzach!

- Wiem - odparła spokojnie Daisy. - I właśnie dlatego pragnę, żebyście mi towarzyszyły. Wykorzystajcie moją pozycję „bogatej panny Vanadder”, by zapewnić sobie lepszy start. Czemu nie? Wcale nie chciałam tego majątku, ale Edward wymusił go.

- Wiesz o nas wszystko? - zatchnęła się Hazel. Daisy skinęła głową.

- Edward opowiedział Korneliuszowi o waszej ucieczce z sierocińca.

Według mnie przyłączenie się do spirytystów było genialnym pomysłem. Co za interesujący sposób zarobkowania! Zazdroszczę wam.

To musi być bardzo zabawne!

Lawinia wtrąciła się do rozmowy:

- Ale nie wszystko, co Edward o nas mówił, jest prawdą. Nigdy nie nagabywałyśmy mężczyzn...

Daisy wyciągnęła do niej rękę.

- Już nic nie mów! Nie wierzę w te oszczerstwa. Nie obchodzi mnie wasza przeszłość. Zależy mi tylko na tym, by znaleźć się na pokładzie

„Martimusa” z wami wszystkimi. Zgódźcie się, bardzo proszę!

Lawinia westchnęła.

- Och, jakież on będzie wściekły! Wyraźnie nam tego zabronił.

- Właśnie! - powiedziała Daisy przekornie. - Dobrze mu tak! Będzie miał nauczkę. Przekona się, że nie może dyktować wszystkim, co mają robić!

- Nie pogodzi się z tym; każe usunąć nas ze statku.

- Kiedy się o tym dowie, będziemy już na morzu - uspokoiła ją Daisy.

- Znajdzie jakiś sposób, żeby się nas pozbyć, zobaczysz! - wzdrygnęła się Lawinia.

Korneliusz roześmiał się.

Wszystkie trzy kobiety zmierzyły go wzrokiem.

- Przepraszam... - wykrztusił, starając się opanować.

- Co cię tak śmieszy? - spytała Daisy.

- Wyobrażacie sobie minę Frencha, gdy natknie się na hrabinę pośrodku Atlantyku?! - Nie zdołał powstrzymać gromkiego śmiechu. -

To będzie największa katastrofa morska w tym stuleciu! - Zdusił atak śmiechu.

- I cóż ty na to, Lawinio? Zgodzisz się wraz z całą rodziną dołączyć do mnie na pokładzie „Maritimusa”? Razem będzie nam znacznie weselej! - Daisy zwróciła błagalny wzrok na Lawinie.

Cook i Hazel także się w nią wpatrywali. Lawinia nie mogła opierać się dłużej.

- Dobrze, ale jedno z was musi skoczyć mi na ratunek, kiedy wylecę za burtę. Atlantyk jest podobno strasznie zimny!

Daisy uśmiechnęła się od ucha do ucha. Wyglądała jak mała dziewczynka, obmyślająca nową psotę.

- Nie martw się, Lawinio! „Maritimus” płynie południowym szlakiem przez Bermudy. Słyszałam, że woda jest tam bardzo ciepła.

Hazel zachichotała. Siostra zmierzyła ją groźnym spojrzeniem. Zjawił

się majordomus i powiódł całe towarzystwo do salonu. Lawinia pocieszała się tym, że Daisy najwyraźniej była w siódmym niebie.



*Powiedziałem sobie: jeśli te stukania, te wirujące stoliki, wszystkie te niezwykle zjawiska mogą mieć miejsce w Ameryce, to czy nie można by ich przeszczepić na tutejszy grunt? - W końcu stoliki są równie wywrotne w Anglii jak gdzie indziej!*

Wypowiedź na łamach czasopisma „Spiritualist”, 1860

Edward spoglądał przez całą szerokość nowojorskiej przystani w kierunku Wall Street. Dostrzegł wieżę kościoła Świętej Trójcy; wydawała się dziwnie niepozorna w porównaniu z sąsiednimi, wyższymi budynkami. Rękojmią bogactwa Ameryki nie byli już bogobojni patrioci ani farmerzy. Od czasów wojny domowej główną rolę odgrywali ludzie, którzy dysponowali najświeższymi wiadomościami i potrafili wyciągnąć z nich największe korzyści. Ludzie tacy jak J. Pierpont Morgan, R.T.

Wilson, Wilhelm Vanadder, a ostatnio nawet on, Edward Stuyvesant-French.

Odkąd dorobił się majątku, doskonale orientował się w tym, jak stoją akcje i które inwestycje są najbardziej opłacalne. Pomnażanie fortuny nie było wcale trudne. Za to wszystko inne szło mu jak po grudzie. Czasem miał wrażenie, że po tym, co go w życiu ominęło, pozostała mu w piersi ogromna, mroźna pustka - coś w rodzaju północnej krainy, w której dorobił się pierwszego miliona.

- Patrz, Manhattan! Czy nie ślicznie stąd wygląda? Jakie to piękne miasto! Wiesz? Już mnie ogarnia nostalgia! - odezwała się Daisy ze swego fotela, ustawionego tuż przy relingu; pióra jej kapelusza powiewały na wietrze. - Powiedz mi, Edwardzie, czy Londyn jest równie imponujący?

- Znacznie bardziej! - odparł z uśmiechem. - Zwiedzimy wszystkie miejsca, o których dotąd mogłaś tylko marzyć. Po zwiedzeniu Londynu i Paryża popłyniemy w górę Nilu, dotrzemy z karawaną do Doliny Królów, a potem wyruszymy do Indii i do Hongkongu. Nigdy jeszcze nie widziałas podobnych cudów, Daisy! Cały świat stoi przed nami otworem. Pokażę ci wszystko, co warto zobaczyć.

Daisy drżała z podniecenia. Oczy jej promieniały.

- Och, nie mogę się tego doczekać! Po prostu nie mogę! Rozległ się sygnał odjazdu.

Edward popatrzył w stronę Manhattanu, który oddalał się od nich z każdym obrotem śruby okrętowej. Daisy także zamilkła; wpatrywała się w wyrazisty profil przyrodniego brata.

- Skąd nagle ta ponura mina? - spytała.

Edward spojrzał na mosiężną poręcz. Zacisnął na niej rękę tak mocno, że aż kostki zbieleły. Powiedział z wahaniem:

- Na widok twego podniecenia przyszło mi na myśl, że powinienem był wrócić do Nowego Jorku znacznie wcześniej. Wyruszylibyśmy w tę podróż kilka lat temu. A ja zostawiłem cię na łasce ojca.

- Miałeś mnóstwo spraw na głowie, Edwardzie. I własne życie.

- O tak, własne życie! - odparł z goryczą.

- Nigdy mi nie przyszło do głowy, że o mnie zapomniłeś.

- Powinienem być od razu zabrać cię ze sobą! Jakoś bym to urządził.

- Z pewnością byś mnie tyranizował. Dyktowałbyś mi, co mam robić, a czego nie, tak samo jak Wilhelm! Nie byłabym panią własnego losu. -

Mina Daisy w tej chwili wyraźnie świadczyła o tym, że coś przed nim ukrywa. - Wiesz co, Edwardzie? Odkryłam, że ten majątek na coś mi się jednak przyda! Nie zapewni mi oczywiście romantycznej miłości ani szczęśliwego małżeństwa, ale dzięki pieniądзом mogę decydować o własnym losie, jak nigdy dotąd. To ogromny luksus dla kobiety w moim smutnym położeniu, jeśli może robić to, na co ma ochotę. Nikt już nie ma prawa ingerować w moje życie, Edwardzie. Nawet ty!

Rzucił jej olśniewający uśmiech.

- Powiadasz, że nawet twój okropny braciszek, Edward Stuyvesant-French, nie może się wtrącać w twoje sprawy?

Odwzajemniła mu się uśmiechem. Na jej twarzy odmalowało się zakłopotanie, gdy spojrzała na szereg sąsiednich kajut, które również wychodziły na górny pokład.

- Och, najdroższy braciszku, gdybyś wiedział...

- Wiem, że do śmierci będę wspominać tę podróż i czynić sobie wyrzuty, że gdybym nie zrobiła tego czy innego głupstwa, nie doszłoby do katastrofy! A już największym głupstwem było zarezerwowanie kajuty III klasy dla Monty'ego! - Lawinia krążyła po swoim apartamencie, wydeptując wiśniowy dywan. Hazel ponuro wpatrywała się w zdobiące go złote arabeski.

- Przecież musiałyśmy go ratować, Lawinio! Jak mogłybyśmy zostawić Monty'ego w tak rozpaczliwym położeniu?! Ocalił nas, gdy zdarzyło się to nieszczęście z Wilhelmem! Nie poradziłybyśmy sobie wtedy bez Monty'ego! Miałyśmy wobec niego dług wdzięczności.

Lawinia była bliska płaczu.

- Wiem, wiem... ale jego ściga policja!

- Ściga go bukmacher, nie żadna policja! - Twarz Hazel rozjaśniła się.

- Wiesz co? To nawet zabawne! Przeznaczenie znów nam spłatało figla, co?

- Przepadam za Montym! Dobrze o tym wiesz. Ale jakoś mi głupio, że on się tu ukrywa, udając naszego służącego. Nie jest żadnym służącym!

Zobaczysz, że to wszystko doprowadzi nas do ruiny i kompromitacji!

- Przecież ten facet chciał go zabić! Słyszałaś, co opowiadał nam biedny Monty ubiegłej nocy: przegrał i nie mógł zwrócić mu pieniędzy.

Byłoby już po nim. Musiałyśmy go ratować!

- Wystarczyło dać mu forszę na spłacenie tego bukmachera!

- I zostawić Monty'ego na zatracenie wśród tych podejrzanych typów?

A poza tym, czy widziałaś jego minę, jak się dowiedział, dokąd się wybieramy? Monty dałby nie wiem co, żeby wystąpić na londyńskiej scenie!

- Niechby sobie grał na scenie, a nie pętał się po statku, udając naszego służącego!

Hazel spojrzała na przyjaciółkę ze zniecierpliwieniem.

- A w jakim innym charakterze mogłybyśmy zabrać Monty'ego ze sobą?! Może przedstawiać go wszystkim jako naszego przyjaciela? To by dopiero była kompromitacja!

Lawinia z westchnieniem opadła na fotel.

- Wiem, wiem.

Hazel objęła przybraną siostrę.

- Mam wrażenie, że ty ostatnio wszędzie dopatrujesz się złowróźbnych znaków. Ale ja zupełnie inaczej odbieram to wszystko, co nam się przydarzyło. Myślę, że los szykuje nam jakąś miłą niespodziankę... Że zdarzy się coś bardzo pomyślnego. - Spoglądała w zadumie w dal. -

Lawinio, czy miałaś kiedyś wrażenie, że coś... czy ktoś... jest ci sądzony? Ja właśnie to czuję. W tej chwili! - wstała i popatrzyła przez iluminator na panoramę Manhattanu, rozplywającą się w wieczornej mgle. - Czuję, że istnieje ktoś... człowiek stworzony dla mnie. Czeka po drugiej stronie oceanu. Jest równie samotny jak ja, więc muszę go odnaleźć! - Odwróciła się do siostry. - Tak nam było sądzone, Lawinio.

Bez względu na to, co nas tu przywiodło i jak śmiesznie to brzmi, mam wrażenie, że znalazłyśmy się wreszcie na właściwym miejscu!

Lawinia wstała. Przeszła do sypialni, by pomóc pokojówce w rozpakowywaniu kufrów. Zwróciła się jeszcze do Hazel:

- Jesteśmy na pokładzie, a statek wypłynął z portu. Nie możemy już wrócić, chyba że wplaw, więc lepiej przebierz się do obiadu, Hazel.

Daisy zarezerwowała dla nas miejsca przy kapitańskim stole. Daj Boże, żeby Edwarda Stuyvesanta-

Frencha nawiedziła morska choroba i unieruchomiła w kajucie do końca podróży!

Jadalnia pierwszej klasy została umeblowana w stylu któregoś tam Ludwika. Złocenia i śliwkowe atłasy łączyły się w harmonijną całość z delikatnym motywem kwietnym na aksamitnych dywanach z Brukseli.

Wnętrze zaprojektowano tak, by stanowiło odpowiednie tło dla najznamienitszych pasażerów: imponujących panów w wieczorowych strojach oraz ich jeszcze bardziej imponujących żon, których zapierające dech klejnoty i wyszukane toalety stanowiły właściwą ozdobę sali.

Kapitan siedział w głębi, przy stole nakrytym białym adamaszkowym obrusem. Obok niego było osiem miejsc dla najdostojniejszych gości.

Żołądek Lawinii fiknął koziołka na widok tej parady. Obawiała się, że Stuyvesant już tam będzie. Mogła sobie wyobrazić jego reakcję na jej widok! Wstanie, zacznie wymachiwać oskarżycielsko palcem i każe ją natychmiast zabrać do kabiny trzeciej klasy, przy aplauzie reszty biesiadników.

Ale Stuyvesanta nie było. Przy stole siedział tylko Korneliusz Cook, który podniósł się z krzesła, gdy tylko je zobaczył. Kapitan wydawał

właśnie jakieś rozkazy stewardowi, ale kiedy Lawinia i Hazel podeszły do stołu, wstał również.

- Jak ślicznie panie dziś wyglądają! - rozpromienił się Cook. Całując Lawinie w rękę szepnął:

- Jak mam was tytułować podczas tej podróży?

Lawinia uśmiechnęła się. Obie postanowiły zrezygnować z „hrabiny” i

„wielkiej księżnej”. Wolały wrócić do mniej sławnego... a raczej mniej zniesławionego nazwiska... Murphy.

- Obejdziemy się tym razem bez tytułów, drogi panie. Korneliusz skinął głową; od razu pojął, o co chodzi. Dyskretnym gestem wskazał

kapitana, starszego pana o inteligentnym spojrzeniu i starannie przystrzyżonych wąsach.

- Czy wolno mi dokonać prezentacji? Kapitan Stafford., panna Lawinia i panna Hazel Murphy.

Kapitan skłonił się obu paniom i każdej z nich podsunął krzesło. Z

uśmiechem jowialnego gospodarza nalał obu damom szampana.

- To zdaje się pani pierwsza podróż zagraniczna, panno Murphy? -

zwrócił się do Lawinii.

Zdobyła się na spokojny uśmiech, ale wewnątrz konała ze strachu. W

każdej chwili mógł w towarzystwie Daisy zjawić się potwór, który rozszarpie ją na strzępy! Cóż to będzie za żenujące widowisko!

- Obie z Hazel czujemy się jak Alicja w Krainie Czarów! To niezwykła przygoda. - Ścisnęła nabożnie kieliszek z szampanem, jakby to był Święty Graal.

- Znalazły się panie w dobrych rękach - wtrącił Korneliusz. - Kapitan Stafford przemierzył Atlantyk wzdłuż i wszerz więcej razy, niż najzjadlejszy łowca wielorybów! Właśnie mi opowiadał, jak natknął się na ogromną górę lodową.

- No, no! Nie wolno straszyć pań podobnymi historyjkami - przerwał

mu kapitan. - Zresztą, tym razem zmierzamy na południe. Nie grożą nam żadne góry lodowe. To moja ulubiona trasa. Dopłyniemy nią do Londynu nieco później, ale nie ma na całym świecie równie pięknego zakątka jak Bermudy!

- Słyszałam, że tam przez cały rok trwa wiosna - odezwała się Hazel.

Widocznie łyk szampana ukoił jej nerwy.

- Istnieją tam wszystkie pory roku, tylko wyglądają nieco inaczej niż w Londynie czy w Nowym Jorku. - Kapitan skinął na stewarda, by znów napełnił kieliszki.

Lawinia spostrzegła ze zdumieniem, że nie wiedząc kiedy, opróżniła swój. Widać bała się tego pierwszego obiadu nie mniej niż Hazel!

- Śnieg tam nie pada, rozumieją panie - tokował kapitan. - Ale o tej porze roku i tak byśmy za nim nie tęsknili, nawet na Bermudach! -

Zachichotał, a Lawinia zawtórowała mu nieco nienaturalnym śmiechem.

- Morze jest cudowne, a plaże przepiękne. Różowiutkie jak wnętrze muszli. Nigdy panie nie widziały czegoś podobnego! Ach, otóż i moi następni goście! - Kapitan wstał.

Lawinia utkwiała wzrok w talerzu.

- Wielki to dla nas zaszczyt gościć na pokładzie „Maritimusa” waszą książęcą mość i pana hrabiego...  
- dotarły do niej słowa kapitana.

Lawinia podniosła wzrok. Dotarło do niej, że nowo przybyli to całkiem obcy ludzie. Zobaczyła dwóch mężczyzn: jeden dobiegał

trzydziestki, drugi był nieco starszy. To zapewne ten książę!

Arystokraci zajęli wskazane im miejsca po obu stronach Hazel. - Jeśli mi wolno... Jego wysokość książę Kylenore oraz jego brat, hrabia Buchanon.

Kapitan modlitewnie złożył ręce i omal nie pękł z dumy. Lawinia domyśliła się, że księżę i jego brat to nie byle kto, jeśli kapitan tak się nad nimi rozplęwa!...

Hazel spojrzała na przyjaciółkę przez stół i szepnęła bezgłośnie:

„księżę!” Oczy niemal wychodziły jej z orbit. W każdej innej sytuacji Lawinia też byłaby rada z takiego towarzystwa, teraz jednak lada chwila mógł się zjawić potwór!

- A te piękne damy - mówił kapitan - to panny Murphy. Księżę spojrzał z góry na Hazel. Ona zaś skamieniała z onieśmienia i nawet nie podniosła oczu.

- Ależ z was oryginalne dziewczęta! Wybrałyście się w podróż całkiem same? - odezwał się hrabia Buchanon.

Lawinia otworzyła usta, ale nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć.

- Panny Murphy bynajmniej nie podróżują samotnie - pospieszył jej na ratunek Korneliusz. - Obie znajdują się pod opieką pana Stuyvesanta-Frencha. Wybrał się w tę podróż razem ze swoją przyrodnią siostrą, panną Daisy Vanadder.

Księżę roześmiał się.

- Jak też się miewa stary Stuy? Nie widzieliśmy się od wieków! Chyba ostatnio na Capri, co? Graliśmy z nim w karty w jakimś barze nad samym morzem - Aż przykro wspomnieć, jak mi karta nie szła.

Straciłem kupę pieniędzy.

Cook zachichotał, jakby i on przypominał sobie tamto wydarzenie.

- Edward nie zmienił się nic a nic, wasza księżęca mość. Trudno z nim wytrzymać, jak zawsze. Ale teraz, kiedy doprowadził wreszcie do ładu sprawy majątkowe panny Vanadder, z pewnością nie może się doczekać...

- ...spotkania ze starymi przyjaciółmi - zahuczał za plecami Lawinii niski głos.

Ujrzała jak oczy siedzącego naprzeciw niej księcia rozjaśniły się uśmiechem. I nagle uświadomiła sobie, że Edward stoi tuż za nią.

Ogarnął ją lęk o wiele silniejszy niż obawa przed popełnieniem jakiejś gafy. Nie obejrzała się w jego stronę, gdyż po prostu skamieniała ze strachu.

Księżę zerwał się na równe nogi i uściśnął dłoń Edwarda. Hrabia również wstał. Zaczęły się przyjacielskie pogaduszki i klepanie po plecach. Obecność Hazel nie została dostrzeżona.

- To moja przyrodnia siostra, Daisy Vanadder. Daisy, chciałbym, żebyś poznała Bucha i jego okropnego braciszka, księcia Kylemore'a, czyli po prostu Kyle'a, jak go wszyscy nazywają w

kochanej starej Anglii!

- To dla mnie wielki zaszczyt, wasza książęca mość - usłyszała Lawinia niespokojny głos Daisy.

- Edwardzie, stary łotrze! Jak ci się udało zagarnąć pod skrzydła trzy takie piękności?! - wykrzyknął książę.

Lawinia aż się skuliła. Z miny siedzącej naprzeciw niej Hazel poznała, że Stuyvesant-French dostrzegł wreszcie resztę osób przy kapitańskim stole. Oczy Hazel były rozszerzone ze strachu. Wyglądała tak, jakby miała ochotę dać nurka pod obrus.

Lawinia w końcu odwróciła głowę i uśmiechnęła się.

- A, pan Stuyvesant-French! Jak to miło spotkać się przy tym samym stole.

Edward nie odpowiedział. Stał tylko jak skamieniały i wpatrywał się w Lawinie. W pierwszej chwili wydawała mu się marą, która zaraz się rozwieje... Ponieważ jednak nie zniknęła, zwrócił się do Daisy z miną nie wróżącą nic dobrego.

Lawinia mogłaby przysiąc, że słyszy huk gromu.

- Daisy!

Daisy szybko podjechała na swym fotelu i ustawiła się między swym przyrodnim bratem a Lawinia.

- To doprawdy cudowna niespodzianka, Edwardzie! - powiedziała z ożywieniem. - Jaki wdzięczny byłby nasz nieodżałowany świętej pamięci papa, że wzięłeś pod swe skrzydła kuzynkę Hazel i kuzynkę Lawinie! ...

- Kuzynkę?! - wypluł niemal Edward.

- O, Wilhelm byłby z pewnością bardzo wdzięczny! - Lawinia usłyszała własny głos i zdumiała się, skąd w niej tyle bezczelności.

- Te panie są kuzynkami Vanaddera? - zainteresował się książę. Twarz Stuyvesanta przypominała gradową chmurę.

- No cóż... może niezupełnie... - powiedziała Hazel, spoglądając to na Edwarda, to na Lawinie.

Tu wtrącił się z zimną krwią Korneliusz.

- Tak, pokrewieństwo jest nieco dalsze. Prawda, drogi chłopcze?

Stuyvesant-French miał taką minę, jakby zamierzał niezwłocznie strzelić go w pysk.

- Prawdę mówiąc, panny Murphy są spokrewnione wyłącznie z Vanadderami. Z rodziną Stuyvesantów nie mają nic wspólnego! - dodał

Cook.

Daisy podjechała do księcia, jakby chciała udzielić mu dokładniejszych wyjaśnień.

- I tym bardziej zdumiewa mnie dobroć Edwarda! Dziewczęta spokrewnione są tylko ze mną, a jednak mój kochany brat okazał im tyle serca! I zgodził się zaopiekować nami wszystkimi podczas podróży do Europy. Prawdziwy anioł! - Spojrzała z nabożną czcią na swego przyrodniego brata. Stuyvesant-French był bliski apopleksji. Nie mógł

jednak przy kapitańskim stole zwymyślać od ostatnich swojej siostry, zwłaszcza w inwalidzkim fotelu i w żałobie.

- Pomożesz mi dotrzeć na moje miejsce, braciszku? - spytała Daisy z niewinną minką.

Po sekundzie ujął oparcie jej fotela i potoczył go na honorowe miejsce, po prawej ręce kapitana Stafforda. Potem sam musiał - chcąc nie chcąc -

zająć ostatnie wolne krzesło pomiędzy Daisy i Lawinią.

- Złamałaś umowę! Oddaj czek! - syknął przez zaciśnięte zęby, gdy upewnił się, że nikt nie zwraca na nich uwagi.

- Nasza umowa dotyczyła wspólnej podróży na koszt Daisy. Nie złamałam jej. Podróżujemy same, za własne pieniądze - odpowiedziała cichutko Lawinia, przykrywając usta serwetką i udając, że kaszle.

- Nie masz prawa być tutaj! Powiniennem wyrzucić cię za burtę, bezczelna dziewucho!

- Domyślałam się, że tak pan zareaguje! Ale Ameryka jest wolnym krajem, a ja kupiłam bilety. Mam pełne prawo tu być, a pan nie ma prawa mi grozić.

- Kupiłaś te bilety za moje pieniądze!

- O, przepraszam, to są już moje pieniądze! - Odpowiedziała z melodyjnym śmiechem. Można by przypuścić, że wymieniają komplementy, a nie groźby.

- Każę cię aresztować!

- Pod jakim zarzutem, kuzynie? - zatrzepotała rzęsami. Mięsień w policzku znów zaczął mu drgać.

- Jeśli Daisy wyobraża sobie, że wciągnie mnie w to bagno, grubo się myli! Na Bermudach przesiądziemy się na inny statek.

- Szczęśliwej drogi!

Ich spojrzenia zwały się ze sobą. Gdyby nie znajdowali się w jadalni, pełnej osób z najlepszego towarzystwa, kto wie, co mógłby zrobić!



- Jeszcze mi za to zapłacisz! Drogo zapłacisz!

Lawinia odwróciła się od niego i spojrzała na resztę kapitańskich gości. Po chwili zaczęła się orientować, o czym rozmawiano przy stole, ale nadal czuła ucisk w żołądku. Choć Stuyvesant siedział obok niej, a nie naprzeciwko, przez cały czas miała wrażenie, że przewierca ją oczami na wylot.

*Podpis pod rysunkiem przedstawiającym Anglika zalecającego się do amerykańskiej milionerki:*

*LORD DŁUŻNICKI: Muszę się przecież jakoś ratować, do diaska! Jej forsa będzie w sam raz. Niewyparzona gęba, za grosz oglady. No cóż, może byśmy się tak pobrali?*

*PANNA NOWOBOGACKA: Co za facet! Wcale nie w moim typie. Ale jak złapię angielskiego lorda, to wszyscy popękają z zazdrości!*

*No, dobrze, masz mnie pan!*

Charles Dana Gibson

- Te dziewczyny to chyba prawdziwe milionerki, co, Edwardzie? -

Hrabia Buchanon łyknął koniaku; dym cygara nie pozwalał dostrzec wyrazu jego oczu. Mężczyźni znajdowali się w pokoju karcianym, do którego damy nie miały wstępu. Po obiedzie kapitan zaproponował

zwiedzanie „Maritimusa”, ale Daisy wymówiła się bólem głowy. Obie panny Murphy podążyły za Staffordem. Czterej panowie woleli pokera i kieliszek czegoś mocniejszego.

- Nie orientuję się w finansach Vanadderów - odparł Edward, nie bacząc na pełne wyrzutu spojrzenie Korneliusza.

Buch zerknął na brata. Książę wpatrywał się w trzymane w ręku karty; reszta mało go obchodziła.

Ta blondyneczka jest cholernie ładna - stwierdził Buchanon. Książę odezwał się wreszcie.

- Masz chyba na myśli brunetkę?

- Tę młodszą? Owszem, niebrzydka, ale ta blondynka...

- Ta brunetka ma chyba zielone oczy. Nieprawdaż, Stuy?

Edward spojrzął na Kyle'a znad kieliszka koniaku.

- Orzechowe. Pasują do jej imienia: Hazel [ *Hazel* - ang. leszczyna].

- Hazel... - powtórzył książę. - To zdaje się dość pospolite imię?

- Tak samo jak ona - mruknął Edward pod nosem.

- Nie sądzisz, że pora zmienić temat, French? - wtrącił się Cook.

Edward coś mu odburknął. Korneliusz zaczął się wiercić na krześle.

Kylemore zrobił się nagle podejrzliwy.

- Czy te panie mają jakiś sekret, o którym wolelibyście nie mówić?

Edward już otwierał usta. Cook spiorunował go wzrokiem.

- Chyba jesteśmy nadopiekuńczy. Nieprawdaż, Edwardzie? Zresztą -

dodał na użytek braci - eskortowanie trzech bogatych piękności to niełatwy obowiązek! Czujemy jego ciężar obaj z Frenchem i nie wiem, jak temu podołamy.

- Wyobrażam sobie, jaki to ciężki obowiązek! - zauważył Buch z szerokim uśmiechem.

- Przed nami nie musicie ich strzec - powiedział książę, wpatrując się w Cooka.

Korneliusz skinął głową.

- Och, ciebie się nie obawiamy, staruszk! Wieść o twych zaręczynach dotarła już na drugą stronę Atlantyku. Czytaliśmy o tym w „New York Gazette”. Poza tym, odziedzyczyłeś niedawno rodowy majątek, nie musisz usidlać niewinnej bogatej Amerykanki, by podreperować swojej finanse. Ale Buch to co innego; jest młodszym synem, w dodatku notorycznie bez grosza. Rozumiecie chyba, że nie mamy ochoty rzucić mu niczego nie podejrzewających dam na pożarcie!

- Czyżbyś mnie uważał za smoka, Cook? - Zawsze dobroduszny Buchanon tylko się uśmiechnął. Potem uniósł w górę kieliszek. - Chyba nie macie mi za złe, że chcę zdobyć to, co memu braciszkowski spadło jak z nieba? Z pewnością nie! No to wnieśmy toast na cześć amerykańskich milionerek! Przynajmniej w tym biegu Kylemore mnie nie prześcignie!

Mam zwłaszcza na myśli tę blondyneczkę. Jak sobie przypomnę te wszystkie okrągłości, to zaraz bym...

Edward zerwał się z miejsca. Buch zbladł i umilkł. Wszyscy obecni spojrzeli w stronę grających w pokera. Edward powoli opadł na krzesło.

- Czyżby Buch uraził cię w czułe miejsce, Stuy? - spytał książę, gdy wszystko wróciło do normy i nikt się już na nich nie gapił. - Przepraszam za jego złe maniery, ale byliśmy pewni, że podróżujące pod twoimi skrzydłami panie są do wzięcia.

- Bo są - odparł Edward z przymusem.

- Ale może panna Lawinia Murphy nie jest całkiem wolna? Rozumuję chyba logicznie?

Edward potarł nerwowo policzek. Szukał wzrokiem stewarda i wyraźnie chciał wykręcić się od odpowiedzi. Cook pospieszył mu na ratunek:

- Edward ma pod opieką wszystkie trzy damy. Chce być pewny, że nikt nie zachowa się wobec nich niestosownie. Sami rozumiecie.

- Rozumiemy - odparł Buch. Zerknął ukradkiem na Edwarda. - Jutro ma się odbyć bal. Chyba to nie będzie niestosowne, jeśli poproszę pannę Lawinie Murphy, by wpisała mnie do swego karnecika?

- Rób co chcesz... w granicach przyzwoitości. - Edward odłożył karty i wstał. - Chyba pospaceruję po pokładzie. Zaczepnę trochę morskiego powietrza przed snem.

- Idę z tobą, French - oświadczył Korneliusz i również odłożył karty.

Kylemore podniósł się z krzesła.

- Wobec tego spotkamy się jutro na balu. Jak myślisz, czy zjawią się wszystkie nasze damy?

Edward skinął głową.

- Tak. Jestem pewien, że panna Hazel Murphy się zjawi.

Kyle błysnął zębami w uśmiechu.

- No to świetnie! A więc do jutra wieczór, panowie!

- Za taką uwagę powinienem go odrazu wyzwąć! - powiedział

Stuyvesant-French do Korneliusza, gdy stanęli przy relingu. Morze pod nimi lśniło w migotliwym blasku księżyca. W górze gwiazdy, rozsypane po czarnym aksamicie nieba, świeciły jak okruchy brylantów.

- Lawinia wpadła Buchanonowi w oko. Dziwisz mu się? Gdybym był

młodszy, może poszedłbym w jego ślady. - Cook wyrzucił cygaro za burzę. Posypał się deszcz pomarańczowych iskier, które utonęły w czarnej głębi.

- Ona nie jest warta twoich względów, Korneliuszu.

Cook zapatrzył się w ciemną dal.

- I to samo stosuje się do ciebie?

- Owszem - odparł Edward.

- Więc czemu Buch nie miałby się do niej zalecać? Nic cię to przecież nie obchodzi.

- Gdyby chodziło o Daisy, nigdy bym go do niej nie dopuścił!

- Ale to w końcu hrabia, na litość boską, chociaż bez grosza przy duszy. Lawinia zrobiłaby karierę! A ty się dąsasz...

- Po prostu nie lubię, gdy się ktoś w ten sposób wyraża o kobietach.

Cook popatrzył na niego zdumiony.

- Czy ja dobrze słyszę?! Zapomniałeś już, jak założyłeś się o tę szynkarce w Dawson, a potem trzymałeś ją przez cały rok...

- Nie mówimy o szynkarce!

- Lawinia Murphy zalicza się według ciebie do całkiem innej kategorii?

- Właśnie.

Korneliusz przyglądał mu się uważnie. Zadowolony z tego, co wyczytał w twarzy Edwarda, powiedział:

- Tak, ona rzeczywiście jest inna. - Znów zaczął wpatrywać się w morze. Nagle roześmiał się.

- Co cię tak ubawiło? - warknął Edward.

- Sam chyba musiałeś zauważyć ten śmieszny zbieg okoliczności.

Pomyśl tylko: Buchanon jest hrabią. Jeżeli się pobiorą, Lawinia Murpy zostanie hrabiną. Hrabinią! Ależ to będzie szok dla nowojorczyków: dubeltowa hrabina!

Edward parsknął raz i drugi, a potem wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem.

Korneliusz wyciągał właśnie chustkę, by otrzeć załzawione oczy, kiedy na przeciwległym końcu pokładu pojawiła się jakaś postać.

- To ona, Edwardzie - powiedział szeptem.

Stuyvesant odwrócił głowę i spojrzał na otuloną w płaszcz kobietę, stojącą z dala od nich przy balustradzie. Nie patrzyła w ich stronę, wpatrywała się w księżycowe blaski na wodzie.

- Spójrz, która to godzina! Na mnie już czas, French. Trzeba rozprostować stare kości. - Korneliusz klepnął przyjaciela po plecach i zostawił go przy relingu. - Dobrej nocy!

Gdy Edward został sam, zwrócił się znów w stronę odległej postaci.

Chęć ucieczki walczyła w nim z pragnieniem zbliżenia się do Lawinii; stał bez ruchu, nie odrywając od niej oczu, aż wreszcie odwróciła się i spojrzała na niego.

- Dobry wieczór, duchu!

Stuyvesant wypowiedział te słowa całkiem łagodnie, ale gdy bez pośpiechu zbliżał się ku niej, jego chód wydał się Lawinii dziwnie drapieżny. Nie miała pojęcia, kim są mężczyźni stojący przy przeciwległej balustradzie, póki Korneliusz nie odszedł - a wówczas zorientowała się, że stoi oko w oko ze swym pogromcą.

- Dobry wieczór... kuzynie - odezwała się jeszcze ciszej niż on, a w jej głosie była nutka śmiechu. - Sądziłam, że grasz w karty z resztą panów.

- Chciałem sprawdzić, jak się miewa Daisy. - Spojrzał na drzwi kajuty, z której wyszła Lawinia. - Widzę, że sąsiadujecie ze sobą. Zajmujesz pewnie luksusowy apartament. Jaka szkoda, że będziesz musiała się z nim pożegnać, gdy dotrzemy do Bermudów.

- Myślałam, że to wy zamierzacie opuścić „Maritimusa” na Bermudach.

Kąciki ust Edwarda uniosły się w uśmiechu.

- Zmieniłem zamiar. Dlaczego miałbym narażać Daisy i siebie na niewygodę? Może przyszedłoby nam czekać w Hamilton kilka dni na inny statek?

Lawinia odwróciła się i wpatrzyła w osrebrzoną księżycem wodę.

Wychodząc na pokład, nie liczyła na pogawędkę z Edwardem. Chciała tylko odetchnąć morskim słonym powietrzem i przejść się trochę. Ale może to i lepiej, że się spotkali? Wyjaśnił sobie wszystko raz na zawsze, sam na sam, a nie w zatłoczonej jadalni.

- Podziwiałam twoje opanowanie podczas obiadu. Byłam przekonana, że dostaniesz szału!

- Ja nie dostaję szału, Lawinio, tylko się mszczę.

Popatrzyła na niego. Ten człowiek ją niepokoił.

- Pojmuję, że to musiał być dla ciebie szok, kiedy ujrzałeś przy stole Hazel i mnie. To nie był wcale nasz pomysł. Zamierzałam dotrzymać słowa i nie wchodzić ci w drogę, ale Daisy tak zależało na naszym towarzystwie. Bardzo polubiła dzieci, wiesz? Doskonale potrafi się z nimi dogadać. Będzie kiedyś idealną matką.

- Cóż, ty masz w tych sprawach bogatsze doświadczenie.

Do Lawinii dotarła zawołana obelga, ale nie miała już sił

przekonywać Edwarda, że się myli.

- Tylko tyle chciałam zakomunikować, a teraz życzę dobrej nocy, panie Stuyvesant-French. - Cofnęła się o krok, ale Edward dotknął jej ramienia, więc przystanąła.

- Dokonałaś dziś podboju, Lawinio! Hrabia Buchanon jest tobą oczarowany. Kiedy graliśmy dziś w karty, mówił niemal wyłącznie o twoich... wdziękach. - Powiedział to z wyraźną ironią.

- Trudno panu uwierzyć, że mogłam się komuś spodobać? -

skomentowała.

- Przeciwnie, zawsze byłem świadom twoich powabów.

- Ale nie jest pan w stanie po prostu mnie polubić, prawda?

Odwrócił głowę.

- Nie chodzi o to, czy ja cię lubię. Boję się tylko, żeby Daisy zanadto cię nie polubiła. Nie chcę, żeby się z tobą zadawała. Nie jesteś dla niej odpowiednim towarzystwem.

Zapieczęła ją ta zniewaga.

- Być może. Ale ponieważ i tak odbywamy wspólnie podróż, mądrzej by było pogodzić się z losem. A poza tym Daisy powinna mieć wreszcie przyjaciół! Ojciec traktował ją okrutnie. Ona tak łaknie towarzystwa!

- Właśnie po to zabrałem ją w podróż, żeby była wśród ludzi. Chcę żeby miała grono przyjaciół, żeby znalazła wielbiciela. Ale nie życzę sobie, żeby pomagała dwóm zatwardziałym oszustkom tumanić naiwnych londyńczyków!

Lawinia potrzęsnęła głową. Cóż mogła powiedzieć? Edward i tak będzie ją podejrzewał o wszystko co najgorsze. I tak nie zmieni swego zdania o niej. Choć ją to bolało, gotowa była pogodzić się z tym.

- Wiesz co, Edwardzie? Od początku naszej znajomości zasypałeś mnie mnóstwem epitetów w najwyższym stopniu obraźliwych.

Przyznaję, że nie jestem święta. Może moje postęпки bywają sprzeczne z prawem, ale tylko dlatego, że nie mam innego wyjścia. Nie jestem ani ostatnią dziwką, ani zatwardziałą kryminalistką, a już z pewnością nie potworem! Nie mam zamiaru skrzywdzić twojej przyrodniej siostry. Nie upierałam się przeciw przy testamentie Wilhelma. Zwróciłam Daisy pieniądze, które jej się słusznie należały.

- Więc czemu nie opuścisz statku w Hamilton i nie zostawisz jej w spokoju? Daisy nie powinna się obracać w towarzystwie takich wyrzutków jak ty.

Lawinia poczerwieniała z gniewu.

- Takie wyrzutki jak ja, panie Stuyvesant, robią co mogą, by się utrzymać na powierzchni! Moja profesja nie jest być może zaszczytna, ale samotnej kobiecie niełatwo żyć! Zwłaszcza jeśli ma zaledwie szesnaście lat i musi zarobić nie tylko na siebie, ale na czworo innych!

Zdołałam tego dokonać, zdołaliśmy przeżyć - i choćby z tego powodu należy mi się trochę szacunku.

- Po co w ogóle uciekaliście z sierocińca? Czy życie w tym przytułku było o tyle gorsze od wszystkiego, w co wplątałaś się potem? - spytał, przeszywając ją spojrzeniem.

Gdyby nie była taka zła, wykręciłaby się pewnie od odpowiedzi, ale teraz słowa same wyrwały jej się z gardła.

- Małe dziecko żyje tam nadzieją, że dorośnie, stanie się duże i silne, i pewnego dnia pokona potwory, które codziennie się nad nim znęcają.

Ale gdy dziewczyna ma już szesnaście lat i przekonuje się, że nic się nie zmieni poza tym, że ktoś powali ją na podłogę i brutalnie wykorzysta, wtedy pojmuje, że jedynym ratunkiem jest ucieczka. - Twarz Lawini spochmurniała. Jak dobrze pamiętała tamten dzień! A imię Burtona Grappa wypaliło się na zawsze w jej mózgu. Ten człowiek zarządzał

sierocińcem, odkąd sięgała pamięcią. To przez niego dzieciństwo Lawinii było piekłem. Któregoś dnia uderzył ją w twarz, gdy niechcący rozlała w korytarzu brudną wodę. Potem przyjrzał się uważniej posiniaczonej i twarzyczce i powiedział nagle: „Aleś się zrobiła ładniutka!” - i wyjaśnił Lawinii bez ogródek, jak powinna mu się przysłużyć, jeśli chce mieć nocne lepsze życie.

Hazel już wcześniej spotkała podobną przygodę. Siostrzeniec Burtona traktował mieszkańców sierocińca w identyczny sposób jak wuj: jak bezbronnych niewolników. To, że Hazel pozwoliła się uwieść, nie poprawiło wcale jej losu, wręcz przeciwnie - omal jej nie zabiło. Wobec tego obie dziewczyny zabrały małą córeczkę Hazel, a także Fanny i Jamiego, żeby Ewa miała rodzeństwo, i opuściły sierociniec, nie oglądając się ani razu.

Lawinia odwróciła głowę, by Edward nie dostrzegł bólu w jej oczach.

- Na szczęście teraz, dzięki pańskim pieniądzom, nie muszę już uciekać w popłochu przed żadnym mężczyzną. Nawet przed panem!

Edward wpatrywał się w nią w milczeniu. Ciekawe, czy jej wyjaśnienia poruszyły go? Czy tylko czuł się równie zakłopotany jak ona? Lawinia nie opowiadała nikomu o swojej przeszłości, ale teraz miała już dość jego wiecznej pogardy. Nie zasługiwała na nią, przynajmniej nie w takim stopniu!

- Chyba się już pożegnam - powiedziała.

- Zaczekaj! - Edward wpatrywał się w nią. Twarz miał częściowo ukrytą w cieniu. W jego oczach była jakaś bolesna zaduma. - Zrozum, postąpiłem tak ze względu na Daisy.

- Kocha pan siostrę. Przekonałam się o tym.

- Chcę, żeby obracała się wśród ludzi. Może postąpiłem zbyt pochopnie, odrzucając waszą pomoc. Jeśli obiecuję poparcie, na którym tak wam zależy, czy zadbać, żeby Daisy nie stała na uboczu? Jej kalectwo... no cóż... może jej utrudnić kontakty towarzyskie.

Lawinia uśmiechnęła się łagodnie.

- Czy to propozycja zawarcia przymierza?

- Nie odpowiada mi to określenie. Nazwijmy to raczej „obustronnie korzystną transakcją”.

- Zgadza się na tę transakcję, panie... Edwardzie - poprawiła się z przymusem. - Przyświeca nam ten sam cel: oboje gorąco pragniemy zapewnić szczęście naszym siostrom.



- A co z tobą? Nie chciałybyś zrobić w Londynie świetnej partii?

Lawinia wzruszyła ramionami.

- Jeśli los Hazel i dzieci będzie już zapewniony, a nadarzy mi się korzystna propozycja, to jej nie odrzucę. Masz coś konkretnego na myśli, Edwardzie?

Uśmiechnął się z ironią.

- Czyżbyś chciała, Lawinio, bym wyswatał i ciebie?

- Cóż, bogaty i utytułowany mąż mógłby mi się przydać.

- Buch ma tytuł hrabiowski.

- Tak, ale jest młodszym synem. A poza tym, tego młokosa nęcą jedynie moje pieniądze.

- Możesz mi wierzyć, Lawinio, że nęci go również co innego - odparł

Edward z lekką irytacją. - Zrobię, co się da. A ty ze swej strony postaraj się, by Daisy brała czynny udział w życiu towarzyskim.

- Z przyjemnością! Pewnie w to nie uwierzysz, ale dobrałyśmy się z Daisy, jak w korcu maku! Jesteśmy równie samotne jak ona i dobrze wiemy, jak ważna jest kobieca solidarność.

- Daisy nie jest całkiem samotna. Zawsze może liczyć na mnie.

Pamiętaj, że będę jej strzegł!

Popatrzyli sobie w oczy. Lawinia uśmiechnęła się.

- Wiem, Edwardzie. Chyba w to również nie uwierzysz, ale pod niektórymi względami Daisy to szczęściara!

Wyraz jego oczu zmienił się. Spoglądał niemal czule.

- Jeśli potrzebujesz kogoś, na kim mogłabyś się oprzeć...

Lawinia roześmiała się.

- Skąd w tobie tyle rycerskości? Nie, nie, Edwardzie: nie musisz się o mnie troszczyć. Znajdź mi tylko bogatego i utytułowanego męża. A jeśli ci się to nie uda, nie będę rozpaczać. Pewnie już zauważyłeś, że potrafię zadbać o siebie.

- Chyba znalazłem już kogoś dla Hazel.

- Książę? - Lawinia uniosła jedną brew. - Nie spuszczał z niej oka podczas obiadu!

- Kylemore jest zaręczony.

Może nie dostrzegł po ciemku, że ręce jej drżały...

- Ale jego narzeczona jest wyjątkowo antypatyczna - ciągnął Edward.

- Chyba nikt nie weźmie mu tego za złe, jeśli ją porzuci dla twojej siostry.

- Jednak zaręczony młodzian to niepewny konkurent. Jaka ona jest, ta jego panna?

- Bez serca, ale urody jej nie brak.

- Więc może to tylko zauroczenie.

Spojrzał na nią ostro.

- Nie lekceważ sobie tego! Podobne zauroczenie niejednego już doprowadziło do szaleństwa.

- Tak, tak. Zapominasz, że miałam z tym do czynienia znacznie częściej niż większość kobiet - powiedziała niemal szeptem.

- Myślę, że uda ci się bez trudu oczarować Buchanona. Jesteś dokładnie taką dziewczyną, jakiej mu potrzeba!

- Skąd możesz wiedzieć? Przecież w ogóle mnie nie znasz.

Szczerzość Lawinii zbiła go nieco z tropu. Nie odpowiedział nic, ale wpatrywał się w nią mimo ciemności wzrokiem, który przyprawiał ją o dreszcz. Otuliła się ciasniej płaszczem.

- Prawdę mówiąc, wolałbym raczej dowiedzieć się, że to ja mam u ciebie szansę. Czy mężczyzna, którego nie zdołałaś otumanić, zasługuje według ciebie na uwagę? - dopytywał się.

Przez głowę Lawinii przesunęło się wspomnienie niedawnego snu: hamak... upał... wichura.... Odpędziła od siebie te majaki.

- Panie Stuyvesant! Doskonale pan wie, co o panu myślę! Znow próbuje pan zastawić na mnie pułapkę! - odparła lekkim tonem.

Chwycił ją za ramiona i zmusił, by na niego spojrzała.

- Pytam cię jeszcze raz: co myślisz o mnie?

Odetchnęła głęboko, starając się uspokoić.

- Zupełnie nie jesteś w moim typie: zbyt wysoki, zbyt ciemny, zbyt ponury. - Uniosła dłoń ku jego twarzy. - Twoje rysy też mi się nie podobają. Oczy... nie widzę w nich nic dobrego! Nos... zbyt nieugięty. -

Zbliżyła wskazujący palec do ust Edwarda. - Ten grymas najlepiej świadczy o tym, jaki masz paskudny charakter... A...

To była pomyłka! To z pewnością stało się niechcący! Nie wiedziała, kiedy jej palce dotknęły jego ust.

I mogłaby przysiąc, że Edward je ucałował.

Lawinia mówiła sobie, że to przecież niemożliwe: nie mogła czuć jego warg na swoich palcach, na grzbiecie ręki, we wgłębieniu dłoni.

Niemożliwe! Przecież gdyby tak było, a ona nie cofnęłaby ręki, to by znaczyło, że Edward ją uwodzi. A co gorsza, ona nie stara się mu w tym przeszkodzić! Ileż to razy hamowała podobne zapędy Monty'ego.

Potrafiłaby to zrobić i teraz. To z pewnością było złudzenie!

- Zlituj się... - szepnęła tylko, nim ich usta spotkały się w namiętym pocałunku.

Napierał na nią tak, że oparła się plecami o balustradę. Od Atlantyku wiała silna bryza, ale Lawinia nie czuła wcale zimna. Jakżeby mogła, gdy całował ją tak żarliwie? Dotyk jego ust sprawiał, że płonęła od stóp do głów. Starał się wślizgnąć językiem pomiędzy jej zęby, Lawinia instynktownie rozwarła usta, a pocałunek stał się jeszcze rozkoszniejszy.

Jej serce biło jak szalone. Powinien ogarniać ją strach albo święte oburzenie, ale nie czuła ani jednego, ani drugiego. Nawet wtedy, gdy ręce Edwarda wślizgnęły się pod jej płaszcz i objęły ją w tali. Jego zaborczość rozpłomieniła ją, poczuła jak wzbiera w niej pożądanie.

Jego pieszczoty były coraz bardziej gorączkowe. Drażnił zębami i ssał

jej wargi, jej język. Lawinia całkiem osłabła i przytuliła się do niego jeszcze mocniej. Dopiero ta podróż uświadomiła jej, jak bardzo jest samotna.

Pragnęła Edwarda; jego bliskość działała na nią jak narkotyk. Chciała już tylko jednego: żeby nigdy się nie oddalał. Obudziła się w niej kobiecość - zła kniona jego, właśnie jego. Pożądanie zrosło się w jedno z potrzebą serca, domagającego się zaspokojenia po pustych, niekończących się latach samotności.

- Czy to dla ciebie tylko... zabawa? - wykrztusiła wreszcie ze strachem. Jej ręce zacisnęły się w pięści, gotowe uderzyć w pierś Edwarda. - Powiedz, że nie... Że pragniesz tego co ja! Że ty także masz serce...

- Ale czy ty je masz? - spytał chrapliwie, odrywając od niej usta. -

Czasem myślę... że jesteś demonem, który mnie opętał...

- Jestem tylko kobietą... Bardzo słabą... I bardzo przerażoną...

Edward grzbietem ręki otarł usta. Czy zachował się na nich jej smak?

Bo jego zapach i smak przywarły do niej tak mocno, że miała ochotę zlizać językiem ze swych warg grubą warstwę wody laurowej, morskiej soli i woni męskiego ciała. Nadal nie mogła złapać tchu, a i Edward miał

trudności z oddychaniem.

- Co się z nami dzieje? Co to znaczy? - pytała, domagając się naiwnie wyjaśnień.

- To tylko zmysły - odparł, przymykając oczy, jakby to mogło pomóc mu w odzyskaniu równowagi. - Cóż by to mogło być innego?

Te słowa spadły na nią jak ciężki kamień. Czuła przecież, że jej kobiece serce pragnie miłości, czułości - i prawdziwego oddania. Przede wszystkim oddania. Ale od Edwarda nigdy się tego nie doczeka. Była pewnie dla niego pierwszą lepszą dziwką, dobrą dla zabicia czasu. Jeśli w jego sercu drzemały szlachetne uczucia, obdarzy nimi jakiś ideał

kobiety. Z pewnością nie ją! Jakże głupie były jej przypuszczenia, że czuje się równie samotny jak ona. Że ten pocałunek sprawił, iż choć na chwilę zapomnieli o swej samotności.

Oczami pełnymi łez wpatrywała się w ciemność.

- Może ten pomysł z hrabią Buchanonem nie jest taki głupi? Moje konto bankowe natchnie go zapewne większym szacunkiem dla mojej osoby.

- Znów się odzywa ta twoja przeklęta duma! Skąd ona się w tobie bierze, Lawinio? Całkiem zbija mnie z tropu... tak samo jak i wiele innych twoich nawyków.

- Teraz chyba zaskoczę cię jeszcze bardziej, Edwardzie. Nasza poprzednia „obustronnie korzystna transakcja” pozostaje w mocy.

Dopilnuję, by Daisy brała czynny udział w życiu towarzyskim, a ty zatroszczysz się o Hazel. Ale od tej chwili wszelkie osobiste kontakty między nami przestają istnieć. Wolałabym, żebyś odzywał się do mnie wyłącznie przy ludziach. - Rzuciła mu przeciągłe, oskarżające spojrzenie, otuliła się płaszczem i odeszła.

Kątem oka dostrzegła pożegnalny ukłon Edwarda.

- Jak sobie życzysz, hrabino - mruknął kwaśno.

Lawinia westchnęła głęboko i przysięgła sobie, że nigdy już nie wymknie się samotnie z kajuty, by zaczerpnąć morskiego powietrza.

- I tak Kopciuszek odzyskał swego królewicza i żyli razem długo i szczęśliwie. - Daisy zamknęła książkę. Spojrzała na dwie dziewczuszki, które spały na kanapie. Guwernantka miała właśnie położyć je do łóżka, kiedy Daisy zastukała do drzwi. Chciała koniecznie poczytać im przed snem i Abigail zgodziła się na to, ucałowała obie dziewczynki na dobranoc i udała się do własnej, sąsiedniej kajuty.

Daisy odgarnęła czule loczek, który opadł Ewie na czoło. Co za słodkie maleństwo! Obie dziewczynki były rozkoszne. Ewa i Fanny wyglądały teraz jak dwa cherubinki, które spadły prosto z nieba na kanapę i twardo na niej zasnęły.

Zastanawiała się nieraz, kim naprawdę były te dzieci, skąd pochodziły? Edward był przekonany, że cała trójka to bękarty Lawinii, choć żadne z nich ani trochę jej nie przypominało. Może tylko Ewa, bo była blondynką. Ale małe dzieci przeważnie mają jasne włoski.

Daisy okryła pledem Fanny, która wtuliła się w koronkową poduszkę.

Dziewczynka miała na sobie nocną koszulkę z białej flaneli, ozdobioną różowymi kokardkami; uosobienie niewinności! W Daisy stopniało serce. Poczła nagle, że nie chce nic wiedzieć o pochodzeniu tych dzieci.

Z pewnością historia ich życia była ponura, pełna łez i bólu.

Daisy знаła je dopiero od kilku dni, a już zbudził się w niej instynkt opiekuńczy. Gdyby odkryła smutną tajemnicę tych niechcianych maleństw, chyba serce by jej pękło!

Usłyszała jak z tyłu, za kanapą, otworzyły się drzwi kajuty. Spojrzała w tamtą stronę i dostrzegła stojącego na progu mężczyznę z bardzo zdziwioną miną.

- Druga guwernantka? Niemożliwe! - spytał z szerokim uśmiechem na przystojnej twarzy.

Zaskoczona Daisy nie wiedziała co odpowiedzieć. Mężczyzna gapił

się na nią bez najmniejszego skrępowania; nie przypominała sobie jednak, by kiedykolwiek widziała go, czy nawet słyszała o nim.

- Kim pan jest? - spytała niezbyt grzecznie.

- Montagu Baillie, dla przyjaciół Monty. A ty, ślicznotko? Czyżby wynajęły jeszcze jedną bonę? Ani myślę odstępować mojej kajuty i gnieździć się gdzieś pod pokładem! Mowy nie ma! - Wszedł do saloniku i rzucił melonik na krzesło. Wyraźnie czuł się tu jak u siebie w domu.

- Bardzo przepraszam, panie Baillie, ale to kajuta małych panienek Murphy. Chyba się pan pomylił...

- Nic podobnego! - Mrugnął wesoło i wyciągnął z kieszeni kamizelki pergaminową torebkę. - To lukrecja: przyniosłem po kawałku dla każdego malucha. Włożę im to pod poduszkę. Zawsze tak

robiłem w Nowym Jorku. To prawie moje dzieciaki...

- Prawie? - Daisy uniosła brew. Jedno nie ulegało wątpliwości: żadne z dzieci w niczym nie przypominało tego buńczucznego Irlandczyka.

Nieznajomy roześmiał się.

- Nie jestem ich tatą, mogę przysiąc! Ale chętnie uznałbym je za swoje, gdyby tylko Lawinia zechciała wyjść za mnie.

- A nie chce?

- Oświadczałem się jej siedem razy! - Wzruszył ramionami. - Pewnie będę ją tak pytał do sądnego dnia. Ta dziewczyna nie ma ani odrobiny litości dla mężczyzn! - Włożył do ust kawałek lukrecji i zmierzył Daisy wzrokiem. Taksował beczelnie jej twarz i figurę na tyle, na ile pozwalało oparcie kanapy. - A co z tobą? Niezła z ciebie kobietka! Czai się gdzieś w pobliżu zazdrosny mąż, czy uśmiechnęło się do mnie wreszcie szczęście i jesteś wolna?

Policzki Daisy zapłonęły szkarłatem. Nie przywykła do tego, by mężczyźni gapili się na nią w ten sposób i zadawali równie osobiste pytania.

- Nie jestem zamężna - odparła cicho.

- Jak ci na imię?

- Ja... właściwie... - Najwidoczniej nie wiedział, z kim ma do czynienia; Daisy poczuła nagle, że wcale nie chce go o tym informować.

Cóż to za przyjemna nowość - flirt z mężczyzną! Czują trochę strachu, ale była mile podniecona. Wiedziała, że wszystko się skończy, gdy tylko ten człowiek odkryje, że rozmawia z milionerką, Daisy Vanadder.

- No więc, kim jesteś? Wynajęły cię do dzieci? A może na pokojówkę albo kogoś w tym rodzaju?

Rzuciła mu niewesoły, krzywy uśmiezek. Zabawa skończona. Nie może dłużej udawać kogoś innego. Jest przecież przykuta do wózka.

- Obawiam się, że nie mam kwalifikacji na pokojówkę. Wyjechała zza kanapy. Poznała po jego minie, że doznał szoku. Znów strasznie się zaczerwieniła.

- Panna Vanadder? - spytał, nie odrywając od niej oczu.

- Tak - odparła.

Teraz i on był zmieszany. Rozglądał się niespokojnie po kabinie, ale wyraźnie zabrakło mu słów.

- Powinnam była od razu to powiedzieć - próbowała wybawić go z kłopotu. Chciała pozostać z nim

w przyjaznych stosunkach.

- Te moje uwagi... Naprawdę nie chciałem...

- Niech pan da spokój! - wybuchnęła. Nie było to zbyt mądre z jej strony: przekonywać tego ladaco, że nie ma za co przepraszać? Ale jego umizgi sprawiły Daisy taką przyjemność, że nie miała serca karcić go za nie. - Nie wiedział pan, kim jestem. Powinnam była od razu wyjaśnić pomyłkę. Ale wstąpił we mnie jakiś czort. Wybacz mi pan?

Popatrzył na nią. Nie mógł oderwać oczu od jej inwalidzkiego fotela.

- Straszny ze mnie babiarz. To ja powinienem panią przeprosić. Nie zachowałem się jak trzeba.

- Co znowu! - Daisy popatrzyła na niego i nie wiedzieć czemu poczuła ucisk w gardle. Jakie to smutne: ten człowiek przeproszał za to, że wydała mu się atrakcyjna, że potraktował ją jak każdą inną młodą kobietę. Cóż, teraz, gdy zaczęła bywać w świecie, musi przyzwyczaić się do podobnych reakcji. Ale mimo wszystko zabolą ją to. W głębi serca była romantyczką, a ten człowiek wydał jej się pociągający. Jego przeprosiny sprawiły, że jeszcze bardziej znienawidziła fotel, do którego była przykuta, i siebie - nie kobietę, tylko kalekę.

W końcu jednak zdrowy rozsądek wziął w niej górę. Ten mężczyzna był naprawdę przystojny. A teraz, gdy wiedział już, że ma do czynienia z milionerką, niewątpliwie będzie próbował wkraść się w jej łaski. Ale nigdy już nie spojrzy na nią tak, jak przed chwilą. Nie będzie widział w niej ładnej kobiety, tylko dolarowe konto. Najwyższy czas wybić go sobie z głowy.

Daisy spojrzała na rozespiane dziewczynki na kanapie. Kąciki jej ust opadły w smutnym grymasie.

- Powinnam wrócić już do siebie, ale nie mogę ich tak zostawić!

Trzeba je położyć do łóżka.

- Ja to zrobię. - Jeszcze raz zerknął ukradkiem na wózek inwalidzki; wyraźnie go niepokoił. Daisy pomyślała, że pewnie teraz wydaje mu się pokraczna. Strasznie ją to zabolą.

- Nie chciałabym pana fatygować - powiedziała lekkim tonem; nie podniosła jednak oczu, by nie wyczytał w nich bólu.

Podszedł do kanapy i wziął Ewę na rękę. Dziecko obudziło się na chwilę, popatrzyło na niego i uśmiechnęło się promiennie.

- Monty, gdzie mój prezent? - szepnęło sennie.

- Znajdziesz go rano pod poduszką, tak jak zawsze, ty łakomczuchu! -

Ucałował Ewę w czołko i zaniósł do sypialni. Następnie wrócił po Fanny. Ułożywszy dzieci, zjawił się znów w saloniku z niewyraźną miną.

- To już chyba wszystko, panie Baillie. Serdecznie panu dziękuję.

Daisy uśmiechnęła się do niego z przesadną wesołością pod którą chciała ukryć dręczący ją ból. Podając rękę dorzuciła:

- Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.

Popatrzył na wyciągniętą ku niemu rękę i po dłuższej chwili odezwał

się:

- Czy pani w ogóle nie może chodzić? - Wydawało się, że ta kwestia tak go niepokoi, iż nie jest w stanie myśleć o niczym innym.

Daisy z zażenowaniem cofnęła rękę i złożyła ją znów na kolanach.

- Mogę stać.

- Ale nie chodzić? Ani kroku?

Jego zainteresowanie wydawało się takie szczere, że musiała mu odpowiedzieć. Wyjaśniła z krzywym uśmiechem:

- Jeśli trzymam się stołu, mogę zrobić krok czy dwa. Opiekujący się mną lekarze twierdzą, że to tylko brak woli; mój ojciec im to wmówił.

Czasem się zastanawiam, czy oni nie mają racji? Może jestem po prostu słaba, może mogłabym chodzić, gdybym naprawdę chciała? - Na czole Daisy pojawiła się zmarszczka. Poczuli się nagle zakłopotaną i odwróciła głowę.

- Wcale mi pani nie wygląda na słabą.

Popatrzyła na niego i znów odwróciła wzrok. Był naprawdę atrakcyjny! Typowy „czarny Irlandczyk”, jak to mówią. Ciemne włosy, intensywnie niebieskie oczy, białe zęby, błyskające często w uśmiechu.

Był bardzo przystojny i niewątpliwie umiał postępować z kobietami.

Ktoś tak niedoświadczony i bezbronny jak ona powinien trzymać się od niego z daleka. Ale - o dziwo - Daisy wcale tego nie chciała! Jego zainteresowanie było jak ożywcza woda dla jej spragnionej duszy.

- Odprowadzę panią lepiej do kajuty. Gdyby pani brat albo Lawinia przyłapali nas razem, byłoby po mnie! - Uśmiechnął się szeroko.

- Czy pan pracuje u pań Murphy? Od jak dawna?

- Byłem dorożkarzem, kiedy im się zachciało zagranicznych podróży.



Pomyślałem, że potrzebują kogoś, kto by się nimi zaopiekował... no i jestem tu.

- Coś podobnego! Pierwszy raz słyszę, by służący, w dodatku taki młody, odgrywał rolę przyzwoitki! Zresztą, Lawinia i Hazel są przecież pod opieką Edwarda.

- Doprawdy? To jakby lis pilnował kurnika!

- Tak pan sądzi? - Daisy zmarszczyła brwi. - Dużo myślałam o tym, jak bardzo Lawinia podoba się mojemu bratu. Czuję, że to coś poważnego: kiedy na nią patrzy...

Monty uśmiechnął się z wyższością.

- Właśnie! Dobrze to znam. Ale jeśli pani bratu się z nią uda, to chyba będzie cud. Ja już dawno zrezygnowałem.

Daisy nagle przypomniała sobie, że Monty wspominał wcześniej o swoich konkurach, o oświadczeniach. Znowu poczuła się zakłopotana.

- Jestem pewna, że byłby pan dla Lawinii idealnym mężem. -

Spojrzała w stronę sypialni dzieci. - I najlepszym ojcem dla tych maleństw!

Popatrzył jej w oczy z łobuzerskim uśmiechem.

- Zdradzę pani pewien sekret - roześmiał się. - Choć na ogół nie zwierzam się z takich rzeczy. Byłby ze mnie okropny mąż! Lawinia doskonale o tym wie. Zależy mi tylko na forsie, jak wszystkim draniom.

Niech pani o tym nie zapomina. Jestem pewien, że fortuna Vanadderów zwabi łowców posagów z całego świata. Będzie się pani musiała od nich opędzać!

- Wiem - odparła cicho. Po chwili dodała:

- A jednak myli się pan co do Lawinii. Musi mieć dla pana wiele sympatii, jeśli zgodziła się, by jej pan towarzyszył w podróży.

Monty znowu uśmiechnął się szeroko.

- Powiedzmy, że miała wobec mnie dług wdzięczności i spłaciła go w ten sposób.

- Ale z pewnością pana lubi. Zresztą, któż mógłby pana nie lubić?

Jej szczerłość i naiwność wzruszyły go. Pochylił się nad Daisy i spojrzał jej prosto w oczy.

- Lawinia mnie lubi, ale dobrze wie, co ze mnie za numer. Z

pewnością ostrzegłaby panią przede mną. - Powiódł palcem po metalowym kole wózka. - Wie pani

co? Chciałem zrobić karierę na scenie. Może się gdzieś zaczepię w Londynie.

- Jest pan aktorem? To cudowne!

Roześmiał się.

- Naprawdę tak pani myśli? Większość ludzi spogląda z pogardą na

„komedianta”. Nawet te dwie czarownice: Lawinia i Hazel!

- Przecież grać na scenie to tak, jakby żyć coraz innym życiem! Któż by tego nie pragnął?

Popatrzył znów na fotel na kółkach, a potem w oczy Daisy. Bardzo delikatnie pogładził ją po policzku.

- Wie pani co, Daisy? Mógłbym panią ogromnie polubić. Ale będzie o wiele lepiej dla pani, jeśli zostawię ją w spokoju. - Zapadła długa cisza.

Potem Monty wyprostował się i przybrał obojętny wyraz twarzy. - Mogę odprowadzić panią do kajuty?

- Mieszkam tuż obok. Nie musi się pan fatygować. - Daisy popatrzyła na niego. Ilekroć ich oczy się spotykały, jej serce zaczynało bić mocniej.

Czyżby się zakochała? W powieściach, które czytywała, często pisano...

- To żadna fatyga. - Monty chwycił za oparcie jej fotela. Gdy dotarli do drzwi kajuty Daisy, powiedział:

- Chyba lepiej nie wspominać nikomu o naszym spotkaniu. Nie chcę drażnić Lawinii. Dobrze wiem, co sobie pomyśli. I będzie miała rację.

- Cóż mogłaby sobie pomyśleć? - spytała Daisy z nagłym niepokojem.

Czyżby popełniła jakiś nietakt? Może powiedziała coś niewłaściwego?

- Pomyśli, że przyczepiłem się do pani ze względu na forszę. I oceni mnie całkiem właściwie.

- Czy ludziom zawsze chodzi tylko o pieniądze? - Słowa Daisy zabrzmiały bardziej gorzko niżby tego chciała. Jej rozpacz była jak czarna bezdenna głębia. Pieniądze to przekleństwo; odbierają nadzieję na szczerą miłość, skazują na straszliwą pustkę. Tak właśnie było z jej matką. Teraz klątwa z matki przechodzi na córkę. Daisy nie zdoła się od niej uwolnić - chyba że raz na zawsze wyrzeknie się wszelkiej nadziei. -

Czasem wolałabym nie mieć ani grosza, wie pan? - Popatrzyła na swój inwalidzki fotel i coś ścisnęło ją w gardle. Przewyciężyła się i dodała:

- Ale chyba lepiej być kaleką-bogaczką, niż kaleką-nędzarką.

Monty nie odpowiedział. Zastukał do drzwi jej kabiny i czekał aż pokojówka je otworzy. Sądząc z wyrazu twarzy, stara Ewelina doznała szoku na widok swej pani w towarzystwie mężczyzny.

- Dobranoc, panie Baillie. - Daisy odwróciła się do niego i dodała z drżącym uśmiechem: - Mam nadzieję, że kiedyś znów pana ujrzę... Może na deskach londyńskiego teatru?

- Będzie dla pani znacznie lepiej, jeśli zobaczy mnie pani tylko na scenie. - Złożył teatralny ukłon i oddalił się korytarzem pierwszej klasy.

ani razu się nie obejrzał. Daisy ze smutkiem patrzyła za odchodzącym.

W końcu Ewelina wtoczyła fotel do kajuty i zamknęła drzwi.

Szarobłękitny bezmiar Atlantyku otaczał zewsząd statek, niczym płynna pustynia, pokryta przelewającymi się diunami. Edward spoglądał

na nie przez wykonane z ołowiowego szkła okna sali klubowej, myślami błędził znacznie dalej, gdzieś za horyzontem. Nawet mewy nie towarzyszyły już statkowi; między „Maritimusem” a Bermudami rozciągała się tylko bezkresna, falująca powierzchnia słonej wody.

- Napijesz się ze mną, Stuyvesant-French? - Księżę podszedł do niego od tyłu. Edward odwrócił się z miną człowieka wyrwanego nagle ze snu.

- Aleś się zadumał! - zauważył Kylemore.

Edward odpowiedział krzywym, niepewnym uśmiechem.

- Płynie z nami ciocia Selena, mówiłem ci już? Wczoraj wieczorem nie zjawiała się na obiedzie, bo była zbyt zmęczona, ale dziś od rana rozstawia wszystkich po kątach. - Kylemore skinął na kelnera. - Trzeba przyznać, że jest w doskonałej formie jak na swój wiek! Nikt z nas nie może się z nią równać.

- Nie powiesz chyba, że zwiedziła Dziki Zachód razem z tobą i Buchanonem? - zaśmiał się Edward.

- Kpisz, czy co? Ciocia Selena na Dzikim Zachodzie? Kolorado to dla niej za mała atrakcja! Nie, nie, została w Nowym Jorku i pod naszą nieobecność trzęsła całym miastem. Nie wiem, jak burmistrz poradzi sobie teraz bez niej! - Kyle zamówił koniak i spojrzał pytająco na Edwarda.

- Dla mnie kawa - powiedział Stuyvesant do kelnera, a zwracając się do Kyle'a zauważył:

- Chyba trochę za wcześnie na koniak, nie uważasz?

- Nie zapominaj, Stuy, że masz przed sobą skazańca! - Kyle opadł na pokrytą adamaszką ławeczkę pod ścianą. - Kiedy wrócę do Anglii, czeka mnie małżeńskie jarzmo. Nie zostało mi już wiele wolności.

- Jak tam twoja Delia?

- Piękna jak zawsze. Cóż za ozdoba dla domu! Właściwie nie wiem czemu myśl o małżeństwie tak mnie rozstraja.

- Zwłaszcza że wy, Brytyjczycy, i tak figlujecie na boku z kim popadnie. Ktoś mi powiedział, chyba nawet ty, że szczytem nietaktu są w Londynie uwagi na temat podobieństwa rysów.

- *Touche! Touche*, ty cholerny... - Reszta epitetu zginęła w kieliszku koniaku, który kelner właśnie podał księciu. |

Edward uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Nie udawaj cierpiętніка! Delia Carmichael jest wyjątkowo miła dla oka.

- Ale nie ma duszy! Powiadam ci: nie ma duszy!

- Kto by tam sobie zawracał głowę duszą? - Stuyvesant-French skrzywił się pogardliwie. - Najważniejsze jest to, że dzięki Delii nastąpi fuzja błękitnej krwi Kylemore'ów ze stalą Carmichaela. Najpotężniejszy sojusz, o jakim słyszałem. Królewska fortuna i książęcy tytuł. O to przecież chodziło?

- Przyznam, że jej pieniądze bardzo się przydadzą. Rodowe dobra są w fatalnym stanie. Za pomocą bezcennej stali Carmichaelów mógłbym postawić na nogi całą Anglię, a jednak... - Popatrzył Edwardowi prosto w oczy. - A jednak, kiedy widzę dziewczynę tak śliczną, tak nieśmiałą jak ta, którą poznałem wczoraj wieczorem, zaczynam się zastanawiać, czy warto sobie zatruć resztę życia nieudanym małżeństwem?

Edward zaśmiał się szyderczo.

- Nieśmiała? Hazel Murphy?! Daj jej tylko turban i kryształową kulę, a to niewiniątko zakasuje największe gwiazdy cyrku Barnuma!

- O czym ty mówisz?

Stuyveant przewrócił oczami.

- Nieważne! Jeśli Hazel Murphy ci się podoba, ruszaj w konkury.

Masz moje błogosławieństwo. Prawdę mówiąc, będziesz dla niej prawdziwym darem niebios. Dokładnie o takiej zdobyczy marzyła, wyruszając na łowy: prawdziwy, żywy książę! Ona, co prawda, nie ma aż tyle pieniędzy co panna Carmichael, ale to, co ma, wystarczy na wyremontowanie twojej rodzinnej chałupy i jeszcze zostanie. Mogę ci za to ręczyć.

- Ładna z ciebie przyzwoitka, Edwardzie! Wpychasz mi po prostu tę dziewczynę w ramiona, chociaż wiesz, że jestem zaręczony.

- Wyjaśniam ci tylko, że Hazel nie jest nieśmiałym fiołeczkiem. Nie znasz jej tak dobrze jak ja. To dziewczyna w sam raz dla ciebie!

Książę oparł się o ścianę i popatrzył na niego uważnie.

- Rzeczywiście, nie znam jej tak dobrze jak ty.

- Między mną a Hazel Murphy nigdy nic nie było, zapewniam cię!

- Wiem o tym. Po co miałbyś zawracać sobie głowę Hazel, kiedy aż się palisz do Lawinii?

Edward powściągnął ogarniający go gniew.

- Nic podobnego!

- Powiadasz? Niezbyt to pasuje do tego, co zobaczyłem wczoraj na pokładzie.

Edward zerwał się, ale sam nie wiedział, czy chce uciec, czy wyzwać tego drania na pojedynek. Kylemore ruchem ręki skłonił go, by usiadł.

Po chwili napięcie ustąpiło i Edward opadł na fotel.

- To wcale nie to, co myślisz. Nic więcej ci nie powiem. - Przeszył

księcia morderczym spojrzeniem.

Kylemore westchnął.

- Nic mnie to nie obchodzi. Chcę się tylko dowiedzieć jak najwięcej o Hazel Murphy.

Edward odchylił się na skórzane oparcie fotela.

- O co ci konkretnie chodzi?

Księżę wzruszył ramionami.

- Sam nie wiem. Prawie nie znam tej dziewczyny, ale wydaje mi się dziwnie smutna. Jakby zagubiona. Może odezwał się we mnie błędny rycerz? Coś mnie do niej ciągnie.

- Miała zdaje się trudne dzieciństwo. - Edward nadał mierzyl

wzrokiem Kyle'a. - Obie z siostrą wylądowały w sierocińcu w Missouri.

Murphy to często spotykane nazwisko, zwłaszcza wśród tysięcy irlandzkich emigrantów, którzy przybywają do nas co roku. Prawdę mówiąc, niewiele więcej można powiedzieć na temat Hazel.

- Skąd więc pochodzi jej fortuna? - Kylemore siadł na brzegu ławki i słuchał w napięciu. Edward poruszył się niespokojnie.

- Powiedzmy, że odziedziczyła ją niedawno po pewnym dobroczyńcy, który wolał pozostać anonimowy. Potem Daisy nalegała, by siostry Murphy towarzyszyły jej w podróży do Europy i tak oto znaleźliśmy się tu wszyscy.

- Rozumiem. - Kyle znów oparł się o ścianę. Spoglądał na Edwarda takim wzrokiem, jakby podejrzewał, że nie mówi mu całej prawdy.

- Masz jeszcze jakieś pytania? - spytał Stuyvesant, chcąc jak najprędzej zakończyć tę rozmowę.

Księżę uśmiechnął się.

- Oczywiście! Miliony pytań! Ale wolę sam poszukać na nie odpowiedzi, jeśli mi nie weźmiesz tego

za złe.

Stuyvesant-French poruszył się niespokojnie w fotelu.

- Wcale mi się to nie podoba!

- A więc jesteś jej opiekunem? Tak czy nie?

- Jestem. - Popatrzył na księcia. - Czym cię tak oczarowała? Jest raczej cicha. W niczym nie przypomina swojej siostry.

- Mają takie same oczy. Nie zauważyłeś tego?

- Raczej nie.

- Istotnie, dziewczęta nie są do siebie uderzająco podobne... A ich oczy nie mają tego samego koloru, ale identyczny wyraz. Tyle w nich niedowierzania, tyle smutku.

- Wcale tego nie dostrzegam - powiedział Edward, nie kryjąc rozdrażnienia. - Nad czym tak dumasz, Kyle?

- Myślę, jakie to musi być straszne, wychowywać się w sierocińcu. To z pewnością były przerażające lata. Pozostały po nich ślady na całe życie, takie niewidzialne blizny. Chyba u obu dziewcząt, sądząc po ich oczach. Wczoraj przy stole zwróciło moją uwagę zwłaszcza spojrzenie Hazel Murphy.

Edward utkwiał wzrok w filiżance z kawą. Była z porcelany, ozdobiona u góry złotym napisem HMS „Maritimus”. Rozmowa z Kyle'em zmierzała wyraźnie w niepożądanym kierunku. Stuyvesant wcale nie miał ochoty poddawać się współczuciu. Sam miał trudne życie i nie zamierzał padać na kolana przed Lawinią Murphy tylko dlatego, że i jej nie było łatwo. Edward o własnych siłach wydzwignął się z rynsztoka i chciał zapomnieć raz na zawsze o przeszłości. To, że sam zdobył

wszystko, co posiadał, sprawiało mu ogromną satysfakcję. Brakowało mu już tylko towarzyszkę życia, odznaczającej się wytwornością i wdziękiem. Nawet rozpieszczona Delia Carmichael była bliższa tego ideału niż ta jarmarczna komediantka, Lawinia Murphy.

- Chyba za wiele nad tym rozmyślasz, Kyle - burknął - i wmawiasz sobie różne bzdury.

- Chcesz wiedzieć, co mnie zachwyca w cichutkiej Hazel Murphy, a czego nie znajdę u Delii Carmichael? - spytał zadziornie Kyle i pociągnął łyk koniaku. Edward pożałował, że sam go nie zamówił. -

Widzę, mój stary, jej słodką buzię, jej łagodność, jej smutek. Ta dziewczyna stanowi dla mnie zagadkę. I chyba właśnie dlatego jestem nią tak oczarowany.

Edward miał ochotę rzucić poślacaną filiżanką o ścianę.

Rozwścieczyło go to, że Kylemore dostrzegł w Hazel to wszystko, co sprawiało, iż sam szalał za Lawinią. Miał wrażenie, że ktoś odgrywa przed nim jego własną historię! Czyżby siostry Murphy zdołały ogłupić wszystkich mężczyzn?!

- Dam ci pewną radę - burknął do Kylemore'a. - Nigdy nie rozwiążesz tej zagadki, więc lepiej się zastanów, czy warto dla niej wyzybywać się stali Carmichaela? Ona ci się lepiej opłaci, możesz mi wierzyć.

Książkę popatrzył na niego znad kieliszka. Nie wyrzekł ani słowa. W

końcu Edward także zamówił koniak i obaj panowie siedzieli przez długi czas w milczeniu.

- Czy to pukanie do drzwi? - wykrzyknęła Hazel, gwałtownie machnęła ręką i omal nie wyrwała siostrze włosów.

- Ojej! - pisnęła poszkodowana. - Spojrzała groźnie na Hazel spod strzechy papilotów, które Hazel jej kręciła. Lawinia właśnie umyła głowę i ubłagała siostrę, by zawinęła jej włosy na papiloty. Fanny i Ewa przemknęły korytarzem do kajuty Hazel. Jamie już tam był: leżał na brzuchu na dywanie i czytał książkę, którą zapewne wypożyczył w okrętowej bibliotece.

- Strasznie cię przepraszam - próbowała ułagodzić przyjaciółkę Hazel, wyciągając palce z płataniny papilotów. - To tylko dlatego, że zdawało mi się, że ktoś puka do drzwi...

- Dobrze się pani zdawało - stwierdziła Abigail. Jej potężna postać w czarnym uniformie sunęła ku drzwiom jak statek pod żaglami.

Lawinia owinęła się szczelnie szlafrokiem i uciekła do sypialni.

Hazel, która zdążyła się już ubrać, stanęła obok kanapy, wpatrując się w drzwi. Jamie czytał coś na głos dziewczynkom, które słuchały jak zaczarowane.

- ...i wówczas szlachetny barbarzyńca Skacz-do-Gwiazd wydobyl

tomahawk, by oskalpować bladą twarz...

- O co chodzi? - zahuczał głos Abigail, która stała w otwartych drzwiach i mierzyła władcym spojrzeniem stewarda.

- ...przerażające wrzaski, a po pustce prerii niosły się dzikim echem otatnie, rozpaczliwe wołania: - Nie! Nie! Nie!

- Bardzo dziękuję - oświadczyła Abigail i zamknęła drzwi. Niosła w ramionach długie, połyskliwe białe pudło, owiązane mieniącą się purpurową wstążką.

- Co to może być? - szepnęła Hazel, gdy Lawinia wychynęła z sypialni.

- Przyniesiono to dla pani, panno Hazel. Nie mam pojęcia, co to takiego. - Abigail podała jej pudło i



wróciła do swych zwykłych codziennych obowiązków. Wykonywała je sprawnie jak zawsze, ale coraz to spoglądała na Hazel.

- To chyba kwiaty, prawda? - spytała Lawinia, dotykając kokardki. -

Ciekawe, od kogo?

- W środku powinien być bilecik. - Ręce Hazel drżały, gdy rozpakowywała prezent.

- ...Czerwonoskóry otworzył czaszkę swej ofiary z łatwością i drapieżnym wdziękiem lwa, rzucającego się na zdobycz...

Hazel podniosła wieko. Na posłaniu z lśniącej bibułki leżały dwa tuziny róż o długich łodyżkach.

- Spójrz... - szepnęła, wyjmując kwiaty z pudła.

- Ale piękne! - westchnęła Lawinia, dotykając każdego pąka. - Kto ci je przysłał? Nie ma przy nich żadnego bilecika, nawet kartki z nazwiskiem! I jakie czerwone, całkiem jak...

- ...krew! Preria spłynęła czerwienią, gdy Skacz-do-Gwiazd zdał swój łup i zwycięsko uniósł go ku niebu. Wiedział, że od dziś jest prawdziwym mężczyzną, wojownikiem...

- O Boże! - krzyknęła Lawinia i ruszyła wreszcie do ataku na Jamiego.

Wyrwała mu z rąk książkę i wskazała na Ewę i Fanny. - Co ty im czytasz?! Będą miały po tym koszmary! Powinieneś mieć więcej rozumu!

- To pan Stuyvesant-French dał mi tę powieść! Powiedział, że Judediah Coltrain to jego ulubiony autor. - Jamie wbił oczy w ziemię i przestępował z nogi na nogę pod oskarżycielskim spojrzeniem Lawinii.

- Masz to od pana Stuyvesanta? Kiedyż to spotkaliście się?

- Po lunchu. Właśnie wychodził z sali klubowej. Nie powiem, miał

trochę w czubie, ale był całkiem miły... miłszy niż dotąd. Poszedł ze mną do biblioteki i sam wybrał dla mnie książkę.

Lawinia popatrzyła na trzymany w ręku niewielki tomik. Było to tanie wydanie w tekturowej okładce, z bijącym w oczy tytułem *Dzicy Synowie Puszczy*. Przewróciła oczami.

- Masz to zaraz odnieść. Nie, sama to odniosę do biblioteki. I nie waż się nigdy więcej czytać tego Coltraina, słyszysz?! Nie będziesz się zatruwał takimi potwornościami!

- Ale pan Stuyvesant to czyta...

- Jeszcze jeden powód, żebyś ty tego nie robił! Musisz mi dać słowo: nigdy więcej tych okropnych

westernów! Jestem pewna, że w bibliotece znajdzie się mnóstwo książek, które kształcą umysł, a nie zaśmiecają go!

Jamie kopnął dywan raz i drugi, a potem z buntowniczą miną siadł na kanapie. Fanny i Ewa wlepiły w niego zdumione oczy.

- Nie zapominaj, że Jamie jest chłopcem, Lawinio! Nic dziwnego, że ma ochotę czytać takie książki - szepnęła cichutko Hazel.

- Tej nie będzie czytał! W dodatku od Stuyvesanta! - Lawinia przyjrzała się całej czwórce. - Cóż to? Wszyscy jesteście przeciwko mnie?!

- Ależ skąd! - Hazel popatrzyła na nią ze zdumieniem. Potem, zwracając się do Fanny i Ewy powiedziała:

- Chodźcie, dziewczynki! Zobaczymy, czy Abigail znalazła jakiś wazon na te śliczne kwiatki! - Odwróciła się znów do Lawinii, tuląc naręczce czerwonych róż. - Pożyczyłam od Daisy flakonik wody toaletowej. Stoi tu, obok fotela. Czy byłabyś tak dobra oddać go jej?

Pewnie spóźnię się na kolację. Muszę jeszcze zapędzić dzieci do łóżek.

Lawinia skinęła głową, Hazel z dziewczynkami przeszła do sypialni.

W salonie pozostało tylko dwoje antagonistów.

- To nie jest w porządku! - burknął Jamie. Jego wściekła mina przypominała Lawinii Stuyvesanta. - Jak ci się ta książka nie podoba, to możesz jej nie czytać! Ale dlaczego mnie nie pozwalasz?!

- On ci ją dał tylko dlatego, że wiedział, jaka to nieodpowiednia lektura, i chciał zrobić mi na złość. - Lawinia uniosła brodę do góry. Co się stało Jamiemu? Nigdy z nią nie wojował! Jak mu wygonić te muchy z nosa?

- Ty nic nie rozumiesz! Nic a nic!

Teraz i ona się naburmuszyła.

- Co cię opętało? Znajdę ci coś do czytania, ale o tej książce nie ma mowy!

- Nie chcę żadnej innej! Pan Stuyvesant-French powiedział, że ta mi się na pewno spodoba. No i spodobała mi się! Chcę ją przeczytać do końca! - Skrzyżował ramiona na piersi. - Wściekasz się, bo on był dla mnie taki miły, a dla ciebie nigdy nie jest!

Lawinia gwałtownie wciągnęła powietrze. Spiorunowała Jamiego wzrokiem i odpowiedziała:

- On nie bywa miły dla nikogo oprócz Daisy! Możesz mi wierzyć. A dał ci to powieściidło tylko mnie na złość!

- Nieprawda!

- Prawda.

- Nieprawda i już! Opowiedział mi w bibliotece, o czym to jest. Jakby jej nie czytał, to by nie mógł opowiedzieć!

Lawinia już otwierała usta, ale ostatni argument okazał się nie do odparcia.

- Niech ci będzie! Możliwe, że on rzeczywiście lubi książki tego rodzaju. Musisz jednak przyznać, że postąpiłeś głupio, czytając to na głos Ewie i Fanny.

- Oddaj mi książkę! Będę ją czytał tylko po cichu. Słowo honoru!

- Nie! - Lawinia przycisnęła tomik do piersi. - Wracam do siebie, przebiorę się i jeszcze przed obiadem oddam tę bzdurę do biblioteki. I zwrócę im uwagę, że jesteś zbyt młody, by czytać o takich okropnościach!

- Rób, co chcesz! - Jamie rzucił jej jeszcze jedno mordercze spojrzenie i wybiegł z kajuty.

- Kto by to pomyślał?! - zawołała Lawinia. Popatrzyła na koszmarną ilustrację na okładce i przez myśl przebiegły jej różne rodzaje tortur, którym chętnie poddałaby Stuyvesanta. Doskonale wiedziała, że zrobił to dla żartu. Natrze mu porządnie uszu, kiedy się spotkają wieczorem!

Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. Potem podeszła do stołu i wzięła do ręki fioletowy flakon z etykietką, która głosiła złotymi literami co następuje:

FIOŁKOWY TONIK PANI WIRTH KURUJE I UPIĘKSZA

LECZY KOLKĘ ŻOŁĄDKOWĄ, NIEDOMOGE NEREK I CIERPIENIA WĄTROBY

PRZYDAJE BLASKU CHOROBLIWIE BLADEJ CERZE

Lawinia wyjęła woskową zatyczkę i omal nie padła trupem. Tonik pani Wirth nie był niczym innym, jak wysokoprocentową nalewką na fiołkach. Kilka pokruszonych kwiatków marynowało się na dnie butelki.

Trzeba koniecznie uprzedzić Daisy, by zanadto się tym nie perfumowała, a już za żadne skarby nie zażywała tego, bo nim się spostrzeże wpadnie w alkoholizm!...

Lawinia wbiła korek w otwór butelki z taką energią, że wosk się rozkruszył. Zaklęła, rzuciła bezużyteczne resztki w kąt i postanowiła poszukać na swojej toalecie prawdziwego korka. Nie zaprzatając sobie tym dłużej głowy, wzięła w garść książkę i flakon, uchyliła drzwi i wyjrzała na korytarz.

Pusto.

Musiała tylko dotrzeć do zakrętu. Jakieś dziesięć metrów za nim znajdowały się drzwi do jej kajuty. Cóż by to jednak była za kompromitacja, gdyby ktoś ją zobaczył w samym tylko jedwabnym szlafrocuku i w papilotach!

Podłoga na korytarzu była tak wyfroterowana, że Lawinia w rannych pantoflach ślizgała się po niej. Zdumiewające! Kiedy załoga zdołała doprowadzić twarde drewno tekowe do takiego glansu?! Ani razu nie widziała, by ktoś to polerował! Zamknęła za sobą drzwi i rozejrzała się jeszcze raz. Ani żywej duszy. Musi tylko dobiec do zakrętu, znowu zbadać teren i w te pędy do kabiny, nim ją ktoś przyłapie!

Kiedy brała zakręt, nogi jej się rozjechały jak na ślizgawce. Minąwszy go, sprawdziła, czy dalsza droga wolna. Nie było nikogo. Odetchnęła z ulgą, przyciskając do piersi wodę toaletową i książkę Jamiego.

Kiedy jednak spojrzała raz jeszcze, zobaczyła no, kogóż by innego?!

Stuyvesant-French pojawił się na końcu korytarza, jakby sam diabeł go tu przypędził w przystępie czarnego humoru!

Lawinii zaparło dech. Miała teraz dwie ewentualności: albo biec do swojej kajuty i wystawić się na pośmiewisko przed Stuyvesantem, albo wracać do Hazel i może natknąć się za rogiem na innego ciemnego typka?

Skamieniała ze strachu. Nogi wrosły jej w ziemię. Edward, znajdujący się jeszcze dość daleko, przy końcu korytarza, przystanął i zamrugał

jakby sądził, że oczy odmawiają mu posłuszeństwa.

- To ty, Lawinio?

- Zawsze musisz się zjawić w najgorszym momencie! - Aż kipiała z gniewu. Miała ochotę wyć.

Zrobił kilka kroków i znów się zatrzymał. Tym razem zauważyła, że przygląda jej się, marszcząc czoło.

- Czy to naprawdę ty, Lawinio? Co ty masz na głowie, na litość boską?!

- Nie twój interes! Wracaj, skądś przyszedł! Ja też mam prawo do odrobiny prywatności!

- Co ty znów kombinujesz?! Nie pozwolę na żadne seanse na statku, póki jesteś pod moją opieką! - Stawał się coraz bardziej podejrzliwy. -

Znów się za kogoś przebrałaś?! Kogo odgrywasz tym razem? Jakąś starą nieboszczkę księżną?

Lawinia przygryzła dolną wargę tak mocno, że poczuła smak krwi.

Gdyby ją zobaczył tylko w szlafroku, byłoby jeszcze pół biedy, ale te trzepoczące papiloty! Poczowała

się straszliwie upokorzona.

- Idź sobie, Edwardzie! Chciałabym jak najprędzej schronić się w kajucie, więc uszanuj moją skromność.

- Odwróć się i zejź mi z drogi. - Spuściła wzrok i aż jęknęła na widok książki i flakonu, które zaciskała w rękę. Gdyby to zobaczył, chyba by umarła. Umarłaby i już!

- Co tam chowasz za plecami? Co trzymasz w rękę? Znowu jakieś diabelskie sztuczki?!

Był coraz bliżej. Lawinia cofnęła się. Pantofle ślizgały się po posadzce jak po lodzie.

- Idź już, Edwardzie! Stawiasz mnie w kłopotliwej sytuacji. Jeszcze ktoś nadejdzie! Nie zagradzaj mi drogi do kajuty!

- Nie puszczę, póki mi nie pokażesz, co chowasz za plecami! -

Zatrzymał się tuż przed nią. Nagle odrzucił głowę do tyłu i parsknął

śmiechem. - Mój Boże! Lawinio, ty się czerwienisz!

- Nienawidzę cię! Pójdiesz sobie wreszcie?!

Zmarszczyła groźnie brwi, ale to wcale nie odstraszyło Edwarda.

Policzki jej płonęły.

- Zobaczmy, co ty tu masz!

- Nie! - Starła się zachować spokój, ale wiedziała, że jest czerwona jak burak.

- Albo pokażesz po dobru, albo sam...

Chwycił ją za ramię i sięgnął do tyłu. Lawinia próbowała się wyrwać...

i nagle otoczył ją obłok wyziewów fiołkowo-spirytusowych. Podczas szarpaniny niezakorkowany flakon przechylił się i wyfroterowana podłoga została ochrzczone „Tonikiem pani Wirth”.

- Zostaw mnie, małpiszonie! - wrzasnęła Lawinia. Uwolniła się, ale nogi znów jej się rozjechały. Próbuąc odzyskać równowagę, wczepiła się kurczowo w kamizelkę Edwarda. Wówczas poślizgnął się i on. Oboje wylądowali na podłodze, pierś w pierś. On pod spodem, ona na nim.

- Popatrz, coś narobił! Mam nadzieję, że ci złamałam rękę, potworze! -

Wbiła mu pięści w brzuch, próbując się podnieść.

Edward objął ją ramieniem w pasie i trzymał unieruchomioną w bardzo niestosownej pozycji. Jego oczy skrzyły się diabelską uciechą.

- Co też ty masz na głowie, Lawinio?! Czyżby to były papiloty?

- Tak! - syknęła, usiłując wyrwać mu się. Bez skutku, ramię Edwarda przypominało żelazną obręcz.

Uśmiechnął się od ucha do ucha i wolną ręką dotknął jej papilotów.

- No, przynajmniej raz wyglądasz jak żałosna sierotka, za którą się podajesz!

- Puszczaj! - syknęła głosem ostrym jak nóż.

Spojrzenie Edwarda ześlizgnęło się niżej. Jedwabny szlafrok rozchylił

się, więc miał teraz doskonały widok na gorset Lawinii i dwie ponętne okrągłości tuż nad nim. Łobuzersko uśmiechnięta twarz całkiem zmieniła wyraz... Powiódł kostkami palców po szyi dziewczyny, niebezpiecznie blisko owych uroczych wzgórków.

- Prawdę mówiąc, jeśli spojrzeć pod tym kątem, to chyba jednak nie wyglądasz na nieletnią, zagubioną sierotkę...

Lawinia przymknęła oczy i jęknęła. Mężczyźni to dzikie bestie!

Zwłaszcza ten tutaj.

- Puść mnie, nim ktoś się zjawi i nas zobaczy! - Próbowała zsunąć się z niego, ale jej nie puszczał.

- Co tu tak śmierdzi? - Tym razem on zmarszczył czoło. - Mam wrażenie, jakbym trafił do burdelu!

Wyrwał jej z garści flakon. Odczytał w skupieniu napis na etykiecie.

Powąchał. Uniósł brwi.

- Wielki Boże! Mam nadzieję, że nie popijasz tego do poduszki?!

Lawinia wykrzywiła się do niego.

- To doskonale znany w najlepszym towarzystwie specyfik pani Wirth na ożywienie bladej cery!

- Nie znam się specjalnie na damskiej cerze, ale nos będziesz miała z pewnością czerwieńszy, jeśli zaczniesz to regularnie zażywać. - Zmrużył

oczy. - Jakie inne wstydlive sekrety tam ukrywasz?

- Jeśli nie puścisz mnie w tej chwili, wrzasnę na cały głos „Ratunku!”.

Przysięgnę, że wywlokłes mnie przemocą z mojej kajuty w niecnym zamiarach! - W głosie Lawinii brzmiała histeria.

- Co widzę? Juddediah Coltrain? Czyżbyś podwędziła to Jamiemu, żeby sobie poczytać?

Lawinia była pewna, że mózg jej eksploduje, jeśli będzie się dłużej hamować. Co za niesłychana bezczelność!

- Niczego Jamiemu nie „podwędziłam”! Jeśli chcesz wiedzieć, zabroniłam mu stanowczo czytać tę brukową literaturę! Jakim prawem dałeś mu coś podobnego i to bez mego pozwolenia?!

- To nie jest wcale taka zła powieść. Kiedy byłem chłopcem, przepadałem za nią.

- No to ją sobie poczytaj! - Trzasnęła go w pierś dziełem Coltraina.

Edward złapał książkę i roześmiał się. Uścisk ręki obejmującej talię Lawinii wyraźnie zelżał.

Zerwała się najszybciej jak mogła. Szlafrok przesiąkł tonikiem pani Wirth, który rozlał się po podłodze. Spostrzegłszy to, krzyknęła ze złością:

- Popatrz, coś narobił! Że też musiałeś się tu zjawić, właśnie w tym momencie! - Była tak zirytowana, że nie mogła się podnieść. Edward wsparł się na łokciu i przyglądał się jej bacznie. Musiała wyglądać groteskowo, bo śmiał się bez przerwy.

- Pozwolisz, że dam ci pewną radę, Lawinio. Jestem pewien, że bardzo ci się przyda: lepiej w przyszłości ogranicz się do wody kolońskiej.

Oczy Lawinii błysnęły gniewem.

- Ty też nie pachniesz w tej chwili zbyt uroczo, mój panie! Ale może cię krzywdzę: mało któremu z mężczyzn do twarzy z fiołkami.

Edward usiadł na podłodze i uśmiechnął się żałośnie, powąchawszy swe ubranie, które także przesiąkło specyfikiem pani Wirth.

- To bardzo dowcipna uwaga, Lawinio. Ale mam nadzieję, że pod czas naszej wspólnej podróży po Europie zechcesz poskromić nieco swą słabość do tandetnych pachnidła i brukowej literatury.

W Lawinii wszystko się zagotowało.

- To twoja ulubiona brukowa literatura i tandetne pachnidła twojej siostry, więc zwracam komplement pod właściwym adresem!

- No to Bogu dzięki, żeś wylała to świństwo! Muszę zaciągnąć Daisy do paryskich perfumerii, nim gust i węch całkiem jej się spaczy!

Lawinia wpatrywała się w niego. Siedzieli tak naprzeciw siebie na podłodze, oparci o przeciwległe ściany korytarza. Wyglądali groteskowo: zupełnie jak para bokserów, odpoczywających po zakończeniu rundy. A wokół nich unosił się niewiarygodny smród!

Ni stąd ni zowąd, Lawinia zaczęła się śmiać. Edward najpierw zmarszczył czoło i spojrzał na nią podejrzliwie. Potem i on zaśmiał się i wreszcie ryknął na całe gardło.

- Ależ ty wyglądasz! - wykrztusiła Lawinia między jednym a drugim atakiem śmiechu.

- Lepiej niż ty, moje złotko, z tymi trzęsącymi się papilotami! Osunął

się po ścianie i złapał za brzuch, jakby dostał kolki ze śmiechu.

Lawinia śmiała się tak, że zapomniała, gdzie się znajduje. Dopiero, gdy jakiś mężczyzna pochylił się nad nimi, zorientowała się, że siedzi na korytarzu.

- Bardzo przepraszam, ale czy to wejście do kajut pierwszej klasy czy trzeciorzędna knajpa? - Korneliusz Cook spoglądał to na jedno, to na drugie, dyskretnie zatykając sobie nos. - Dla mnie to za mocne.

Zechciejcie mnie oświecić, co to właściwie jest: spirytus czy koncentrat; fiołkowy?

Rozdygotana Lawinia zerwała się na nogi. Zapomniała już o wesołości; czuła się straszliwie upokorzona.

- O Boże. Niech pan na mnie nie patrzy!

Cook - dżentelmen w każdym calu - odwrócił głowę, gdy otulała się szlafrokiem, unurzonym w toniku pani Wirth.

- Co tu się działo, French? - spytał, gdy Lawinia nieco się oddaliła,

- Lepiej nie pytaj! - odparł Edward, przewracając oczami. Raz jeszcze obejrzał się za Lawinią i wstał z podłogi.

Lawinia wpadła do swej kajuty. Zamykając drzwi, słyszała rozmawiających i śmiejących się na korytarzu mężczyzn. Była straszliwie zażenowana, ale Bogu dzięki, że przyłapał ich Cook, a nie ktoś inny! Czuła instynktownie, że może liczyć na jego dyskrecję.

Gdybyż Stuyvesant był równie godny zaufania!



*Gdybyście, tylko wiedzieli, jakie to lwy i czorty ze wszystkich krajów świata zmieniały się na jedno moje świśniecie w osły i potulnie kłapały mi do taktu wielkimi uszyskami!*

H. P. B. (Helena Pietrowna Bławatska)

- Steward, proszę nam dolać bordeaux! I co tu tak cuchnie? Ależ to fiołki! Fiołki, fiołki, fiołki wszędzie!... - Książę, trzymając się za nos, wskazał stewardowi kieliszki przy kapitańskim stole, które należało znów napełnić czerwonym winem. Potem Kyle odwrócił się do reszty towarzystwa i powiedział z szerokim uśmiechem: - Gdybym nie znał tak dobrze mego przyjaciela Edwarda, pomyślałbym, że to on rozacza ten zapasek. Stuyvesant-French spiorunował go wzrokiem.

- Może to najnowsza paryska moda? - odezwała się łobuzerskim tonem Lawinia.

- Co takiego?! Mężczyźni mieliby pachnieć fiołkami zamiast wodą laurową? Nie wierzę! - odparł Buch, najwyraźniej zgorszony podobną sugestią.

- A jednak, jeśli to rzeczywiście ostatni krzyk mody, to pan Stuyvesant-French kroczy na czele pochodu! Czuję się wprost kopciuszkiem w porównaniu z tym elegantem pierwszej wody. - Lawinia pociągnęła spory łyk bordeaux, zerkając na Edwarda przez szkło kieliszka. Ona również nie zdołała pozbyć się upartego zapachu. Nie pomogła nawet kąpiel. Niechże więc i on dzieli jej hańbę! A poza tym, jakie to zabawne, kiedy poważny, opanowany człowiek niezdarnie usiłuje ukrócić wszelkie aluzje na temat tanich perfum!

Wszyscy pasażerowie, którzy wczoraj wieczorem siedzieli przy kapitańskim stole, zjawili się także dziś: Daisy, Buch, książę i Cook. Ten ostatni, zgodnie z oczekiwaniami Lawinii, nie wspomniał ani słówkiem o incydencie na korytarzu. Lawinia dostrzegła jeszcze jedno wolne nakrycie i przypomniała sobie poranne plotki na temat ciotki księcia, która znajdowała się podobno na pokładzie i miała się do nich przyłączyć. Była bardzo ciekawa tej damy; Daisy powiedziała, że to znana ekscentryczka.

- Mamy oprócz fiołków jeszcze jedną zagadkę do rozwiązania -

odezwała się nieoczekiwanie Daisy. Miała minę pensjonarki, zwierzającej się koleżankom z sekretu. - Panna Hazel Murphy ma tajemniczego wielbiciela! Przysłał jej dziś po południu róże, bez żadnego bilecika! Niesłychane, prawda? - Daisy zachichotała. Była taka różowiutka i śliczna w aksamitnej sukni koloru wina, że Lawinia zupełnie nie mogła zrozumieć, po co tej dziewczynie idiotyczny tonik pani Wirth?! - A co wasza książęca mość sądzi o tej sprawie? Bardzo intrygująca, nieprawdaż? Wprost niewiarygodna!

- Istotnie - odparł Kyle, nie odwracając oczu od Hazel.

Ona również zerknęła w jego stronę i zaczerwieniła się pod jego spojrzeniem, choć dzieliła ich cała szerokość stołu. Wieczorowa sukna ze szmaragdowej tafty podkreślała jeszcze jej rumieńce.

- To róże, to znów fiołki. Boże wielki, cała flora wyrwała się spod kontroli! Trzeba natychmiast położyć temu kres! - Buch mrugnął do Lawinii.

Uśmiechnęła się do niego i zaraz napotkała wzrok Edwarda. Jego spojrzenie było, łagodnie mówiąc, karcące. Nagle przestał ukrywać swą irytację.

- Całe to unoszenie się nad tajemniczymi wielbicielami to szczyt głupoty! Jakież szanujący się mężczyzna posyła damie róże i nie ma odwagi przyznać się do tego?!

- Dzięki za lekcję dobrego wychowania, panie Stuyvesant-Frenet -

odezwała się Lawinia głosem spiętym i pełnym urazy. - I za niezbity dowód, że przynajmniej pan nie jest zdolny do tak frywolnego...

- Tu jesteście, moje złotka! Moje koteczki! Ależ z was spryciarze zagarnęliście dla siebie sam kwiat kobiecości! - Niczym trąba powietrzna zjawiała się u szczytu kapitańskiego stołu jakaś dama. Miała zapewne koło siedemdziesiątki. Jej lśniące, srebrzystosiwie włosy przycięte były dość dziwacznie, ubrana zaś była - ku zdumieniu Lawinii

- w tak zwany reformowany strój kobiecy, bardzo modny przed dwudziestu laty. Spodnie uszyte z mieniącego się, purpurowo-zielonego jedwabiu, a długą bluzę z adamaszku w soczystym odcieniu brązu.

Mimo kosztowności tkanin ubiór robił dziwaczne wrażenie. Najbardziej rzucał się w oczy jaskrawozielony turban z atlasu, ozdobiony rubinem wielkości pięści.

- Może byś się przywitał ze schorowaną starą ciocią? - huknęła owa dama na Kylemore'a, który posłusznie wstał i cmoknął ją w policzek.

Buch również się zerwał i oznajmił:

- Panie i panowie - księżna wdowa Kylemore!

Nowo przybyła cofnęła się nieco od stołu i nagle stanęła jak wryta.

Popatrzyła na Lawinie i Hazel, raz i drugi, aż wreszcie wybuchnęła z entuzjazmem:

- Hrabina! Wielka księżna! Poznałabym was wszędzie!... Przed waszymi portretami w Camp Woodvine palą świece! Ależ mam szczęście! Będę podróżować w towarzystwie dwóch najśłynniejszych spirytystek z Manhattanu!

Edward wyraźnie się dusił. Daisy śmiała się niezbyt mądrze, jak dziecko, które wymazało sobie właśnie całą głowę lodami. Kapitan wpatrywał się bez słowa w księżnę; widać jeszcze nie oprzytomniał po wstrząsie, jakiego doznał na jej widok. Cook miał taką minę, jakby śmiech rozsadał go od wewnątrz.

- O czym cioteczka mówi, ciociu Seleno? - wtrącił się Kyle, równie zdezorientowany jak Buch.

- O Camp Woodvine, głuptasie! Byłam tam Bóg wie ile razy. A jeśli chodzi o słynne media, to te dwie damy dorównują niemal siostrze Fox!

Machnęła ręką na Kyle'a, by podał jej krzesło. Zasiadłszy wreszcie przy stole, pochyliła się ku Lawinii, wskazując jej swój rubin.

- Spędziłam rok w Himalajach, w ustronnej tybetańskiej dolinie. Mój mistrz, Koot Hoomi, podarował mi ten klejnot na pamiątkę naszych wspólnych medytacji. Och, nie pretenduję do miana wtajemniczanej, daleko mi do was, ale byłabym zachwycona, gdybyśmy urządziły sobie seans jeszcze przed przybyciem do Londynu.

Lawinia otworzyła usta, lecz nie zdołała wykrztusić ani słowa. Tym razem ona spłonęła rumieńcem. Prawie wszyscy zebrani w jadalni gapili się na dziwną starą damę przy kapitańskim stole. Wlepiano również oczy w księcia i hrabiego, którzy wyraźnie nie wiedzieli jak się zachować od chwili, gdy ciotka rzuciła tę bombę.

- Być może, droga księżno, zwiódło cię podobieństwo panien Murphy do kogoś innego - zauważył Edward, wpatrując się w Lawinię takim wzrokiem, jakby chciał nałożyć jej kaganiec.

Lawinia zachowała milczenie, choć wiedziała dobrze, że księżnej pamięć nie zawodzi.

- Bzdura! Potrafię rozpoznać hrabinę Lovaenya, kiedy ją mam przed nosem. To spotkanie to dla mnie wielki zaszczyt, moja droga! - Starsza pani wyciągnęła rękę i poklepała Lawinię po ramieniu. Hazel nie odzywała się. Siedziała tylko po przeciwnej stronie stołu i wpatrywała się w siostrę. Na jej twarzy zastygł wyraz przerażenia.

- Bardzo możliwe, wasza książęca mość - odezwał się znów Edward. -

Założę się jednak, że wysiliwszy nieco pamięć, dojdzie księżna do wniosku, iż panna Murphy nie jest wcale spirytystką, tylko zwyczajną...

Księżna Selena cofnęła się, jakby chciała lepiej przyjrzeć się Edwardowi. Stuyvesant, zaskoczony reakcją księżnej wdowy, stracił

wątek.

- Czy coś nie w porządku, wasza książęca mość?

- Czym ty się wyperfumowałaś, Edwardzie?

Zacisnął mocno wargi.

- Diabelskim eliksirem, ale jakież to ma znaczenie? Mówiłem właśnie...

- Mówiłeś właśnie, że starą babę pamięć już zawodzi. Ale ja wiem, że mam słuszość! I ty także o tym wiesz, drogi chłopcze. Rozpoznałam je bezbłędnie, nieprawdaż?

Lawinia zamknęła oczy. Nie było sensu zaprzeczać. Księżna udowodniła im wszystko czarno na białym; gotowa jeszcze ściągnąć za łeb innych świadków! Edward nie zdoła ich wyplątać z tej matni.

- Czy rzeczywiście jesteście panie spirytystkami? - wtrącił się do rozmowy książę. Patrzył prosto na Hazel.

Nie mogąc się już powstrzymać, Hazel wybuchnęła płaczem.

Spójrzała na twarze zebranych wokół stołu: Cooka, kapitana Stafforda, wreszcie księcia. Nim Lawinia zdołała ją powstrzymać, zerwała się z krzesła i ku ogólnemu zdumieniu wybiegła z jadalni.

- Proszę nie wstawać od stołu. - Kylemore popatrzył złym wzrokiem na swoją ciotkę. - A z ciocią muszę koniecznie pomówić jeszcze dziś wieczorem. - Z tymi słowy książę rzucił serwetkę na stół i pospieszył za Hazel.

- To raczej ja powinnam pobiec za nią - szepnęła Lawinia i wstał.

- Kyle już poszedł. Niech się rozmówią. Może skłoni ją, żeby wróciła.

- Buch podsunął jej krzesło.

- Tak, siadaj lepiej, hrabino - syknął Edward przez zaciśnięte zęby -

Daisy popatrzyła na niego jak na wariata, ale brat wzruszył tylko ramionami i znów zwrócił oczy na Lawinie. - Siadajże wreszcie! Nigdy jeszcze nie rozczarowałaś wielbicieli swego talentu. Chyba i tym razem nie sprawisz im zawodu?

Chociaż i jej zbierało się na płacz, Lawinia usiadła z powrotem. Czuła na sobie spojrzenia wszystkich zebranych w jadalni; najgorsze jednak były zielone oczy po przeciwnej stronie stołu, które przygwoździły ją niemal do krzesła.

- Doprawdy, panie Styuvesant, czuję nadchodzącą migrenę. - Potarła skronie dla lepszego efektu i spojrzała błagalnie na Daisy, by pomogła jej się wymknąć.

Daisy jednak milczała, jakby ostatnie wydarzenia odebrały jej mowę.

Za to księżnej nie brakło słów. Zwróciła się do stewarda.

- Proszę nam przynieść butelkę Dom Perignon, zanim powróci książę z panną Murphy. To z pewnością uleczy twoją migrenę, hrabino! Mnie zawsze pomaga. - Starsza pani roześmiała się.

Ciekawe, czy wie, ile sprawiła nam kłopotu? - pomyślała Lawinia.

- Tak, to ją z pewnością uleczy! - warknął Edward i rzucił Lawinii miazdzące spojrzenie.

- Uleczy czy wykończy? - mruknęła pod nosem. Ale mimo wszystko wzięła podany jej kieliszek.

- No, cóż się stało?

Na głos księcia Hazel podniosła głowę i udawała, że podziwia mroczny przestwór oceanu. Słyszała za sobą kroki Kyle'a. Nie mogąc spojrzeć mu w oczy, otarła ukradkiem policzki i zacisnęła ręce na ozdobnej mosiężnej poręczu, biegnącej wokół pokładu pierwszej klasy.

- Nic, naprawdę nic - powiedziała. - Pańska ciotka miała słuszość.

Moja siostra i ja jesteśmy spirytystkami, a raczej byłyśmy nimi, zanim postanowiłyśmy wyruszyć w podróż zagraniczną i zapewnić sobie szacowniejszą pozycję. Ale teraz wszystko przepadło. Chyba nawet czuję ulgę. - Hazel zmarszczyła czoło, jej oczy wpatrywały się gdzieś w dal. - Niektóre role bardzo trudno odgrywać.

- Cóż to takiego, ten Camp Woodvine?

- To kolonia spirytystów w górnej części stanu Nowy Jork. Przez pewien czas przebywałyśmy w niej z moją siostrą i tam właśnie wyuczyłyśmy się naszego zawodu.

Usłyszawszy to wyjaśnienie, książę zamilkł na tak długo, że Hazel w końcu odwróciła się i spojrzała na niego.

- A więc to prawda? - spytał cicho.

- Tak - odparła szeptem. Żałowała z całej duszy, że nie może dać innej odpowiedzi.

Kylemore znów umilkł i tylko wpatrywał się w nią uważnie. Silna wieczorna bryza wzburzyła fryzurę Hazel. Dziewczyna odgarnęła loki z pełnych łez oczu.

- Czemu się książę pan nie cofa ze wstrętem przed awanturnicą? Nie szydzi ze mnie? Nie znieważa? Albo nie proponuje pieniędzy za moje usługi?

- Jakie znów usługi?

Hazel nie mogła poznać po głosie, czy Kylemore jest podniecony, czy zgorszony. Opanowując płacz odparła:

- Nieważne. I tak nie byłam nigdy dobrą wróżką. Na przykład dziś: dostałam różę od anonimowego wielbiciela i - doprawdy śmieszne! - nie mam pojęcia, kto...

Dalsze słowa stłumił pocałunek. Usta Kyle'a stopiły się z jej ustami, jakby samo przeznaczenie popchnęło ich ku sobie. Pocałunek był krótki brak str. 170-1.

wdowa zrobiła coś zdumiewającego: mrugnęła porozumiewawczo do Lawinii.

- Muszę państwu wyznać, że istotnie urządziłam dawniej seanse spirytystyczne, ale postanowiłam z tym skończyć. Pragnę, by moja siostra wyszła szczęśliwie za mąż, a reszta naszej rodziny znalazła wreszcie dom. - Lawinia starała się przedstawić sprawę w jak najlepszym świetle. Niezbyt jej to

wychodziło.

Edward wreszcie pospieszył jej z pomocą.

- Panna Murphy chce przez to powiedzieć, że w Nowym Jorku spirytyści rozwijają szeroką działalność. Ona sama została w to kiedyś wciągnięta, ale całkowicie już z tym zerwała i woli do tego nie wracać...

nawet w myślach.

- Ależ to niemożliwe! - wykrzyknęła księżna. - Wybierasz się przecież z paniami do Londynu. Pomyśl tylko, jaką zyskają tam popularność, gdy wszyscy się dowiedzą o ich niezwykłych talentach! Cała arystokracja oszaleje na punkcie duchów!

- Tak, tak, Edwardzie! Uważam, że księżna ma rację - odezwała się Daisy. - Talenty Hazel i Lawinii są doprawdy niezwykłe! Śmietanka towarzyska w Ameryce pasjonuje się duchami, więc czemu w Anglii ma być inaczej? Z pewnością w Londynie wszyscy będą nimi zachwyceni.

- Daisy! - mruknął do niej brat. - Nie zostanę dyrektorem cyrku, a i tobie na to nie pozwolę!

- Nie wyjechałam za granicę po to, by tkwić stale w tym czy innym salonie i od rana do wieczora pić herbatę! Jeśli tak to ma wyglądać, to powinnam była zostać w Stanach i zamieszkać w moim domku!

Zniecierpliwiony Edward zgrzytnął zębami:

- Nie, Daisy, to wcale nie musi tak wyglądać! Nie chcę, żebyś się nudziła, ale nie pozwolę, by twój zagraniczny wjazd zmienił się we włączkę z bandą Cyganów!

- Banda Cyganów! Więc tym dla pana jesteśmy? - Lawinia wyprostowała się. Być może to szampan dodał jej ducha, ale wyglądała jak uosobienie urażonej godności.

Selena stanęła po jej stronie.

- Ależ, Edwardzie! Te damy nie są włączkami ani Cygankami! Co w ciebie wstąpiło?!

- Nic mnie to nie obchodzi, jaką sobie przypną etykietkę - odparł

gniewnie. - Ale ja nie zamierzam włączyć się po Europie, organizując seanse w arystokratycznych domach!

- Nikt od ciebie tego nie wymaga, głuptasie! - gruchała księżna wdowa z taką cierpliwością, jakby uspokajała niesfornego trzylatka. - zresztą i tak nie potrafiłbyś zorganizować seansu! Wiem z całą pewnością, że najlepszymi mediami bywają kobiety. Nieprawdaż, droga hrabino?

Lawinie ogarnął pusty śmiech, ale miała dość rozsądku, by go powstrzymać.

- Rzeczywiście, słyszałam, że młode kobiety są w bliższym kontakcie z zaświatami. Być może

dlatego, że posiadają moc dawania życia.

- Nie, nie! Przypomniałem sobie artykuł na temat pewnego medium ze Shropshire - wtrącił się Buch.  
- W „London Herald” napisali, że ta właśnie młoda dziewczyna może kontaktować się z duchami dzięki swojej niewinności i kompletnemu brakowi wykształcenia. Tym właśnie góruje nad mężczyznami. Porównywali umysł tej dziewczyny do czystej tabliczki, na której duchy mogą wypisywać swoje przesłania.

Rozumiecie: całkowity brak zdolności intelektualnych otworzył niejako drogę do przekazywania wieści z zaświatów. I wieści przychodzą! Do tej dziewczyny ustawiają się w kolejce ludzie z całej okolicy!

- Cóż za zdumiewająca historia, drogi chłopcze! Że też od razu przypomniałeś sobie ten artykuł! Pusta tabliczka. Co za oryginalna teoria. - Selena uśmiechnęła się szeroko. Rubin na jej turbanie błysnął

ogniem. - A zatem najlepszymi mediami są pustogłowe pannice, z którymi duchy mogą konwersować bez skrępowania! Zgodzisz się chyba ze mną hrabino?

Lawinia odetchnęła głęboko. Nie zdołała się jednak opanować i zachichotała.

- Też coś! - obruszył się Edward. - Nasza hrabina jest równie naiwna i bezbrinnie głupia jak pantera, tropiąca swą ofiarę! Według tych kryteriów Buch znacznie lepiej nadaje się na medium.

- Brawo! - roześmiała się księżna. Buch zmarszczył brwi.

- Jak to, nie dotarło do ciebie, Edwardzie? Wrodzona niższość intelektualna kobiet stwarza jakby wolne przejście dla duchów. Pojąłem to od razu! - stwierdził, mierząc Lawinie pobłażliwym wzrokiem.

- Jeśli tak się sprawy mają, mój stary - powiedział Edward - to poproś duchy, by ozdobiły to przejście, czyli naszą drogą hrabinę, swoimi inskrypcjami od stóp do głów! A potem może zdoła przy ich pomocy przetransportować Most Londyński do Nowego Jorku? Byłbym zachwycony!

- Ależ masz tupet, Edwardzie! Ach, gdybym była o pięćdziesiąt lat młodsza... - Selena podniosła się z krzesła i cmoknęła Edwarda w policzek. Wszyscy zebrani w sali jadalnej wytrzeszczyli na nią oczy i zaczęli coś szeptać. Księżna jednak przywykła widać do tego, że zwraca powszechną uwagę. I nic dziwnego! - pomyślała Lawinia. - To zdumiewająca kobieta! Powinni się na nią gapić, bo drugiej takiej nie zobaczą.

- Nie wiem, który z panów ma rację. Ale otóż i obiad. W samą porę nieprawdaż? - Kapitan Stafford zatarł ręce i uśmiechnął się do swoich gości. Kelnerzy zaczęli podawać pierwsze danie. Nie rozmawiano wiele, póki obiadł się nie skończył. Potem towarzystwo rozdzieliło się na dwie grupki.

Panie przeszły do salonu, położonego na lewo od jadalni i urządzonego również w stylu nieśmiertelnych Ludwików. Lawinia sączyła likier, a księżna przypuściła na nią frontalny atak.

- Nie wierzę wprost własnemu szczęściu, że osobiście panią poznałam, hrabino! Bywałam w Woodvine niezliczoną ilość razy, to istna Mekka dla wszystkich spirytystów, nawet amatorów!

- My z Hazel od dość dawna nie byliśmy tam. Z pewnością całkiem już o nas zapomniano.

- Bzdura! Jest pani dla nich bożyszczem! Słowo daję. Musi mi pani zdradzić swe zawodowe sekrety!

- Seleną wzięła podawany jej kieliszek cassisu i usiadła po turecku na kanapie.

Lawinia niemal pozazdrościła księżnej jej „zreformowanego” stroju.

W swej opinającej biodra sukni z wydatną tiurniurą mogła tylko przycupnąć na brzeżku obitego czerwonym atłasem krzesła.

- Pochlebia mi pani, księżno, ale obawiam się, że nie posiadam wcale talentów, jakie mi pani przypisuje.

- Posiada pani, posiada! Jestem pełna podziwu.

Daisy nie wtrącała się do rozmowy. Woląca sączyć w milczeniu kseres i przysłuchiwać się temu, co mówią inni. Teraz jednak zawołała z entuzjazmem.

- Muszę przyznać, Lawinio, że uważam twoje talenty w nawiązywaniu kontaktu z duchami za coś niebywałego! Wszyscy są tego samego zdania. To przekracza ludzkie pojęcie, ale chcę w to wierzyć! Jeśli dusze naprawdę żyją po śmierci, to powinniśmy się z nimi porozumiewać.

Tylko jak to się dzieje? Zupełnie sobie tego nie wyobrażam. To ponad moje siły!

- Nie potrafię ci tego wytłumaczyć - szepnęła Lawinia, unikając wzroku Daisy. Co innego występować przed tłumem dobrze płacących frajerów, a co innego oszukiwać przyjaciół. W Daisy Vanadder znalazła przecież prawdziwą przyjaciółkę.

- Słyszałam przeróżne określenia: magnetyzm zwierzęcy, mesmeryzm, hipnotyzm, elektrobiologia. Siostry Fox miały stukające stoliki, Daniel Dunglas Home swoje słynne lewitacje. Ale te seanse, zjawy, pismo automatyczne, wszystkie te fenomeny, te możliwości zerknięcia w zaświaty... To musi mieć jakieś wspólne podłoże. Tylko jakie?

- Wspólny mianownik, do którego to wszystko się sprowadza -

stwierdziła księżna - można określić słowami: kompletna bzdura.

- Co takiego?! - wykrzyknęły chórem Lawinia i Daisy.

- Przecież to wszystko oszustwo, nieprawdaż? Ty na przykład wcale nie jesteś hrabiną, prawda, Lawinio? - spytała Seleną z niewinną minką.

- Ale... nic już nie rozumiem! Myślałam, że bywała pani w Woodvine, księżno? Sądziłam, że należy pani do sympatyków spirytyzmu!



Lawinia była całkiem wytrącona z równowagi. Może nie odczytała właściwie słów księżnej? Może nie rozumiała całej tej dyskusji o duchach, bo za wiele wypła? Pospiesznie odstawiła kieliszek z likierem.

- Ależ jestem entuzjastką spirytyzmu, drogie dziecko! - uśmiechnęła się Selena. - Gdyby kobiety nie dysponowały wiedzą tajemną, mężczyźni nadal byliby pewni, że potrafimy tylko prac im bieliznę i rodzić dzieci! Ale w nas tkwi znacznie więcej talentów, nieprawdaż?

Daisy wydawała się równie zbita z tropu jak Lawinia.

- Więc jak to w końcu jest? Zdarzają się niezwykle zjawiska, czy nie?

- Oczywiście, że się zdarzają! - Księżna zmarszczyła brwi. Jej wzrok spotkał się ze wzrokiem Lawinii. - Czy to nie fenomen, że kobiety występują publicznie przy pełnym audytorium, przy aplauzie zagorzałych zwolenników? Za moich młodych lat nikt nie wybrałby się na prelekcję jakiejś niewiasty. A teraz zdarza się to często, niemal w każdym mieście, w każdym kraju. Znalazłyśmy wreszcie i my drogę do sławy: dzięki rzekomym kontaktom z zaświatami.

- Więc pani zdaniem, księżno, nie można porozumieć się z duchami? -

wypaliła bez ogródek Daisy.

- Można, nie można, czy to ważne? - Selena uśmiechnęła się serdecznie do Daisy. Wszystkie zmarszczki na jej uroczej starej twarzy wygładziły się. - Prawdę mówiąc, nie wierzę w takie kontakty. Wydają mi się szokujące i bezsensowne. Ale jak długo mężczyźni będą w nie wierzyć, tak długo nie zabraknie wyznawców, a my, kobiety, dzierżyć będziemy klucze królestwa!

- Coś mi się zdaje, Lawinio, że mamy w naszym gronie emancypantkę! - powiedziała w końcu Daisy z szerokim uśmiechem.

- Istotnie! - odparła Lawinia, nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać. -

Więc pani nie wierzy w kontakty z duchami, księżno?

- Liczą się nie duchy, ale główna gwiazda tego spektaklu. - Selena mrugnęła do niej szelmowsko, tak samo jak podczas obiadu. - Jakież ona musi mieć cudowne poczucie władzy! Nie, nie wyrzekaj się tego, hrabino! Masz moje całkowite poparcie.- Uniosła kieliszek do toastu.

-Wypijmy, moje drogie, za zdrowie spirytystek!

Lawinia z ociąganiem sięgnęła po swój likier. Z początku miała niepewną minę, ale potem roześmiała się i uniosła kieliszek w górę.

- Zdrowie spirytystek!

*Spadło to na nich jak epidemia wietrznej ospy: w całym kraju zaroilo się od mediów, nim ci, co mieli więcej rozumu, zdążyli zamknąć pierwszych kilka sztuk w szpitalu dla wariatów.*

Augustus de Morgan, 1863

Gdy Edward pojawił się w drzwiach salonu, zastał Daisy, Selenę i Lawinię główka przy główce, niczym wiedźmy skupione nad kotłem.

Nic podczas tej podróży nie działo się tak, jak sobie zaplanował.

Przybycie Seleny było ostatnią kroplą przepełniającą czarę! Księżna w młodych latach wywołała w całej Europie więcej skandali niż Byron, Shelley i Keats razem wzięci. Absolutnie nie liczyła się z opinią publiczną. Teraz, w późnym wieku, obrosła niemal szacowną legendą i znajomość z nią ułatwiłaby niewątpliwie Daisy wstęp do najbardziej ekskluzywnych kręgów towarzyskich. Kłopot jednak polegał na tym, że Selena była niepoprawną grzesznicą. A teraz, sądząc z zachwyty w oczach zapatrzonej w nią Daisy, księżna opowiadała znowu jedną z przygód swej bujnej młodości. Edward aż się wzdrygnął.

- Czy starsza pani gotowa już do łóżka? - spytał Buch, podchodząc do drzwi.

Edward prychnął pogardliwie.

- Selena wyklada właśnie dziewczętom swoją życiową filozofię!

Spójrz tylko na tę trójkę: przybycie waszej ciotki dopełniło miary moich nieszczęść, a i bez tego podróż nie zapowiadała się najlepiej!

- Cioteczka nigdy się nie zmieni. Doskonale o tym wiesz. - Buch skinął na stewarda, by zaanonsował ich przybycie.

Słyszac gromkie obwieszczenie, damy podniosły głowy. Daisy podjechała do drzwi, Lawinia, odrzucając pomoc stewarda, sama podniosła księżną wdowę na nogi.

- Zaopiekowała się pani moją ciocią? - spytał Buch Lawinię, gdy obie zbliżyły się do niego.

- To raczej księżna roztoczyła opiekę nade mną - odparła Lawinia z uroczym uśmiechem.

Buch podał ciotce ramię i zniżając głos spytał Lawinie:

- Zaczeka pani chwilkę na mnie? Chciałbym odprowadzić panią do kajuty.

Jeśli nawet Lawinia wyczytała kryjący się w jego słowach podtekst, nie dała tego po sobie poznać.

- Mieszkam tuż obok panny Vanadder. Proszę się nie fatygować.

- To żadna fatyga. Zaraz wracam!

- Kajuta panny Murphy sąsiaduje z kajutą mojej siostry - powiedział

dobitnie podrażniony nagle Edward. Zawsze lubił tego smarkacza Buchanona, ale ostatnio jego paplanina działała mu na nerwy.

Buch miał taką minę, jakby chciał powiedzieć Stuyvesantowi coś, za co z pewnością oberwałby po pysku, ale dobre wychowanie wzięło górę.

Skłonił się tylko obu paniom i oddalił się w towarzystwie cioci.

- Powinnaś się była zgodzić, Lawinio, żeby cię odprowadził -

odezwała się Daisy, gdy brat położył ręce na oparciu jej fotela.

- Może masz rację - Lawinia ukradkiem zerknęła na Edwarda. - Ten chłopak jest naprawdę przystojny. Mogłabym trafić znacznie gorzej!

Edward popychał fotel siostry, ale spoglądał z ukosa na Lawinie.

Dobrze pamiętał mężczyznę, z którym przyłapał ją tamtego wieczora, gdy wszedł bez zapowiedzi do jej salonu. Nie zapomniał ani twarzy tego typa, ani jego stroju: wypisz-wymaluj śmieciarz! Jeszcze teraz diabli go brali, że Lawinia Murphy zadaje się z takimi mętami, a dla niego jest zimna i nieczuła. Nie chcąc zdradzić nagłej irytacji, powiedział

ironicznie:

- Ależ trafiłaś już znacznie gorzej, Lawinio! Przypomnij sobie tego wszawego kundla, którego zastałem kiedyś w twoim salonie. Co też się z nim stało? To był przecież istny dar losu dla niezamężnej damy, takiej jak ty!

- Potwór z ciebie! - odparła żartobliwym tonem Lawinia, ślizgając się w swych pantofelkach po szklistej posadzce. - Monty nie jest żadnym kundlem! Kochany z niego chłopak! Naprawdę. Reczywiście powinnam była za niego wyjść!... Może nawet wyjdę, kiedy wydam Hazel za mąż.

Edward poczuł znów przyływ irytacji. Zaś Daisy jakoś dziwnie przycichła. Wpatrywała się w przestrzeń i nie wiedzieć czemu straciła ochotę do rozmowy.

- Spójrz na tę podłogę! To doprawdy skandal. Można po niej jeździć na łyżwach! - odezwała się Lawinia, przemykając się obok fotelu Daisy.

- Lubię dobrze utrzymany parkiet, ale co za dużo, to niezdrowo.

- Przypomina mi to marmurowe posadzki w naszej rezydencji. Daisy podniosła głowę i powiedziała z uśmiechem do swojej przyjaciółki: -

Wiesz, nie mogłam znieść paradnego holu. Wyglądał zupełnie jak skalna pieczara! Jedynym plusem była gładka podłoga. Marzyłam czasem, że pojeżdżę sobie po niej moim wózkiem - w pełnym galopie. Z pewnością bym to zrobiła, gdybym znalazła kogoś, kto by chciał się ze mną tak pobawić.

Lawinia nagle przystanąła.

- No to zaraz się przekonamy, jakie rozwiniesz tempo!

- Co takiego?! - wykrzyknęła Daisy. Edward wzniosł oczy do góry.

- Zdaje się, że panna Murphy nieźle sobie podpiła!

- Ależ skąd! - odparła ze śmiechem Lawinia. - Wiem, że to kawał w stylu Jamiego, ale z pewnością będzie nam wesoło! - Wpakowała się na miejsce Edwarda, złapała za uchwyty fotela i pochyliła się ku Daisy. -

Gotowa?

Daisy skinęła głową.

Edward energicznie zaprotestował:

- Nie zrobicie tego! Stanowczo zabraniam!

- On nam zabrania! - szepnęła Lawinia do Daisy. Obie odwróciły głowy i zmierzyły go wzrokiem.

I ruszyły galopem.

Edward już miał gonić za nimi, ale stwierdził, że to byłoby poniżej jego godności. Przyglądał się więc z mdlącym uczuciem w żołądku, jak pędziły po długim korytarzu pierwszej klasy, mijając ozdobne, podwójne drzwi z tekowego drewna i mosiądzu, wiodące do imponujących apartamentów najdostojniejszych gości „Maritimusa”. Daisy piszcziała z uciechy, a Lawinia śmiała się jak szalona, próbując bezskutecznie zwolnić tempo, gdy zbliżały się do zakrętu. Trudno jednak zaprzeć się nogami o podłogę, gdy ma się pantofelki o wyslizganych podeszwach.

Zatrzymanie dziwaczego tandemu wydawało się niewykonalne. W

końcu Lawinia, w skrajnej desperacji, klapnęła na podłogę, nie wypuszczając uchwytów fotela. W ostatnim momencie wózek inwalidzki wyhamował przed zakrętem i skończyło się na lekkim zderzeniu z przeciwległą ścianą.

- Jeszcze raz! Jeszcze raz! - pokrzykiwała Daisy, płacząc ze śmiechu.

Edward podszedł do skandalicznie zachowującej się dwójki. Szttywno wyciągnął rękę ku Lawinii i pomógł jej wstać. Wyglądała jak obraz nędzy i rozpaczy: tiurniura poszarpana, włosy rozczochrane, na prawym policzku smuga smaru z koła. Ale oczy błyszczały dziecięcą radością.

Potem zwrócił się ku Daisy. Nigdy jeszcze nie słyszał, by jego siostra śmiała się tak serdecznie. Zupełnie nie mogła złapać tchu, w końcu wykrztusiła:

- Jeszcze raz!

- Chyba wystarczy na jeden wieczór - odparł. - Pobudzicie wszystkich pasażerów!

Lawinia stłumiła chichot i próbowała doprowadzić do porządku swą garderobę. Kiedy jednak zorientowała się, co zostało z jej tiurniury, znów wybuchnęła śmiechem.

- Och, Edwardzie, nie psuj nam zabawy! Tym razem kolej na ciebie! -

chichotała Daisy.

- Mylisz się - odparł sztywno. Daisy odwróciła głowę do Lawinii.

- Och, gdybyś wiedziała, co on dawniej wyprawiał! Mój kochany braciszek, urwis nad urwisami! Nie masz pojęcia, ile razy wpakował się w kabałę.

- Nie zmyślaj, Daisy - nasrożył się Edward. Daisy ciągnęła dalej, nie zwracając na niego uwagi:

- A teraz zrobił się z niego beznadziejny sztywniak! Jakby to mogło zmazać jego niechlubną przeszłość!

Lawinia popatrzyła na Stuyvesanta. Unikał jej wzroku. Miał wrażenie, że jego wnętrzości zawiązały się na supeł. Zajął miejsce za fotelem siostry. Dowiósł ją pod same drzwi i przekazał w ręce Eweliny, gdy tylko pokojówka pojawiła się na progu.

- Dobranoc, Lawinio! Dobranoc, Edwardzie! - Daisy machała im ręką na pożegnanie i posyłała pocałunki, aż wreszcie Ewelina zamknęła drzwi.

Edward odwrócił się. Lawinia nadal wpatrywała się w niego. Stała w kącie korytarza. Obok śmiechu w jej oczach pojawiło się coś nowego.

Miał wrażenie, że widzi w nim bratnią duszę i rozgniewało go to. Wolał

nie dostrzegać podobieństw między swoim losem a życiem tej kobiety.

Pragnął widzieć tylko różnice. I lepiej, żeby Lawinia trzymała się z dala od niego. Pewnego dnia odnajdzie dziewczynę swoich marzeń: dobrą, pełną wdzięku, bez najmniejszej skazy. Zupełnie inną niż ta mała wiedźma, która bez skrupułów powiodłaby każdego na zatracenie, byle zagarnąć jego pieniądze!

Spojrzał znów na Lawinie i spostrzegł, że trzyma w ręku kawałek liliowego adamaszku, szczątek zrujnowanej tiurniury. Na gładkim policzku dziewczyny nadal widniała czarna smuga.

Edward wyjął chusteczkę i podał jej.

- A to po co? - spytała podejrzliwie.

Podszedł bliżej i wytarł policzek Lawinii cieniutkim, białym płótnem.

Popatrzyła na czarną plamę na chusteczce i znów się rozchichotała!

- Bezwstydnica! - powiedział surowo. Rozśmieszyło ją to jeszcze bardziej.

- No pewnie! Ale Daisy bawiła się jak nigdy! - Wyminęła go i skierowała się do swojej kajuty przy końcu korytarza. Bez większego entuzjazmu Stuyvesant podążył za nią.

- Nie potrzebuję eskorty! Mówiłam to już poczciwemu hrabiemu Wziął ją za rękę i zatrzymał przy samych drzwiach. Wpatrywał się w nią, wiedząc, że ma jej coś do powiedzenia... ale nagle wszystkie myśli uleciały mu z głowy. Poza tą jedną: co by się stało, gdyby objął jej cienką talię i przygarnął ją do siebie z całej siły?

- Och, Edwardzie! - westchnęła. - Ty naprawdę pachniesz fiołkami!

Nieoczekiwanie rozśmieszyło go to. Uśmiechnął się szeroko i nie potrafił już opanować wesołości. Lawinia zawtórowała mu śmiechem.

Nie mógł dłużej walczyć z pokusą: pochylił się i ucałował dziewczynę w usta.

- Nie! - jęknęła Lawinia i wyrwała się mu.

Ochota do śmiechu całkiem go opuściła. Powrócił znów bezsilny gniew.

- Nie życzę sobie, żebyś urządziła seanse! - oświadczył. - Nic mnie nie obchodzi, że Selena się tego domaga! Wystawisz na pośmiewisko samą siebie, mnie i Daisy. Nie życzę sobie tego, powtarzam!

Lawinia popatrzyła na niego. Z jej oczu zniknęły wesołe iskierki.

- Doskonale wiem, czego sobie życzysz, a czego nie! Możesz być tego pewien.

- Więc zachowuj się przyzwoicie!

Na ustach Lawinii pojawił się uśmiezek, który doprowadzał go do obłędu.

- Przyzwoicie? - powtórzyła. - Przecież ty wcale nie chcesz, żebym się zachowywała przyzwoicie. Prawdę mówiąc, marzysz o tym, żeby było wręcz odwrotnie. Na przykład, żebym otworzyła drzwi i zaprosiła cię do mojej kajuty!

- Chcę, żebyś zachowywała się przyzwoicie przy ludziach! Prywatnie możesz robić, co ci się podoba.

- A chcesz, żebym otworzyła drzwi i zaprosiła cię do środka, Edwardzie?

Wiedział, że Lawinia wypłała stanowczo za dużo wina. Nie godziło się wykorzystywać tej sytuacji... ale było w tej dziewczynie coś, może zapach jej ciała: woń pudru, fiołków i subtelnej kobiecości, co pociągało go jak magnes. Cała jego natura wyrywała się do niej. Niekiedy rozmyślał nad tym: czy dowie się kiedykolwiek, co stanowi ten nieodparty wabik? Dlaczego właśnie ta kobieta budzi w nim tak dzikie, tak gwałtowne uczucia? Czy kiedykolwiek zdoła nad nimi zapanować?

Zwróciła ku niemu swoją śliczną twarzyczkę i zapytała słodko:

- Czy chciałbyś wejść do mojej kajuty, Edwardzie?

Powstrzymał się, by natychmiast jej nie ucałować.

- Tak... - wyszeptał ledwie dosłyszalnie. Ich spojrzenia się spotkały.

Lawinia zawahała się. Na jej czole pojawiła się zmarszczka. Edward zapragnął dotknąć jej, wygładzić. Chciał skłonić Lawinię do śmiechu równie szczerego jak przed chwilą, a potem całować ją tak, by nie mogła już żyć bez jego pocałunków.

- A co byś o mnie pomyślał, gdybym cię naprawdę wpuściła? - Jej głos był teraz cichszy. Jakaś mroczna myśl przesłoniła cieniem jej oczy.

- Pragnąłbym wyrazić ci wdzięczność za osłodę życia, za rozkosz.

Zawsze tak postępuję z kobietami.

- Chcesz powiedzieć: z kobietami mojego pokroju? - szepnęła.

Wiedział, że jej oczy są pełne bólu, zanim jeszcze w nie spojrzał.

O Boże, jak piękne miała oczy! Były tej samej barwy co błękitnawe cienie na jej liliowej sukni, a przy tym takie czułe i ciepłe. Edward odwrócił wzrok; nie wiedzieć czemu poczuł się winny.

- Śniłeś mi się kiedyś, mój najmilszy, srogi Edwardzie. Jeszcze w Nowym Jorku.

Leciutki uśmiech pojawił się na jej różanych ustach. Tak pragnął je całować, że aż go to bolało.

- To był bardzo wyraźny sen. Do dziś pamiętam niektóre szczegóły.

Lawinia wyciągnęła rękę i dotknęła twarzy Edwarda. Przymknął oczy i wtulił policzek w jej dłoń. Była miękka jak aksamit.

- Ale ten sen się nie spełni, prawda? - szepnęła. - Był taki dziwny, niewiarygodny. W tym śnie udowodniłam ci, że się mylisz. Dowiodłam ci, że nie jestem rozpustnicą bez czci i wiary, z jakimi zadawałeś się setki razy.

- Czasem i rozpustnica może dać szczęście. - Odwrócił głowę i ucałował wewnątrz jej dłoni. Było gładkie, gorące, pachniało Lawinią.

- Po co się dłużej zadreczać? Jeśli dziś zaspokoimy nasze pragnienia, może będziemy od jutra dla siebie miłsi? Może nawet zaprzyjaźnimy się, Lawinio?

- Kolejna obopólnie korzystna transakcja, co?

Poczuł się, jakby dostał w twarz.

- Nie odchodź - szepnął.

Lawinia spojrzała mu w oczy. Powoli uniosła drugą rękę ku jego twarzy, objęła ją i przyciągnęła do siebie. Ku zaskoczeniu Edwarda ucałowała go w usta. Jej wargi były rozchylone, język wilgotny, zwinnie i pożądlivy.

- Jeszcze... - wykrztusił, ale odsunęła się od niego.

- Pewnie myślisz, że całuję się tak z kim popadnie? Nie, Edwardzie: chowam swe pocałunki dla ciebie, tylko dla ciebie.

Wolał nie słyszeć bolesnej urazy w jej głosie. Wcale nie zależało mu na tym, by Lawinia miała ludzkie uczucia. Pragnął tylko całować jej powieki, wodzić językiem po bladoróżowych policzkach, wtulić twarz w jej szyję. A potem schylić się jeszcze niżej, zawładnąć piersiami, które urzekłyby każdego normalnego mężczyznę. Pragnął wziąć Lawinie, posiąść bez reszty, upajać się nią... bez żadnych konsekwencji. Przecież ani oskarżenia, ani wybuchy zranionych uczuć nie wchodziły w grę, gdy miało się do czynienia z kobietami jej pokroju! A jednak, może właśnie pod tym względem Lawinia różniła się od innych? Może właśnie dlatego od początku miała mu za złe, że się nie angażował?

- Po co to wszystko utrudniasz? Możesz pieścić tego beznamiętnego kundla. Przecież przyłapałem was w salonie. Ten brudas trzymał cię w objęciach! A ze mną nie chcesz mieć do czynienia! - Czuł, że ponosi go gniew. Ta kobieta doprowadzała go do obłędu!

- Może po prostu się szanuję? - uśmiechnęła się gorzko. - Ale po co mam się szanować, prawda? Jestem zwykłą awanturnicą. Taką samą, z jakimi zawsze miałeś do czynienia. - Podeszła bliżej, głos jej stał się bardziej gardłowy. - Ale ich się przynajmniej nie lękasz, tak jak innych kobiet.

Twarc mu ani drgnęła, ale Lawinia trafiła w sedno. Rzeczywiście lękał

się jej. Było w niej coś, a może w jej nadprzyrodzonych sztuczkiach? - co sprawiło, że zaszła mu za skórę jak żadna inna kobieta. Może lękał się jej, bo przeczuwał, że jeśli się z nią zwiąże, nigdy już nie zdoła się od niej uwolnić? Będzie w jej mocy na wieki.

- Kiedy wyswatam już Hazel, sama rozejrzę się za mężem. Widziałbyś siebie w tej roli, Edwardzie?

- Nie bądź śmieszna!

- No cóż. Buch ma tytuł hrabiowski.



- Za to ja mam więcej pieniędzy.

- Angielscy arystokraci znani są z tego, że przymykają oczy na dawne grzeszki swoich żon. Chyba nie przejął się zbytnio tym, że byłam kiedyś medium.

- Jesteś dla niego po prostu nową zabawką.

- A czym jestem dla ciebie?

To pytanie zbiło go z tropu. Nie odpowiedział od razu.

- Dla mnie nie jesteś... nową zabawką.

- Nie?

- Zbyt dobrze cię znam, Lawinio. Przez całe życie miałem do czynienia z takimi jak ty: drobne oszustki, gotowe się sprzedać za upragnioną błyskotkę. Tylko takie kobiety bywają dostępne dla bękarta bez majątku, jakim niegdyś byłem. Ale sam zdobyłem sobie pozycję i teraz zasługuję chyba na coś lepszego!

- Zupełnie tak samo jak ja! - Lawinia popatrzyła na niego. Była tak bezbronna w swej szczerości, że aż go zakłuło w sercu.

- Jesteśmy ulepieni z jednej gliny - powiedział łagodnie - choć wcale nie mam ochoty przyznawać się do tego. - Objął ramionami jej smukłą talię i przyciągnął Lawinie do siebie. - Ale czy dzięki temu będziemy się przyciągać jak dwa magnesy czy odpychać?

Patrzyła mu prosto w oczy. Topniała niemal w jego objęciach. Jej delikatne okrągłości stapiały się z twardymi płaszczyznami jego ciała.

- Czuję i jedno, i drugie. Właśnie dlatego emocje są takie silne. Stąd tyle bólu...

Wpatrywał się w nią. Nie było już mowy o udawaniu. Ściszonego głosem wyznał:

- Czasami, późno w nocy, wyobrażam sobie, że jesteś ze mną. Czuję cię pod sobą, całkiem naga. - Podniósł rękę do jej włosów. - Oplatam sobie twoje loki wokół palców. - Przymknął oczy. - Widzę cię całą, czuję na twojej skórze zapach naszej miłości, czuję ciężar twoich piersi w swych dłoniach. W marzeniach dostrzegam najdrobniejszy szczegół

twojego ciała. Ale nie widzę nigdy wyrazu twojej twarzy. Ani twego przyzwolenia, ani twej radości. Nigdy.

- W moim śnie to wszystko było, Edwardzie.

Ich oczy spotkały się.

- Więc pozwól, niech się spełni ten sen. Jeszcze dziś.

Lawinia uwolniła się z jego objęć. Poczul nagle lodowatą pustkę. Była nie do zniesienia.

- Tylko od ciebie zależy, Edwardzie, czy tak się stanie. Jeśli zajrzysz do mego serca, zobaczysz moją duszę, to sen się ziści.

Mógłby przysiąc, że nim odwróciła się od niego, dostrzegł łzy w jej oczach.

A ból, który odbił się na jego twarzy, gdy Lawinia weszła do swej kajuty, pozostawiając go na korytarzu, czyż nie był zwierciadlanym odbiciem jej bólu?

- Niechby sobie była czarownicą, byleby tkwiło w niej coś ze zwykłej kobiety... - Korneliusz spojrział na Edwarda. - Trafiłem w sedno?

Stuyvesant-French oparł się o reling. W miarę jak zbliżali się do Bermudów, robiło się coraz cieplej. Edward, jak większość pasażerów płci męskiej, pożegnał się z szarym wełnianym surdudem i włożył białe płócienne ubranie. W tej chwili odwrócił twarz do słońca i przymknął

znużone oczy.

- Nie mam ochoty rozmawiać na ten temat. Nie chcę w ogóle mówić o niej! Na moją zgubę zetknąłem się z tymi Murphy!

- Buch wypytywał mnie o majątek Lawinii.

Edward otworzył nagle oczy. Mięśnie wokół ust naprężyły się.

- Chyba mu nie powiedziałaś?!

- Oczywiście, że mu powiedziałem. Tyle co sam wiem, czyli bardzo niewiele. - Korneliusz pokiwał głową. - Buchanon rwie się do niej, jak szczeniak do kota! Nie może się doczekać, kiedy zatopi zęby w zdobyczy. No cóż, gdyby odrestaurować te jego irlandzkie dobra...

Wyobrażasz sobie, jakie wspaniałe seanse mogłaby tam urządzać Lawinia?

Edward milczał.

Korneliusz odwrócił się do balustrady i popatrzył na morze. Nawet nie starał się ukryć szerokiego uśmiechu.

Daisy uchwyciła się brzegu biurka. Ewelina znajdowała się w pokoju obok: pouczała personel statku, jak należy prasować bieliznę pościelową.

Władczy głos pokojówki całkiem zagłuszył skrzypnięcie fotela, gdy Daisy z niego wstawała.

Aż jęknęła z wysiłku. Podniósłszy się, popatrzyła w lustro wiszące nad biurkiem. Obramowana ciemnymi włosami twarz była blada i spięta, ale kiedy Daisy stała w tej pozycji, można ją było wziąć za zwykłą, zdrową dziewczynę. Wyglądała tak samo jak wszyscy. Jeśli powstrzyma grymas bólu, nikt się nie domyśli, jak bardzo dokuczają jej nogi, jakie są słabe i niepewne.!

Opadła znów na fotel. Brakowało jej tchu, ledwie zdołała odsunąć się od biurka.

- Czy coś się stało, panno Daisy? - spytała Ewelina, wsuwając głowę przez drzwi. - Zdawało mi się, że coś stuknęło. Bałam się, że panienka się wywróciła.

- Nie, nie, wszystko w porządku. - Daisy zerknęła ukradkiem na służącą. Nie chciała, by Ewelina dowiedziała się o tych ćwiczeniach. To była jej nowa gra, jej sekret! Przysięgła sobie codziennie stać tak długo, że w końcu będzie mogła robić to bez wysiłku. A potem może spróbuje przejść krok czy dwa? Miała nadzieję, że pewnego dnia ujrzy na scenie Montagu Baillie'go i weźmie udział w owacji na stojąco, o której marzy każdy aktor.

- Muszę zejść pod pokład i przemówić do rozumu tej pracze!

Zostanie panienka przez chwilę sama? Wrócę raz dwa! - Ewelina rzuciła jej spojrzenie pełne troski, które ostatnio doprowadzało Daisy do szału.

Patrzyła na nią tak, jak dobra gospodyni spogląda na kruchą filiżankę, ustawioną niebacznie na samym brzeżku półki.

- Idź sobie i zajmij się czym chcesz. Wiesz dobrze, że poradzę sobie doskonale - odparła Daisy opryskliwie i podjechawszy do biblioteczki, sięgnęła po tom Waltera Scotta. Nie znosiła, kiedy ktoś się z nią cackał!

Ewelina doskonale o tym wiedziała.

- Niedługo wrócę. - Pokojówka popatrzyła na nią badawczo. - Czy panienka dobrze się czuje? Jakaś bledsza niż zwykle i całkiem bez tchu...

- Nic mi nie jest! - odparła Daisy, ostentacyjnie zabierając się do czytania. Ewelina popatrzyła na nią raz jeszcze i wyszła. Pokojowa odpowiedzialna za stan kajut maszerowała za nią.

Daisy westchnęła i odłożyła książkę na półkę. Nie miała ochoty na czytanie. Marzyła o chodzeniu!

Podjechała do drzwi. Może trochę świeżego powietrza dobrze jej zrobi? Powinno ją wzmocnić, dodać energii niezbędnej do ćwiczeń. A silna bryza z pewnością rozwieje czarne myśli, które ją nagle opadły.

Monty dostrzegł Daisy znacznie wcześniej niż ona jego. Znajdował się właśnie na pokładzie pierwszej klasy: ustawiał tekowe leżanki, z których korzystała rodzina Murphych. Pogoda była piękna. W sam raz na odpoczynek i lekturę na świeżym powietrzu. Stewardzi obsługujący inne kajuty krzatali się, układając grube koce w kratę i przygotowując wózki do serwowania herbaty. Monty nie miał nic przeciwko temu, by udawać stewarda. Był aktorem z krwi i kości, gotowym wcielić się w każdą rolę.

Byle nie być sobą.

Daisy Vanadder zjawiała się sama. Jak wszyscy przedstawiciele jej klasy, nie zwróciła na niego uwagi. Dla pasażerów Monty był tylko automatem w uniformie stewarda. Jeszcze jedną z kręcących się wokół

pracowitych mrówek. Nie zdając sobie sprawy z tego, że jest obserwowana, Daisy Vanadder przywitała się z kilkoma znajomymi, którzy wylegiwali się na słońcu, a potem potoczyła swój wózek

na sam dziób. Tam była niewidoczna dla innych pasażerów pierwszej klasy.

Monty dyskretnie ruszył za nią. Na dziobie statku ustawicznie wiało.

Przyglądał się dziewczynie, podziwiając jej upór i zdecydowanie, W

Daisy Vanadder nastąpiła jakaś zmiana. Ujrzał na jej twarzy nadzieję i wzruszyło go to. Najwyraźniej coś planowała, tylko co?

Położył dwie puchowe poduszki na jednym z foteli i powoli zbliżył się do Daisy. Było to oczywiście szpiegowanie, ale tym się Monty nie przejmował. Intrygowała go ta bogata dziewczyna, uwięziona na inwalidzkim wózku. Oboje byli ofiarami okrutnego losu: jemu podcinało skrzydła niskie pochodzenie, a jej kalectwo.

Niepewnie uchwyciła się mosiężnej poręczy. Puściła ją zaraz, przestraszona czy skrępowana. Wkrótce jednak ręce Daisy znów powędrowały do barierki, zacisnęły się na niej mocniej, jeszcze mocniej... aż wreszcie uniosła się nieco z fotela.

Opadła z powrotem, całkowicie wyczerpana. Zwiesiła głowę, ale po chwili ręce znów się uniosły. Podciągała się z całej siły, dopóki znów nie osłabła.

Za trzecim razem udało jej się podnieść. Kiedy stanęła na nogi, Monty podszedł do niej.

- Ćwiczymy? - spytał swoim zwykłym, pewnym siebie tonem. Tak ją zaskoczył, że puściła poręcz i omal nie upadła.

Chwycił ją za przeguby i kładąc jej ręce na balustradzie, powiedział:

- Kto wie? Może niedługo zatańczymy walca? - Potem objął ją w pasie i podciągnął do pozycji stojącej.

Daisy poczerwieniała i zbladła. Trzymała się poręczy tak kurczowo, jakby całe jej życie zależało od tego.

- Czy to bardzo trudne? - spytał. - Boli panią?

W milczeniu skinęła głową.

Objął Daisy ramieniem tak, że wspierała się o niego. Przyjrzał się jej uważnie. Uczesane w staropanieński koczek włosy były lśniące i rozkosznie bujne. Oczy połyskiwały zielenią, jak morze pod nimi.

Pięknie zarysowanych, pełnych ust chyba nikt jeszcze nie całował.

- Jest pani naprawdę śliczna! Najładniejsza dziewczyna na pokładzie!

Powinna się pani strzec groźnych wilków, takich jak ja. A już zwłaszcza takich sytuacji. - Objął ją

mocniej, bardziej pieszczotliwie. Spojrzał na własne ramię w wyświeconym surducie i na smukłą talię Daisy. Mógłby ją objąć dłońmi!

- Ja naprawdę ćwiczyłam. Pan chyba umie czytać w myślach! -

wykrztusiła.

- Nic podobnego. Ale zawsze wypatrzę ładną dziewczynę na pokładzie

- uśmiechnął się do niej.

- Mam zamiar bić brawo na stojąco, kiedy wielki aktor Montagu Baillic będzie przyjmował owacje na scenie Teatru Królewskiego w Londynie! - Po ustach Daisy przemknął uśmiech. - Pewnie pan myśli, że oszalałam?

- Taka z pani wielbicielka teatru?

- Musiałam sobie znaleźć jakiś pretekst, żeby ćwiczyć wstawanie.

Wolałabym, żeby to był pański triumf w teatrze, ale chętnie też postoję podczas ceremonii ślubnej, gdy pobierzecie się z Lawinią. - Spojrzała na niego z tak szczerą sympatią, a zarazem bólem, że Monty'emu ścisnęło się serce. - Całkiem możliwe, że przyjmie wreszcie pańskie oświadczenia. Wczoraj wieczorem mówiła o panu. Chyba nie wie, żeśmy się spotkali.

- Lawinia nigdy za mnie nie wyjdzie. Za dobrze ją znam, by uwierzyć w coś podobnego.

- Skąd pan może wiedzieć? Wyrażała się o panu z ogromną sympatią.

- A pani jak się o mnie wyrażała? - uniósł jedną brew. Daisy zamilkła na chwilę.

- W ogóle o panu nie wspomniałam. Nie miałam odwagi. - Odwróciła oczy. - Ale gdybym kiedyś o panu mówiła, powiedziałabym, że jest pan może zbyt pewny siebie, ale uroczy. Niesłuchanie uroczy.

- I popatrzyła na Monty'ego.

Dotknął leciutko jej włosów.

- Uroczy? A jakież to ma, u licha, znaczenie?

- Ogromne. Zwłaszcza dla takiej starej panny bez żadnych szans...

Monty popatrzył na nią.

- Przecież mówiłem, że jest pani śliczna! I w dodatku bogata. Musi pani nabrać pewności siebie! Jak tylko brat zacznie panią obwozić po Londynie, konkurentów z pewnością nie zabraknie! Więc niechże pani przestanie tak źle o sobie myśleć. Trzeba ćwiczyć pewność siebie, tak samo jak wstawanie.

- Pan też tak robił?

Uśmiechnął się szeroko.

- No pewnie! I teraz w całym Nowym Jorku nikt tak nie zadziera nosa jak pani pokorny sługa.

Daisy roześmiała się. Zabrzmiało to jak kryształowe dzwoneczki. Z

przyjemnością częściej by tego słuchał.

- Może bym pani pomógł w tych ćwiczeniach? - Spojrzał na dziewczynę, przytuloną do niego tak nieprzystojnie i tak rozkosznie. -

Nie bardzo wypada, żebym tak panią obejmował bez powodu, prawda?

- Mnie się to podoba. - Popatrzyła mu prosto w oczy. Zaniepokoiło to Monty'ego. Jej spojrzenie było o wiele za szczere dla tego żartownisia i oszusta.

- Naprawdę nie powinienem tego robić. Nie wypada tak traktować młodej panny... i to sam na sam.

- Ale czuję się tak pewnie, jak nigdy dotąd. Może właśnie dlatego nie potrafiłam utrzymać się na nogach, że nikt mnie nie podtrzymywał?

Monty przyglądał się jej uważnie. W ostrym porannym świetle większość kobiet prezentuje się fatalnie, a ona po prostu promieniała! Jej profil był zarazem delikatny i niezłomny, jakby wykuty z marmuru. Na twarzy malowała się wzruszająca samotność. Tak go chwyciła za serce, że nie mógł odwrócić od niej oczu.

- I cóż pan we mnie zobaczył? - spytała cicho. Jej policzki poczerwieniały. - Jeszcze nigdy żaden mężczyzna tak na mnie nie patrzył...

Monty wziął się w garść. Co też go opętało? Ale gdy spojrział jeszcze raz na Daisy, zrozumiał, co to było.

- Czy będzie tu pani przychodzić co rano na ćwiczenia? - spytał

tonem, jakim mężczyzna umawia się na tajemną schadzkę. Monty dobrze wiedział, co mu chodzi po głowie. Co gorsza, wiedział też, czego mu się zachciewa i jakim potrafi być draniem, jeśli chce coś osiągnąć.

- Bardzo bym chciała - odparła Daisy z wahaniem, rozglądając się po pustym dziobie. - Tutaj nikt mnie nie zobaczy. A czy pan o tej porze spaceruje po pokładzie?

- Jasne! - odparł. Gdy pomagał dziewczynie usiąść w fotelu i kiedy znów znalazła się w jego ramionach, poczuł wyrzuty sumienia.

- Znowu kwiaty! Znowu róże! Tu jest jak na cmentarzu! - Lawinia wręczyła Abigail jeszcze jedno długie, połyskliwe białe pudło.

Hazel rozejrzała się bezradnie po salonie zastawionym wazonami.

Stały w nich kwiaty we wszystkich kolorach tęczy, jakie tylko można było nabyć w bardzo nowoczesnej okrętowej kwiaciarni.

- I oczywiście ani śladu bilecika! - zawołała Lawinia.

Hazel wybuchnęła śmiechem, który nagle przerodził się w płacz.

Wybiegła z pokoju ścigana niespokojnym wzrokiem Lawinii, Daisy i Seleny, które piły właśnie popołudniową herbatę.

- O co tu chodzi? - spytała szeptem Daisy.

- Okropny chłopak! Chętnie dałabym mu nauczkę. - Selena odstawiła filiżankę.

Lawinia spojrzała na nią uważnie.

- Księżę?

- A któżby?! Oczywiście, że to Kyle! - odparła księżna wdowa.

- Przecież on nie ma poważnych zamiarów? Hazel już wie, że jest zaręczony.

Lawinia przycupnęła na poręczy fotela Seleny.

- Jest taki sam, jak każdy inny: chciałby zagarnąć dla siebie wszystko!

Trudno mu zrezygnować z takiej gratki jak stał Carmichaela, ale Hazel wyraźnie wpadła mu w oko. Powinien podjąć męską decyzję, ale widocznie nie stać go na to. Podlec! - Selena przymknęła oczy, na jej twarzy odbił się niepokój.

- No i co teraz poczniemy? - spytała Daisy takim tonem, jakby to ją znieważono.

- Spakujemy te wszystkie cholerne kwiaty i odeślemy mu je z powrotem, ot co! - Lawinia wstała i zaczęła wyjmować je z wazonów.

- Brawo! Jesteś genialna, Lawinio! Zobacysz, jeszcze cię nawrócę na zreformowany strój! -I Selena zaczęła jej pomagać.

Lawinia potrząsnęła głową.

- Mogę się wyrzec wielu rzeczy, ale nie wymagaj, żebym zrezygnowała z modnych sukien!

Zadzwończyły na stewarda i ułożyły wszystkie pudła pod drzwiami.

Skonsternowany steward musiał wezwać do pomocy dwóch kolegów, by zataszczyć to wszystko do apartamentu księcia.



Kiedy kwiaty zniknęły, Selena zamknęła drzwi. Potem wszystkie oczy zwróciły się w stronę sypialni: wyszła z niej Hazel z zaczerwienionymi oczami i zawstydzoną miną.

- Bardzo przepraszam - powiedziała z chusteczką przy nosie. - Nie wiem, co mnie opętało! Zachowałam się jak idiotka.

- O czym ty mówisz, kochanie? - Selena wzięła ją za ramię. - Siadaj z nami, naleję ci mocnej herbaty. To najlepsze lekarstwo na kłopoty.

W tej chwili Hazel spostrzegła, że pokój opustoszał.

- Gdzie... gdzie się podziały kwiaty?

- Jakie kwiaty?! - wykrzyknęły chórem Daisy, Lawinia i Selena. I nagle wszystkie wybuchnęły śmiechem. Nawet Hazel.

- Wiecie co? - odezwała się Selena. - Chyba każdy mężczyzna na tym statku ugania się za jedną, a przysięga wieczną miłość innej! Nawet stary Korneliusz. Przyjaźnimy się od wieków, a nigdy nie udało mi się odciągnąć go od wspomnień o matce Edwarda!

Daisy popatrzyła na starszą panią.

- Seleno, przecież ty jesteś o dobre dziesięć lat starsza od Korneliusza!

- A co to ma do rzeczy?! Serce mi przecież jeszcze bije, może nie?

Wszystkie przytaknęły.

- No to mogą się chyba zakochać? - Selena popijała herbatę i przyglądała się badawczo swym towarzyszkom.

- Chcesz powiedzieć, że Korneliusz czynił ci awanse? - spytała Hazel.

- To już koniec świata! Przepadłyśmy z kretesem. Tylko ty się jeszcze nie dałaś opętać, Daisy.

Daisy nic nie odpowiedziała. Drżącą ręką podniosła do ust filiżankę z herbatą.

Lawinia zaprotestowała.

- Ja też się nie dałam opętać! Nie powiecie chyba, że się uganiam za jakimś mężczyzną?!

- Ale gdyby kochany Edward chwycił cię w ramiona i wyznał, że cię kocha, chyba byś się nie oparła? - Oczy Seleny błyszczały niczym szmaragd, który tego ranka przypięła sobie do turbana.

- Musiałby zdobyć się na coś więcej niż gadanie o miłości! - Lawinia znacząco wyprostowała serdeczny palec.

- Wyrachowana jak zawsze, nieprawdaż, moje złotko? - roześmiała się Selena.

- Nie - odparła Lawinia całkiem szczerze. - Po prostu wiem, z kim mam do czynienia. Edward Stuyvesant-French jest zepsuty, uroczy i sprytny. Nietrudno zapomnieć, co się powiedziało. Wolę mieć to wszystko czarno na białym.

Po chwili ciszy Selena wykrzyknęła:

- Lawinio! Mogłabym być twoją babką, a ty moją wnuczką. Ale gdyby było odwrotnie, zostałąbyś moim wzorem na całe życie! Jesteś równie wspaniała jak nasza królowa Wiktoria! Zdrowie was obu!

Wszystkie cztery roześmiały się. Uniosły filiżanki w górę i wznosiły toasty, dopóki w dzbanku nie zabrakło herbaty.

„*M aritimus*” dotarł na Bermudy pod koniec tygodnia. Lawinia przechadzała się po porcie bardzo rada, że ma stały grunt pod nogami.

Nad jej głową świeciło tropikalne słońce, którego żar przenikał przez cienką suknię i rozpalał skórę. Wiatr potrząsał grzywami karłowatych palm, rosnących wokół portu i poganiał pyzate obłoczki, sunące po porannym niebie. Pasażerowie „*Maritimusa*” mieli spędzić całe dwa dni w Hamilton, nim popłyną dalej ku Penzance.

- Jak tu pięknie! - wykrzyknęła Hazel, przyglądając się różnobarwnym domkom po przeciwnej stronie ulicy. Ujrzała w pobliżu gaje drzew bananowych, stojących w karnych rzędach. Kilka kobiet w żółto-zielono-czerwonych zawojach sprzedawało dopiero co zerwane ananasy.

- Może nakarmimy dzieciaki, a potem weźmiemy się do zwiedzania? -

zapropozowała Lawinia, ujmując Ewę i Fanny za ręce. Jamie pozostał

nieco w tyle, jego uwagę przyciągnęli dwaj chłopcy jadący na mule.

- Podobno tutejsze plaże są różowiutkie jak perły! - oznajmiła Daisy, gdy zjechawszy przy pomocy Eweliny po rampie dołączyła do Murphych.

- Już wiem! Urządzimy sobie piknik! - zawołała Hazel.

Ewa i Fanny zaczęły skakać z radości. Nawet Jamiemu ten pomysł

przypadł do gustu, co ogromnie ucieszyło Lawinie. Chłopiec dąsał się na nią od chwili, gdy zabrała mu tę okropną książkę Coltraina.

Lawinia posłała Abigail po lunch. W miejscowej stajni wynajęto wózek zaprzężony w kuca; lejce powierzono Daisy. Kiedy Abby wróciła z prowiantem, całe towarzystwo odjechało w stronę najbliższej plaży.

- Brak mi Seleny - mówiła Lawinia do Daisy podczas drogi - naszego czwartego muszkietera. Kto by pomyślał, że Kylemore ma krewniaków na Bermudach!

- Podobno znaczna część tej wyspy jest własnością książęcego rodu Kylemore. Ale założę się, że Selena lepiej by się bawiła z nami na pikniku, niż na jakimś oficjalnym przyjęciu we wspaniałej rezydencji. -

Daisy szarpnęła lejce. - Edward też niech żałuje, że nie wybrał się razem ze mną! Od kilku dni mój braciszek jest nie do wytrzymania! Zaszły się w swojej kajucie i nie mogę go stamtąd wyciągnąć. - Skłoniła kuca, by biegł truchtem i niebawem wózek skręcił na długą, wysypaną potłuczonymi muszelkami ścieżkę, która wiodła na ustronną plażę.

Popołudnie było prześliczne. Fanny i Ewa brodziły na bosaka przy samym brzegu i z wilgotnego piasku budowały fantastyczne zamki.

Daisy wylegiwała się po prostu na kocu i obserwowała pracę dziewczynek, udzielając im od czasu do czasu fachowych rad. Pod gorącym słońcem nawet jej blada cera zaróżowiła się mocno.

Hazel nerwowo przechadzała się po plaży. Towarzyszki straciły ją z oczu, podobnie jak Jamiego, który znalazł sobie kryjówkę wśród skał i oddał się lekturze.

Lawinia z satysfakcją przykładła rękę do wszystkiego; pragnęła, by wycieczka udała się jak najlepiej. Pomagała Abigail w przygotowaniu lunchu, kopała fosy przy zamkach dziewczynek i uparcie odganiała od siebie myśli o Edwardzie. Od ostatniej rozmowy pod drzwiami jej kajuty nie spotkała go ani razu. Wszystko wskazywało na to, że Stuyvesant jej unika. A może to ona unikała jego? W każdym razie dobrze, że się go pozbyła! Bez niego czuła się znacznie lepiej! Tak przynajmniej starała się sobie wmówić, obserwując jak odległy sztorm powoli zbliża się ku nim.

- Może lepiej poszukać Hazel? - zawołała Daisy, usiłując przekrzyczeć wiatr. Słońce schowało się za chmury, które ciągnęły złowroźnie w stronę lądu czarno-białymi pasmami.

- Chyba już pora się zbierać - powiedziała Lawinia do Ewy i Fanny.

Guwernantka zjawiała się natychmiast z pończoszkami i bucikami dziewczynek. Lawinia ruszyła plażą i w dużej odległości dostrzegła przyjaciółkę.

- Wracamy! - zawołała do niej, wymachując energicznie ramionami.

Hazel wyczuła widać, że sprawa jest nagląca, i przyspieszyła kroku.

- Och, Lawinio, cóż to za uroczy zakątek! - wołała, pędząc ku niej bez tchu. - Na końcu plaży stoi stary dom. Wygląda na opuszczony, ale dostrzegłam przy bocznych drzwiach stos polan. I taką ogromną werandę! Widywałyśmy podobne na przylądku May. Wisi na niej hamak.

- Hamak? - Na dźwięk tego słowa przez mózg Lawinii przemknęło wspomnienie dawnego snu. Miała jednak w tej chwili tyle spraw na głowie, że nie umiała zastanawiać się nad tym. - Dopilnuj, żeby wszyscy wsiedli do wózka, dobrze? A ja poszukam Jamiego.

Hazel natychmiast pospieszyła na pomoc Abigail, Lawinia zaś skręciła ku skałom, wśród których zniknął Jamie.

Chłopiec nie dostrzegł nagłej zmiany pogody. Lawinia odnalazła go między dwoma głazami, z nosem w książce.

- Wracamy, Jamie! Chodź, pomożesz wsiąść dziewczynkom i Daisy. -

Lawinia zmarszczyła brwi i podeszła bliżej. Wystarczyło jej spojrzeć na minę Jamiego i zrozumiała wszystko.

- Dałeś mi słowo! - sapnęła z oburzeniem.

Jamie zamknął książkę. Lawinia zerknęła na okładkę. Rzuciło jej się od razu w oczy nazwisko Juddediaha Coltraina i tytuł jego najnowszego arcydzieła: *Miedzianoskóre owieczki boże*.

- Jak mogłeś?! Wiesz przecież, co myślę o takiej lekturze: nic, tylko krew i okrucieństwo! - Wicher smagał ją ostro po policzkach.

- Skąd wiesz?! Wcale tego nie czytałaś! A zresztą, nie będziesz mi więcej mówić, co mam robić, a czego nie! - Czarne irlandzkie oczy Jamiego płonęły gniewem. Wyrwał Lawinii książkę i popędził wysypaną muszelkami ścieżką.

Nad ich głowami zahuczał grom. Kucyk spłoszył się. Na piasek zaczęły padać ciężkie krople deszczu.

- Jamie! - krzyknęła Lawinia, gdy tylko wózek wjechał na muszelkową dróżkę. Była przekonana, że chłopcu szybko minie gniew i że zaczeka na nie przy drodze. Nigdzie jednak nie było go widać.

- Może nadal czyta wśród skał? - zawołała Hazel, pilnując, by dziewczynki siedziały spokojnie w wózku.

- Nie. Wypłoszyłam go stamtąd. Posprzecaliśmy się, ale byłam pewna, że będzie tu na nas czekał. - Lawinia rozglądała się na wszystkie strony, ale dróżka była pusta. Tylko skały, plaża i pięć niespokojnych twarzy, spoglądających ku niej z wózka.

- Jamie! Jamie! - wołała Hazel. Daisy zawtórowała jej.

- Jamie! - krzyczała Lawinia, gdy rozpadało się na dobre. Z czarnych chmur lały się strumienie deszczu.

- Dokąd on mógł pójść? - pytała Daisy, obejmując Ewę i Fanny.

Kucyk nagle stanął dęba. Abigail zdążyła złapać koszyk, nim wypadł z wózka.

- Może ja go poszukam, panno Lawinio? Pani niech odwiezie dziewczęta do portu.

Lawinia otarła zalaną deszczem twarz. Jej cienka sukienka nadawała się do wyżęcia. Daisy i dziewczynki przytuliły się mocno do siebie: widocznie było im zimno.

- Nie, nie. Jedźcie wszystkie na statek. Ja poszukam Jamiego i razem wrócimy.

- Pomogę ci! - ofiarowała się Hazel.

- Pomóż lepiej Abby! Jamie musi tu gdzieś być. Jest na mnie wściekły, ale teraz, kiedy burza się rozszalała, na pewno się zjawi. - Lawinia omiotła wzrokiem pustą plażę. - Z pewnością zaraz skądś wyjdzie! -

zapewniła. Podała Hazel wodze i przyglądała się, jak powozik podskakuje na mokrej drodze.

Zanim wózek pełen mokrusieńkich pasażerek dotarł do „Maritimusa”, zorganizowano już ekipę ratowniczą, która miała właśnie wyruszyć na poszukiwania. Edward wziął siostrę na ręce i ostrożnie posadził w fotelu.

Ewelina czekała już z kocami i butlą gorącej wody.

- Ależ ja muszę zaczekać na Lawinie! - wołała Daisy do brata, gdy pokojówka wtaczała fotel po pochylni.

Edward otarł zlaną deszczem twarz i popatrzył na Hazel i dwie małe dziewczynki. Wyglądały jak trzy trzęsące się z zimna, przemoczone kociątka. Równie mokra Abigail przekazywała zaprzężony w kuca wózek stewardowi, który miał odprowadzić wehikuł do stajni.

- Gdzie ona jest? - spytał tylko Edward.

Hazel oddała dziewczynki pod opiekę Abigail, która popędziła z dziećmi na statek.

- Została na plaży szukać Jamiego. Nie mogliśmy go znaleźć.

- Na litość boską! Chłopak wrócił przed godziną. Już jest całkiem suchy. Czyta w sali klubowej. - Edward potrząsnął głową. - Biegnę po Lawinie!

- Może wróci sama? Poczekam tu na nią. - Hazel patrzyła na niego przez strugi ulewnego deszczu. Nie zrobiła ani kroku w stronę trapu.

- Co za głupstwa! To może trwać Bóg wie jak długo, zanim zrezygnuje z poszukiwań i wróci do miasta - burknął. - Wynajmę konia i wrócę z nią za godzinę.

Hazel ścisnęła go za ramię. Na jej twarzy odmalował się strach.

- Proszę zaczekać! Może księżę Kylemore pójdzie po Lawinie? Albo hrabia? Chyba już wrócili?

- Nie, nie wrócili. Po co mieli spieszyć się na statek w taką pogodę? -

Jakby dla potwierdzenia jego słów, na niebie zalśnił zygzak błyskawicy.

Równocześnie rozległ się ogłuszający grzmot.

- Proszę mnie nie zatrzymywać. Szkoda czasu!

- Nie, pan nie może po nią iść! - Mina Hazel była równocześnie przerażona i błagalna. - Wiem, że Lawinia sama wróci. Nic jej się nie stanie!

- O co tu chodzi? Czemu pani nie chce, bym ją sprowadził? -

Delikatnie potrząsnął dziewczyną i uwolnił się od jej rąk, trzymających go za ramię.

- Nie może pan tam iść! - Przetarła zalane deszczem oczy i dodała błagalnym tonem: - To ten hamak... Widziałam go!... Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale Lawinii to się wyśniło... - Hazel urwała. Spojrzała na niego tak, jakby pojęła, że nie ma sensu opierać się burzy i przeznaczeniu. Gdzieś w pobliżu wicher wyrwał z zawiasów okiennicę; runęła na kocie łby, wzmagając jeszcze piekielny hałas.

- Dość tego! Muszę zdążyć, nim nadejdzie przyływ. Jutro znaleźlibyśmy tylko martwe ciało! - Popchnął Hazel w stronę rampy. -

Opowie mi pani tę historię, jak wrócę.

Ostatecznie pokonana Hazel zaczęła wspinać się po trapie. Edward popędził do stajni, z której wypożyczyły poprzednio wózek i kuca. Hazel odwróciła się i patrzyła za nim przez strugi deszczu. Nikt nie usłyszał

bezzadnego szeptu:

- Kiedy wrócicie, będzie już za późno...

*Wydaje mi się, że cały problem sprowadza się do jednego: dowód musi być niepodważalny, nie może być oparty na wnioskowaniu pośrednim ani na przeświadczeniu o nienaruszalności pieczęci, węzłów czy innych zabezpieczeń. Mam podstawy, by twierdzić, iż powodująca owe fenomeny siła - podobnie jak miłość - „kpi sobie z wszelkich więzów”.*

William Crookes w liście do redakcji „Spiritualist”

- Jamie! - wołała Lawinia. Wokół niej huczał wicher, a przybrzeżne fale uderzały o jej bosc stopy. O dobre półtora kilometra za nią leżały gdzieś na piasku pończochy i buty, których pozbyła się na samym początku pikniku. Zapomniała o nich całkowicie, przebiegając rozpaczliwie całą plażę w poszukiwaniu chłopca.

Jej bujna wyobraźnia jeszcze pogarszała sprawę. Lawinia była przekonana, że każdy straszliwy obraz, który zrodził się w jej mózgu, odpowiada dokładnie sytuacji Jamiego. Spadł ze skały i rozbił sobie głowę. Utopił się i leży teraz głęboko pod wodą, twarzą do dna.

Walcząc z ogarniającą ją histerią, Lawinia pobiegła brzegiem morza jeszcze dalej, tam, gdzie na samym końcu plaży majaczyły szare kontury jakiegoś domu. Może Jamie tam właśnie się ukrył? Może, gdy burza srożyła się coraz bardziej, schronił się na werandzie? Lawinia była niemal pewna, że kiedy tam dotrze, odnajdzie w kącie skulonego i ociekającego wodą chłopca.

- Jamie! Jamie! - wołała, wchodząc po schodkach werandy. Fale oceanu lizały już najniższy stopień. Za plecami Lawinii sztorm zmierzał

w stronę lądu w czarnych zwałach chmur, pośród wycia wichru i błyskawic. Lawinia przeskakiwała po dwa stopnie, a stanawszy na ostatnim schodku, krzyknęła w ciemność:

- Jamie! Jamie!

Ale nikt jej nie odpowiedział.

Całkowicie wyczerpana osunęła się na podłogę, opierając się plecami o ścianę werandy. Była ona przestronna i mroczna, osłonięta od burzy barierą solidnych żaluzji. Idealna kryjówka dla dziecka uciekającego przed sztormem. Strach Lawinii wzrósł jeszcze, kiedy głowiła się, gdzie też chłopiec się schował.

Nie obchodziła jej już twórczość Juddediaha Coltraina! Jamie może sobie go czytać, ile dusza zapagnie, byle tylko się odnalazł! Kiedy oczy Lawinii przywykły do ciemności, rozejrzała się po mrocznej werandzie.

Była pusta. W żadnym kącie nie kulił się przerażony chłopczyk - tak jak wówczas, gdy Burton Krapp wpadał w pasję i smagał dzieci biczem Jamie doprowadził do perfekcji umiejętność znikania. Wtedy było to konieczne, jeśli chciał przetrwać. Ale przecież sytuacja się zmieniła!



Teraz powinno mu zależeć na tym, by ktoś go odnalazł. Właśnie dlatego uciekli wszyscy razem z sierocińca, żeby każde z nich miało kogoś, kto się o niego troszczy. Żeby żadne z nich nie musiało już kryć się po kątach ze strachu przed brutalem wymachującym batem.

Oczy Lawinii napęłniły się łzami bezsilnej rozpacz. Jej bosa stopy były opuchnięte i poranione, lniana suknia w strzępach, a włosy opadały mokrymi pasmami na plecy. Nie dbała jednak o to. Pragnęła tylko odnaleźć Jamiego. Znajdowali się w nieznanym miejscu, chłopiec był

całkiem sam. Może zablądził? Może jest ranny? Wiatr zawodził

przeraźliwie i walił w ściany opuszczonego budynku. Fale uderzały o brzeg tuż obok ceglanych filarów domu. I nagle Lawinia uświadomiła sobie z przerażeniem, że Jamie nie umie pływać!

Nagle wyprostowała się. Może to był wiatr? Ale przysięgłaby, że ktoś wołał ją po imieniu. A teraz znowu... i jeszcze raz... Zerwała się na równe nogi, zbiegła po schodkach werandy prosto w szalejącą burzę.

- Jamie! Jamie! Czy to ty? - wołała z płaczem w ciemność. Przez strugi deszczu ujrzała jakąś postać na przeciwległym końcu plaży.

- Jamie... - imię chłopca zamarło jej na ustach. Na niebie zapłonęła błyskawica i w jej blasku Lawinia mogła lepiej przyjrzeć się dalekiej sylwetce. Był to mężczyzna na koniu. Zwierzę wyraźnie lękało się burzy i przy każdym huku pioruna rzucało się i stawało dęba.

- Jamie... - wyszeptała z rozpaczą Lawinia. Jeździec zbliżał się. W

blasku następnej błyskawicy upewniła się, że galopuje w jej stronę. Koń wywracał białkami oczu i toczył pianę z pyska.

- Lawinio! - zawołał jeździec zeskakując na ziemię.

- Edwardzie! O, mój Boże! Edwardzie! - powtarzała między jednym a drugim wybuchem płaczu. - Nie mogę odnaleźć Jamiego! Nie ma go nigdzie! Utonął! Jestem pewna, że utonął! Pomóż mi go odnaleźć!

Proszę! Błagam! - Wczepiła się w rękaw Edwarda i zaczęła ciągnąć go ku sobie. Lodowaty, kłujący deszcz smagał ją po twarzy, ale Lawinia gotowa była teraz stawić czoło burzy i całemu światu: miała już kogoś, kto jej pomoże szukać Jamiego!

Nagle poczuła wokół siebie ramiona Edwarda. Wielkie przybrzeżne fale biły ją po nogach. Lawinia zaczęła gwałtownie drżeć. Tłumiony dotąd strach znalazł wreszcie ujście.

- Och, Edwardzie! Musimy go odnaleźć! - Załamała się całkiem i wybuchnęła rozpaczliwym płaczem. Stuyvesant-French objął ją w pawie i przytulił do siebie. Lawinia ukryła twarz na jego piersi.

- Jamiemu nic się nie stało - odparł, przekrzykując wycie wiatru. -

Pierwszy ze wszystkich wrócił na statek! Kiedy go widziałem po raz ostatni, siedział w cieple, w suchym ubraniu, z nosem w książce. -

Napotkał wzrok Lawinii i jego spojrzenie złagodniało. - Jestem pewien, że nie czułby się tak świetnie, gdyby wiedział, jak się przeraziłaś!

Pod Lawinia ugięły się nogi. Jamiemu nic się nie stało! Wprost bała się w to uwierzyć. Obrazy, które podsuwała jej imaginacja, gdy błąkała się samotnie wśród burzy, wydawały jej się tak żywe! Wyobrażała sobie niebezpieczeństwa, czyhające na chłopca, i miotała się rozpaczliwie, próbując im zapobiec. A tymczasem ten łobuz po prostu rozzłościł się na nią i wrócił sam na statek!

- Bogu dzięki. Bogu dzięki. - Wyszepiała słabo. Nagle uświadomiła sobie, jak jest zmęczona i zziębnięta.

- Kapitan mówił, że zanosi się na potężną burzę. - Edward pochwycił

znów lejce, by uspokoić spłoszonego konia. - Chodźmy! - powiedział, biorąc Lawinie za rękę.

Posłusznie poszła za nim.

Edward uwiązał konia do masywnej poręczy schodów. Szybko wprowadził Lawinie na werandę opuszczonego domu.

Wicher trząśł okiennicami, ale tym razem Lawinia dostrzegła, jaki spokój panuje na werandzie. Wydawała się bezpiecznym światkiem, niedostępnym dla żywiołów. Na wieść, że Jamie jest zdrow i cały, osłabła tak, że ciało ciążyło jej jak ołów. Gdy wreszcie odsunęła się od balustrady, Edward był już na werandzie, znalazł starą tranową lampę i zapalił ją.

Lawinia rozejrzała się dokoła i spostrzegła, że weranda została niedawno pobielona, a żaluzje pomalowano na ciemnozielony, butelkowy kolor. Listwy klekotały i drżały na silnym wietrze, wyraźny znak, że burza nie zamierza rychło ustąpić.

W migotliwym świetle tranowej lampy spojrzała na Edwarda. On także wpatrywał się w nią. Zdawało się, że chce wyryć sobie w pamięci każdy szczegół jej postaci: czerwone od płaczu oczy, ociekającą wodą suknię, bose stopy. Gdy ich spojrzenia się spotkały, odwrócił wzrok.

Mięsień w jego policzku zadrgał, wskazując wyraźnie, że Edward stara się zachować spokój, ale mu się to nie udaje.

Postawił lampę na rachitycznym stoliku koło hamaka, który kołysał się w podmuchach napastliwego wiatru. Stuyvesant był równie przemoczony jak Lawinia. Z kruczoczarnych włosów ściekała woda, a płócienny garnitur nadawał się do wyżęcia. Ściągnął zniszczoną marynarkę i rozwiesił ją na giętych krzeselkach, stojących obok drzwi.

Przez mokrą batystową koszulę widać było wyraźnie każdy mięsień jego torsu. Tym razem Lawinia odwróciła wzrok.

- Dziękuję - powiedziała cicho.

Edward nie odpowiedział. Próbował zachować spokój, było to jednak prawie niemożliwe. Na zewnątrz szalała burza, a oni zostali sam na sam w pustym domu, dokąd schronili się przed strasznym żywiołem.

- Myślałam, że oszaleję! - mówiła dalej Lawinia. - Nie mogłam go znaleźć. Nie było go nigdzie! Ale to nigdzie! - Niepowstrzymane łzy ulgi popłynęły po jej twarzy. Przepęłniała ją nieopisana wdzięczność. Nie potrafiła jednak zdobyć się na nic więcej, prócz tych głupich łez, które psuły do reszty jej wygląd.

- Mówiłem ci, że nic mu się nie stało - odparł Edward, nie patrząc na nią.

- Wiem. Ale przez jakiś czas myślałam, że wydarzyło się coś strasznego. Ta burza, taka nagła i gwałtowna... - Lawinia próbowała się opanować, ale nie mogła. Łzy płynęły mimo wszelkich jej wysiłków. A ze łzami wypływał z niej lęk.

- Już dobrze... - mówił Edward. Teraz spoglądał jej w oczy. - Już po strachu...

Lawinia starała się pozbierać - na próżno! Emocje wzięły wreszcie górę.

- Dzieci i Hazel to wszystko, co mam na świecie, rozumiesz? Nie mogłabym stracić Jamiego! Nie mogłabym! Jeszcze w sierocińcu próbował mnie bronić. Wyobraź sobie! Miałam szesnaście lat, a on zaledwie pięć - i taki był już z niego rycerz... - Głos się jej załamał.

Wstrząsnęły ją dreszcze. Przytuliła mocno ramiona do piersi, ale to niewiele pomogło. Zaczęła szcekać zębami.

Edward przyciągnął ją do siebie. Chętnie się temu poddała. Jego bliskość dotychczas budziła w niej lęk, ale teraz ta gorąca, mocna pierś przytulona do jej piersi wydała się Lawinii idealnym remedium na zapalenie płuc.

- Tak się przejęłaś tym, że jeden mały urwis się zawieruszył? -

Pogładził ją kciukiem po wilgotnym policzku. - Nigdy bym nie przypuszczał, że hrabina Lovaenya tak łatwo traci głowę!

W jego ramionach Lawinii zrobiło się nagle ciepło. Ogarnął ją spokój, którego sama nie była w stanie odzyskać.

- Nie mogę stracić żadnego z nich! Oprócz nich nie mam nikogo na świecie - szepnęła.

- Wszyscy są zdrowi i cali na pokładzie „Maritimusa”. Pewnie niepokoją się teraz, że nie wracasz!

- Nie powinni się niepokoić - odparła niezbyt jasno. Obiegła wzrokiem werandę. Za plecami Edwarda wynurzał się z mroku hamak kunsztownie spleciony z lin. Skojarzył się Lawinii ze stosem pogrzebowym. Nigdy dotąd nie była na Bermudach, ale wszystko wydawało się jej dziwnie znajome:

wyjący wiatr, trzęsące się ściany, kołyszący się pusty hamak.

Na razie pusty...

Gdy wichur zaczął szarpać dachem, Edward przytulił ją jeszcze mocniej.

- Mają prawo bać się o ciebie, to straszna burza.

- Nie będą się bali, domyśla się, że jesteśmy razem. - Popatrzyła na niego. Jej drżenie ustało pod jego badawczym spojrzeniem. Dobrze zrozumiał, co miała na myśli. Poznała to po jego twarzy.

Kącik jego ust uniósł się w mrocznym uśmiechu.

- Tym bardziej powinni się niepokoić! W odróżnieniu od Jamiego, nie mam w sobie nic z rycerza.

Odpowiedziała mu uśmiechem.

- Zjawiłeś się tu, żeby mi pomóc, Edwardzie. I tylko to się liczy.

Cokolwiek się jeszcze wydarzy, będzie to wina fatum i okoliczności.

- Fatum i okoliczności są teraz wyraźnie po mojej stronie.

- Zawsze tak było.

Uniosła rękę i dotknęła jego policzka. Drgnął pod tą pieszczotą, ale Lawinia nie cofnęła ręki. Zawsze dotąd widywała Edwarda w nienagannym stroju. Teraz kielkujący zarost na jego policzkach nadawał

jego twarzy całkiem nowy wyraz; pociągał ją silniej niż kiedykolwiek.

Mokry i niestarannie ubrany Edward wydawał się jej bliższy niż zimny, elegancki mężczyzna, którego znała dotąd. Miała wrażenie, że na jego zbroi pojawiła się niewielka rysa.

- Rada jestem, że przyjechałeś tu po mnie. To powinno się wydarzyć właśnie tak...

Popatrzył na nią, jakby nie był pewien znaczenia jej słów.

- Przyjechałem, bo czułem, że się niepokoisz o Jamiego. Nie chciałem, żebyś się denerwowała...

- A więc może masz dla mnie trochę sympatii? - Na czole Lawinii zarysowała się zmarszczka. W daremne poszukiwania Jamiego wdało się przeznaczenie. Nie czuła się pewnie w tej sytuacji. Raz jeszcze spojrzała na hamak. Powróciło wspomnienie snu, przejmując ją niepokojem.

Lawinia odchyliła głowę do tyłu. Jej spojrzenie napotkało wzrok Edwarda. Tak, wybiła jej godzina! Musi teraz albo pójść za głosem przeznaczenia, albo uciekać co sił w nogach! Zebrała resztki odwagi.

- Jeśli się do tego przyznasz, Edwardzie, nikt prócz mnie nie dowie się o tym - powiedziała szeptem.

- Jutro wszystko będzie jak dawniej: ja -

kobieta godna pogardy i ty - lodowiec w stroju dżentelmena. Ale w tej chwili - powiedz mi, bym mogła zachować to w pamięci: jakie są twoje uczucia wobec mnie?

Jej oczy wypełniły się łzami. Miotaly nią gwałtowne emocje. Strach o Jamiego odebrał jej wszystkie siły. Teraz zaś byli tu oboje z Edwardem, zziębnięci na kość, a deszcz nadal lał jak z cebra. Czowała się zawsze taka bezbronna w jego obecności. Nadszedł rozstrzygający moment. Decyzja należała do Edwarda, nie do niej.

Lawinia otarła łzy. Opanowała się i powiedziała:

- Nieustannie sztydzisz ze mnie, a jednocześnie mnie uwodzisz. Mam prawo wiedzieć, czemu tak ze mną igrasz. Czy jestem dla ciebie jedną z wielu zdobyczy? Mam wrażenie, że kryje się za tym coś więcej.

Czasami, gdy patrzę na ciebie, wydaje mi się, że nasze dusze znają się od wieków. Ale cóż, jestem kobietą, a kobiety pragną takich więzi. - Jej szept był prawie niedosłyszalny. - Wiem, że większość mężczyzn określiłaby to jako bzdury.

Edward nie odpowiedział. Spoglądał na Lawinię z góry; jego oczy kryły się w cieniu, twarz była maską bez wyrazu.

Rozpacz targnęła nią tak jak wichur domem. Monty ostrzegał ją, że taka właśnie będzie miłość: pozbawi ją sił, obędzie z dumy, nie da możliwości wyboru. Nigdy jej jednak nie uprzedził, że ogarnie ją nieugaszone pragnienie tej miłości, że wślizgnie się ona do jej serca, że będzie ją dręczyć jak na wpół zapomniany sen, jak ten hamak, kołyszący się w ciemnym kącie.

- Możesz mi to powiedzieć bez żadnego ryzyka, Edwardzie -

powiedziała w końcu. Łzy ją dławily. - Nie jestem młodziutką dziewczyną, którą trzeba zwodzić obietnicami, tylko doświadczoną kobietą. Mam zbyt wiele rozumu, by powoływać się na czyjeś wyznania, uczynione sam na sam, po ciemku, wśród szalejącej burzy. Nie ośmieszysz się tym, że wyznałeś swoje uczucia kobiecie takiej jak ja.

Nikt by mi przecież nie uwierzył, gdybym się tym przechwalała, prawda? Więc mi powiedz. Powiedz, czemu pospieszyłeś do mnie!

Edward zamknął oczy. Jakiś wewnętrzny ból targał nim tak, że nie był już w stanie tego znieść.

- Całe twoje życie jest kłamstwem! Przebierasz się za różne duchy, udajesz, że możesz nawiązywać kontakt ze zmarłymi! Wyłudzasz pieniądze od naiwnych! A najgorsze jest to, że mimo wszystko pragnę cię. tak bardzo cię pragnę!

Jego ręka spoczęła na podbródku Lawinii. Utkwił wzrok w rzędzie perłowych guziczków,

biegnących od brody aż do pasa.

Lawinia spojrzała w tym samym kierunku i policzki jej zapłonęły. Nic ze wstydu jednak, choć byłoby to stosowniejsze. Kremowy żakiecik z cienkiego lnu był tak przemoczony, że niemal przezroczysty.

Przylegał

do jej ciała: fiszbiny gorsetu odznaczały się wyraźnie; widać było nawet niżowe kokardki z atłasu, ozdabiające halkę.

Lawinia oparła się o swego towarzysza; coraz bardziej pragnęła poddać mu się. Stalowe haki, na których wisiał hamak, poskrzypywały, gdy wichura trzęsła ścianami. Wszystko zostało z góry zaplanowane. Nie ma mowy o ucieczce.

- Jeśli mi teraz powiesz, że jestem taka sama jak wszystkie dziewczki, z którymi się zadawałeś, Edwardzie, może wreszcie zdołam przyznać ci rację i pogodzić się z tym...

- Wcale nie jesteś taka jak one! Każdą z nich mogłem porzucić bez żalu, ale nie ciebie... Nie ciebie... Jesteś jak pnącze, które niby to oplata mur, ale w gruncie rzeczy go kruszy! Przy tobie nie panuję nad sobą.

- Nie wierzę. Zawsze jesteś taki opanowany, Edwardzie.

Wstrzymał oddech.

- Tak, potrafię zapanować nad emocjami. Nie pozwalam, by mną kierowały. - Wpatrywał się w Lawinie przez długą, bolesną chwilę. - Ale to jest takie trudne! Do diabła z tym!

Jakby posłuszna jakiejś wyższej woli, Lawinia odchyliła głowę do tyłu: jej usta prosiły o pocałunek. Ramię Edwarda otoczyło ją w pasie stalową obręczą. Bez pośpiechu przyciągnął ją do siebie, nachylił się i przywarł wargami do jej warg.

Pocałunek Edwarda podziałał na nią jak narkotyk. Nie słyszała już wycia wiatru, oślepla na złowrózne migotanie światła, zapowiadające dalsze niebezpieczeństwo. Dostrzegala tylko Edwarda i pragnęła go coraz bardziej. Nacisk jego ust był coraz silniejszy, a ręka sunęła ku jej piersi i objęła ją.

Przylgnął ustami do jej szyi, drażnił zębami jej ucho, dotknięciem języka wyczuwał pulsowanie krwi na skroni. Lawinia drżała już nie z zimna, lecz z pożądania. Jak cudownie było ulegać mu. Choć wiedziała, że zdradzi swój brak doświadczenia w grze miłosnej, orientowała się z grubsza w jej podstawowych elementach. To, co ją czekało, powinno napawać ją strachem, ale mając przy sobie Edwarda, nie obawiała się niczego. Pocałunki, pieszczoty, uściski pochłaniały ją tak, że po prostu nie było miejsca na strach.

- Rozbierz mnie - powiedział, ocierając się o nią pieszczotliwie i zaczął rozpinąć perłowe guziczki jej żakietu.

Lawinia z wahaniem uniosła ręce ku jego piersi. Rozpinanie jego koszuli szło jej tak niezdarnie, że

biedziła się z połową jego guzików dwa razy dłużej niż Edward z całym jej zakieciem.

Przycisnął jej ręce do twardych mięśni swego torsu. Z początku była onieśmielona i nie śmiała dotknąć go całą dłonią, ale niebawem stała się wprost zaborcza. Odkryła pod mokrym płótnem koszuli ciało Edwarda i rozkoszowała się, czując je pod palcami. Było śliskie od potu i twarde. Niesamowicie twarde! Męskie, wytrzymałe, nieugięte ciało.

Różnice pomiędzy nimi powinny ją odstraszać, a tymczasem przyciągały ją jak magnes. Piers Edwarda była przeciwieństwem jej własnej: jego - muskularna i sprężysta, jej - pełna, miękko zaokrąglona.

Gładkość kobiecych piersi, wymykających się z mokrego gorsetu, kontrastowała z męską, owłosioną klatką piersiową. Jednak oboje znakomicie się dopełniali. On i ona - Edward i Lawinia. Gdy przycisnęła

ją do siebie tak mocno, że gorset omal nie pękł, Lawinia zapragnęła jeszcze większej bliskości.

- Jak chcesz, żebyśmy się kochali, hrabino? - spytał z ustami wtulonymi w jej szyję. Pociągnął jej rękę w dół, ku swoim spodniom.

Palce Lawinii dotknęły twardej wypukłości. Cofnęła się jak oparzona.

Z przerażeniem uświadomiła sobie, że przekroczyli pewną granicę i nie mogła już zawrócić. O wycofaniu się nie było mowy.

- No więc jak? - spytał znowu. Zabrał się w końcu do rozpinania haftek gorsetu.

- Ja... sama nie wiem... - szepnęła. Jej oddech był przyspieszony i płytki. Pragnęła, by to się stało. Pragnęła Edwarda. Ale to było jak skok W przepaść, bez możliwości powrotu, bez żadnego zabezpieczenia. -

Muszę ci powiedzieć... Powinieneś zrozumieć...

- Tak, opowiedz mi wszystko. Najpierw zrobimy to tak, jak ty lubisz, a potem przyjdzie pora na moje zachcianki. - Edward wpatrywał się w nią.

Jego oczy były takie jak zapamiętała: zielone, bezlitośnie piękne. Tak, wydawały jej się piękne nawet w mdłym świetle tranowej lampy. Gdy spoglądał na nią z takim pożądaniem, wiedziała, że nie może sprawić mu zawodu. Domagał się jej natarczywie, więc odda mu się bez reszty.

Przesunął językiem po jej wargach. Z drażniącą powolnością rozchylił

jej gorset. Nagie piersi Lawinii wyrwały się z mokrej płóciennej klatki, Edward pochwycił obie w nadstawione dłonie. Lawinia jęknęła, a on zdusił jej okrzyk kolejnym pocałunkiem, zachłannym i żarliwym.

Niezwykłe doznania spłynęły na nią jak ulewny deszcz podczas oberwania chmury. Zatraciła się w

nich - nie mogła myśleć, nie mogła oddychać. Edward rozpiął jej spódnicę i wsunawszy ręce pod halki i majteczki objął jej nagie pośladki równie zmysłowym uściskiem jak przedtem piersi.

- Zdejmij to! - rzucił ostro, szarpiąc spódnicę i bieliznę, która przylgnęła do bioder Lawinii. W końcu stracił do reszty cierpliwość, przykucnął i ściągnął resztę jej ubrania na podłogę. Stała przed nim naga jak Wenus z Milo.

Ucałował ją tam, gdzie stykały się uda. Ta przelotna pieśczoła poraziła ją. Dotyk jego języka sprawił, że nie mogła utrzymać się na nogach.

- Jeszcze? - spytał z szelmowskim uśmiechem.

Popatrzyła na niego bez słowa. Nigdy nie zapomni obrazu jego ciemnej głowy, wtulonej w złocistą kępkę włosów łonowych.

- Przejdź na hamak, jeśli jesteś już gotowa - powiedział, wstając.

Lawinia cofnęła się, potykając o stos porzuconego ubrania. Nie mogła się opanować: zakryła rękami piersi.

Przyjrzał się tej pozie i uśmiechnął się.

- Jakie to urocze: dziewiczy wstyd! Jesteś naprawdę cudowna, niezrównana! - Odciągnął jej rękę i odgarnął z piersi Lawinii mokre pasma jasnych włosów, które na nie opadły. Z jękiem ucałował dziewczynę w usta, niemal brutalnie. Potem przytulił twarz do jej piersi, ssąc to jeden, to drugi sutek.

- Proszę... - wychrypiała. Chciała powstrzymać Edwarda, a równocześnie namiętnie pragnęła, by pieścił ją dalej. W końcu odrzuciła głowę do tyłu. Poddała się i nie miała już nic do powiedzenia.

Edward wyprostował się i popychał ją w stronę hamaka, aż wreszcie poczuła pod kolanami grube sznury. Przylgnął z całej siły do jej bioder i zmusił Lawinię, by oparła znów ręce na jego piersi. Lękała się spojrzeć na niego. W pociągłej twarzy Edwarda było takie napięcie, jakiego nigdy jeszcze nie widziała. Oczy miał przesłonięte powiekami, ale świecił spod nich żar pożądania.

Przeszył ją dreszcz strachu. Edward nadal był ubrany, a ona - naga i bezbronna - czuła się jak zabawka, z którą mógł robić co chciał. Ta całkowita utrata kontroli, wyzucie z godności były dla Lawinii najstraszniejszym koszmarem. Póki nie zrzucił ubrania, nie zrównał się z nią w nagości, Edward był panem, a ona niczym. Po prostu jedną z hurys, która narzucała mu się bezwstydnie i lubieżnie.

- Masz ochotę przykłęknąć, czy wolisz poczuć mnie w sobie? - szepnął

z twarzą wtuloną w jej piersi, muskając językiem sutek.

Lawinia nie odpowiedziała. Wargi miała obrzmiałe od natarczywych pocałunków Edwarda, a poza tym nie rozumiała jego pytań. Myślała, że doskonale zna sypialniane sekrety, i nagle uświadomiła



sobie, że nie mają o nich zielonego pojęcia.

- W porządku. Wobec tego ja zdecyduję - odparł, równocześnie całując ją i swobodnie rozpinając spodnie. Zrzucił koszulę i oparł ręce na ramionach Lawinii w ten sposób, by zmusić ją do klęknienia na podłodze.

Stała bez ruchu, nie mogąc spełnić jego żądania. Podświadomie czuła, czego się od niej domaga, ale nie była w stanie tego zrobić. Nie tak to miało być! Nie będzie go obsługiwać jak tania dziwka! Wpatrywała się w niego, całkiem ogłuszona. Edward ucałował ją znowu w usta, jakby chciał ją namówić. Potem popatrzył na nią z dziwnym błyskiem w oczach.

- Marzyłem o tobie, Lawinio - powiedział chrapliwie. - O tym, jak ty, fałszywa komediantko, upokorzysz się, zdana całkiem na moją łaskę, a ja będę stał nad tobą i bawił się twoimi pięknymi włosami.

- Nn...nie! - wyjąkała, czepiając się kurczowo resztek normalności.

- Ależ tak! - odparł, zamykając jej miękkie usta pocałunkiem. - Kiedyś to zrobisz - zapewnił i popchnął ją na hamak, nakrywając własnym ciałem.

Całował ją tak długo, aż wargi Lawinii były równie mokre jak tamto miejsce... u zbiegu ud. Ruchy Edwarda współgrały z kołysaniem się hamaka. Ich ciała nieustannie stykały się w zmysłowym rytmie, a Lawinia coraz goręcej pragnęła ostatecznego spełnienia.

Jej ręka gładziła plecy Edwarda: gładkie, muskularne, szerokie.

Powinna czuć się przytłoczona jego ciężarem, ale chciała tylko, żeby był

blisko, jeszcze bliżej...

Objęła ręką twardą, sprężystą krzywiznę jego pośladka. Spodnie Edwarda leżały na podłodze, porzucone niedbale. Wreszcie stali się równi: on był jej, ona jego.

- No i jak, duchu? Czy i w zaświatach będziemy urządzali sobie randki? - spytał, drażniąc białymi zębami jej pełną pierś. - Musisz mi to przyrzec, Lawinio. Jesteś tak smakowitym kąskiem, że nie chciałbym się wyrzec ciebie nawet za grobem!

Popatrzyła na niego. Błyskawica rozświetliła werandę, oślepiając Lawinię. Nie widziała już nic prócz Edwarda. Jego obraz wyrył się na zawsze w jej pamięci, jak na płycie dagerotypu. Rzucił jakąś swawolną uwagę. Lawinia nie zrozumiała jego słów, ale jej ciało doskonale pojęło, o co chodzi, sutki naprężyły się. Edward był wyraźnie uradowany, zwłaszcza gdy wsunął rękę między jej uda, jakby chciał sprawdzić, czy egzotyczny owoc dojrzał należycie.

- Już? - spytał. Na jego twarzy odbiło się gwałtowne pożądanie i tylko nikły cień szyderstwa.

- Już - odparła, całując go. Wiedziała, że to będzie bolało, ale wcale o to nie dbała. Pożądanie było silniejsze od lęku przed bólem.

Zaparło jej dech. Edward wtargnął w nią, zmuszając do uniesienia kolan, by mógł dotrzeć jeszcze głębiej. Zawładnął ją bez reszty.

Lawinia poczuła w oczach piekące łzy.

- Niech to wszyscy diabli! Cóż to znowu za sztuczki?! - wykrztusił

Edward. Jego słowa zmroziły ją jak kubek lodowatej wody.

Popatrzyła na niego bez słowa. Cóż tu było do wyjaśniania? Chyba żadnego wydarzenia tej nocy nie dałoby się wytłumaczyć.

Ich spojrzenia zwały się jak w pojedynku. Edward wpatrywał się w nią przez długą chwilę. Wyraz jego oczu zmieniał się: niedowierzanie...

zdumienie... strach. Popatrzył na hamak, potem znów na Lawinie.

- Hamak... - szepnął, a czoło przecięła mu zmarszczka. - Hazel ostrzegła mnie, prosiła, żebym nie jechał! Mówiła coś o hamaku... O

tym hamaku! Wiedziałaś, co się stanie, prawda? Jakimś cudem to przeczułaś! Od samego początku wiedziałaś...

- Tak... - szepnęła ledwie dosłyszalnie.

Patrzył na nią takim wzrokiem, jakby któreś z nich oszalało.

- Jak mogłaś to przewidzieć?

- Miewam dziwne sny... Czasem straszne, czasem takie jak ten... - Łzy płynęły jej po policzkach. Edward nadal był w niej - twardy, wielki...

Pragnęła aż do bólu całkowitego spełnienia. Nie mogła tego dłużej wytrzymać!

- Więc czemu? - spytał. Jego głos ginął w wyciu wiatru.

- Bo cię pragnęłam... Nadal cię pragnę... - pocałowała go w usta. Nie była to namiętna pieszczota uwodzicielki, ale czuły, nabrzmiały łzami pocałunek pierwszej miłości.

Lawinia nie wierzyła, że przyciągnie nim Edwarda do siebie.

Obawiała się, że zrazi go całkowicie, że wyśmieje ją za niezdatność. Tak się jednak nie stało. Jej pocałunek wzruszył go i odmienił. Pochylił się i znów pieścił wargami jej sutek. Tym razem o wiele czulej, jakby chciał, by znów poczuła się swobodnie. Namiętność Lawinii wzrosła. Nie zastanawiając się, zanurzyła ręce w krótko obciętych włosach Edwarda i z radością poczuła, że znów oparł głowę na jej ramieniu.

Poruszał się w niej z początku ostrożnie, jakby z wahaniem. Każdy rozkoszny jęk dziewczyny dodawał mu pewności siebie. Jego ruchy sprawiały Lawinii równocześnie radość i ból, czuła przedsmak przyszłych rozkoszy.

- O Boże! Ależ ty jesteś zaciśnięta! - jęknął, zamykając oczy jakby cierpiał.

- Czy to cię boli? - jęknęła cichutko. Nie pojmowała, jak może być

„zaciśnięta”? Przecież rozpływała się niczym czekolada w słońcu.

- Nie, nie... Tylko nie mogę już wytrzymać... Nie mogę! - Popatrzył na Lawinie, jej rozrzucone włosy, jej piersi, które miażdżył swym ciężarem, jej uległe usta. Nie panował już nad sobą.

Zgrzytnął zębami, jakby zmagał się z siłami natury. Jego ostatni jęk sprawił, że Lawinia zatraciła się do reszty. Wstrząsająca domem wichura, kołyszący się hamak, ruchy twardego, owłosionego ciała, stanowiącego jedność z jej ciałem, wszystko to złączyło się ze sobą i między jej udami zakwitł raj. Doznała najwyższej ekstazy. Ogarnęły ją rozedrgane fale tak potężne, że miała wrażenie, iż kochanek zatonął w jej ciele. Kiedy jednak otwarła oczy, ujrzała go przy sobie. Jego także rozkosz pochwyciła w swe rozedrgane objęcia. Zagarnęła ich równocześnie z taką siłą, że Lawinia oddałaby duszę, byle trwało to wiecznie, byle Edward należał do niej na zawsze.

Gdy tak spał nago w hamaku, wyglądał jak obraz francuskiego mistrza. Może akt Jacques-Louisa Davida, w stylu neoklasycznym -

dzieło pełne dramatyzmu, dyskretnie sugerujące, że sen nastąpił po jakimś gwałtownym wydarzeniu? Płótno, od którego nie sposób oderwać oczu...

Jakże trudno było Lawinii rozstać się z kochankiem! Wpatrywała się w Edwarda w pierwszych promykach świtu, wpadających przez szczeliny w żaluzjach. Miał zmierzwione włosy, wyciągnął się leniwie.

Znała już każdy centymetr jego ciała. Wiedziała, że ostre rysy twarzy łagodnieją we śnie. Delikatne ręce Lawinii dobrze poznały jego potężne ramiona. Jej oczy przesunęły się niżej, na uda Edwarda; były dość gładkie, dopiero wyżej widniała gęsta kępka włosów, idealne obramowanie męskości. Żaden figowy listek nie zdołałby jej osłonić!

Gdy się w niego wpatrywała, wewnątrz jej własnych, obolałych ud znowu zwilgotniało. Jeśli Edward traktował ją jako swoje nowe trofeum, to i ona mogła poszczycić się zdobyczą; co najmniej sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, stalowe mięśnie, władczy charakter...

Dopięła ostatnią haftkę gorsetu. Prawdziwy cud, że po takiej nocy mogła się utrzymać na nogach! A może to jakieś męskie czary?

Magiczne sztuczki Edwarda. Potrafił budzić strach, wydawał się taki groźny, a jednak podczas najintymniejszych pieszczot wykazywał tyle delikatności. Ujmującej jeszcze bardziej przez kontrast z jego zwykłą szorstkością.

Drżącymi rękami podniosła porzucony lniany zakieciak, wygładziła dłońmi zmięty materiał i zaczęła zapinać guziki. Koszulka zawieruszyła się gdzieś w stosie ubrań Edwarda. Żeby ją odzyskać, Lawinia musiałaby wszcząć poszukiwania i zapewne obudziłaby kochanka, a tego wcale nie chciała. Czuliiby się oboje skrępowani, musiałoby dojść do wyjaśnień, usprawiedliwień. Lawinia odruchowo uniosła ręce do uszu: bynajmniej nie pragnęła tego słuchać! Byłoby to zbyt bolesne i całkiem zbędne. Nie oczekiwała od Edwarda niczego. Wiedziała, że nie ma się czego spodziewać. Chciała już tylko wrócić na statek, możliwie dyskretnie, nim rozpocznie się nowy dzień i ocalić choć resztkę godności.

Nie będzie to proste. Przekonała się, jak łatwo i chętnie ulegała Edwardowi. Oczy Lawinii spochmurniały; aż się wzdrygnęła na wspomnienie swego bezwstydного zachowania. Ubiegłej nocy Edward wziął ją jeszcze dwa razy. Była pewna, że gdy tylko kochanek otworzy oczy, zaraz sięgnie po nią, a ona nie będzie się opierać.

Był już ranek. Na statku czekało na nią zwykłe życie. Musi stąd odejść! Musi odzyskać szacunek dla samej siebie. Za wszelką cenę!

Wyrzała na plażę: była o połowę węższa niż wczoraj. Zwały piasku rozciągały się na odległość

najwyżej metra od wysypanej muszelkami drogi do Hamilton. Żarłoczne sztormowe fale pochłonięły resztę. Ale słońce wschodziło już na horyzoncie, na niebie nie było ani jednej chmurki. Mewy unosiły się na łagodnym wietrze i nurkowały w poszukiwaniu żeru. Zapowiadał się piękny dzień. Jeśli „Maritimus” nie ucierpiał podczas burzy, powinni wypłynąć w dalszą drogę do Anglii zgodnie z ustalonym planem.

Nie mogąc się powstrzymać, raz jeszcze obejrzała się na Edwarda.

Spał w dalszym ciągu, nieświadomy jej cierpień.

Lawinia po cichutku podeszła do hamaka i po raz ostatni popatrzyła na kochanka.

Gdyby ją o to poprosił, wyszłaby za niego. Gotowa była znosić codziennie jego piekielne humory, byle każda noc dawała jej tyle szczęścia co ostatnia - choćby na równie nędznym posłaniu jak ten sznurowy hamak. Pożądanie, które powinna zaspokoić ostatniej nocy, jeszcze się w niej wzmogło. Pewnie dlatego, że wiedziała już, za czym tęskni.

Gdyby Edward oświadczył się jej, spędziłaby z nim resztę życia.

Gdyby się oświadczył. Wiecznie to „gdyby”!

Pochyliła się nad śpiącym, dotknęła ustami jego ust i szepnęła:

- Kocham cię. Może nigdy się o tym nie dowiesz, ale zawsze będę twoja.

Na bosaka, w nędznych resztkach modnej toalety, Lawinia wymknęła się z werandy. Nie płakała; na łyzy będzie czas później. Nie ma co liczyć na żadne oświadczenia. Edward czuł do niej pociąg; być może ostatniej nocy jej pieśczęty sprawiły mu rozkosz, ale to zbyt mało. Pragnęła, by odwzajemnił jej miłość, a on nawet jej nie lubił. Coś się w niej boleśnie ścisnęło. Nie była dla Edwarda nikim ważnym - ot, przelotna miłostka.

Każdemu mogłaby za jednego dolara przepowiedzieć przyszłość, ale swojej własnej nie potrafiła odgadnąć za żadne skarby.

Edward zarzucał jej, że goni za fortuną. W dziejach świata było wielu takich, którzy ją ścigali i wracali z pustymi rękoma.

I z pustym sercem.

Cóż za straszne słowo: fortuna! - rozmyślała Lawinia. Ujęła w garści spódnicę i zeszła po cichu ze schodków. Na jej twarzy pojawiły się już pierwsze łyzy. - Oznacza diametralnie różne rzeczy: bogactwo... i człowieczy los.

Oczy Lawinii pociemniały. Nie chce już nigdy słyszeć tego słowa!

Było zbyt bolesne - pełne utraconych nadziei, jałowych marzeń, gorzkiej samotności...

Choćby przemierzyła świat wszerz i wzdłuż, nigdy nie zetknie się już z boginią Fortuną tak jak ubiegłej nocy.

Edward zamrugał gwałtownie, oślepiony blaskiem słońca. Nawyk z dawnych lat spędzonych wśród poszukiwaczy złota, którzy prawo własności zazwyczaj pieczętowali krwią, sprawił, że zaraz po przebudzeniu odzyskał pełną świadomość i czujność.

Lawinia odeszła. Wiedział o tym, nim jeszcze sięgnął ręką i nie znalazł jej przy sobie. Usiadł w hamaku. Na podłodze nie było jej ubrania.

Edward wstał i wyjrzał przez drzwi werandy. Ślady bosych stóp wiodły po wysypanej muszelkami ścieżce w stronę Hamilton.

Oparł się o żaluzjową ścianę i odetchnął głęboko. Czuł na języku gorzki posmak ostatniej nocy - poczucie winy. Pragnąc niemal, by wszystko to okazało się snem, pospiesznie chwycił wilgotne jeszcze spodnie. Chciał jak najprędzej stąd odejść, jakby w ten sposób mógł

wymazać z pamięci tę noc.

Wszystko jednak przypominało mu o tym, co się stało. Nawet spodnie.

Założył je; były jeszcze wilgotne i sztywne od soli. Materiał drażnił

skórę, ale znacznie gorszy był ból we wszystkich mięśniach; jakby brał

udział w pijackiej burdzie w najpodlejszej speluncie na ulicy Mott!

Zesztywniał, cały był spięty. Gorąca kąpiel usunie zmęczenie, ale nawet pełna szklanka whisky nie odpędzi dręczących go wizji.

Chwycił leżącą na podłodze koszulę. Wypadła spod niej jakaś cieniutka szmatka, koszulka Lawinii. Niewinnie różowe, atlasowe kokardki przy dekolcie zdawały się z niego szydzić. Edward - postrach dziewic. I to była prawda. Drobne plamki czerwieni poznały na zawsze białe sznury hamaka.

Koszulka była tak cienka, że niemal przezroczysta. Taka śliczna.

Zupełnie jak Lawinia wczorajszej nocy. Nie mogąc się powstrzymać, Edward przytulił szmatkę do twarzy. Pachniała Lawinią. Cieniutki materiał przesiąkł jej wonią, słodką i zmysłową jak zapach ogrodowych kwiatów w upalną noc.

Edward uniósł głowę. Z plaży dobiegły do niego donośne męskie głosy. Pewnie na „Maritimusie” zauważono ich nieobecność i wyruszą na poszukiwanie zaginionych.

Edward szybko zapiął koszulę i schował koszulkę Lawinii do kieszeni marynarki. Zabierze ją ze sobą. Pragnął mieć tę szmatkę. Może później zwróci ją właścicielce? A może zatrzyma na zawsze, by wdychać jej zapach, wspominać. Był pewien tylko jednego: tam, skąd pochodziła ta koszulka, było źródło rozkoszy. Lawinia nie miała o tym jeszcze pojęcia, ale on czuł, że musi nadal czerpać z tego

źródła, bo oszaleje!

Lawinia po cichutku otworzyła drzwi swojego apartamentu i weszła na palcach do środka. Okno kajuty wychodziło na zachód, więc wewnątrz panował mrok. Była z tego rada. Wcale nie chciała pokazywać się nikomu w ostrym świetle dnia. Jakimś cudem uniknęła spotkania ze stewardem, zmierzającym pod pokład ze srebrną tacą.

- Jesteś, dzięki Bogu! Tak się o ciebie niepokoiiliśmy! - Leżąc na kanapie Hazel zerwała się. Była całkiem ubrana i przykryta tylko pledem. Podbiegła do Lawinii i uściskała ją. - Strasznie się bałam!

Odkąd pan Stuyvesant-French powiedział, że Jamie jest już na statku zdrowy i cały, myślałam tylko o tobie! O tym, jak biegasz wśród burzy i szukasz go wszędzie... - głos Hazel załamał się. W jej oczach błysnęły łzy. - Co my byśmy zrobili bez ciebie, Lawinio!

- Cóż mielibyście robić? - Lawinia uśmiechnęła się słabo. - Ty byś i tak znalazła jakiegoś arystokratycznego krezusa, a dzieci zapomniałyby o mnie szybko, oczarowane kucykami w zamkowej stajni.

- Podła dziewczyno! Jak możesz coś takiego mówić, nawet żartem. -

Oczy Hazel zamglily się, spowaźniała jeszcze bardziej. Spytała cicho. -

Czy pan Stuyvesant-French odnalazł cię? To bardzo szlachetnie z jego strony, że pospieszył ci na ratunek w taką burzę!

Lawinia weszła do środka, odwracając się od przyjaciółki, by ta nie mogła zobaczyć jej twarzy. Nie miała wcale ochoty dyskutować o szlachetnych porywach Edwarda Stuyvesanta.

- Odnalazł mnie w samą porę. Odchodziłam od zmysłów, szukając wszędzie Jamiego. Nie mogłam go nigdzie znaleźć.

Opadła na wyściełany aksamitem taboret. Zmęczenie wreszcie ją pokonało. Chciała tylko coś zjeść, wykapać się i uciąć sobie spokojną, długą drzemkę. Była nie rozmawiać o Edwardzie!

Hazel spojrzała na nią uważnie; w ciągu kilku sekund oceniła sytuację i wyciągnęła trafne wnioski. Zaczęła nerwowo krzątać się po pokoju.

Szarpnęła dzwonkiem, wzywając pokojową i otuliła pledem Lawinię, która dygotała w nadal wilgotnym ubraniu.

- Tę suknię zniszczyłam sobie na amen - powiedziała Lawinia, unosząc spódnicę. Stopy były spuchnięte i poranione. Przez dobrych kilka dni każdy krok będzie sprawiał ból. - A pantofle i pończochy przepadły na plaży. Pewnie są teraz na dnie morza.

- Pewnie tak - odparła Hazel słabym głosem. Napotkawszy spojrzenie Lawinii, odwróciła wzrok. I nagle, nie mogąc się już dłużej powstrzymać, wybuchnęła:

- Och, wiem, że wtrącam się w twoje sprawy, ale muszę ci to powiedzieć! Wszystko będzie dobrze, zobaczysz! Ja... ja wspomniałam Edwardowi o tym hamaku, co ci się przyśnił! Pewnie uznał mnie za wariatkę, ale tak się bałam, że będziecie sam na sam, w takiej burzy. -

Zmarszczyła brwi. - Wiedziała, że tam na werandzie wisi hamak...

Lawinia tarła oczy. Była jak otumaniona. Całkiem odrętwiała.

Przeznaczenie i niezwykle okoliczności doprowadziły do tego, że oboje z Edwardem spotkali się na tej werandzie. Wiedziała, że do końca życia będzie wspominać ich wspólną noc. Teraz jednak należało pomyśleć o przykrych konsekwencjach. Po pierwsze: nie była już dziewicą. To akurat nie miało większego znaczenia. Osoby jej profesji nie cieszyły się opinią aniołów czystości. Mimo wszystko jednak - przekroczyła pewną granicę i nie mogła już udawać niewiniątka.

Po drugie: być może zaszła w ciążę. Edward odgrażał się kiedyś, że przez niego zazna takiego bólu jak jego matka. Lawinia wcale nie cieszyła się na myśl o rozmowie z kochankiem na temat ich nieślubnego dziecka.

Najgorszy jednak był punkt trzeci: zakochała się w Edwardzie. Nie będzie miał już żadnych trudności z zaciągnięciem jej do łóżka.

Wystarczy miłe słówko, jakaś obietnica. Ale gdyby znów mu uległa, prędzej czy później dziecko przyjdzie na świat i będzie wówczas zdana na jego łaskę. Być może zacznie błagać, by pokochał ją i jej maleństwo, zapewne bez skutku. Sierocińce na całym świecie pełne były niechcianych owoców takich nieszczęsnych związków. Ona oczywiście nigdy nie rozstanie się ze swoim dzieckiem. Otoczy je miłością i opieką.

Nie będzie skazane na nędzę. No cóż, los wielu dzieci bywa znacznie bardziej gorszy! Ale kobiety nie może spotkać większe nieszczęście niż odtrącenie przez ukochanego.

Lawinia objęła głowę rękami. Coś ją dławiło w gardle. Nie miała pojęcia, jak Edward zachowa się wobec niej po powrocie na statek. Czy będzie ją traktował tak samo jak przedtem? Wiedziała, że to on będzie odpowiedzialny za dalsze stosunki między nimi. Teraz, gdy się zakochała, całe jej życie uczuciowe zależało od jego kaprysu.

- Jak ci mogę pomóc? Podać ci coś? Jesteś wykończona. Lawinia uniosła głowę. Popatrzyła śmiertelnie znużonymi oczyma na przybraną siostrę.

Twarz Hazel była blada, czoło przecinała głęboka zmarszczka.

Lawinia nie mogła już dłużej milczeć.

- Nic mi nie będzie. Z pewnością! Przecież i ty jakoś to przeżyłaś, Hazel. Wobec tego przeżyję i ja!

Hazel uklękła przy niej i objęła przyjaciółkę ramionami.

- Przeżyłam? O tak, przeżyłam, ale tylko dzięki tobie! Tylko dzięki tobie... - Zaczęła płakać. -



Pozwól, żebym ci pomogła! Teraz moja kolej.

Lawinia objęła ją kurczowo.

- Jak możesz mi pomóc? Na to nie ma rady. Oddałam mu serce i nie mogę go odebrać. Straciłam je raz na zawsze - powiedziała z bólem.

- Więc on musi oddać ci swoje! - wykrzyknęła jej siostra. Lawinia otarła łzy płynące po policzkach.

- Obawiam się, że jest gorzej niż myślisz.

- Jak to? - wyjąkała Hazel, wpatrując się w nią. Lawinia wykrztusiła z trudem:

- Widzisz... Edward... chyba wcale nie ma... serca...

*Drugie rozwiązanie przedstawiało się następująco: wszystko było wynikiem figli podświadomości pani Piper, która „wykorzystywała swoją nadzwyczajną zdolność postrzegania i zapamiętywania dla najpodlejszego oszustwa”, co [William] James uznał za całkiem prawdopodobne i ogromnie niepokojące.*

Ruth Branclin

- Nie mów mi, że spędziła całą noc pod gołym niebem, w taką burzę;!

Och, to okropne! - szepnęła Selena do Daisy, gdy piły herbatę na pokładzie pierwszej klasy w towarzystwie Korneliusza. Na nabrzeżu w Hamilton dosłownie wrzało: kapitan Stafford przygotowywał statek do rychłego odpłynięcia. Co chwila dobiegały do pasażerów okrzyki robotników portowych, taszczących na „Maritimusa” niezbędne zapasy.

- Jeszcze gorzej! - odparła Daisy, rzucając ostrzegawcze spojrzenie w stronę Korneliusza. - Edward wybiegł w tę burzę, żeby odszukać Lawinie i nie było ich przez całą noc. Teraz nie chce w ogóle rozmawiać na ten temat, a Hazel powiedziała, że Lawinia wróciła ze strasznym bólem głowy i od razu położyła się do łóżka.

Selena aż się rozpromieniła.

- Cudownie! Korneliuszu, ładuj dubeltówkę. Coś mi się wydaje, że niebawem będziemy mieli weselisko.

Daisy westchnęła.

- Nawet dubeltówką nie można zmusić Edwarda do zrobienia czegoś, na co nie ma ochoty! Korneliusz wie o tym najlepiej.

- Edward ją kocha - stwierdziła autorytatywnie księżna. Spojrzała na Cooka. - Nie mam racji?

Korneliusz wzruszył ramionami.

- Moim zdaniem, French ma obsesję na punkcie Lawinii. Niewątpliwie jej pożąda, ale wyraża się o niej tak, jakby nie była lepsza od byle kuchty. Nie może znieść spirytyzmu. Co gorsza, ze wszystkich sił opiera się miłości. Sama myśl o niej przytłacza go. Jeszcze nigdy nie widziałem, by okazał choć trochę uczucia jakiejś kobiecie. Oczywiście z wyjątkiem Daisy. Damy podobne do siostry stawia na piedestale, dzięki czemu może je podziwiać z daleka, nie angażując się. Mam wrażenie, że nie ufa żadnej istocie płci żeńskiej. Wiąże się to prawdopodobnie ze śmiercią jego matki i z tym, że ostatecznie uległa Wilhelmowi.

- Wiem, wiem. Co za tragedia! Dyskutowano o tym wówczas nawet w Londynie. Niewiarygodne okrucieństwo! - Twarz Seleny wykrzywił

przykry grymas. - Musimy więc zapobiec nieszczęściu: Edward nie może pójść w ślady ojca!

- Przecież Edwarda nie można do niczego zmusić! Jest taki uparty, wścieka się, jeśli mu się ktoś sprzeciwi. Ma to po ojcu. Wiem o tym aż za dobrze. - Daisy złożyła ręce na podółku.

- Wobec tego musimy ich rozdzielić, nim Lawinia pograży się jeszcze bardziej. - Zatopiona w myślach Selena uderzała się po dolnej wardze srebrną łyżeczką. - Buch ma na nią chrapkę, więc powinniśmy popychać ich ku sobie przy każdej sposobności.

- To nie będzie łatwe - zauważyła Daisy. - Lawinia postanowiła za wszelką cenę unikać Kylemore'a i spółki. Książę wyraźnie zawrócił w głowie Hazel, a ponieważ jest zaręczony, dziewczyna ciężko to przeżywa. Obie siostry z rozmysłem traktują księcia jak powietrze.

- Wątpię, by Kylemore poślubił swoją stalową królową. Całkiem stracił głowę dla Hazel. Jeszcze nigdy nie widziałam go w takim stanie!

Zobaczycie, jeszcze się z nią ożeni! - Selena uśmiechnęła się szelmowsko do Korneliusza. - Założę się o całą setkę, i to w złocie, że się zaręczą, nim dopłyniemy do Londynu. Przyjmujesz zakład, mój drogi?

Cook wyjął z kieszeni kartkę papieru i wypisał sumę, którą postawił.

Złożył skromnie kartkę i wręczył ją księżnej.

- A drugie tyle, jeśli panna Hazel da mu przy ludziach po gębie i nigdy więcej nie odezwie się do niego.

Selena pomachała kartką.

- No to zakład stoi - oświadczyła, chowając dokument do kieszeni.

- Okropni jesteście! Nie ma z was żadnego pożytku! - westchnęła Daisy.

- Ależ jest, jest, moja droga! - Selena poklepała ją po ręce. -

Zobaczysz, zrobimy jeszcze Hazel księżną, a Lawinie wydamy za twego brata. Potem będziemy się zakładać już tylko o ciebie. Chyba nie sprawisz zawodu cioci Selenie i nie zostaniesz starą panną?! Na początek opowiedz mi dokładnie, jakiego chciałabyś męża, a ja ci go wytrzasnę i oczywiście założę się, że wszystko pójdzie jak po maśle!

- Ja? - Daisy zaczerwieniła się i zerkała niepewnie to na Korneliusza, to na księżną. - Ja? Ja nikogo nie chcę! - Nad ich głowami dzwon okrętowy odezwał się jedenaście razy. Daisy drgnęła. - Już tak późno?

Och, muszę uciekać!

- Dokąd się tak spieszysz? - spytał Korneliusz.

- Dokąd? - Daisy rozejrzała się, jakby w poszukiwaniu jakiegoś wykrętu. - Powiedziałam Ewelinie, że muszę z nią omówić moją wieczorną toaletę. Naprawdę powinnam już wracać. Nie chcę, żeby na mnie czekała.

- Pozwolisz, że cię odprowadzę - oświadczył Korneliusz, wstając.

- Nie, nie! Doskonale sobie poradzę, naprawdę! Proszę cię, zostań z Seleną przy herbatce. - Daisy obrzuciła ich niespokojnym spojrzeniem, pożegnała się i ruszyła na swym wózku przez pokład ku drzwiom swojej kajuty.

Kiedy zniknęła im z oczu, Selena wypila łyżeczek herbaty i stwierdziła:

- Ta mała zupełnie nie umie kłamać! Powinnam dać jej kilka lekcji.

- Istotnie - odparł Korneliusz, wpatrując się w zamknięte drzwi kajuty Daisy. Jego niepokój jeszcze wzrósł, gdy ujrzeli Ewelinę w towarzystwie praczki. Minęła drzwi swojej pani, najwyraźniej całkiem nieświadoma tego, że miała się z nią pilnie spotkać.

- Daisy wybrała się na randkę. Nic prostszego: opuścić pokład, wjechać do swojej kajuty, wyjechać drugimi drzwiami na korytarz i już są razem!

Korneliusz pogładził wąsy.

- Edward chyba niczego się nie domyśla.

- Tym lepiej!

Cook spojrzął na nią zniecierpliwiony.

- On nad nią czuwa. Daisy jest bardzo naiwna, a poza tym bogata i upośledzona. Łatwo może paść ofiarą jakiegoś nędznika bez skrupułów.

- Jest również piękna, dobra i błyskotliwie inteligentna! Czy nikt tego nie dostrzega?! - Selena spojrziała na swego towarzysza. - Powinna zacząć wreszcie żyć! Ona tego pragnie. Życie bywa niekiedy bolesne.

Jeśli będzie musiała zaznać bólu, to trudno! Ale może znajdzie również szczęście, na jakie zasługuje.

- Skąd tak dobrze się na tym znasz, droga Seleno?

- Jestem starsza od ciebie o całych dwanaście lat. Mam za sobą ciekawe, długie, niełatwe życie. Czy myślisz, że przeszłam przez nie zakuta w pas cnoty, czy używałam go ile wlezie?

Korneliusz popatrzył na nią.

- Więc i ty cierpiałaś?

- Podobnie jak ty, mój drogi. Wiem wszystko o skandalu z Vanadderem i o tajemniczym wielbicielu ułoża śmierci Alicji.

Korneliusz milczał. Jego oczy miały dziwnie nieobecny wyraz. Po chwili skinął głową.

- Ja również miałem ciekawe, długie, niełatwe życie, Seleno.

- Wobec tego jesteśmy idealnie dobrani. - Ukradkiem wsunęła swoją kruchą, poznaczoną żyłami rękę w niedźwiedzią łapę Cooka i skinęła głową w stronę kajuty Daisy. - Teraz wybiła ich godzina. Niech zaznają namiętności i bólu. Są młodzi. Tego właśnie pragną, tego potrzebują.

Mnie wystarczy stateczna przyjaźń, wygodny fotel, jasna lampa, ciekawa lektura. A ty co powiesz, staruszk?

Korneliusz uśmiechnął się. Potem spojrział na ich złączone ręce i parsknął śmiechem.

- Takie z nas straszydła, że kobiety uciekają na nasz widok?! Słowo daję, nigdy jeszcze nie przytrafiło mi się nic podobnego. Mam wrażenie, że jestem niewidzialny! - Buch usadowił się na obitym skórą stołku przy barze. Była dopiero czwarta po południu, ale w sali panował tłok, unosił się dym z cygar i huczał gromki, niepohamowany śmiech.

- Ja przynajmniej wiem, czemu Hazel mnie unika. Ale tobie, Buch, doprawdy nie wiedzie się z Lawinią! - medytował Kyle nad nietkniętym kieliszkiem koniaku.

Buchanon zawahał się przez chwilę, ale w końcu odezwał się:

- Chodziły słuchy, że Edward się za nią ogląda. Myślisz, że to przez niego Lawinia nie zwraca na mnie uwagi?

Kyle popatrzył na brata.

- Znam Stuyvesanta od swojej pierwszej wyprawy na zachód.

Natknąłem się na niego w hoteliku Pod Antylopą w Dakocie. Stuy razem z tym cholernym durniem, Cookiem, szukali wtedy złota na północy. Nie mieli grosza przy duszy i byli brudni jak nie wiem co! Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak Edward i wcale nie wiem, czy chciałbym spotkać. Jego po prostu rozsadza energia! Psiakrew, od razu było widać, że ten facet dopnie swego, choćby miał kruszyć skały gołymi rękami! -

Kyle rozejrzał się po barze, by się przekonać, czy nikt ich nie podsłuchuje. Potem nachylił się do brata, jakby chciał podkreślić wagę swych słów. - Powiadam ci: to byłby prawdziwy cud, gdyby Lawinia go usidliła! Stuy nie traci głowy, jak każdy z nas. Jest odporny na ludzkie słabości.

- Ale może ona się w nim zadurzyła?

Kyle uniósł brwi.

- Całkiem możliwe, ale tym bardziej nie rezygnuj z pościgu: ocal biedulkę od nieszczęścia! Spełnisz dobry uczynek, mój chłopcze.

Buch skinął głową.

- Chciałem jej posłać kilka kwiatków. Mają tu kwiaciarnię pod pokładem, wiesz? Nawet ze specjalną chłodnią. Bardzo pomysłowe i nowoczesne.

- Tak, chyba ją widziałem - wycedził książę.

- No więc, co jej posłać? Róże?

- Nie, w żadnym wypadku nie róże!

To całkiem zbiło hrabiego z tropu. Przez chwilę siedział w milczeniu.

- Myślałem, że róże zrobią na niej większe wrażenie. Ale wiesz?

Widziałem tam śliczny bukietek fiołków. Jakoś mi pasuje do Lawinii.

- Co ci szkodzi spróbować? Nie ma w tym żadnej ujmy, nawet jeśli kwiaty wrócą do ciebie jak bumerang.

Buch zmierzył brata ciekawym spojrzeniem.

- Czyżbyś wiedział z własnego doświadczenia, Kyle?

Książę skosztował wreszcie koniaku.

- Zrób, jak ci mówię, Buch. Leć po te fiołki.

Lawinia usiłowała przebrać się do obiadu. Wykąpała się, trzykrotnie zmieniała fryzurę, sto razy rozwiązywała sznur swego szlafroka, ozdobiony złotymi chwaścikami, by włożyć koszulkę i zawsze przeszkadzała jej w tym myśl o Edwardzie.

Wkrótce go zobaczy. Wcale nie chce go widzieć! W pewnej chwili doszła do wniosku, że byłoby najlepiej, gdyby już nigdy się nie spotkali.

Ale na samą myśl o tym padła na kanapę, rozpaczliwie walcząc ze łzami.

Nie! Musi zobaczyć się Edwardem! Przecież teraz żyje tylko dla niego.

Wyrzuty sumienia i żal piekły ją żywym ogniem. Gdyby Jamie wczoraj nie uciekł! Gdyby nie przyśnił jej się tamten sen! Gdyby nie ujrzała Edwarda na werandzie i nie pogodziła się z nieuniknionym!

Gdyby zdołała zagłuszyć w sobie namiętność, gdyby miała więcej doświadczenia. Gdyby Edward był mniej pociągający, mniej zdecydowany... gdyby nie był Edwardem! O Boże, znów to gdybanie!

Zacisnęła powieki.

W końcu opanowała się, wstała z kanapy i zabrała się znów do wieczornej toalety. Choć wolałaby pozostać w swojej kajucie przez resztę podróży, dziś wieczorem musi pokazać się w jadalni. Ludzie zaczęliby plotkować, gdyby tego nie zrobiła. O tym, że nie było jej przez całą noc, wiedziała Daisy, służba, no i kapitan. Lawinia musi więc pojawić się publicznie i odegrać komedię. Jakże jest wdzięczna losowi, że nie zginęła podczas burzy, że wróciła zdrowo i cało na pokład

„Maritimusa"! Musi to zrobić ze względu na Hazel. Nadal miała nadzieję, że jej przybrana siostra zrobi doskonałą partię, że trafi do najwyższych sfer, a wraz z nią i dzieci.

Ktoś delikatnie zastukał do drzwi jej apartamentu. Lawinia odezwała się, Sądząc, że to pokojówka, ale nikt jej nie odpowiedział.

- Kto tam? O co chodzi? - zawołała ponownie i podeszła do drzwi.

Znowu cisza.

Z niepokojem wyjrzała przez szparkę. Ani żywej duszy! Otworzyła drzwi szerzej i popatrzyła w prawo i w lewo. Korytarz był pusty. Już sobie wmówiła, że słuch ją omylił, gdy spojrzała pod nogi i zobaczyła bukiet fiołków, związany szeroką, zieloną wstążką z francuskiego jedwabiu.

Lawinia nachyliła się i podniosła kwiatki. Jej serce wezbrało zachwytem. Zamknęła drzwi, przytknęła fiołki do nosa i wdychała ich słodki zapach. Równocześnie śmiała się i płakała: domyśliła się od razu, czyj to dar. Przecież to była wyraźna aluzja do „Fiołkowego Toniku Pani Wirth"!

Oczy jej rozbłysły. Może martwiła się i niepokoiła bez powodu? Może Edward ją lubił? Kto wie - może nawet kochał?

Zaparło jej dech. Przypuszczenie było niewiarygodne. Ale Lawinia tak gorąco tego pragnęła, że nie mogła wyzbyć się nadziei. Może Edward jest zdolny do ludzkich uczuć. Może wcale nie jest zimny i nieczuły.

Może zależy mu na niej... Może.

Lawinia miała wrażenie, że unosi się w obłokach.

Znów powąchała bukiet i roześmiała się głośno. Nie tylko był

cudownym kochankiem, ale miał takie wspaniałe poczucie humoru!

Fiołki! Co za doskonały pomysł! Pragnęła dostawać od niego fiołki przez resztę życia.

Edward wstał i po raz piąty wyjrzał przez iluminator. Przed godziną zjawili się w jego kajucie Jamie i Korneliusz - obaj wyraźnie spragnieni męskiego towarzystwa. Od dłuższej chwili goście grali w warcaby, starając się nie zważać na gospodarza, zachowującego się jak rozdrażniony niedźwiedź. Nie sposób jednak było zapomnieć o nim, zwłaszcza że miotał się po salonie i co chwila, nie

wiedzieć po co, wyglądał przez iluminator.

Doprowadzony do ostateczności Korneliusz podniósł wreszcie głowę znad szachownicy i poradził:

- Myślę, że dłuższy spacer dobrze by ci zrobił na chandrę, French.

- Nie mam żadnej chandry! - odciął się Edward.

Jamie także podniósł głowę. Był wyraźnie ciekaw, co teraz powie Korneliusz.

- Cóż, jeśli nie masz ochoty na spacer, to idź do niej. Pogadacie, wyjaśnicie sobie wszystko. Inaczej, zanim dotrzemy do Londynu steward będzie tu musiał zmienić dywan.

Edward popatrzył na Cooka takim wzrokiem, jakby chciał go skrócić o głowę.

- Skąd ci przyszło do głowy, że chodzi o nią?

- O kogo? - spytał ciekawie Jamie.

- O Lawinie - wyjaśnił mu Korneliusz, nim Edward zdążył go powstrzymać.

- Dlaczego o Lawinie? - spytał znów Jamie. Spojrzał ze skruchą na Edwarda. - Już jej powiedziałem, jak mi przykro, że uciekłem z plaży,. I obiecałem, że nie będę więcej czytał Coltraina. Ciągłe jest na mnie zła?

Edward potarł policzek.

- Nie jest wcale zła na ciebie, mój chłopcze. Raczej na mnie.

- Dlaczego? Sama mówiła, jak to ładnie z pana strony, że poszedł jej pan szukać w taką burzę. - Jamie spoglądał to na jednego, to na drugiego z mężczyzn.

Korneliusz uznał, że pora się wtrącić.

- Właśnie! Zrobił to z czystej, ludzkiej życzliwości. Nieprawdaż, French?

Edward pokiwał głową z posępną miną.

- Może byś się tak czymś zajął? Wtedy zakończymy w spokoju partyjkę warcabów. - Cook spojrzał wymownie na drzwi.

Edward rzucił okiem na Jamiego, chwycił surdut i zatrzasnął za sobą drzwi.

Lawinia znowu usłyszała stukanie do drzwi, tym razem jednak można by to nazwać waleniem. Zdecydowanie bardziej w stylu Edwarda!

Ciągle w szlafroku, pobiegła do drzwi i otworzyła je na oścież, wiedząc, że to musi być on.



Nie myliła się. Edward stał na korytarzu; szczęki miał zaciśnięte, w oczach niepokój.

- Wejź! - zaprosiła go z mocno bijącym sercem. Cofnęła się o krok, chowając bukiet za plecami.

Stuyvesant wszedł do pokoju, nie odrywając oczu od Lawinii.

Zamknęła drzwi.

- Siadaj, proszę! - podeszła do kanapy, nadal ukrywając fiołki w aksamitnych fałdach szlafroka.

Edward usiadł na fotelu blisko drzwi.

Lawinia popatrzyła na niego, zdenerwowana i onieśmielona.

- Na pewno się domyślasz, po co przyszedłem. Musimy porozmawiać o nocy, którą spędziliśmy razem. - Mówił z wyraźną trudnością, patrząc jej uparcie w oczy. - Kiedy myślę o tym, co między nami zaszło, wydaje mi się to dziwnie nierealne. I ty wydajesz mi się nierealna.

- Ale jestem całkiem realna, Edwardzie - powiedziała miękko. - Aż za bardzo! Przecież wiesz.

Na jego twarzy odbiło się poczucie winy.

- Nie przyszło mi nawet do głowy, że jesteś niedoświadczona. Biorąc pod uwagę życie, jakie wiodłaś. Zdołasz mi chyba wybaczyć moją brutalność?

- A mnie nie przyszło nigdy do głowy, że aż tak bardzo cię pragnę -  
szepnęła.

Odwrócił wreszcie wzrok, jakby w obawie, że Lawinia dostrzeże coś, co kryło się w jego oczach.

- A jednak ciągle nie mogę tego pojąć. Najdziwniejsze jest to, że z góry wiedziałaś, co się wydarzy. I to od dawna.

Uklękła obok jego fotela.

- Widziałam to we śnie. Nie całkiem jasno: nie dostrzegłam wszystkich szczegółów. - Posłała mu drżący uśmiech. - Chyba domyśliłam się o wiele wcześniej niż ty, czym się to skończy...

Edward potarł skronie.

- Nic już nie rozumiem! Byłaś przecież dziewicą, więc jeśli wiedziałaś, co mi chodzi po głowie, czemu mnie nie powstrzymałaś?

- Miałam ci powiedzieć, że jestem niewinną panienką? I że śniło mi się, że kochałeś się ze mną w takiej właśnie burzy, w takim właśnie hamaku?... Uwierzyłyś mi?

Twarz mu stężała.

- Chyba nie.

- Wyśmiałybyś mnie! Szyderstwom nie byłoby końca.

- Może. Ale powinnaś była mnie powstrzymać. Byłbym ci posłuszny, choćbym nie wiem co o tobie pomyślał. Nie jestem gwałcicielem!

Pohamowałbym się, gdybym wiedział, że tego nie chcesz.

- Ale w tym właśnie tkwi cały problem, nie rozumiesz? - Dotknęła jego kolana i popatrzyła mu w oczy.

- Jak to? - spytał, obejmując dłońmi jej twarz.

- Ponieważ - odparła, uśmiechając się kusząco - ja tego chciałam. I nadal cię pragnę.

Otworzył usta, jakby sądził, że powinien coś odpowiedzieć, ale powodowany impulsem silniejszym od wszelkich słów i myśli, pochylił

się i ucałował ją zachłannie.

W sercu Lawinii ożyła nadzieja. A więc zależało mu na niej! Do licha z wszystkimi „gdyby” i „może”!

Zależało mu na niej, i już!

Oderwał się od jej ust i pochylił głowę tak, że ich czoła się stykały.

- Ciągle nie mogę tego pojąć. Byłem pewien, że jesteś na mnie zła.

Teraz już wiem, że wspólna noc była nam sądzona, ale myślałem, każda kobieta boleje nad utratą niewinności. Chyba znów pomyliłem się co do ciebie? Może uda się jakoś ułożyć stosunki między nami, zwłaszcza że podchodzisz do sprawy tak rozsądnie.

- Jakiś ty zabawny! - omal nie wybuchnęła śmiechem. - Wcale nie jestem rozsądna, tylko całkiem mnie rozbroiłeś!

- Rozbroiłem?

- Jakże mogłabym się gniewać na kogoś, kto podarował mi coś takiego? - Wyjęła zza pleców bukietek fiołków i obracała go w palcach.

- Kiedy znalazłam to pod drzwiami, śmiałam się i płakałam równocześnie. Za ten jeden gest wybaczyłabym ci wszystko, Edwardzie!

Jak mogłabym chować urazę do kogoś, kto chce mnie przebłagać takim uroczo skromnym podarkiem?

Edward spojrzał na bukiet i oczy lekko mu się rozszerzyły.

- Ten drobiazg tak cię uradował?

- Gdybyś mi ofiarował brylanty, rzuciłabym ci je w twarz, bo twoja arogancja wzbudziłaby we mnie niesmak. - Popatrzyła z miłością na fiołki. - Ale te niepozorne, niewinne kwiatki są dowodem skruchy i pamięci. Nigdy nie zapomnę, jak cuchnąłeś tymi perfumami, Edwardzie!

Będiesz mi się już zawsze kojarzył z fiołkami. - Spojrzała na niego oczami pełnymi miłości.

- Wobec tego zawsze będę cię nimi obdarzał. - Odwzajemnił jej spojrzenie, ale natychmiast odwrócił wzrok, jakby coś zmieszany.

- Czyżbym cię zakłopotła moim wyznaniem? Spróbuję być tak rozsądna, jak sobie tego życzysz. - Podniosła bukiet do nosa. - Chcę, żebyśmy żyli w zgodzie. Chyba zawsze tego pragnęłam.

Popatrzył na nią jeszcze raz. Nie mógł jednak, czy też nie chciał, mówić o fiołkach.

- I ja tego pragnę. Tej nocy na plaży przekonałem się, że harmonia jest pod każdym względem przyjemniejsza od kłótni.

- Czy to właśnie miałeś na myśli, mówiąc o ułożeniu stosunków między nami?

- Co się stało, to się nie odstanie. Nie przywrócę ci dziewictwa, choćbym chciał. Proponuję więc... - Edward zawahał się. - No cóż, jeśli już po bólu, to chyba powinniśmy czerpać z tego tyle radości, ile się da?

Lawinia spuściła głowę i zapatrzyła się w bukiet, który położyła na kolanach. Czuła się zdezorientowana. Pojęła, że nie zapatruje się na sprawę tak praktycznie jak Edward. Jej serce marzyło o wyznaniach miłości, a nawet tliła się w nim nadzieja na nierozzerwalny związek, pobłogosławiony w kościele. Wiedziała jednak dobrze, iż między wyznaniem miłości a spacerkiem do ołtarza zionie olbrzymia przepaść, w którą wpada mnóstwo kobiet, trafnie zwanych „kochankami”.

- Nigdy nie patrzyłam na to, co nas łączy, pod kątem jakichś układów.

Sądziłam, że stosunki między nami będą rozwijać się spontanicznie, tak jak namiętność, która nas skłoniła... Ale dobrze wiem, jaki jesteś, Edwardzie! Lubisz mieć wszystko starannie poukładane. - Popatrzyła na trzymany w ręku bukiet. Może to ostatni, jaki od niego dostała? Była rozczarowana, ale jego słowom nie można było odmówić logiki. Oddała mu się bez oporu, z radością. Nie miał więc żadnego obowiązku wprzęgać się w małżeńskie jarzmo. Tym bardziej, że nie musiał obawiać się gniewu ojca, rozszalonego hańbą córki. Najrozsądniej pogodzić się z losem i zostać po prostu jego kochanką. A jednak w głębi serca Lawinia pragnęła czegoś więcej. Ale chcieć i mieć, to dwie różne rzeczy. Nie zamierzała stawiać Edwardowi ultimatum. Kochała go.

- Przemyślę sobie tę sprawę, jeśli ci na tym zależy - odparła cicho.

Nadal wpatrywała się w bukiet, tak słodki i niewinny. Jej serce wezbrało miłością. Edward miał

jednak dla niej trochę uczucia! Naraził

się na pewne ryzyko, skradając się pod jej drzwi z tym darem. Mógł się ośmieszyć, może nawet doznać upokorzenia. Jeśli zdobył się dla niej na taką ofiarę, to kto wie? Może z czasem zdobędzie się na coś więcej?

Byłaby głupia, odtrącając go teraz w imię „przyzwoitości”.

Ucałował ją znowu, jeszcze żarliwiej. Gdy wtargnął językiem głęboko do wnętrza jej ust, Lawinia jęknęła. Czuła się przy nim bezbronna!

Wystarczył drobny gest, a już gotowa była rzucić się w przepaść.

Ogarnęło ją pożądanie, stawało się coraz silniejsze. Edward posadził ją sobie na kolanach, nie przestając całować, aż wreszcie gotowa była oddać życie za jeszcze jeden pocałunek.

- Nie pożałujesz tego, Lawinio. Tak będzie najlepiej dla nas obojga.

Potrafię być dyskretny - mówił z ustami przy jej ustach. Potem rozwiązał

sznur ze złotymi chwaścikami, podtrzymujący poły jej szlafroka.

Lawinia czuła instynktownie, że powinna go powstrzymać. Powiedziała sobie jednak, że nie musi bronić cnoty, bo nie jest już niewiniątkiem. Nie było sensu zabraniać Edwardowi czegokolwiek.

Rozchylił gruby aksamitny szlafrok i spojrzał na piersi Lawinii. Ją zaś ogarnął nagle wstyd: chciała zebrać poły szlafroka i uciec.

On jednak rozchylił okrycie jeszcze bardziej i zachłannie wpatrywał

się w swój skarb. Ujął w dłoń jedną pierś i wyraźnie lubował się jej bujnością.

- Cudowna... - szepnął z ustami przy szyi Lawinii. - Słowo daję, jesteś cudowna...

- Abigail przyjdzie o szóstej pomóc mi w ubieraniu. Nie powinna cię tu zastać!

Pieścił ustami nabrzmiały sutek.

- To nie potrwa długo...

Lawinie przebiegł dreszcz. Edward jeszcze bardziej zsunął z niej szlafrok, obnażając jej ramiona aż do łokci. Nadal trzymał na dłoni jedną pierś, druga ręka powędrowała w dół.

- A jeśli ktoś tu zajrzy? - spytała Lawinia zdyszczym szeptem.

- Zostaniemy schwytani na gorącym uczynku - odparł z zaborczym błyskiem w oku. Rozpiął spodnie, objął ramieniem biodra Lawinii i uniósł ją ku sobie.

Opadła na niego, pełna pożądania, lęku i namiętności. Ruch jego bioder przypominał gwałtowne kołysanie okrętu. W pierwszej chwili zlekła się, że nie zdoła dotrzymać mu tempa, ale gdy pochylił się i zaczął

ssać jej pierś, miała wrażenie, że ulatuje w powietrze. Całkowite zaspokojenie było tak blisko... wystarczy jeden ruch, jedno zwanie...

Wkrótce sama zaczęła przyspieszać. Jeszcze! Jeszcze! Jeszcze!

- Edwardzie... - wyszeptała, dygocząc w ekstazie.

Edward nie odpowiedział. Zamknął oczy i jęknął, obejmując coraz mocniej biodra kochanki. Wbijał się w nią z taką siłą, jakby chciał

przeszyć ją na wylot. Potem osunął się bez tchu na oparcie fotela, nie odrywając wzroku od dziewczyny.

- Widzisz? - szepnął zmęczony. - Nie zajęło nam to wiele czasu.

Przytuliła się policzkiem do jego policzka i rozkoszowała się tą chwilą. Nadal czuła go w sobie. Nie bała się już samotności. Wdychała zapach wody laurowej i męskiego ciała. Edward wydawał się jej taki bliski, taki... własny. Zauważyła, iż nie rozpiął nawet koszuli, nie rozluźnił krawata.

- Co ty ze mną wyprawiasz? - szepnęła, tuląc się do niego. Nagie ciało przyłgnęło do szorstkiej wełny garnituru. Edward głaskał jej włosy.

- Mam ochotę na znacznie więcej.

- Teraz?! - aż się zatchnęła, czując, że coś w niej drgnęło. Edward roześmiał się.

- No, może za chwilę, jeśli starczy nam czasu. Mówiłaś, że ktoś tu ma przyjść?

- Abigail! - Lawinia aż podkoczyła. Uwolniła się z jego uścisku.

Spojrzała ze strachem w stronę drzwi. - Musisz natychmiast wyjść! Ona tu będzie lada chwila. Ma mi pomóc przy ubieraniu!

- Obiecuj, że w Londynie omówimy dokładniej nasze sprawy.

- Dobrze - szepnęła, zawiązując szlafrok.

Edward wstał i doprowadził spodnie do porządku. Podszedł do Lawinii, wziął ją pod brodę i spojrzał jej w oczy.

- Zatańczysz ze mną walca po kolacji? Tylko ze mną!

- Tak - odparła miękko.

Edward pocałował ją. Przyłgnęła do niego tak, jakby nigdy już nie zamierzała go puścić.

- Kocham cię, Edwardzie - szepnęła, gdy wreszcie podniósł głowę.

Widziała, że mięsień w policzku zaczął mu drgać. Próbował coś powiedzieć, ale tylko pocałował ją raz jeszcze, gwałtownie i żarliwie jak młodzik.

Patrzyła za odchodzącym kochankiem. Nie wyraził swej miłości słowami, ale kto wie, czy nie czuł jej w sercu? Upewniła się co do tego jeszcze bardziej, gdy znów wzięła do ręki bukietek fiołków. Te kwiatki były więcej warte niż wszystkie wyznania. Podobnie jak ich miłosne uściski.

Stojąc w drzwiach, Edward raz jeszcze na nią spojrział. Uniosła niewinny bukietek i uśmiechnęła się z wdzięcznością. Kochała go. Z

czasem i on ją pokocha. Z pewnością tak będzie. Widziała, jak bardzo wzruszył się, widząc w jej ręku fiołki.

Pokocha ją! To tylko kwestia czasu.

Lawinia przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. Miała na sobie oszałamiającą wieczorową toaletę z ciemnozielonej tafty. Ta świerkowa zieleń sprawiała, że jej oczy przybrały barwę fiołków. Suknia miała głęboki dekolt i odsłaniała ramiona. Spódnica, luźno udrapowana z przodu, opinała ciasno biodra. Z tyłu był niewielki tren, który wdzięcznie kołysał się w takt kroków Lawinii.

Drżącymi rękami zapięła na szyi perłową obróżkę, by za chwilę ją zdjąć. Chciała wyglądać pięknie i ponętnie. W uszach ciągle brzmiało jej stare powiedzonko: „Ladaczniczka obwiesza się biżuterią, by zakryć swą hańbę”. Tak, obróżka z pereł to doprawdy za dużo! Odłożyła ją do skórzanej kasetki. Włożyła tylko kolczyki: małe perłowe łezki. Tak, efekt był znacznie lepszy. Wyglądała nobliwie.

- Ślicznie pani wygląda, panno Lawinio! - unosiła się Abigail, spoglądając w lustro zza jej pleców.

- Naprawdę? - spytała niepewnie Lawinia i przyjrzała się sobie jeszcze raz. Chciała prezentować się jak najlepiej, by Edward patrzył na nią z podziwem, ale ciągle nękały ją wątpliwości. Miała wrażenie, że jej poczucie winy i zdenerwowanie są wyraźnie widoczne, podobnie jak niewielki czerwony ślad ust Edwarda na prawej piersi. Co prawda i suknia, i gorset szczelnie go zakrywały, ale Lawinii zdawało się, że każdy może dostrzec przez taftę ten kompromitujący znak.

- Proszę nie zapomnieć o rękawiczkach!

Lawinia wzięła od Abby czarne skórkowe rękawiczki, ciasno opinające ręce, i włożyła je, spoglądając nerwowo na swą pomocnicę.

Abigail omal nie przyłapała u niej Edwarda: zjawiła się zaledwie minutę po jego wyjściu. Przybycie guwernantki strasznie speszyło Lawinię. Co prawda Abigail z pewnością nie natknęła się na Stuyvesanta, ale Lawinia aż drżała ze wstydu na myśl o tym, co się tu przed chwilą działo. Znowu zachowała się jak dziwka, a co gorsza, nawet teraz myślała wyłącznie o tym kiedy znów się spotkają.

- Mój Boże! Co za rumieńce, panno Lawinio! Pomyślałby kto, że się pani zakochała! - Abigail uśmiechnęła się wyrozumiale.

Lawinia odpowiedziała uśmiechem, choć usta jej drżały. Pewnie, że się zakochała! Ale czy to rzeczywiście takie cudowne, jak sądziła Abigail, to się jeszcze okaże.

- Ależ ten Edward się spóźnia! - rzekła Selena do Daisy, gdy siedziały już przy kapitańskim stole. - Czy się coś stało? Zastanawiałam się, czemu tylko Korneliusz eskortował nas do jadalni.

Daisy udawała, że je pieczyste.

- Edward przysłał mi liścik z przeprosinami. Zapowiedział, że się trochę spóźni, bo jego lokaj czegoś tam nie dopatrzył. Powinien zjawić się lada chwila.

Selena dyskretnym ruchem głowy wskazała parę po przeciwnej stronie stołu.

- Zauważyłaś jak Buch się dziś stara? Patrzy Lawinii w oczy jak wierny pies. Zachwycające!

Daisy zerknęła przez stół w stronę hrabiego, który pochylał się czule ku siedzącej obok niego Lawinii. Prowadziła z nim uprzejmą rozmowę, ale raz po raz spoglądała w stronę drzwi, jakby na kogoś czekała.

- Edwardowi nie spodobają się te zaloty! - szepnęła Daisy do księżnej.

- Lawinia wcale nie zachęca Bucha - odparła Seleną. - A Frenchowi dobrze by zrobiło, gdyby ją zobaczył tańczącą upojnego walca z hrabią!

- Myślisz, że Buch byłby lepszym mężem dla Lawinii? - zastanawiała się Daisy. - Wiem, że bezwstydnie ugania się za posażną panną, ale czasem wydaje mi się, że byłby dla Lawinii odpowiedniejszy niż Edward. On nigdy nie będzie czułym kochankiem. Co taka rozsądna dziewczyna widzi w moim braciszku? Straszny z niego raptus!

- Przeciwności się przyciągają. Nie słyszałaś o tym?

Daisy spuściła wzrok na talerz, chcąc ukryć wyraz swoich oczu.

- Owszem, słyszałam. Podobno taki pociąg jest niesłychanie, przerażająco silny... Ale czy Lawinia nie byłaby szczęśliwsza z kimś, kto otoczy ją czułą opieką? Czy nie chciałaby zawładnąć całkowicie sercem męża, choćby miał różne wady czy słabostki?

- Mówisz z takim zapałem, jakby szło o ciebie, kochanie. - Na twarzy Seleny odmalowało się lekkie zdziwienie, ale i szczerą sympatią.

Daisy potrząsnęła głową i wyprostowała się w fotelu.

- Co za głupstwa! - powiedziała cicho.

- Ach, tak? - odparła księżna, nie odrywając oczu od udręczonej twarzy Daisy.

W tej chwili wysoki głos Lawinii przebił się przez panujący w jadalni gwar.

- A więc one były od pana? - zawołała zdumiona.

- Znosi się na burzę! - Księżna teatralnym gestem przytknęła rękę do czoła. - Widzisz jego minę, Daisy? A ty, Korneliuszu? Idę o zakład, że za chwilę rozpęta się piekło!

Korneliusz i Daisy zerknęli na drzwi sali balowej. Stał w nich Edward z twarzą jak gradowa chmura i spoglądał w stronę Lawinii i Buchanona, którzy tańczyli walca. Lawinia zaśmiewała się z każdej uwagi hrabiego, a Buch miał taką minę, jakby królowa mianowała go właśnie swym księciem-mażonkiem.

- On go wyzwie! - wykrzyknęła Seleną.



- Tak się załatwiało porachunki za naszych czasów, księżno - odparł

Cook, wpatrując się w Edwarda. - Obawiam się raczej, że koło północy coś cicho pluśnie do morza.

- Jakież Edward ma prawo wściekać się o zaloty hrabiego?! - wtrąciła się Daisy. - Sam nigdy nie powiedział Lawinii dobrego słowa! Jeśli jest w niej zakochany, to niech się oświadczy albo siedzi cicho!

- Jesteś dziś w okropnie buntowniczym nastroju, moja droga. Odkąd to ośmielasz się krytykować Edwarda? - spytał zdumiony Korneliusz.

- Odkąd? Prawdę mówiąc... - Daisy zmarszczyła brwi i była w tej chwili niezwykle podobna do brata. - Odkąd zrozumiałam, że tylko ostatni głupiec pozwala, by miłość mu się wymknęła!

Selena i Korneliusz patrzyli na nią w osłupieniu. W końcu Cook podniósł się z miejsca.

- Edward w tej chwili zdecydowanie nie nadaje się do roli opiekuna, wobec tego muszę wziąć sprawy w swoje ręce. Księżę przetańczył z Hazel aż cztery walce pod rząd. Mam wrażenie, że nic tej pary nie rozdzieli, ale zrobię, co w mojej mocy. Wybaczcie mi, drogie panie.

Poproszę Hazel do następnego tańca i ocalę choć strzępki jej reputacji.

- Spójrzcie! Edward zmierza do naszego stołu, a muzyka właśnie zamilkła! O, Boże! Buch i Lawinia wracają. Schowajmy się lepiej pod stół, moi kochani: zaraz nastąpi wybuch! - Selena wstrzymała dech.

- Cudownie pan tańczy, hrabio! Pewnie nauczyli tego pana w Eton? -

szczebiotała Lawinia, gdy Buch podsuwał jej krzesło.

- Ależ skąd, droga pani! Jeśli mężczyzna tańczy cudownie, to tylko zasługa idealnej partnerki. - Wziął z tacy przechodzącego obok stewarda kielich szampana, podał go Lawinii i usiadł obok niej. Żadne z nich nie dostrzegło Stuyvesanta, który zmierzał w kierunku stołu niczym rozpędzona lokomotywa.

- Ależ, hrabio! Jest pan stanowczo zbyt skromny! Ubóstwiam zresztą skromnych mężczyzn, podobnie jak ich subtelne, maleńkie bukietki. -

Lawinia nagle zwróciła wzrok w stronę Edwarda. Usłyszawszy jej ostatnie słowa stanął jak wryty. - Popatrzcie państwo, kto się wreszcie zjawił! Pan Stuyvesant-French! - wykrzyknęła. - Rzeczywiście, wydawało mi się, że kogoś brakuje przy naszym stole... - Obdarzyła go uśmiechem rozwścieczonej kotki. - Prosimy do nas! Że też nie zauważyliśmy pańskiej nieobecności!

Mruknąwszy coś na powitanie Edward zajął miejsce między Selena a Daisy, nie odrywał jednak oczu od Lawinii.

Roześmiała się nagle. Nawet w uszach księżnej, której słuch nieco szwankował, zabrzmiało to sztucznie.

- Hrabia Buchanon bawił mnie właśnie anegdotkami ze swoich lat chłopięcych. Kształcił się w Eton, w tej wspaniałej angielskiej szkole!

Jestem doprawdy pod wrażeniem.

- Edward chyba bardziej potrzebuje pomocy niż Hazel - szepnął Cook do księżnej.

- Racja! - odpowiedziała szeptem. - Mój kochany bratanek zmierza tu z naszą podopieczną. Pozostały w nim widać jakieś resztki przyzwoitości, czego się nie da powiedzieć o drogim Edwardzie!

Cook tylko prychnął.

- Eton! Pomyśleć tylko! - unosiła się Lawinia. - Najbardziej ekskluzywna ze wszystkich szkół. Nie mogę ochłonąć z wrażenia!

- Ochłoń wreszcie, do diabła! - warknął Edward.

Lawinia popatrzyła na niego przez stół z lodowatym wyrazem twarzy.

- Pan, panie Stuyvesant, nie kształcił się w żadnej szkole z długoletnią tradycją, nieprawdaż? Zdaje się, że pan Cook wspominał mi kiedyś, iż w bardzo młodym wieku uciekł pan z domu i sam pokierował swoją dalszą edukacją? Doprawdy, bardzo oryginalne! Musi być pan ogromnie dumny z własnych osiągnięć. Radzi sobie pan całkiem nieźle, jeśli chodzi o stosunki towarzyskie, mimo iż brak panu tradycyjnego wykształcenia!

- Czyżby mnie pani chciała nazwać nieokrzesanym gburem, panno Murphy? - spytał groźnie Edward.

Lawinia udała zdumienie.

- Po cóż miałabym to robić, kiedy pan sam z uporem gra tę rolę?

Edward już podnosił się z krzesła, ale właśnie w tym momencie wrócili książę i Hazel. Kylemore posadził swoją damę i zajął miejsce po jej prawej stronie.

- Wieczór jak stworzony do tańca, nieprawdaż? - zwrócił się pogodnie do całego towarzystwa.

Edward pominął uwagę milczeniem, Lawinia duszkiem wypła kieliszek wina, a Cook potrząsnął głową.

- Zagarnąłeś dla siebie naszą podopieczną, książę - popatrzył przez stół na Kyle'a. - Czy nie stosowniej byłoby przesiadzić kilka następnych tańców i powędrować myślą ku narzeczonej?

Kylemore uśmiechnął się z przymusem, po czym rzucił Hazel wymowne spojrzenie.

- Mam nadzieję, że panna Murphy poświęci mi znacznie więcej czasu.

Jedna wspólnie przetańczona noc, to dla mnie stanowczo za mało!

- Dość ryzykowna uwaga w ustach zaręczonego młodzieńca - wtrąciła się ciocia Selena z żywym błyskiem w oku.

- Bo też gotów jestem podjąć największe ryzyko! - Kylemore uniósł

kieliszek w stronę Hazel. - Za wszystkie nasze wspólne walce, moja najmilsza!

Hazel obląła się rumieńcem. Lawinia podniosła się z krzesła.

- Ogromnie żałuję, że muszę zrezygnować z dalszej zabawy, ale bardzo rozboleła mnie głowa. - Odwróciła się do Buchanona. - Będzie pan taki miły i odprowadzi mnie, hrabio? Czuję, że muszę się natychmiast położyć.

Edward znów chciał się podnieść, ale Selena położyła mu rękę na ramieniu i powstrzymała go.

- Nie będziemy cię zatrzymywać, drogie dziecko - powiedziała księżna

- ale stawiam jeden warunek: jutro wieczorem urządzisz dla nas seans.

Nie wytrzymam ani dnia dłużej! No, nie rób mi zawodu!

Lawinia była całkiem zbita z tropu. Popatrzyła na Hazel, która nagle zbladła.

- Doprawdy nie wiem... Chyba już nie potrafię...

- Panna Murphy nie występuje już w tym cyrku, droga księżno! -

warknął Edward.

- Daj spokój, mój drogi! Decyzja należy do Lawinii, nie do ciebie. -

Selena zwróciła się do dziewczyny. - Zgadzasz się, prawda?

Lawinia popatrzyła na twarze zebranych przy stole. Zawahała się, dostrzegłszy niepokój Kylemore'a. Nie chciała urazić go i zniszczyć życiowych szans Hazel. Potem jednak zauważyła wściekłą minę Edwarda i rozpromieniła się od razu.

- Zgoda! Jutro wieczorem, w moim apartamencie, o ósmej.

- Czy wielka księżna będzie również brać w tym udział? - spytał z wahaniem Kylemore. Myśl o Hazel w roli medium wyraźnie go deprymowała.

- Jeśli sama tego zechce. Decyzja należy wyłącznie od niej. A teraz dobranoc państwu! - Oparła się na ramieniu Buchanona i wyszła, nie rzuciwszy nawet okiem na Edwarda.

- Zabierz to i podaj koniak! - mruknął Stuyvesant do stewarda, odsuwając kieliszek wina na brzeg stołu.

- No, no, Edwardzie! Nie przypuszczałam, że taki z ciebie pijus! -

zauważyła jowialnie Selena. I zwracając się do stewarda, poradziła chytrze:

- Zostaw lepiej całą butelkę. - Po czym pogroziła Edwardowi palcem i uśmiechnęła się promiennie.

Spacer do kajuty dłużył się Lawinii niczym podróż przez Saharę.

Nigdy jeszcze nie czuła się taka zmęczona, przygnębiona, załamana. A w dodatku musiała silić się na uśmiech.

- To był cudowny wieczór, szkoda tylko, że tak wcześnie się skończył

- oświadczył Buch, stanąwszy pod jej drzwiami. - Nic nie sprawiłoby mi większej radości niż wieść, że pani ból głowy zelżał i że ma pani ochotę na spacer po pokładzie! Lawinia potarła skronie.

- Byłabym bardzo rada, gdyby ból minął, ale musimy odłożyć ten spacer na inną okazję.

- Będę więc czekał na tę okazję. - Buchanon nie odrywał od niej oczu.

Był przystojny. Miał arystokratyczne rysy i błękitne oczy. Wysoki, dobrze zbudowany, dość bogaty. Z hrabiowskim tytułem. Boże święty, czego więcej mogła sobie życzyć?!

Edwarda!

Głowa rozboleła ją jeszcze bardziej.

- Bardzo dziękuję, hrabio! Dobrej nocy.

Ujął jej dłoń i podniósł do ust.

- Rad jestem, że spodobały się pani moje fiołki. Nie ma pani pojęcia, Lawinio, jak bardzo jestem rad!

Jej rozpacz jeszcze się pogłębiła.

- Jak to miło, że pan o mnie pomyślał.

- Od początku podróży myślę o pani nieustannie...

- Naprawdę? - spytała z roztargnieniem.

- Czy po przybyciu do Londynu nie zechciałaby pani wraz z siostrą odwiedzić Kylemore House? Jeśli Kyle jeszcze pań nie zaprosił, z przyjemnością go w tym wyręczę. Może raczą panie udać się tam na kilka dni wraz ze mną?

Lawinia patrzyła na niego, zastanawiając się, jak zdoła pozbyć się zmarszczki, która po prostu wryła się jej w czoło.

- To doprawdy zaszczyt... Lecz nie chciałabym się narzucać...

- Nonsens! Ciocia Selena lubi, kiedy w Kylemore jest gwarno i ciągle suszy nam głowę, że zbyt rzadko zapraszamy gości. Wydamy wielkie przyjęcie, by mogła pani zapoznać się ze wszystkimi. Utonie pani po prostu w śmietance towarzyskiej, Lawinio!

- Jaki pan miły - odparła.

- Bardzo się staram, żeby mnie pani polubiła.

- Ależ lubię pana - szepnęła Lawinia. Miała wrażenie, że głowa zaraz jej pęknie. - A teraz już naprawdę dobranoc!

Pocałował ją w rękę jeszcze raz. Dotyk jego warg powinien być rozkoszny... ale Lawinia nie poczuła nic a nic.

- Dobrej nocy! - Zostawiła go na korytarzu i zamknęła drzwi.

Apartament wydał się jej... jakiś inny. Nawet w słabym świetle gazowym dostrzegła, że coś się tu zmieniło. Lawinia podeszła do ściany i lampa błysnęła jasnym płomieniem. I wówczas zobaczyła wyraźnie, co to takiego. Fiołki! Były po prostu wszędzie: na kanapie, w wazonach, związane wstążką, rozrzucone po łóżku. Abigail musiała odebrać cały ten ładunek, podczas gdy ona udała się do jadalni. To dlatego Edward się spóźnił! Tym razem były to rzeczywiście jego fiołki. Dobijały ją swym przytłaczającym, cikliwym odorem. „Tonik Pani Wirth” był szczytem subtelności w porównaniu z tą odrażającą lawiną bukiecików od Edwarda Stuyvesant-French’a!

W nagłym ataku histerycznego śmiechu Lawinia zaczęła zgarniać wszystkie kwiaty. Musiał ogołocić kwiaciarnię z całego zapasu fiołków!

Kosztowały z pewnością duży majątek. Fioletowe kwiatki były dosłownie wszędzie: nawet między bielizną pościelową, nawet utknięte po szufladach!

Lawinia pozbierała bukieciki co do jednego; ledwie mogła ogarnąć ramionami tę masę ciemnofioletowych kwiatków. Poczowała dreszcz gorzkiego triumfu, gdy otwierała drzwi, wiodące z salonu na pokład.

Podbiegła do relingu i wyrzuciła wszystkie fiołki za burtę, najdalej jak mogła. Zdawało się, że chce w ten sposób usunąć ze swej duszy wszelki ślad po Edwardzie. Pozbywszy się ostatecznie fiołków, stała wpatrzona w świecący nad Atlantykiem księżyc w nowiu. Miała wrażenie, że spogląda na nią i śmieje się szyderczo.

Nie była już dziewicą. Edward dwukrotnie ją zdobył, dwukrotnie kochał się z nią, dwukrotnie okłamał. Pod jego dotknięciem stopniał

lodowy mur dumy i nie miała teraz żadnej osłony. Będzie musiała powtórnie wznieść bariery ochronne, ale tym razem będzie to znacznie trudniejsze. Nie była już nietknięta, czysta, niedostępna dla mężczyzn.

W brutalny sposób uświadomiono jej, jak bardzo jest słaba.

Przypominało to cios prosto w brzuch. O tak, nie była już dziewicą, nie była niewiniątkiem, ale jej serce pozostało naiwne. Właśnie dlatego tak strasznie bolało.

- Nienawidzę cię, Edwardzie! - szepnęła i jej oczy napełniły się łzami.

Przeklinając szyderczy księżyc, uciekła do swej kajuty i zatrzasnęła drzwi.

*Uwagi fachowe na temat produkowania zjaw:*

*[Cienka biała gaza] w ilości wystarczającej na kompletny strój wieczorowy dla najokazalszego nawet ducha zmieści się w pudełku po paście do butów. Jeszcze więcej można schować w wydrążonym obcasie*

*- starczy na powłóczyste szaty dla dwóch duchów. W drugim obcasie można ukryć komplet gazowych maseczek, pozwalających na sześciokrotną „zmianę twarzy”. W kopertach, zawierających rzekomo listy, łatwo schować wykonane akwarelą wizerunki, bardzo przydatne, jeśli w seansie uczestniczą krewni zmarłego.*

*Rewelacyjne wyznania medium*

Red. E. J. Dingwall i Harry Price, 1891

Lawinia spędziła cały dzień, starając się zapomnieć o Edwardzie i przygotowując wieczorny seans. Wezwała do pomocy Rawla, Monty'ego i Hazel. Gdy spotkali się w saloniku jej apartamentu, poczuli się jak za dawnych czasów w przytulnym kąciku tureckim. Tworzyli zgrany zespół, działający jak dobrze naoliwiony mechanizm; każdy doskonale wiedział, co do niego należy. Lawinia była zachwycona, że wszystko idzie tak świetnie. Będzie to zapewne jej ostatni seans; pragnęła zakończyć swą karierę wielkim sukcesem.

- Czy każde z was dobrze wie, co ma robić dziś wieczorem?

Monty mruknął coś w odpowiedzi, Hazel skinęła głową tylko Rawlings wpatrywał się w przestrzeń.

- Rawl! - ponagliła go Lawnia. - Co z tobą?

- Zupełnie nie rozumiem, po co to wszystko. Narobimy tylko ludziom przykrości - wygarnął bez ogródek.

- Doprawdy? - Lawinia uniosła brew. - A co nas to obchodzi?

Rawl spuścił wzrok.

- No cóż, pewnie nic. Jeśli panienki nie interesuje, że sprawimy komuś ból, to w końcu nie moja sprawa.

- Doskonale. A zatem dziś wieczorem odbędzie się nasz pożegnalny występ. Potem Monty będzie mógł poświęcić się bez reszty scenie, a ty, Rawl, obowiązkowi majordomusa. Obejdziemy się tym razem bez pomocy dzieci. Wszystko powinno pójść jak po maśle.

- Jamie będzie zły, że nie weźmie w tym udziału - zauważyła Hazel ze zmarszczką niepokoju na czole.

- Jamie znowu się zaprzyjaźnił ze Stuyvesantem. Uznałam, że lepiej go nie wtajemniczać. - Lawinia uśmiechnęła się w zadumie. - Poza tym chyba już najwyższy czas, by otrzymał lepsze wykształcenie niż to, które dotąd mogliśmy mu zapewnić. Umiejętność podnoszenia stołów i czytanie w myślach nie na wiele przyda się chłopcu, który na jesieni rozpocznie naukę w Eton.

- W Eton? - Hazel zapało dech.

- Czemuż nie miałby się tam uczyć? Mógł Buch, to może i Jamie!

Zwłaszcza że nawet teraz potrafiłby zapędzić hrabiego w koziego róg, mimo że nie chodził do żadnej szkoły!

- Ale kto go tam zaproteguje? Nie mamy znajomości.

- Będziemy miały - odpowiedziała jej Lawinia. - Moja w tym głowa!

- Masz na myśli Buchanona? - wykrzyknęła Hazel. - Myśleliśmy wszyscy, że ty i Edward...

Monty tak ją kopnął w kostkę, że dziewczyna aż podskoczyła. Lawinia udała, że tego nie widzi.

- Idź teraz odpocząć, Rawl, żebyś był przy głosie, kiedy się spotkamy o ósmej. Mam nadzieję, Monty, że uda ci się sprokurować odpowiednią magiczną różdżkę. Tu masz resztkę fosforu w proszku. - Podała mu niewielki słoiczek. - Musisz wielokrotnie sprać gazę; zużyj choćby cały słoik świecącej farby Balmaina, nie żałuj werniksu i benzyny. Myślę, że znajdziesz pod pokładem co trzeba, jeśli dasz majtkom w łapę.

Monty skinął głową.

- W porządku. Pomyśleliśmy chyba o wszystkim. Powinno się udać.

Monty i Rawl skierowali się do wyjścia, Hazel nadal siedziała na kanapie. Lawinia odprowadziła obu mężczyzn do drzwi i wróciła do salonu.

- Czy się coś stało? - spytała przyjaciółkę. - Wiesz chyba, że jeżeli nie masz ochoty brać w tym udziału, doskonale poradzę sobie sama. Po co nam aż dwa media? Zresztą, jestem pewna, że Selena z radością odegra tę rolę. Przeszła przecież fachowe przeszkolenie! - Lawinia opadła na kanapę obok przybranej siostry.

Hazel popatrzyła na nią i spróbowała się uśmiechnąć, ale zamiast tego wybuchnęła płaczem.

- Cóż tam znowu? - spytała Lawinia, również walcząc ze łzami.

Jeszcze jej tylko potrzeba załamania Hazel! Obawiała się, że jeśli dziewczyna pograży się w rozpacz, to nigdy już nie odbije się od dna.

- On chce się ze mną ożenić! Oświadczył mi się wczoraj wieczorem.



Chciałam ci od razu o tym powiedzieć, ale światło już się u ciebie nie paliło. Zresztą, od tej burzy jesteś jakaś inna, więc nie miałam odwagi. -

Hazel padła na leżące na kanapie poduszki. - O Boże, co ja mam począć?

Czy mogę mu zaufać i powiedzieć „tak”? Kocham go, ale jeśli po przybyciu do Londynu on się rozmyśli i powie, że nie może zerwać z narzeczoną?

Lawinia pogładziła siostrę po głowie i powiedziała spokojnie:

- Masz się z nim więcej nie widywać! Jak on śmie oświadczać ci się, kiedy ma w Londynie narzeczoną?!

- Powiedział mi, że zerwie zaręczyny.

- Doprawdy? Więc mu powiedz... Albo nie: sama mu powiem, że z przyjemnością przyjmiesz jego zaloty, ale dopiero wówczas, gdy będzie wolny! - Lawinia wstała i przeszła do sypialni. Jak automat sięgnęła po kapelusz i włożyła go na głowę. Wypali jego książęcej mości bez ogródek, że z pannami Murphy lepiej nie igrać!

- Jeśli mu teraz odmówię, może mi się już więcej nie oświadczy.

- Wtedy przekonasz się, jaki z niego tchórz!

- No tak, ale zostanę sama.

- To chyba lepsze - szepnęła Lawinia - niż związać się z podłym tchórzem.

- Książę też nie będzie zadowolony z tego seansu ...

- Nie musi brać w nim udziału.

- Och, czemu wszystko idzie nam jak po grudzie?

Lawinia odpowiedziała szeptem, czując w oczach lodowate łzy.

- Bo pozwoliłyśmy, by do naszego życia wkradli się mężczyźni! -

Wyprostowała się nagle. - A teraz muszę w spokoju przygotować dokładny scenariusz dla Rawla. Zajmie mi to z godzinę, więc idź lepiej do dzieci. I przestań się zamartwiać księciem! Nie weźmie ci za złe tego seansu, jeśli nie odegrasz w nim żadnej roli.

- Po co nam było to wszystko, Lawinio? Tak się nam dobrze wiodło aż do śmierci Wilhelma! A teraz przez cały czas czuję się taka nieszczęśliwa. Jeśli to ma być miłość, to chyba wolę nie być zakochana.

- Hazel wyjęła ukrytą w rękawie chusteczkę i przytknęła ją do oczu.

Lawinia popatrzyła na przyjaciółkę. W głębi serca zgadzała się z nią.

Ich życie było niemal doskonałe, zanim nie wpłatały się w rozgrywki między Edwardem a Wilhelmem.

- Wszystko się odmieni na lepsze, Hazel! Jeśli sprawy się ułożą zgodnie z moim planem, to kto wie? Może nim rok się skończy, zostaniesz księżną!

- A co z tobą, Lawinio? - spytała Hazel, spoglądając na nią zaczerwienionymi, pełnymi łez oczyma.

- Ze mną? - Lawinia zmarszczyła brwi. - Jeśli o mnie chodzi, to będę rada, jeśli wszystko zostanie po staremu. Nie mam ochoty... - Urwała, kończąc zdanie jedynie w myśli:

...rodzić nieślubnego dzieciaka, który nie pozwoli mi zapomnieć o jego ojcu...

- Robi się coraz chłodniej. Widać zbliżamy się już do Wysp Brytyjskich - zauważył Korneliusz, spacerując razem z Edwardem po pokładzie.

- Widziałeś ostatnio Daisy? Dzisiaj rano jakoś się z nią minęliśmy. -

Edward mówił z roztargnieniem, jakby głowę miał zajęta czym innym.

- Nie, nie widziałem jej. Wpadłem do niej wczoraj rano i pokojówka Daisy powiedziała mi, że pani codziennie o tej samej porze wyjeżdża na pokład, żeby poodychać morskim powietrzem. - Korneliusz rozejrzał się dokoła. - Dziwne! Nigdzie jej nie widzę. To jakaś tajemnicza sprawa!

- Właśnie! Wcale mi się to nie podoba - burknął Edward.

- Och, w jakież kłopoty mogłaby Daisy wpakować się tu, na samym środku Atlantyku? Może spotyka się z Jamiem i pożyczka mu najnowsze arcydzieła Coltraina? Daj siostrze trochę swobody, Edwardzie. Nie trzymaj jej wiecznie na pasku!

Edward coś odmruknął. Mięsień na jego policzku znów zaczął drgać.

- Gryziesz się tym dzisiejszym seansem? A może zalotami Buchanona do Lawinii?

Edward odwrócił się gwałtownie.

- Niech się nacieszy panem hrabią i jego cholernymi fiołkami! Niech sobie wychodzi za tego arystokratę bez grosza przy duszy! Niech z nim leci w te pędy do kapitana, żeby im dał ślub jeszcze na statku! Będzie wtedy mogła zaraz po zejściu na ląd zacząć spłacanie jego długów, bo inaczej mężulek trafi do paki!

Wąsy Cooka zadrgały, jakby starał się ukryć śmiech.

- Nie masz najlepszej opinii o Buchanonie, co?

- Motywy jego postępowania są aż nadto jasne!

- Więc i Lawinia z pewnością je dostrzega.

Edward zapatrzył się w burzliwe, zielone fale północnego Atlantyku.

- Może tak, może nie.

- To inteligentna kobieta. Jej profesja tego wymaga. Nie odniosłaby takich sukcesów, gdyby jej brakło rozumu.

- Lawinia jest inteligentna, nie przeczę...

- Ale? - Cook uniósł jedną brew, czekając na dalsze argumenty.

Stuyvesant nie sprawił mu zawodu.

- Ale jest zła na mnie, a Buch może ofiarować coś, na czym jej zapewne zależy: hrabiowski tytuł.

- No więc wybij jej to z głowy! Postaraj się, żeby zapomniała o swoim gniewie! I o Buchu!

Wzrok Edwarda wędrował gdzieś daleko, aż po zamgloną linię horyzontu.

- „Postaraj się, żeby zapomniała o Buchu”?! - prychnął pogardliwie. -

Przez całe życie stawałem na głowie, by zdobyć więcej pieniędzy niż Vanadder. Teraz mam, czego chciałem i dokąd mnie to zaprowadzi?

Najwyżej do kasy w banku! Mógłbym Lavinię obsypać złotem... ale co to da, kiedy jej wcale na tym nie zależy? Może wreszcie odkryła, czego naprawdę pragnie? Może szczytem jej ambicji jest tytuł hrabiowski, który jej wyryją na nagrobku?

- Nie zachwycają mnie twoje chorobliwe metafory. Ale z grubsza pojmuję, do czego zmierzasz, Edwardzie.

- No więc? - Edward zwrócił na przyjaciela pełne bólu oczy. - Jakiej to mądrej rady mi udzielisz?

Cook potrząsnął głową.

- Kiedy idzie o kobiety, Edwardzie, dobrze wiesz, że moje rady nie na wiele się zdadzą.

Stuyvesant zapatrzył się znowu na zamglone, zimne morze.

- Wstręt mnie ogarnia, gdy wspomnę o tym wieczornym seansie! Na samą myśl o tym, że Lawinia weźmie udział w takim oszukaństwie, robi mi się niedobrze. A jednak czy mógłbym nie pójść, jeśli ją tam zobaczę?

Nie potrafię trzymać się od niej z dala. Od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzałem.

- Więc czemu się jej nie oświadczysz, Edwardzie? - spytał łagodnie Korneliusz. - Włóż jej pierścionek na palec, choćby siłą, i zaciągnij ją do kapitana!... Powiedz Lawinii, że ją kochasz. Może to okaże się całkiem proste?

- A dla ciebie okazało się takie proste? - W pytaniu Edwarda brzmiała nutka okrucieństwa.

- Nie, dla mnie to nie było proste - odparł spokojnie Korneliusz - ale moja pani pokochała innego. Lawinia nie kocha Buchanona. Kocha ciebie.

- Co ona wie o miłości?! - skrzywił się Edward i nagle jakby się zawstydził. - Zresztą, jakie to ma znaczenie? Lawinia nie chce mnie kochać! Nie chce mi zaufać! I trudno jej się dziwić.

- Jeżeli się jej oświadczysz, a ona odmówi, po prostu odejdziesz. -

Korneliusz mówił cicho, z wysiłkiem. - Można się z tym pogodzić, przyjacielu. Słabsi od ciebie zdołali znieść taki cios i żyli dalej.

- Wyobrażasz sobie, jak biję czołem przed kapłanami spirytyzmu, by zdobyć lodowaty pocałunek zjawy? - Wzrok Edwarda błędził znów daleko za relingiem. W końcu Stuyvesant sięgnął do kieszeni i wyjął

złoty medalion na szerokiej, czarnej aksamitce.

- To medalion mojej matki, Korneliuszu. Dostała go od Vanaddera; w środku jest jego dagerotyp. - Głos Edwarda stał się nagle szorstki. -

Patrzę na ten drobiazg każdego dnia i nie mogę pojąć, czemu zostawiła mi taką pamiątkę? To ona zawiązała tę czarną aksamitkę. Oplakiwała stratę Vanaddera?!

- Dała ci go zapewne dlatego, że nie otrzymała od twojego ojca nic oprócz tego medalionu. I ciebie. - Twarz Korneliusza spochmurniała. -

Do kogóż innego mógłby należeć?

Edward zamachnął się, chcąc wrzucić medalion do morza. Korneliusz schwycił go za ramię.

- Co ty robisz?! - wykrztusił.

- Pozbywam się tego śmiecia - odparł Edward. - Odrażająca pamiątka, symbol kłamstwa i zdrady. Niegdyś budziła we mnie gniew i stawałem się dzięki temu silniejszy. Teraz czuję tylko wstręt. Ludzie są tacy głupi, tacy słabi. Nie mogę tego dłużej znieść. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego!

- Więc oddaj mi go! Dla mnie jest bezcenny.

Prośba przyjaciela zaskoczyła Edwarda.

- Jak to? Przecież dostała to od niego. Od niego!

- Ale należał do niej. Zachowała go. Właśnie dlatego chciałbym go mieć.

Edward położył medalion na wyciągniętej dłoni Korneliusza.

- Słabsi ode mnie zdołali znieść ten cios...- szepnął martwym głosem.

Cook ścisnął go mocno za ramię.

- Chodźmy stąd! Nie myśl o tym więcej. Tak będzie łatwiej, rozumiesz? Nie powinieneś o tym myśleć. Przejdźmy się i zaczerpnijmy świeżego powietrza. Przy odrobinie szczęścia może natkniemy się na Daisy.

Edward skinął głową. Ramię w ramię pomaszerowali na dziób okrętu.

- Aleś się do tego zapaliła! Gdzie się podziała ta przestraszona kobietka, która nie mogła utrzymać się na nóżkach? - Monty uśmiechnął

się szeroko i przytulił Daisy jeszcze mocniej.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego. Jego pierś stanowiła oparcie dla jej pleców; jego ramiona otaczały ją niczym forteca. Przy Montym nie bała się, że upadnie. Oboje wpatrywali się w potężną smugę na wodzie przed dziobem statku. Przepływało tam stado wielorybów, może pięćdziesiąt sztuk. Monotonie ciemnoszarych cielsk urozmaicały fontanny wody i ruchy ogonów.

- Jakbym chciała, żeby „Maritimus” ominął Londyn i płynął, płynął

bez końca dookoła świata - powiedziała cicho Daisy.

Monty oparł brodę o czubek jej owiniętej szalem głowy.

- Pomyślmy... Gdyby tak wyrzucić kapitana Stafforda za burtę, może załoga musiałaby żeglować bez końca? Któż by im mógł rozkazać, by gdzieś przycumowali?

Daisy zachichotała.

- Nie możemy utopić tego biedaka, jest przemiły! Wystarczy go zamknąć w twojej kajucie i oznajmić załodze, że kapitan wypadł za burtę.

Monty udał, że z całą powagą rozważa problem. W końcu potrząsnął głową.

- Nie ma mowy.

- A to czemu? - przekomarzała się.

- Bo musiałbym oddać moje łóżko Staffordowi, a to ostatnie wolne miejsce na statku.

- Mógłbyś zająć jego kajutę. - Zielone oczy Daisy pociemniały z przejęcia. Znow odwróciła głowę i popatrzyła na Monty'ego. - Albo wprowadzić się do mojej.

Ich oczy się spotkały.

- Gdyby twój brat to usłyszał, dostałoby się nam obojgu!

- Edward nie ma prawa kierować moim życiem! - odparła Daisy, zaciskając szczęki.

- Wobec tego bądź ostrożniejsza i nie zadawaj się z łobuzami, takimi jak ja.

Z trudem odwrócił od niej wzrok i zapatrzył się na morze.

Daisy powoli spuściła oczy. Patrzyła teraz na ramiona Monty'ego, skrzyżowane na jej talii. Obejmował ją tak, że kciuki lekko muskały od dołu osłonięte gorsetem piersi. Gdy znów się odezwała, z trudem powstrzymywała łzy.

- Cóż ja pocznę bez ciebie? Kto będzie mnie wspierał? Kto będzie śmiał się razem ze mną? Nie mam nikogo... Nikogo...

- Znajdziesz sobie kogoś odpowiedniejszego. Twój brat się o to postara. Zrozum, tak będzie lepiej. Powinnaś mieć kogoś, kto jest więcej wart niż ja.

Oparła głowę na ramieniu Monty'ego i odchyliła się do tyłu, by spojrzeć mu w oczy.

- Nie pragnę nikogo prócz ciebie. Boję się, że to ty mnie nie chcesz z powodu...

- Nieprawda! - warknął.

- Z powodu...

- Już ci powiedziałem, że to nieprawda! - Popatrzył na nią. Jego przystojna pociągła twarz nagle spoważniała. - Ten fotel nie ma dla mnie żadnego znaczenia! Tęsknię za spotkaniem z tobą. Jeśli nawet masz jakieś braki, nie dostrzegam ich już, tak bardzo jestem tobą oczarowany. Więc cokolwiek byś powiedziała, cokolwiek byś pomyślała... mówię ci, że to nieprawda!

- Nie rozstawaj się ze mną w Londynie, Monty! Tak bardzo chcę zwiedzać świat razem z tobą...

- Świata, do którego mógłbym cię wprowadzić, wcale nie warto zwiedzać! Pełno w nim taniego alkoholu, podejrzanych zaułków, prostackich uciech. Równie mocno pragnę się z niego wyrwać, jak ty chciałabyś zawrzeć z nim znajomość.

- Wszystko mi jedno! Chcę być przy tobie. Jeśli mi tylko pozwolisz.

- Nie mógłbym ci dać tego wszystkiego, do czego przywykłaś.

Rozumiesz? - szepnął przez zaciśnięte zęby.

- Rozumiem doskonale. Ale ty nie rozumiesz, jak wiele możesz mi dać takich rzeczy, do których wcale nie przywykłam: twoje ciepłe ramiona mnie podtrzymają, twoje towarzystwo pomoże znieść zimne, jesienne wieczory... twoja przyjaźń, a może coś więcej, gdybyś tylko zechciał...

- Ofiarowujesz mi siebie? Czyżbyś była aż tak głupia?! - W głosie Monty'ego pobrzmiwał irlandzki akcent, co najlepiej świadczyło, że traci panowanie nad sobą.

- Aż taka głupia? - powtórzyła, sięgając ręką do jego policzka.

Przymknęła oczy, rozkoszując się tym dotknięciem.

- Nie rób tego, Daisy! - jęknął.

- Zabierz mnie ze sobą! Moje potrzeby i pragnienia są inne niż myślisz. Znacznie prostsze. Potrzebuję tylko ciebie, pragnę tylko ciebie...

- Oparła się o niego całym ciałem.

Monty potrząsnął głową, jakby zmagając się ze sobą. W końcu pragnienia wzięły górę: jedną ręką nadal podtrzymywał dziewczynę, drugą zaś odwrócił jej twarz ku sobie i pocałował ją w usta.

Daisy westchnęła rozkosznie. Oparte na balustradzie dłonie zaczęły drżeć.

Monty nie mógł się już powstrzymać. Całował ją coraz natarczywiej i wkrótce skłonił trwożliwe, niedoświadczone usta Daisy, by się rozchyliły.

Była jak delikatny, otwierający się kwiat, a on spijał z niego nektar zachłannie, jakby umierał z pragnienia. Mówił sobie, że powinien przestać, oderwać się od niej i oszczędzić - nie Daisy, ale samemu sobie

- tortury nieuchronnego odtrącenia.

A jednak nie mógł się powstrzymać: Daisy była taka śliczna, jej usta takie gorące i słodkie, jej ciało, przylegające do jego ciała, kołysało się tak zmysłowo zgodnie z rytmem statku. Kiedy schwyciła go za rękę i przycisnęła ją do swej piersi, Monty pojął, jak dalece się zaangażował.

Już teraz czuł ból na samą myśl o małżeństwie Daisy z jakimś bogatym, zacnym dżentelmenem.

- Chyba to nie był grzech śmiertelny, jak myślisz? - wykrztusił z histerycznym śmiechem, gdy zdołał się wreszcie oderwać od jej ust.

- Gdyby ci za to groziła śmierć, i ja musiałabym zginąć, choćby dlatego, że cię rozczarowałam - powiedziała, uśmiechając się kusząco. -

Obawiam się, że nie mam wprawy w całowaniu.

- To może jeszcze poćwiczymy? Ten całus będzie z pewnością wart, żeby zapłacić za niego głową!

- Wielki Boże!

Monty uświadomił sobie czyjąś obecność, nim te słowa dotarły do jego mózgu. Daisy znieruchomiała. Podniósł głowę i znalazł się oko w oko z Edwardem Stuyvesantem.

- Daisy?! - wrzasnął Stuyvesant z dzikim wyrazem twarzy. Stał w pobliżu wejścia do kajut pierwszej klasy. Rzuciłby się na Monty'ego, gdyby towarzyszący mu starszy mężczyzna nie powstrzymał go.

- Nie wtrącaj się do tego, Cook! - zachnął się Edward. Znów wbił



wzrok w Monty'ego. - Co tu u diabła, robisz z moją siostrą?!

Daisy zwisała bezwładnie w ramionach Monty'ego. W pierwszej chwili pomyślał, że dziewczyna zemdląca. Zrozumiał jednak, że chciała zbliżyć się do brata, może rzucić mu się do nóg?

- Spokojnie! - szepnął jej Monty. Spojrzała na niego oczami pełnymi strachu, ale i nadziei. Kochała go. W tej chwili zdał sobie z tego sprawę i pojął, że teraz albo ona poświęci się dla niego, albo on po raz pierwszy w życiu postąpi uczciwie i powstrzyma ją od tego.

- To pańska siostra? - Monty uśmiechnął się bezczelnie. Bez pośpiechu posadził Daisy w fotelu. Unikał jej wzroku.

- Dobrze wiesz, bydlaku, że to moja siostra! - warknął wściekle Edward. - Panna Daisy Vanadder! I żaden parszywy dorożkarz, kochaś Lawinii Murphy, nie będzie jej obśliniać!

- Co pan powie? - Monty'ego aż świerzbilo, żeby go uderzyć. Nigdy nie mógł znieść tego sukinsyna. Miał ochotę dać mu w pysk już wtedy, gdy Stuyvesant straszył Lawinie swymi pogroźkami. Poza tym Monty'ego diabli brali, że Lawinia zainteresowała się tym draniem, a na jego zaloty pozostawała obojętna.

W tej chwili jednak nie mógł dać się sprowokować. Musiał przyznać, że Edward Stuyvesant-French miał prawo skoczyć mu do oczu.

Przyląpał przecież Monty'ego na całowaniu się z jego siostrą. Z

dziewczyną, o której z pewnością będzie myślał z żalem i tęsknotą przez całą dzisiejszą noc.

- Daisy - zwrócił się do niej Edward. - Spotykałaś się z tym typem?

Podobno codziennie gdzieś znikalaś? Czyżby na randki z nim?

- Tak! - odparła buntowniczo Daisy. Cook aż jęknął.

- Nie wierzę! - wykrztusił Edward.

- Spotkaliśmy się przypadkiem - wtrącił Monty. - Znaleźliśmy się razem na dziobie i wdaliśmy się w pogawędkę. Potem panna Daisy powiedziała, że chciałaby wstać, więc jej pomogłem. I jakoś ni z tego, ni z owego, doszło do pocałunku. - W Montym odezwał się aktor. Coraz pewniej grał swoją rolę. - Do licha, czy musimy skakać sobie do oczu?

W każdej chwili gotów jestem przeprosić za swój błąd, jeśli całus skradziony ładnej dziewczynie można nazwać błędem!

Stuyvesanta wyraźnie zbiło z tropu rozbrajające wyznanie Monty'ego.

Spoglądał jednak na niego tak, jakby chciał go spalić wzrokiem.

- Pozwól, Daisy, że cię stąd zabiorę. - Cook podszedł do fotela i chwycił za oparcie. Dziewczyna siedziała bez ruchu, nie odrywając oczu od ukochanego.

Monty wzruszył ramionami. Odgrywanie przed Daisy pozbawionego uczuć bałamuta okazało się najtrudniejszą rolą w jego życiu.

- Nic wielkiego się nie stało, nie ma o co robić szumu. Już sobie idę i zapomnijmy o całej sprawie. Ale radzę od tej pory uważać na siostrę.

Niech się lepiej trzyma z daleka od takich jak ja!

Stuyvesant skinął głową. Jego oczy były zjadliwie zielone.

- Żebyś się więcej koło niej nie pętał!

- Ja? - Monty powstrzymał gniew. Powtórzył sobie w duchu, że to, co robi, jest słuszne. Nie mógł jednak spojrzeć Daisy w oczy. Nawet na pożegnanie.

- Nie! - zawołała, odsuwając się raptownie od Cooka. Podjechała do Monty'ego i schwyciła go za rękę. - Nie mów takich rzeczy! Nawet ze względu na Edwarda. Powiedz, że to nieprawda!

- Nie wtrącaj się, Daisy - rzucił ostrzegawczym tonem Stuyvesant.

- Właśnie, że będę! - wyszlochała, nie puszczając ręki Monty'ego.

- Coś ty narobił, łajdaku! - Edward chwycił Monty'ego za kołnierz sfatygowanego surduta i potrząsnął nim. - Jak śmiałeś igrać z uczuciami mojej siostry?!

Monty strząsnął z siebie rękę Edwarda. Był wściekły; Stuyvesant podarł mu jedyny surdut.

- Chcesz się bić? Bardzo proszę! Zobaczymy, kto gorzej na tym wyjdzie!

- Spokój! Spokój - usiłował załagodzić sprawę Cook. Daisy przytuliła rękę Monty'ego do swego policzka.

- Nie mów, że nigdy się już nie zobaczymy! Edward nie ma prawa kierować moim życiem. Nie zwracaj na niego uwagi!

- Do wszystkich diabłów! Co ty w ogóle wiesz o tym typku? Myślisz, że będę spokojnie przyglądał się jak ten żebrak, ten pasożyt na tobie żeruje?!

- Przestań, Edwardzie! Nie wtrącaj się! Ja go kocham! - Daisy zamknęła oczy. To spontaniczne wyznanie było szokiem nawet dla niej.

- Oszalałaś?! - jęknął Edward, spoglądając to na siostrę, to na Monty'ego.

W końcu wbił wzrok w głównego winowajcę.

- Coś ty jej zrobił?! - zawołał oskarżycielskim tonem.

Monty potrząsnął głową. Nie mógł już tego znieść. Gdyby Stuyvesant palił go i ćwiartował, nie byłoby to aż tak bolesne jak cierpienie, które musiał zadać Daisy. Zdołał tylko wykrztusić:

- Odczep się, do diabła!

Stuyvesant odwzajemnił się jakimś przekleństwem. Rzuciłby się na Monty'ego, gdyby Daisy nie puściła jego ręki i nie rozdzieliła swoim fotelem obu mężczyzn. Zimnym jak lód głosem odezwała się do brata:

- Nie wtrącaj się, Edwardzie. Wracaj do siebie i przestań ingerować w moje życie. O tym, co się dalej stanie, zdecydujemy ja i Monty.

- Nie znasz tego...

- Znam, znam, i jeszcze raz znam! - krzyknęła ze łzami w oczach. -

Wiem, że jestem naiwna, niedoświadczona, ale wiem, że go kocham!

Rozumiesz? Kocham go!

- Nie możesz przecież wyjść za niego, więc po co zawracasz sobie nim głowę? - przekonywał.

- Czemu nie miałabym wyjść za niego? - odparowała Daisy. - No, pewnie, teraz nie mogę, bo jeszcze mi się nie oświadczył. Ale kiedy to zrobi, Edwardzie, przyjmę jego oświadczenie!

Stuyvesant nerwowo przegarnął ręką włosy. Stojący obok niego Cook był blady jak płótno.

Monty zrozumiał, że najwyższy czas powiedzieć coś sensownego.

Otwierał już usta, ale Edward znów skoczył ku niemu.

- Nie oświadczysz się jej! - wrzeszczał. - Mówię ci to od razu: wszystkie pieniądze Daisy są na koncie powierniczym, a ja jestem jedynym egzekutorem! Jeśli ośmieli się zwać razem z tobą, ty kundlu, zostanie bez grosza! Bez grosza, rozumiesz?! Zadbam o to osobiście, by nie dostała ani centa! No i jak ci się teraz podoba moja siostra? - Twarz Edwarda była twarda i okrutna. Monty zrozumiał wreszcie, czemu Stuyvesant wzbudzał w ludziach taki strach.

Daisy ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać. Wszystko było już jasne. Monty wiedział, że słowa brata zraniły ją do żywego. Może to i lepiej? Jeśli teraz odejdzie z piętnem ostatniego łotra, Daisy pogodzi się jakoś z losem i ułoży sobie życie zgodnie z rozsądnymi wskazaniem brata. Wszystko będzie tak, jak być powinno.

- I co ty na to, kundlu? Oświadczysz się, czy nie? - Głos Stuyvesanta przypominał zduszony ryk lwa.

Monty spojrzał na Daisy. Nie patrzyła na niego. Widział na jej twarzy tylko wstyd i łzy. Serce mu się

ścisnęło, ale cóż mógł uczynić?... Nic miał jej nic do ofiarowania. Nic.

- No, dalej! Oświadczaj się! - ryknął Edward. Monty odetchnął

głęboko. Pięści aż go świerzbiły, żeby trzasnąć Edwarda w szczękę, ale się pohamował.

- No, no, kochanie... - usłyszał kojący szept Korneliusza. Jakże pragnął

sam podejść do Daisy, pocieszyć ją, ale przecież cierpiała właśnie; przez niego! Nie miał jej nic do zaoferowania. Jedyne, co mógł dla niej zrobić, to zniknąć z jej życia.

Zniknąć z jej życia - powtarzał sobie raz po raz, robiąc z wysiłkiem pierwszy krok... drugi... trzeci...

- Cóż to? Odchodzisz? Nie prosisz jej o rękę? - usłyszał za plecami drwiący głos Edwarda.

Zniknąć z jej życia.

Był widać skończonym beztalenciem, nie potrafił nawet przybrać obojętnego wyrazu twarzy!

Zniknąć z jej życia.

Nie wiedzieć jak znalazł się na schodach wiodących do kajut trzeciej klasy. Nie mógł opanować rozziewającego bólu, więc zwątpił znowu w swoje talenty sceniczne. Rasowy aktor potrafi wznieść się ponad wszelkie emocje. Musi tylko podpatrywać je i naśladować. Ale nad nim uczucia wzięły górę. Nigdy nie przypuszczał, że można aż tak się przywiązać do kobiety! Każda łza Daisy padała mu na serce jak kropla żrącego kwasu.

A jednak musiał to zrobić. Zasługiwała na kogoś lepszego. Ta cudowna dziewczyna zasługiwała na rycerza bez skazy, nie na beztalencie, bezrobotnego obiboka, który dotąd żerował na naiwnych, zamożnych paniusiach. Postąpił słusznie, zostawiając Daisy w spokoju.

Musiał tak postąpić.

Zniknąć z jej życia.

*Istnym koszmarem jest dla mnie widok twoich tanich reklamowych fotografii z rzucającym się w oczy podpisem „Margaretta”. Cóż to za życie? Jesteś na każde skinienie byle durnia, który za dolara może rozporządzać twoim czasem. A największy strach budzi we mnie myśl, że ten podły szwindel kiedyś się wyda!*

Dr Elisha Kent Kane - słynny XIX-wieczny badacz polarny, (fragment listu miłosnego do Margaret Fox)

Lawinia popatrzyła na ludzi zgromadzonych wokół stołu w salonie. Z

prawej siedziała z wniebowziętą miną Seleną - nie mogła się doczekać rozpoczęcia seansu! Z obu jej stron siedzieli Buch i Kylemore. Hrabia miał niewyraźną minę, jakby się obawiał, że próba okaże się ponad jego siły i że się zbłąźni. Kylemore był posepny i podejrzliwy. Rozglądał się ukradkiem po pokoju, czekając na przybycie Hazel.

Stuyvesant-French usiadł dokładnie naprzeciw Lawinii. Był równie ponury jak Kyle. Gdyby nie sarkastyczny uśmiezek, można by pomyśleć, że traktuje seans niesłychanie serio.

Obok niego w swoim fotelu na kółkach siedziała Daisy. Na jej twarzy nie było ani cienia uśmiechu. Kiedy zjawiła się w towarzystwie Korneliusza i swego brata, przywitała się z Lawinią zdawkowo i bez zwykłej radości. Teraz zaś wpatrywała się z kamienną twarzą w stojącą pośrodku stołu świecę. Lawinie zdumiewało, jak bardzo Daisy jest podobna do brata. Oboje byli tacy mroczni! Jaśniejsza strona ich natury była teraz niewidoczna. Posiadali ją zapewne oboje, ale choć Daisy zazwyczaj chętnie się uśmiechała, Edward skąpił uśmiechów, jak Dickensowski ponurak Scrooge! Lawinia rzadko widywała go w dobrym nastroju.

- Czy państwo są już gotowi? - spytała, wpatrując się w blade, spięte twarze wokół stołu.

- B...będzie można pogadać, z kim się chce? - wydukał Buch. Lawinia wolno potrząsnęła głową.

- To nie zależy od medium, tylko od ducha, który zgodzi się nawiązać z nami kontakt.

- Ach, tak? - mruknął Buchanon, jakby teraz wszystko było dla niego jasne.

W drzwiach sypialni ukazała się Hazel. Wejście miała efektowne: rozpuszczone włosy opadały jej luźno na plecy jak na obrazach prerafaelitów, ubrana była w prostą suknię z białego tiulu, która wlokła się po ziemi. Ta przesadna długość umożliwia wielkiej księżnej produkowanie słynnych „nieziemskich stuknięć”: wystarczyło trzaskać stawami palców u nóg.

- Wielkiej księżnej przydałby się paż do noszenia trenu! - zauważył

uszczypliwie Stuyvesant, przyglądając się Hazel, która z pewnym trudem zmierzała na swoje miejsce.

Lawinia odwzajemniła mu się spojrzeniem pełnym jadu.

- Jeśli ktoś z państwa przyszedł tu w nastroju do żartów, uprzejmie proszę, by zechciał wyjść. Duchy nie życzą sobie, by ich przesłanie było przedmiotem kpin niedowiarków.

- O, zamierzam potraktować ich przesłanie z całą powagą! - odparł

kąśliwie Edward. Korneliusz tymczasem podsunął Hazel krzesło.

Lawinia obejrzała się znowu na drzwi sypialni. Stał w nich Monty z czterema długimi kawałkami sznura, przewieszonymi przez ramię. Bez żadnych wyjaśnień podszedł do ściany, na której wisiały dwie pary brązowych latarenek, oświetlających salon. Pogasił wszystkie i stanął

przy drzwiach.

Jedynie migoczący płomyk świecy oświetlał teraz wnętrze. Lawinia znów dała znak Monty'emu. Z całą powagą zbliżył się do stołu i czekał

na dalsze polecenia.

- Panie i panowie! - zaczęła Lawinia. - W dzisiejszym seansie główna rola przypadnie mojej siostrze. Postara się ona nawiązać kontakt z kimś z zaświatów. Potrzebuje jednak wsparcia wszystkich obecnych. Nie możemy pozwolić na to, by ktoś uciekł z sali albo w inny sposób zakłócił seans. Ci z państwa, którzy chcieliby wycofać się, niech zrobią to teraz. - Popatrzyła na otaczające ją twarze. Nikt nie ruszył się od stołu.

Jedynie Buch zerknął w stronę drzwi.

- A więc dobrze. Zaczynamy! - Lawinia skinęła na Monty'ego.

Podszedł do Korneliusza i przywiązał go do oparcia krzesła pierwszym kawałkiem sznura.

- Cóż to ma znaczyć? - sapnął Cook. Popatrzył na omotaną sznurem pierś.

- To niesłychanie ważne, by nikt nie uciekł z sali i nie zakłócił seansu.

- Lawinia ruchem głowy wskazała księcia. Monty zaczął przywiązywać do krzesła także i jego. - Dla zapewnienia spokoju postanowiłam skrupować w ten sposób wszystkich uczestniczących w seansie panów.

Nazwijmy to niezbędnym zabezpieczeniem.

- Co za brednie! - Edward zerwał się z krzesła.

Korneliusz milczał; wyglądał komicznie, gdy wpatrywał się wybałuszonymi oczami w sznur, pętający mu pierś.

- Nikt tu pana nie zatrzymuje, panie Stuyvesant-French - Lawinia wskazała drzwi.

Edward zawahał się.

Lawinia wstrzymała dech. Jeśli odejdzie, to cały spektakl przestanie mieć jakikolwiek sens. Odbędą, oczywiście, tę farsę i bez niego, ale będzie to zwykłe nabieranie naiwnych. Wszystkie wielkie plany Lawinii wiązały się z obecnością Stuyvesanta. Ryzykowała, co prawda, że doprowadzi go do furii, ale myśl o zemście była taka słodka. Przekona się, do czego zdolna jest kobieta, którą wzgardził!

- Zostaje pan, czy odchodzi? Proszę nie nadużywać mojej cierpliwości. - Popatrzyła mu twardo w oczy. Jego spojrzenie zaparło jej dech. Och, gdyby wzrok mógł zabijać, padłaby trupem!

Bez słowa usiadł na krześle. Monty podszedł do niego od tyłu i owiązał go trzecim sznurem. Edward uśmiechnął się krzywo. Drwi sobie ze mnie! - pomyślała Lawinia.

Modliła się w duchu, by sznur okazał się dość mocny.

Buch jako ostatni został przywiązany do krzesła. Wydał pomruk protestu, ale pozwolił Monty'emu, żeby go skrępował.

- Jeśli wolno spytać: czemu tylko my zostaliśmy poddani tym upokarzającym zabiegom? - odezwał się lekkim tonem Korneliusz.

Lawinia złożyła obie ręce na stole, obejmując świecę, która stanowiła jedyne źródło światła.

- Wiem z doświadczenia, że podczas spotkań z duchami najczęstszą reakcją kobiet bywa zemdlenie. Nie mają natomiast skłonności do miotania się po pokoju i zagłądania za kotary, jak większość mężczyzn.

- Czyżby ukrywały panie coś za tymi kotarami, hrabino? księżno? -

Tym razem odezwał się Kylemore. Patrzył wyłącznie na Hazel, ona zaś ostentacyjnie unikała jego wzroku.

- Zapewniam waszą książęcą mość, że nie mamy nic do ukrycia -

odcięła się Lawinia. - Gdyby miał pan nawet okazję do myszkowania po pokoju i zagłądania za zasłony, to nie znajdzie pan tam narzeczonej!

Kylemore uśmiechnął się z przymusem.

- Podziwiam pani cięty dowcip, hrabino.

Lawinia znów utkwiała wzrok w płomieniu świecy. Siedząca naprzeciw niej Hazel ledwie dostrzegalnie skinęła głową.

- Zaczynamy? - Lawinia raz jeszcze obiegnęła wzrokiem krąg twarzy.

Pochyliła głowę i wzięła za ręce osoby siedzące po obu jej stronach.

Głos Hazel zabrzmiał donośnie.

- Wzywamy ulotne duchy, które mogą usłyszeć nasze wezwanie!

Wzywamy przyjazne duchy, które nas otaczają! Zaklinamy istoty żyjące po Tamtej Stronie, by nawiązały z nami kontakt i przekazały wieści zza grobu...

Spod stołu z drewna różanego dobiegło głośne stuknięcie. Lawinia doskonale wiedziała, że to tylko trzask stawu w stopie Hazel, opartej o nogę stołu. Dzięki temu wydawało się, że dźwięk dolatuje z wnętrza tego mebla. Wrażenie było niesamowite: stół, o który opierała ręce, zdawał się żyć własnym życiem.

- Przemów do nas, duchu! Użycz nam swojej mądrości. Zdradź nam swoje imię i dodaj nam pewności co do tego, co nas czeka w Krainie Cieni. - Hazel zamknęła oczy i pochyliła się tak, że dotknęła czołem blatu. Wstrząsały nią dreszcze. - Zaklinamy cię, duchu! Błagamy cię, zdradź swą tożsamość. Powiedz, czy jesteś przyjacielem czy wrogiem!

Buch zadygotał. Lawinia omal się nie roześmiała, spojrzawszy w jego śmiertelnie bladą twarz.

- Duchu, przemów! Żądamy, żebyś wyjawiał swoje imię! - Hazel wyprostowała się raptownie. Jej ciemne włosy zafalowały wokół głowy.

- Ty mi stawiasz żądania?! Bezczelna dziewucho! - zahuczał jakiś głos od strony mrocznej sypialni. Lawinia powstrzymała uśmiech triumfu.

Rawl był doprawdy geniuszem w dziedzinie brzuchomówstwa i naśladowania głosów!

Daisy wydała zduszony jęk. Selena ścisnęła ją mocniej za rękę.

Lawinia zauważyła, że Monty po ciemku podkraść się do dużej biblioteki. Dostrzegła jego niewyraźną sylwetkę. Oparł się o mebel. Była pewna, że sięga do wydrążonego obcasa. Jeśli wszystko potoczy się zgodnie z planem, Monty w umówionej chwili wynurzy się z ciemności, spowity w fosforyzujący całun.

- Kim jesteś, gniewny duchu? - dopytywała się Hazel. Obiegła wzrokiem cały pokój, jakby nie miała pojęcia, skąd dochodzi głos.

- A jak ci się zdaje?! - ryknął wyzywająco „głos z tamtego świata”.

Lawinia sama niemal uwierzyła, że słyszy Vanaddera. Rawlings przeszedł dziś samego siebie! Naśladował go bezbłędnie. No cóż, w ciągu ostatnich paru lat słyszał ten głos często i dobrze go zapamiętał.

- Widzę, do czego zmierzasz, Lawinio! I powiadam ci, że to mało zabawne. - Edward chciał się podnieść, ale sznur mocno trzymał.



- Mogłeś odejść i nie skorzystać z tego, Edwardzie. Więc nie przeszkadzaj nam teraz w rozmowie z duchem! - Lawinia spojrzała na siostrę.

- Duchu, powiedz swoje imię! - zawołała Hazel w ciemność.

- Dobrze je znasz!

Daisy wydała cichy okrzyk.

- To ojciec! Poznałabym go wszędzie! - Patrzyła to na Lawinie, to na Hazel takim wzrokiem, jakby nie mogła w to uwierzyć, a zarazem nie mogła wątpić.

- Czy to ty, Wilhelmie? - odezwała się w końcu Lawinia. Duch roześmiał się.

- A któżby?!

- Czemu do nas przybywasz? - pytała spokojnie Lawinia. Wpatrywała się w Edwarda. Edward wpatrywał się w nią.

- Potrzebuję pokarmu. - Głos ducha rozbrzmiewał echem z wszystkich czterech kątów pokoju.

- Pokarmu? Miałeś go chyba dosyć, Wilhelmie! O ile pamiętam, byłeś pokaźnej tuszy.

- O tak, ale mój duch nadal jest spragniony i głodny!

- Czego łakniesz? - spytała lekko, zgodnie ze scenariuszem.

- Mnie - odezwał się kobiecy głos od strony biblioteki.

W ciemności Lawinia ledwie mogła dostrzec zarys postaci Monty'ego.

Wyjął już gazę z obcasa i trzymał ją w garści, zwiniętą w kłębek. Zamiast jednak zarzucić ją sobie na głowę, nie wiedzieć czemu zwlekał. Stał bez ruchu ze wzrokiem utkwionym w cienie na suficie.

- Kim jesteś? - spytała niecierpliwie Lawinia. Rawl nie trzymał się scenariusza, choć zapowiedziała wyraźnie: żadnych improwizacji!

- Jestem tym duchowym pokarmem, którego on bezskutecznie poszukuje - odpowiedział z ciemności kobiecy głos.

- O, Boże! - jęknął Korneliusz. Jak urzeczony zwrócił twarz w stronę sufitu. - Czy to ty? - Powtarzał te słowa szeptem raz po raz. Przerwał

krąg: puścił dłonie siedzących obok niego osób.

- Z kim pragniesz mówić? - spytała znów Lawinia, zastanawiając się, do czego to zmierza?... Wszystko się pogmatwało. Scenariusz niczego podobnego nie przewidywał!

- Z Edwardem - odparł kobiecy głos.

- Kim jesteś? - spytała Lawinia. Czy ten Rawl zwariował?! Chciała przecież tylko poirytować Edwarda, a nie doprowadzić go do szału!

Rawlings powinien mieć więcej rozumu i nie tykać Alicji... Co się dzieje?

- Skończ z tymi sztuczkami, podła dziwko! - warknął Edward przez stół do Lawinii. Sznur uniemożliwiał mu ruchy, ale wyraz jego twarzy -

nawet w ciemności - był przerażający.

- Odejdź, duchu. Chcemy rozmawiać z Wilhelmem! - nalegała Lawinia. Miała nadzieję, że Rawl oprzytomnieje. Liczyła na to, że Monty pojawi się w końcu w charakterze świetlistego ducha. Stał jednak jak sparaliżowany przy bibliotece, wpatrując się w jakiś punkt na suficie.

- Wilhelmie? - odezwała się znów Lawinia. Ale Wilhelm nie powrócił, co ją rozczarowało i zaniepokoiło.

- Mam wiadomość dla Edwarda...

- Chcemy rozmawiać tylko z Wilhelmem - odparła Lawinia słabym głosem. Nie wiedziała, czy i ona ma przerwać krąg, a potem udusić Rawla, czy pozostawić sprawy własnemu biegowi?

- Ja cię nie porzuciłam, Edwardzie - mówił głos. - Zawsze byłam przy tobie. Dawniej, gdy byłeś jeszcze dzieckiem, i teraz, gdy jesteś taki wielki i silny.

Edward spuścił głowę. Lawinia usłyszała zgrzyt zębów. Trząsł się z gniewu. Każde słowo Rawla dolewało oliwy do ognia!

- Jestem dumna, że wyrosłeś na wspaniałego mężczyznę. Ale jest w tobie tyle mroku. Masz w sobie tyle z ojca.

- Alicjo! Zabierz mnie ze sobą! - zawołał nagle Korneliusz. Chciał się zerwać, ale pęta nie pozwoliły na to.

Wściekłość Edwarda przerwała wszystkie tamy. Zdarł krępujący go sznur i rzucił się przez stół ku Lawinii. Hazel wrzasnęła z przerażenia.

Monty wyskoczył ze swego kąta.

- Nie bądź taki jak on, Edwardzie. Jesteś moim synem! Moim!

Pamiętaj o mnie... pamiętaj...

- Ty dziwko! To twoja sprawka! Zabiję cię! - Edward znów chciał się rzucić na Lawinie. Stojąca na stole świeca zaskwierczała i zgasła.

- To nie ja! - krzyczała Lawinia w kompletnej ciemności. Próbowała się cofnąć, uciec przed nim. - Nigdy bym tego nie zrobiła! - łkała rozpaczliwie.

Rawl po omacku wpadł do salonu i dotarł do wiszących na ścianie latarenek. Zapalił wszystkie. Ostre światło zalało pokój.

Korneliusz, z twarzą ukrytą w dłoniach, zanosił się rozpaczliwym płaczem. Selena starała się go pocieszyć. Buch był biały jak ściana.

Kylemore też zdołał jakoś uwolnić się z więzów i tulił do siebie Hazel, jakby ją chciał obronić przed gniewem Stuyvesanta.

Prócz biednego Korneliusza wszyscy milczeli.

- Nie zrobiłam tego, Edwardzie! - odezwała się Lawinia. Jej wysiłony oddech przypominał raczej płacz.

- Łżesz! - warknął Edward, wpatrując się w nią, jakby była wcielonym diabłem. - Kłamczucha, komediantka, oszustka, dziwka! - Cisnął na stół

trzymany dotąd w ręku sznur.

- Nie! - szepnęła. Nie dostrzegала nikogo prócz Edwarda. Musi go przekonać, że to nie ona, że to Rawl się pomylił, że nie wiecie czemu wszystko poszło nie tak jak trzeba.

- To był twój ostatni seans, hrabino. - Edward popatrzył na Korneliusza. Selena potrząsnęła głową, jakby chciała powiedzieć:

„Zostaw, ja się nim zajmę”.

Edward znów zwrócił wzrok na Lawinie. Szła ku niemu z błagalnie uniesionymi rękoma.

- Nie zrobiłam tego, Edwardzie! Nigdy bym się nie ośmieliła drwić z twoich uczuć! Chciałam ci tylko dać małą nauczkę.

Nienawiść w jego spojrzeniu ugodziła ją jak kula.

- Trzymaj się ode mnie z daleka, ty dziwko! - Kopnął stojące mu na drodze krzesło i rzucił się ku drzwiom. Zamknęły się za nim z trzaskiem.

Lawinia spojrzała z wyrzutem na Rawla: jak mógł tak ją zawieść?! Nie otrzymawszy żadnego wyjaśnienia, uciekła z płaczem do sypialni.

*Nie mogę znieść myśli, że siedzisz po ciemku, ściskając za rękę kogoś innego!*

Elisha Kent Kane do Margaret Fox, 1855

- Jak on się miewa? - spytała Hazel księżną Selena.

- Odpoczywa. Myślę, że dojdzie do siebie. Kiedy usłyszał jej głos, doznał prawdziwego szoku. - Selena wzięła z rąk pokojówki filiżankę z herbatą. W saloniku Daisy tłoczyli się Buch, Kylemore, Monty i Rawlings. Było to doprawdy dziwne zgromadzenie, w dodatku o północy, ale nikt z nich nie zamierzał odejść, póki sprawa nie wyjaśni się do końca.

- A więc to było zwykłe oszustwo, Hazel? - wybuchnęła wreszcie Selena. Trzymające filiżankę ręce drżały.

- Rawl zapewnia, że nie miał z tym nic wspólnego. Nauczył się na pamięć roli Wilhelma, zgodnie ze scenariuszem, ale może przysiąc, że nie przemawiał głosem Alicji. Chyba że czynił to bezwiednie. - Hazel popatrzyła na Rawlingsa. Przeżycie okazało się zbyt silne dla starego Anglika: przybyło mu chyba ze sto lat! Kiwał zawzięcie głową, potwierdzając słowa Hazel.

- A co z panem, panie Baillie? - spytała cicho Daisy, zwracając oczy na Monty'ego.

Potrząsnął głową.

- Nie mam z tym nic wspólnego. Nie ruszałem się na krok od biblioteki. Ten głos całkiem mnie zaskoczył. Mieliśmy w programie ducha Wilhelma, nie było mowy o żadnej kobiecie. A poza tym, jej głos dobiegał... zewsząd i znikąd... Zrobił na mnie takie wrażenie, że całkiem zapomniałem o swojej roli.

- Przeoczyliśmy to, co najistotniejsze - szepnęła Selena z oczami wbitymi w przestrzeń. - Ta kobieta nie wymieniła swego imienia.

- Edward ją rozpoznał - podsunęła Daisy.

- Skądże znowu! Przecież oskarżył Lawinie o oszustwo, o szarganie jego uczuć! Wcale mu się nie dziwię. - Selena obiegała wzrokiem wpatrzone w nią twarze. - Zresztą, gdyby to nawet była Alicja, jak Edward mógłby ją poznać? Przecież zmarła przy jego urodzeniu.

- Ale to była Alicja! To musiała być ona! - szepnęła Daisy.

- Istotnie, to była Alicja - przytaknęła Selena. - W przeciwnym razie seans Lawinii byłby najdoskonalszym oszustwem świata! Wiecie, dlaczego ja... dlaczego my wszyscy... możemy być tego pewni? - Znów popatrzyła im w twarze. - Ponieważ jedyną osobą, która rozpoznała ją po głosie, i to natychmiast, był Korneliusz! Z nas wszystkich on jeden rozmawiał z Alicją, gdy jeszcze żyła!

Hazel westchnęła rozpaczliwie.

- Ale on ją tak strasznie kochał. I pragnął być razem z nią. Zwierzył się Lawinii ze wszystkiego. Jeśli aż tak tęsknił za Alicją, to wmówił sobie, że to ona. Znam z doświadczenia podobne przypadki.

- Z pewnością mogą być inne rozwiązania oprócz tego, które wam podsunęłam - przyznała Selena.

- Ale twoje, ciociu, jest najbardziej przekonujące - odezwał się Kylemore.

- Jeśli ktoś zna prawdę, to chyba tylko Rawl i Lawinia. - Hazel zerknęła na majordomusa.

Rawlings potrząsnął głową.

- Przecież paniąka mnie zna. Nigdy bym nie zmienił scenariusza! Nie udawałem Alicji Stuyvesant-French!

- Byłam pewna, że to powiesz, Rawl. - Twarz Hazel spochmurniała. - I chyba nie mogłeś powiedzieć nic innego. Obawiam się, że to po prostu prawda...

Edward zdarł z siebie surdut i rzucił go na łóżko. Nalał sobie koniaku z karafki stojącej na biurku i wypił jednym haustem.

Tym razem Lawinia zraniła go do żywego. Ośmieliła się szargać pamięć jego matki. Co prawda, nigdy jej nie widział, nigdy nie dotknął, ale przecież istniał dzięki niej, to ona ukształtowała go takim, jakim był.

Nalał sobie jeszcze koniaku, wypił duszkiem i znów napełnił kieliszek.

A jednak Lawinia pokonała go. Należał do niej duszą i ciałem. Jak żmija owinęła się wokół jego serca, wkradła się w jego myśli, złamała.

jego wolę. Kochał ją choć nie była godna miłości. Nie zasługiwała na nią kobieta, która mogła tak okrutnie zdrwić z Korneliusza?

Edwardowi drżała ręka, kiedy znów napełniał kieliszek. Nie mógł się uspokoić. Zniknęła słodka, niewinna dziewczyna, z którą kochał się na Bermudach. Jej miejsce zajęła komediantka bez sumienia gotowa dla poklasku zrobić wszystko. A jednak kochał ją...

- Dziwka! - syknął, zamykając oczy, by odpędzić od siebie jej obraz.

Wydawała się ucieleśnieniem niewinności, kiedy go zapewniała, że nie naśladowała głosu Alicji. Miała taką szczerą otwartą budzącą zaufanie twarz. Musiał przyznać, że była genialną komediantką albo że...

Nie, nie dopuści do siebie takich myśli! To niemożliwe. To zwykła bzdura! On, Edward Stuyvesant-French wygrał bój z życiem, uniknął

kłęski tylko dlatego, że zawsze był bezwzględny i logiczny. Nie wyrzeknie się teraz logiki!

Otworzył oczy. Może tak jest lepiej? Przecież chciał, by Lawinia została jego kochanką. Teraz może zrobić z nią dosłownie wszystko, bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Może ją traktować jak lalkę, bez serca... Przekonał się już, że wewnątrz są tylko trociny!

Opróżnił kieliszek i już miał nalać sobie następny, gdy coś przykuło jego uwagę. Z porzuconego zakietu zwisała długa, czarna wstążeczka.

Edward pochylił się i dotknął jej.

To niemożliwe, ale wyglądała całkiem jak...

Pociągnął za koniuszek szerokiej czarnej aksamitki, z kieszeni zakietu wysunął się złoty medalion.

W osłupieniu podniósł błyskotkę do oczu. Tak, to był medalion jego matki! Ten, który oddał Korneliuszowi.

Edward zmarszczył brwi. Nie przypominał sobie, by przyjaciel mu go zwrócił, a raczej wsunął go do kieszeni. Prawdę mówiąc tego wieczora wcale nie zbliżali się do siebie. Chwycił zakiet i przyjrzał mu się dokładnie. Tak, włożył go dziś po raz pierwszy w czasie tej podróży, jakimś cudem czy dziwnym zbiegiem okoliczności medalion trafił do jego kieszeni i znalazł go właśnie dziś.

Przesunął kciukiem po ciężkiej złotej oprawie. Wprost nieprawdopodobne, że Korneliusz zwrócił mu tę pamiątkę! Tak bardzo mu na niej zależało. I czy grzebałby bezwstydnie w szafie Edwarda, by oddać mu ukradkiem jego własność?... Edward otworzył medalion, spodziewając się ujrzeć podobiznę Vanaddera. I nagle zapało mu dech.

Z wnętrza medalionu wypadł może tuzin drobniutkich fiołków.

Sfrunęły na podłogę, na noski jego butów...

Edward przyklęknął w milczeniu i dotknął kwiatów. Całkiem świeże: nie mogły być zamknięte w medalionie nawet przez godzinę.

Skruszył w palcach jeden z kwiatków. Musiała je podrzucić Lawinia!

Tylko ona wiedziała o fiołkach. Przekonała jakoś Korneliusza i wyłudziła od niego medalion, a potem ten jej kochaś Baillie wsunął mu go do kieszeni surduta.

Tak, właśnie tak musiało być! - myślał Edward i czuł, że rośnie w nim niepokój. To jedyne sensowne wyjaśnienie! W przeciwnym wypadku musiałyby uwierzyć w duchy. Musiałyby uwierzyć, że jego matka rzeczywiście odezwała się do niego zza grobu i że mówiła prawdę: kochała go, była z niego dumna. Musiałyby odrzucić całą swą logikę i uwierzyć, że medalion i znajdujące się w nim fiołki pochodzą od matki.

Że były znakiem od niej. Musiałyby uwierzyć, że wszechświat pełen jest niezwykłych zjawisk, których

nie można ogarnąć wzrokiem, dotknąć ręką, zbadać rozumem. Musiałby uwierzyć w to wszystko.

I musiałby uwierzyć w szczerą Lawini.

Nie było już więcej seansów na pokładzie „Maritimusa”. Lawinia zamknęła się w swoich apartamentach i bardzo rzadko decydowała się nawet na mały spacer po pokładzie. Hazel poszła w jej ślady, chcąc uniknąć spotkań z księciem i jego mglistych obietnic. Korneliusza widywano często w sali klubowej w towarzystwie Seleny. Snuli długie, nieco chorobliwe rozważania, nieraz aż do wczesnych godzin rannych.

Daisy resztę podróży spędziła samotnie. Nie miała odwagi wyjść na pokład. Myśl o przypadkowym spotkaniu z Montym była dla niej nie do zniesienia. Czytała, haftowała i płakała.

Ostatnia noc na pokładzie statku tradycyjnie bywa uświetniona balem lub bankietem. Tym razem jednak kapitan Stafford nie miał do tego głowy: tkwił przy sterze, zmagając się z północno-wschodnim wichrem.

Statkiem tak rzucało, iż żołądki większości pasażerów zbuntowały się.

Była to mokra, zimna i paskudna noc. Każdy zastanowił się dwa razy, nim opuścił przytulną kajutę.

Monty przez resztę podróży nie miał nic do roboty, zaczął więc popijać z kilkoma stewardami w okrętowej kuchni. Nie był całkiem pewien, czy pije z rozpacz, nigdy dotąd nie ciągnęło go specjalnie do kieliszka; niewiele potrzebował, żeby się upić. Tej ostatniej nocy też był

dobrze pod gazem, kiedy zdecydował się wreszcie wrócić do swej kajuty. Sunął więc bardzo niepewnie korytarzem, przytrzymując się ścian, ilekroć rzuciło statkiem albo on sam stracił równowagę.

- O, Bridget O'Malley... Złamałaś serce mi! - podśpiewywał cicho.

Była to stara irlandzka ballada. Ojciec Monty'ego zawsze ją nucił, ilekroć pokłócił się z jego matką. Melodia była urzekająca; Monty pamiętał ją doskonale nawet po pijanemu. Ale dzisiaj słowa jakoś mu nie pasowały.

- O, Daisy Vanadder... Złamałaś serce me! Nie, też nie tak! - pomyślał

w przyływie bolesnej skruchy. Daisy nie złamała mu serca, było raczej odwrotnie. Tamtego wieczora podczas seansu ujrzał w jej oczach tyle cierpienia, że nie mógł tego znieść.

Ale o co mogła mieć pretensję, do cholery?! Postąpił jak należało: zmył się, dokładnie tak, jak życzył sobie jej brat. Czy to jego wina, że Daisy tak wzięła to sobie do serca? Że nic tylko powstrzymywała łzy...

nawet wtedy, gdy podczas seansu u Lawinii rozpętało się to piekło?

Przecież nie on był winien, tylko jej brat! Prawdę mówiąc, Edward Stuyvesant-French miał świętą rację. On sam zrobiłby to samo, gdyby Daisy była jego siostrą!



Zataczając się od ściany do ściany przebył wreszcie korytarz i otworzył drzwi kajuty. Na wszystkich jedenastu kojach pochrapywało albo pojękiwało tyłuż nieszczęśników. Monty tylko raz rzucił okiem i zatrzasnął znowu drzwi. Nawet spanie w wilgotym korytarzu było lepsze od tego ohydztwa!

Osunął się po ścianie na podłogę i wyciągnął butelkę z kieszeni surduta. Rozdarł go przy tym, ale się nie przejął. Jego garderoba składała się przeważnie z łat i cer. Surdut prezentował się równie fatalnie jak jego właściciel.

- O, Daisy Vanadder... - Resztę nucił bez słów, pociągając co chwila z butelki. Jakimś parszywym trafem wylądował naprzeciw schodów wiodących na pokład drugiej klasy, a potem jeszcze wyżej, na pokład pierwszej. Od kajuty Daisy dzieliły go tylko dwa pięterka, ale równie dobrze mógłby to być cały przestwór oceanu.

- ...Złamałem serce twe... - improwizował ze wzrokiem utkwionym w schody, które mogły go doprowadzić do upragnionego celu. - Nie chciałem tego zrobić, cholera jasna! Wcale nie chciałem! - bełkotał z pijackim uporem. Pociągnął sobie jeszcze raz i otarł usta grzbietem dłoni.

Te schody przyciągały go jak magnes. Nieco niepewnie podniósł się z ziemi i na wszelki wypadek przyłgnął do ściany.

Powinien pójść do Daisy i przeprosić ją. Wytłumaczyć, dlaczego musiał odejść. Może wtedy z jej oczu zniknie ból? No jasne, powinien to zrobić! Powie jej kilka ciepłych słów, a ona go zrozumie. Może i on sam zdoła to zrozumieć?

Gdyby Stuyvesant przyłapał go w kajucie siostry, wyrzuciłby go za burtę, i każdy by powiedział, że miał rację! Ale Monty wcale nie zamierzał wchodzić do kajuty. To, co chciał powiedzieć Daisy, może powiedzieć całkiem przyzwoicie, na korytarzu. Zapewni dziewczynę, że wszystko jakoś się ułoży, że znajdzie sobie przyzwoitego męża i będą mieli kupę dzieci, wszystkie kropka w kropkę jak tatuś.

Na samą myśl o tym szlag go trafiał! Nie, lepiej nie myśleć o bezimiennym facecie, któremu Daisy ma rodzić dzieci! O jej przyszłym mężu, którego już nienawidził tylko dlatego, że sam chciał nim być!

Wobec tego, wcale nie będzie o nim gadał. Może po prostu powie jej prawdę. Powie, że jest dla niego o wiele za dobra, że to on powinien płakać, że ją utracił. Przecież ją kocha! Tak, właśnie to jej powie w tę ostatnią noc na statku.

Odkrył, że stoi u wejścia na pokład drugiej klasy. Nad nim druga kondygnacja schodów prowadziła do klasy pierwszej. Znowu pokrzepił

się whisky i przebył ten ostatni etap, przeskakując po dwa stopnie na raz.

Obciągnął surdut i przyglądał włosy. Niewiele to dało, wyglądał jak strach na wróble. Ale to, co zamierzał powiedzieć, nie zajmie dużo czasu. Jak już człowiek wyrywa sobie serce, to powinien zrobić to raz dwa!

Uchwycił się mosiężnej kołatki, by odzyskać równowagę. Zastukał i czekał z zapartym tchem.

Długo trwało, nim ktoś odpowiedział na jego stukanie. Monty spodziewał się, że otworzy mu pokojówka, ale chyba już spała o tej porze.

Drzwi uchyliły się lekko. Usłyszał skrzypienie kół. Potem drzwi otworzyły się na oścież i ujrzał przed sobą Daisy.

Nie odezwała się ani słowem. Miała na sobie tylko nocną koszulę z cienkiego batystu i jedwabny szal, pospiesznie zarzucony na ramiona.

Bujne kruczoczarne włosy spływały na plecy; zamierzała właśnie spleść je w warkocz. Nigdy jeszcze nie wydawała się Monty'emu tak ponętna, tak piękna.

Ona również wpatrywała się w niego, dostrzegając wszystkie żalosne szczegóły: sfatygowany surdut, szczeciniaste policzki, butelkę, którą nadal ścisnął w lewej ręce.

- Muszę ci coś powiedzieć. To nie potrwa długo, przysięgam.

Ciekawe, czy w jego oczach było tyle bólu, co w oczach Daisy?

Odsunęła się od drzwi, by mógł wejść. Monty zawahał się. Chyba lepiej nie wchodzić do kajuty? Zobaczywszy w jej oczach niemą prośbę, nie szukał już pretekstu do pozostania na korytarzu.

Wszedł, zamknął drzwi i oparł się o nie plecami.

Daisy nadal wpatrywała się w niego uważnie.

- Piłeś - powiedziała cicho, z łagodną wymówką.

- To nasza ostatnia noc. Jutro wylądujemy w londyńskim porcie, a potem nigdy już cię nie zobaczę.

- Za to ja zobaczę cię pewnie na scenie, nieprawdaż? - Uśmiechnęła się tym pełnym zrozumienia uśmiechem, za którym szalał.

- Nigdy nie zostanę sławnym aktorem. Dobrze o tym wiem. Twój brat wie o tym również. - Odchylił głowę do tyłu. Że też ten pokój musi tak wirować wokół niego! - Pewnie zaczepię się gdzieś w Londynie i poprobuję sił, ale chyba w końcu znów wyląduję na koźle dorożki. Albo będę nosił bagaże za Lawinią i Hazel, jak się wybiorą do Egiptu czy gdzie tam jeszcze. Taki już los każdego Baillie! Mój tata, zakuty Irlandczyk, też nigdy nie mógł znaleźć pracy!

- Zakuty Irlandczyk? - powtórzyła, unosząc brew. - Czyżbyś wreszcie zaczął się przyznawać do swojej ojczyzny, panie Baillie?

Uśmiechnął się szeroko.

- Bezczelna dziewczucha!

- Więc cóż chciałeś mi powiedzieć?

Poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. Mruknął posępnie i szorstko:

- Kocham cię.

Daisy zbladła.

Monty zamknął oczy, żeby jej nie widzieć.

- Nie myśl o tym, co nagadałem tamtego dnia. Nie myśl o tym, co zrobiłem ani co zrobił twój brat. Musimy się rozstać, ale tylko dlatego, że nie jestem ciebie wart... I że cię kocham.

- O, Boże...

Spojrzał na nią i zobaczył, że ma oczy pełne łez. Nieporadnie próbowała się podnieść, ale osunęła się bez sił.

- Nie męcz się tak! - powiedział, próbując ją powstrzymać.

- Chcę stanąć... Ostatni raz... Pomóż mi! - wykrztusiła. Dobrze wiedział, że nie powinien się do niej zbliżać, przytulać. Był jednak zupełnie pijany i sam na sam z Daisy... I to już był koniec, musieli się rozstać... I, o Boże... tak ją kochał!

- Nie opuszczaj mnie - szepnęła, nim ich usta się spotkały. Pocałunek był żarliwy, słodki i gorzki zarazem. Monty oderwał się od niej tylko dlatego, że sumienie rozkrzyczało się wielkim głosem.

- Nie powinienem tu być - szepnął.

- Przekonam jakoś Edwarda. Pozwól mi spróbować! Odzyskam prawo do moich pieniędzy i wtedy będziesz mógł zabrać mnie ze sobą. -

Płakała, czepiając się kurczowo jego surduta.

- Mnie wcale nie chodzi o pieniądze. - Monty cierpiał prawdziwe męki, nie chciał posadzić Daisy w fotelu, nie chciał wypuścić jej z objęć!

- Nie zapieraj się. Widziałam przecież jak odszedłeś, kiedy Edward zagroził, że zostanę bez grosza. - Uniosła ku niemu piękną, zalaną łzami twarz. - Jeśli zależy ci na bogatej żonie, zadbam o to, żebyś ją miał.

Bałam się przedtem takiego małżeństwa, bo widziałam, ile przez to wycierpiała moja matka. Ale teraz już się nie lękam. Pragnę cię. Kocham cię! Mam tyle pieniędzy, wszystkie będą twoje. Edward musi zrozumieć, ile dla mnie znaczysz!

- Nigdy tego nie zrozumie. Znam takich jak on: nigdy nie zmieniają zdania.

- Pozwól mi spróbować!

- Przestań! - Potrząsnął nią. - Czy ty nic nie rozumiesz?! Nie mógłbym się z tobą ożenić, choćby nas pobłogosławił! Wcale nie chodzi o te cholerne pieniądze!

- Musi ci o to chodzić - upierała się z rozpaczą. - Powiedziałeś przecież, że mnie kochasz! - Dotknęła jego policzka. - Kochasz mnie, pragniesz się ze mną ożenić. Jeżeli tego nie zrobisz, to musi chodzić ci o pieniądze, albo o... - Spojrzała na swój fotel inwalidzki.

- Nie o to! Z całą pewnością nie o to! - szepnął.

- Dowiedz mi tego - powiedziała słabym głosem.

- Mógłbym to zrobić w jeden tylko sposób...

Znów go dotknęła.

- Więc to zrób - odparła ledwo dosłyszalnie, odchylając głowę do tyłu.

Tym razem pocałował ją niemal ze strachem. Whisky krążyła mu w żyłach, ale o wiele niebezpieczniejsze było rosnące w nim pożądanie.

Tracił rozum. Musi jakoś się powstrzymać, ocalić ich oboje!

- Zostań ze mną na tę jedną noc - szeptała Daisy wśród pocałunków. -

I tak nigdy nie wyjdę za mąż. Oboje o tym wiemy. Któż mnie potępi za ten upadek, za chwilę szczęścia w długim, szarym życiu starej panny?

Monty jęknął.

- Nie mów tak! Nie kuś mnie! Nie myśl nawet o tym: to szaleństwo!

Gdybym spędził z tobą noc, musiałbym się z tobą ożenić, inaczej byłbym najgorszym łajdakiem po obu stronach Atlantyku!

- Już nim byłeś, kiedy odszedłeś bez słowa. - Daisy podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

Pocałował ją bardzo namiętnie, wtargnął do wnętrza jej ust. Był

obolały z pożądania.

- Myślisz, że chcę od ciebie tylko pieniędzy?! Bardzo się mylisz! -

wykrztusił.

- Dowiedz mi tego - szepnęła. Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni.

- Od kilku tygodni nie zamieniłam z Kyle'em ani słowa! - zwierzała się smutno Hazel przyjaciółce, gdy wpatrywały się w coraz bliższy londyński port.

Lawinia nie odpowiedziała. Koniec podróży był koszmar. Ona sama także od wielu tygodni nie rozmawiała z Edwardem. Ilekroć zaś ujrzała Korneliusza, ogarniało ją bolesne poczucie winy. Rozum podpowiadał

jej, że nie ponosi żadnej odpowiedzialności za słowa, które padły podczas pamiętnego seansu, ale choć owo wydarzenie i dla niej było zagadką, Lawinia czuła, że w pewnym stopniu ponosi za nie winę. To przecież ona przygotowała spektakl i wyznaczyła aktorom ich role. A zatem, gdy wszystko wymknęło się spod kontroli, to ona niechcący sprawiła Korneliuszowi ból, zraniła go! Nigdy sobie tego nie wybaczy; tak bardzo polubiła starszego pana podczas wspólnej podróży! Utrata jego przyjaźni byłaby dla niej ogromną przykrością, ale i zasłużoną karą.

Za kogóż się uważała? Była tylko tanią, jarmarczną komediantką! Nie miała prawa manipulować ludzkim losem, ludzkimi uczuciami.

W dole płynęła potężna Tamiza. Wyglądała jak kleiste, brunatne trzęsawisko, okolone z dwóch stron tysiącami dymiących kominów.

Dymy miasta mieszały się z oparami świtu i nawet Lawinia, uważająca się zawsze za żądną przygód ryzykantkę, miała ochotę wracać jak najszybciej do Nowego Jorku.

- Myślisz, że on dotrzyma obietnicy? - spytała Hazel posepnie. -

Ostatniej nocy nie zmrzyłam nawet oka! Tak bardzo chciałam dotrzeć do Londynu, ale teraz, gdy już dopłynęliśmy, obawiam się, że nie było do czego się spieszyć. Co ja pocznę, jeśli Kyle tylko mnie okłamywał, jeśli to były tylko puste obiecanki?

Lawinia przetarła znużone bezsennością oczy:

- Buch zaprosił nas na weekend do Kylemore House. Jeśli książę zamierza gościć tam swoją narzeczoną i równocześnie mamie cię obietnicami, czeka go przykra niespodzianka! Potrafię napędzić mu stracha, nawet bez kolejnego seansu. Na jego miejscu trzęsłabym się z przerażenia!

Hazel uśmiechnęła się i chwyciła siostrę za rękę.

- Na ciebie zawsze mogę liczyć! Jeśli Kylemore ostatecznie poprowadzi mnie do ołtarza, oboje znajdziemy ci męża jak malowanie!

Nie chcę, żebyś była samotna.

Myśli Lawinii pobiegły ku Edwardowi. Z pewnością nie byłby to mąż

„jak malowanie"! Humorzasty, podejrzliwy, a w dodatku z nieprawego łoża. Trudno nazwać go wymarzonym partnerem! Ale cóż - kochała Edwarda. Czowała, że nie może bez niego żyć.

Pragnęła całym sercem, by uznał ją wreszcie za godną miłości. Ale on wcale tak o niej nie myślał. Zwłaszcza teraz, kiedy niechcący skrzywdziła Korneliusza, Edward nigdy nie zmieni o niej zdania.

Ubiegłej nocy, gdy zdołała na chwilkę się zdrzemnąć, przyśnił się jej.

Przyszedł do jej kajuty. Kłócili się, wyzywał ją od dziwek. Protestowała, ale schwycił ją za kark i przyciągnął do siebie, szepcząc, że usta ładacznicy są nie do gadania, tylko do całowania.

Jeszcze teraz wzdrygała się na to wspomnienie. Całował ją i mamrotał, że mogłyby jeszcze posłużyć do czegoś innego...

Nie chciała wyświadczyć mu tej usługi, zachować się jak ostatnia dziwka. Ale wtedy Edward wetknął jej złotą monetę i zmusił ją do tego.

Zrobiła więc to, czego żądał: przecież jej zapłacił. Spełniała wszystkie jego życzenia, aż w końcu, klęcząc przed nim, zaczęła go błagać, by przestał. Kiedy jednak popatrzyła mu w twarz, ujrzała na niej grymas ekstatycznego triumfu.

Lawinia otworzyła oczy. Widok roztaczający się za relingiem nie podniósł jej na duchu. Nie mogła odpędzić od siebie wspomnienia Edwarda, tego ze snu: ciemna, krótko przystrzyżona bródka nadawała mu diaboliczny wygląd. Jego ręce były enegiczne i natarczywe, zniewalały swoją siłą. Gdy ocknęła się wreszcie z tego koszmaru, leżała bezsennie, póki w drzwiach nie ukazała się Hazel. Ona również nie mogła spać. Postanowiły obie wyjść na pokład i popatrzeć jak

„Maritimus" wpływa o świcie do londyńskiego portu.

Teraz, wpatrując się w nabrzeże, Lawinia stwierdziła, że rozciągająca się przed nią czarna od sadzy panorama miasta jest wiernym odbiciem jej nastroju. Po raz setny przeklęła tamten nieszczęsny seans. Cóż to była za głupota: zadzierać ze Stuyvesantem! Co prawda, nawet przez myśl jej nie przeszło, że ustami Rawla może przemówić Alicja, ale czego ostatecznie mogła się spodziewać po starym, sklerotycznym brzuchomówcy, który tyle razy odgrywał tę rolę przed Vanadderem, że potrafiłby to zrobić nawet przez sen? Nie powinna była urządzić całej tej farsy: wymagała udziału zbyt wielu osób, a nikt przecież nie był

niezawodny i nieomylny.

Co prawda, istniała możliwość, że Rawl nie stracił wcale rozumu.

Może majordomus mówił prawdę, zapewniając, że nie udawał głosu Alicji tamtego wieczora? Ale oznaczałoby to, że jej duch istotnie przybył

do saloniku, a matka rzeczywiście przemówiła do swego syna. Lawinia nie miała zamiaru w to uwierzyć. Znała przecież wszystkie sztuczki, oszustwa, będące nieodłączną częścią każdego seansu spirytystycznego, w którym uczestniczyła.

- Czy zastanawiałaś się kiedyś nad tym, skąd się wywodzimy, Lawinio? - spytała ni stąd ni zowąd Hazel.

- Wywodzimy się? Co masz na myśli?

- Czy zadajesz sobie pytanie, kim byli twoi rodzice, jak wygląda twoja rodzina? Czy rozmyślasz nad tym, że być może żyją gdzieś twoi bracia i siostry, o których nie masz pojęcia?

Lawinia odetchnęła głęboko i odparła:

- Nie myślę o takich sprawach. Nazwisko Murphy jest bardzo pospolite. Moi rodzice z pewnością niczym się nie wyróżniali.

- Ale ty przynajmniej wiesz, jak się nazywasz! Ja, Jamie czy Fanny, zjawiliśmy się w przytułku całkiem bezimienni. Jak pusta tabliczka, na której nikt nie napisał ani słowa.

- Kto wie, czy to nie lepsze od takiego nazwiska jak Murphy?

Hazel potrząsnęła głową.

- Nie masz pojęcia, jakie to dla nas szczęście, że możemy używać twego nazwiska! Kiedyś, jeszcze w sierocińcu, Jamie spytał mnie: „Jak to jest, kiedy się ma tatę?”. Nie potrafiłam mu odpowiedzieć. Teraz przynajmniej możemy udawać, że mieliśmy kiedyś ojca: jowialnego olbrzyma nazwiskiem Murphy.

- A jakże! Takiego, co ma wypisane na czole: „Stuprocentowy Irlandczyk, lepiej nie zatrudniać!”. - Lawinia odwróciła się do przyjaciółki. - Czemu ci się nagle zebrało na takie rozważania? Powiem ci prawdę: boję się jak ognia podobnych myśli! Skąd się wywodzę?

Kiedy widzę te biedne dziewczyny uliczne, wiem, że moja matka mogła być jedną z nich, a i my skończyłybyśmy jak one, gdyby nie Wilhelm Vanadder i podobni do niego durnie! O, nie! Nie rozmyślam o moich przodkach! Mam na to zbyt dużo zdrowego rozsądku. Nietrudno domyślić się moich korzeni, więc wolę się nad tym nie zastanawiać.

- Pewnie dlatego nigdy nie wpadasz w trans podczas seansu, Lawinio.

Wydaje mi się, że trzeba choć odrobinę w to uwierzyć, żeby wydarzyło się to, co powinno.

- A cóż się może wydarzyć?! - Lawinia raptownie odwróciła się znów w stronę nabrzeża. - Przecież nie ma naprawdę czegoś takiego jak duchy czy zjawy! Nie można porozumiewać się ze zmarłymi! Po co zresztą mielibyśmy to robić? To byłoby okropne dowiedzieć się, skąd pochodzimy. To, gdzie i jak człowiek się rodzi, nie zależy od jego woli!

Może tylko zerwać całkowicie z przeszłością.

- Kylemore nigdy by tego nie zrobił. Ma we krwi poczucie więzi rodowej. Dla kogoś takiego jak on, byłoby straszliwym ciosem, gdyby odkrył, że jest „pustą tabliczką”.

Lawinia popatrzyła na Hazel i twarz jej złagodniała.

- Jeśli tak ci zależy na przodkach, książę może ci ich zapewnić. Kiedy wszyscy dawni Kylemore zapiszą swe imiona na twojej pustej tabliczce, nigdy już nie będziesz musiała się wstydzić.

Hazel skinęła głową, a w jej oku błysnęła łza.

- Tak bardzo tego pragnę. I nie tylko dla siebie. Przede wszystkim dla Ewy.

Lawinia ścisnęła rękę siostry.

- Wiem. I jeśli Bóg okaże się litościwy, twoje marzenia się ziszczą.

Walenie w drzwi docierało do Edwarda jakby z daleka. Gdy przebiło się wreszcie przez zaporę monstrualnego kaca, otworzył z trudem oczy.

Spojrzał na sufit. Zdał sobie sprawę, że leży na łóżku w wieczorowym ubraniu. Na podłodze leżała pusta butelka. Wstając, omal się o nią nie potknął.

- Niech to wszyscy diabli! - Po co ten cholerny raban?! - Wetknął

koszulę w spodnie i przygładził ręką włosy. Przeszedł do salonu i otworzył drzwi.

W progu stał Korneliusz, a u jego boku Selena. Oboje mieli przerażone miny. Na widok Edwarda czy z powodu wieści, którą mu przynieśli?

- Już prawie południe, przyjacielu! „Maritimus” stoi w porcie od kilku godzin. A oni zdążyli już dawno zniknąć! - wypalił Korneliusz.

- Kto zniknął? O czym ty mówisz? - Edwardowi huczało w głowie.

Zwrócił się do księżnej. - Co on plecie?

- Okropnie wyglądasz, Edwardzie, po prostu okropnie! Jakbyś chlał

przez całą noc z powodu jakiejś spódnicy - zauważyła ze zwykłym sobie taktem Selena.

- O co tu chodzi?! - warknął Stuyvesant-French. - Mówcie natychmiast!

- O Daisy... - Korneliusz zacisnął wargi, jakby nie miał odwagi powiedzieć nic więcej.

- O Daisy?! - Edward zmarszczył brwi i nagle wyskoczył jak oparzony na korytarz.

- Nie ma jej w kajucie, French. Odeszła.

Edward stanął jak wryty. Odwrócił się do Cooka z nieprzytomnym błyskiem w oczach.

- Co to znaczy „odeszła”? Dokąd?!



- Obawiam się, że odeszła z tamtym człowiekiem... - odparł cicho Korneliusz.

- Co ty gadasz, do cholery?!

Selena nie była w stanie dłużej milczeć.

- Daisy odeszła z Montagu Bailliem, tym służącym Murphych.

Kapitan Stafford wczesnym rankiem udzielił im ślubu, a potem oboje opuścili statek. Odkryliśmy to przed chwilą.

Edward miał wrażenie, że księżna go znokautowała. O mało nie padł

na wznak.

- Wejdźmy lepiej do kajuty - Cook ujął go za ramię.

- Przecież mu powiedziałem, że Daisy zostanie bez grosza! Czyżby mi nie uwierzył? Jeśli liczy na sowitą odprawę, to jest ostatnim durniem! -

wykrztusił Edward.

Korneliusz wzruszył ramionami.

- Nie sędzę, by liczył na pieniężną odprawę, Edwardzie. Według kapitana małżeństwo jest absolutnie wiążące, a Daisy została raz na zawsze panią Baillie.

- Jak to się mogło stać?! - kręcił głową Stuyvesant.

- Po prostu się zakochali - wtrąciła swoje trzy grosze Selena.

- Niemożliwe! Wycofał się od razu, kiedy mu zagroziłem. Zależało mu po prostu na jej majątku!

- Jak widać, jeszcze bardziej zależało mu na Daisy. - Korneliusz położył przyjacielowi rękę na ramieniu. - Chyba musisz się z tym pogodzić, Edwardzie. Oni się zakochali. Wcale nie myślą o pieniądzach.

- Niebawem o nich pomyślą! - W oczach Edwarda błysnęła mściwość.

- I gorzko się rozczarują, bo ja zdania nie zmienię!

- Daisy z pewnością nie będzie cię o to błagać. O ile pamiętam, zawsze miała skromne wymagania. Teraz ma kogoś, kogo kocha, a i on musi ją kochać, jeśli wziął ją bez grosza. Stało się, Edwardzie. Nie masz innego wyjścia, jak dać im swoje błogosławieństwo.

- Prędzej szlag mnie trafi! - zaklął, wymijając przyjaciół.

- Przecież i tak już się stało - powtórzył Cook.

- Gdzie oni są? Każę odszukać Daisy i sprowadzić ją na statek, nim będzie za późno!

- Już jest za późno. Baillie posłużył się tym właśnie argumentem, by uzyskać natychmiastowy ślub.

Edward oparł czoło na zaciśniętej pięści. Był wściekły i oszołomiony.

Nie podejrzewał nawet, że coś takiego może się stać, a jednak się stało!

Daisy opuściła go, wymknęła się raz na zawsze spod jego opieki.

- Dlaczego to zrobiła?! Przecież zdobyłem dla niej wszystko... -

szeptał jakby do siebie.

Selena podeszła do niego.

- Po prostu go pokochała, Edwardzie. Bardziej zależało jej na jego miłości niż na twojej aprobacie.

- Czy moja opieka, moje starania były dla niej tylko ciężarem?! -

wyrzucił z siebie.

- Skądże - odparła miękko. - Jestem pewna, że Daisy bardzo by chciała pogodzić się z tobą, o ile zaakceptujesz jej męża.

- Nigdy! - Potarł mocno policzek. Zabolało.

- Czy mam zwrócić się do policji, by ich odszukano? - spytał z wahaniem Korneliusz.

- Nie.

Selena rzuciła Cookowi rozpaczliwe spojrzenie.

- Nie wyrzekaj się siostry, drogi chłopcze! To twoja jedyna krewna... i kocha cię - powiedziała szeptem do Edwarda.

- Nie rzucam słów na wiatr. Tak będzie i tym razem, choćbym miał

zdechnąć! Baillie przeklnie dzień, w którym ośmielił się podnieść oczy na moją siostrę!

- Ile w tobie okrucieństwa! Duch się pomylił, Edwardzie - stwierdziła ostro Selenę. - Nie jesteś synem swojej matki! Z całą pewnością.

- Wynoście się! - wykrztusił, obejmując rękami zbolałą głowę. Cook skinął na Selenę. Odsunęła się od Edwarda i starsi państwo opuścili kajutę, zostawiając go na pastwę demonów.

- Słyszałaś już nowiny? Niesamowite! Zdumiewające! - Hazel wtargnęła do sypialni przybranej siostry w chwili, gdy Lawinia instruowała Abigail i Rawlingsa, jak spakować bagaż przed zejściem

na ład. Dzieci siedziały w salonie zajęte zabawą i czytaniem, ale po dramatycznym wejściu Hazel wszystkie zjawily się tuż za nią.

- Jakże znów nowiny? - spytała Lawinia. Po ciężkiej nocy i dręczących majakach serce nadal ciążyło jej jak ołów.

- Monty uciekł z Daisy!

Lawinii oczy omal nie wyszły z orbit.

- Monty? - powtórzyła, nie wierząc własnym uszom. Hazel opadła na łóżko.

- A jakże! Kapitan dał im dziś rano ślub. Wynieśli się ze statku, jak tylko spuszczone trap. Czy to nie romantyczne?

- Nie miałam pojęcia, że się znali - odparła Lawinia.

- Widocznie spotykali się od czasu do czasu. Selena powiedziała mi, że któregoś dnia na pokładzie doszło do kłótni. Edward zaczął grozić Monty'emu, a ten odszedł niby to spokojnie, ale w końcu zagrał mu na nosie, bo uciekł z Daisy, mimo że Edward pozbawił ją całego majątku!

- Co za okrucieństwo! Jak on mógł? - wykrztusiła Lawinia.

- Widać mógł! Nawet nie próbował odnaleźć siostry. Spisał ją na straty.

Lawinia odwróciła się, by dzieci nie zauważyły wyrazu jej twarzy.

Odbijał się na niej niepokój i strach. Czegóż sama mogła się spodziewać po Edwardzie, jeśli tak bezlitośnie potraktował swoją słodką, kalekę siostrę? Nadzieja opuściła ją do reszty. Musi za wszelką cenę o nim zapomnieć; jeśli nie chce podzielić losu Daisy. Poczula, że serce jej pęka.

Hazel podeszła do niej od tyłu.

- Bardzo mi przykro, Lawinio. Wiem, że Monty zawsze był ci bliski, ale nie myślałam, że tak sobie to weźmiesz do serca. - Lawinia potrząsnęła głową. Gdyby nie była bliska łez, chyba roześmiałyby się w głos.

- Nie bądź głupia! Przepadam za Montym i życzę mu jak najlepiej. Z

pewnością będą z Daisy bardzo szczęśliwi! - Zmusiła się do tego, by odwrócić głowę i spojrzeć im w oczy. - Skąd ci przyszło do głowy, że zmartwiłam się tą wiadomością? Jestem zachwycona! Widzę teraz, że wprost wymarzona z nich para, choć nigdy dotąd nie przyszło mi to do głowy.

- Chcesz zostać sama? - spytała szeptem Hazel, zerkając w stronę Jamiego, Ewy i Fanny, którzy stali na progu i nie odrywali od nich oczu.

- Nie! - odparła stanowczo Lawinia. - Naprawdę, nic mi nie jest.

Oczywiście, zaszokowała mnie postawa Edwarda. Choć, prawdę mówiąc, nie powinnam się wcale dziwić: on taki właśnie jest... - Głos jej się załamał. Opanowała się, spojrzała na Hazel i uśmiechnęła się nieco sztucznie. - Coś mi się zdaje, że niebawem będziemy mieli następny ślub! Pomyślmy więc o wyprawie do Kylemore House. Jeśli zaproszenie nadal jest aktualne, musimy tam obie pojechać.

Hazel popatrzyła na nią bez słowa. W jej oczach błysnęła nieśmiała nadzieja.

Edward jechał do Kylemore House w jednym powozie z Seleną i Korneliuszem i był w podłym nastroju. Tak często zmieniał pozycję, że księżna obserwowała go podejrzliwie; czyżby jakiś pajak wlaźł mu w portki?

- Coś nie w porządku, mój drogi? - spytała wreszcie.

Edward rzucił jej miazdzące spojrzenie. Na domiar złego jeszcze przesłuchanie!

- Czuję się znakomicie.

- Dziwnie mi jakoś, że jedziemy do Kylemore bez Daisy. Obawiam się, że jako opiekunowie straciliśmy rację bytu: zabrakło podopiecznej -

odezwał się Cook.

- Zostają jeszcze panny Murphy. Przecież Edward obiecał

zaopiekować się nimi. Nie może się z tego wycofać tylko dlatego, że jego siostra się zawieruszyła. Choć postępek Daisy nie najlepiej świadczy o jego kwalifikacjach w tym względzie.

Księżna wdowa znów przeszła Edwarda badawczym i oskarżycielskim spojrzeniem.

- Edward spiorunował ją wzrokiem. Wiedział, że Selena nie pochwała jego bezwzględności, ale do diabła z tą babą! Nie zamierzał spotykać się z Bailliem, póki Daisy nie wystąpi o unieważnienie małżeństwa.

- Edward wcale nie jest opiekunem panien Murphy. Zmusiliśmy go do odegrania tej roli w wymyślonej przez nas komedii - odezwał się w końcu Cook. - Możesz się jeszcze wykręcić od tych zobowiązań towarzyskich, Edwardzie. Wytlumaczę cię przed Kylemorem, a pod twą nieobecność oboje z Seleną z przyjemnością zaopiekujemy się Hazel i Lawinią.

Edward przygryzł policzek, żeby nie wybuchnąć gniewem.

- Jadę, bo mam na to ochotę.

Selena wywróciła oczyma. Korneliusz mówił dalej:

- Oczywiście, podczas tej wyprawy opiekunowie będą mieli pełne ręce roboty. Kylemore z pewnością poprosi Hazel o rękę. Powinniśmy zrobić jak najlepsze wrażenie. Kiedy jednak załatwimy już pomyślnie tę sprawę, zostanie nam tylko jedna podopieczna: Lawinia. Jak myślisz, Seleno, czy Buch nadaje się na jej męża? Ja widziałbym raczej w tej roli hrabiego Spitzbergena... Kylemore zapewnia mnie, że i on został

zaproszony.

Selena aż klasnęła w ręce z uciechy.

- Znakomicie! Cudownie! Na stare lata trudno o lepszą rozrywkę niż swatanie... Nieprawdaż, Edwardzie?

Edward znów zmienił pozycję i uparcie wpatrywał się w krajobraz za oknem.

Lawinia przechadzała się po parku otaczającym Kylemore House i zapoznawała się z bukszpanowym labiryntem, znajdującym się w centrum ogrodu pełnego tulipanów. Wszyscy zaproszeni na weekend goście już się zjawili, ale przebywali w przeznaczonych dla nich pokojach, odpoczywając po podróży lub rozpakowując rzeczy. Lawinia była zbyt spięta, by zająć się lekturą lub uciąć sobie drzemkę, toteż zeszła na dół, wymknęła się przez najbliższe drzwi i tak oto trafiła między tulipany.

Za jej plecami wznosił się imponujący masyw Kylemore House.

Pochodzącą z 1445 roku, rodową siedzibę Kylemore'ów, stosunkowo niedawno poddano generalnej przebudowie. Mogła się teraz poszczycić najbardziej nowoczesnymi udogodnieniami; doprowadzono nawet bieżącą wodę, gorącą i zimną. Nieżyjąca już matka Kyle'a przekształciła średniowieczną fortecę w rezydencję dorównującą francusko-amerykańskim willom z Piątej Alei. Na Lawinii zrobiło to wielkie wrażenie. Jeśli Hazel i dzieci miały spędzić resztę życia na wsi, trudno o lepsze miejsce niż to domostwo!

Dziś wieczorem zostaną ogłoszone zaręczyny Hazel i Kyle'a. W

apartamencie przeznaczonym dla Hazel czekał już na nią liścik od księcia z wiadomością, że zerwał oficjalnie z panną Carmichael. Wraz z listem Kylemore przysłał ukochanej bukietek fiołków. Hazel była nimi zachwycona, ale Lawinia nie mogła na nie patrzeć.

Dotarła do środka labiryntu i znalazła tam Jamiego. Siedział na marmurowej ławce z książką w ręku.

- A, tu jesteś! - zawołała wesoło.

Mina jej zrzędła, gdy chłopiec spróbował bez powodzenia ukryć przed nią książkę.

- Znowu?! - wykrzyknęła z rozpaczą. Podeszła bliżej i przeczytała tytuł: *Nieposkromieni rycerze puszczy*. Wywróciła oczami i wykrzyknęła:

- Czy ten twój Coltrain nie zna prostego słowa „Indianin”?! - naburmuszył się chłopak.

- Wiedziałem, że mnie znów dopadniesz! - naburmuszył się chłopak.

Lawinia siadła obok niego.

- Nie, tym razem nie odbiorę ci książki. Udało ci się złamać we mnie ducha walki. Jeśli aż tak ci zależy na tych powieściach, że czytujesz je w ukryciu, to lepiej czytaj całkiem jawnie. Jednego tylko nie pojmuję: czemu pan Stuyvesant uparcie zaopatruje cię w taką lekturę?!

- Bo on dobrze wie.

- Co wie?

- Dobrze wie, co znaczy być chłopcem. Ty tego nigdy nie zrozumiesz!

Lawinii zrobiło się ciężko na sercu, gdy popatrzyła na małego chłopca, który tak bardzo potrzebował męskiej opieki.

- Wiem, że ani Hazel, ani ja nie możemy tego zrozumieć. Właśnie dlatego tu przyjechaliśmy: by znaleźć dla ciebie tatę.

- To pan Stuyvesant-French zostanie moim tatą?

Lawinia aż się wzdrygnęła.

- Co ci przyszło do głowy? Wiesz przecież, że jesteśmy tu z wizytą, bo Kylemore ma się ożenić z Hazel. A potem ty i dziewczynki zamieszkacie z nimi.

Jamie rozejrzał się po bukszpanowym labiryncie z mniejszym entuzjazmem niż się tego spodziewała.

- Nie chcę tu mieszkać.

- Ależ dlaczego?! To wspaniały dom. A Kyle wyśle cię do Eton, gdzie spotkasz wielu chłopców w swoim wieku.

- My zamieszkamy w Kylemore, ale co będzie z tobą?

To pytanie zaskoczyło ją.

- Ze mną? Zatrzymam się gdzieś w pobliżu. Może wynajmę jakiś nieduży domek, więc będziesz mógł mnie odwiedzać.

- Nic z tego!

- A to czemu?!

Spojrzał na nią spode łba.

- Ewa i Fanny myślą, że Hazel to ich mama. Już nie pamiętają tego, co było dawniej, ale jestem starszy i wiem, że mieszkaliśmy w sierocińcu. I że ona nie jest moją matką!

- Przecież teraz jesteście jedną rodziną, a Hazel chce, żebyś został u niej, tak samo jak dziewczynki.

- Ale i ty należysz do rodziny, nie? Więc czemu nie mogę być z tobą, zamiast z Hazel?

Lawinia poczuła ucisk w sercu.

- Oczywiście, mógłbyś zamieszkać ze mną, Jamie. Tylko że ja jestem sama. Nie ma przy mnie żadnego mężczyzny. Kylemore o wiele lepiej potrafi cię zrozumieć niż ja.

- Mogłabyś wyjść za Stuyvesanta. Powiedział, że starał ci się pomóc, kiedy nie mogłaś mnie znaleźć podczas burzy.

- Tak powiedział? - mruknęła. - Ale to wcale nie znaczy, że chce się ze mną ożenić.

- A ty chcesz?

Ucisk w sercu był coraz silniejszy.

- Gdyby mi się oświadczył... sama nie wiem. Ale nigdy tego nie zrobi, więc nie ma o czym mówić.

- No to czemu ty mu się nie oświadczysz?

Lawinia wróciła myślą do wieczora w jej saloniku, kiedy przytuliła do serca bukietik fiołków i oddała serce Edwardowi.

- Ja... powiedziałam mu coś w tym rodzaju, Jamie. No cóż, pan Stuyvesant nie miał na to ochoty.

- Dlaczego?! Dlaczego nie chciał się z tobą ożenić? Przecież jesteś najładniejsza ze wszystkich dziewcząt, jakie znam! - Jamie był tak niebotycznie zdumiony, że Lawinia była bliska płaczu.

- Cóż, nie jestem dla niego odpowiednią partią, Jamie. Nie potrafię ci tego lepiej wytłumaczyć.

Chłopiec nachmurzył się. Jego spojrzenie stało się zimne i wyzywające.

- To dlatego, że jesteśmy z sierocińca, co? Dlatego nas nie chce!

Myśli, że jak z przytułku, to już śmiecie!

- Nie, wcale nie o to chodzi! - zapewniła.

Jamie zerwał się z ławki, przyciskając książkę do piersi.

- Będę mieszkał z tobą! Nie zostanę tu, jeśli i ty nie zostaniesz. Byłoby ci samej smutno.

- Doskonale sobie poradzę - przekonywała go.

Tupnął nogą i popędził przez ścieżki labiryntu.

- Dokąd to? - zawołała za nim. Odwrócił się na chwilę.

- Oddam panu Stuyvesantowi jego głupią książkę! Nie będę się już z nim przyjaźnił. Zrobił ci przykrość!

- Nie, nie! - skłamała, chcąc przynajmniej dziecku oszczędzić bólu.



- Właśnie że tak! Nie znoszę go! - Jamie wykręcił się na pięcie i biegł dalej.

- Po co ci to powiedziałam? - szepnęła, patrząc za chłopcem.

Lawinia siedziała obok księżnej i obserwowała pary wirujące po ogromnej sali balowej Kylemore House. Hazel płynęła w walcu w ramionach Kyle'a. Lawinia nigdy jeszcze nie widziała przyjaciółki tak szczęśliwej ani księcia w równie dobrym humorze.

- Ależ zakochany! Spójrz tylko, jak się w nią wpatruje. Nie odrywa od niej oczu! - Od lokaja w fioletowo-złotej liberii Selena wzięła jeden kieliszek szampana dla siebie, drugi zaś podała Lawinii. Dziewczyna przyjęła go z wdzięcznością.

O północy Kylemore obwieści radosną nowinę. Zamierzali pobrać się w lecie, o ile uwiną się do tego czasu ze wszystkimi przygotowaniami.

Miała to być ogromna gala. Lawinia nawet nie przypuszczała, że książęce wesele wymaga tyle zachodu! Wszystko musiało być wspanialsze, dostojniejsze, bardziej wypracowane, niż na ślubie zwykłych śmiertelników.

- Czy nie rozmawiałaś z Edwardem od czasu, gdy jego siostra uciekła?

- Księżna spojrzała przenikliwie na Lawinie.

Poczuła, że pieką ją policzki, ale odparła z pozorną obojętnością:

- Daisy doskonale zrobiła, uciekając z Montym. Znam dobrze tego łobuza: ma w sobie tyle uroku! Kto wie, może się przy niej ustatkuje? A w każdym razie z pewnością zdoła ją rozweselić. Daisy nie zaznała w życiu wiele radości. Jestem przekonana, że ten związek będzie zbawienny dla nich obojga!

- Ależ jest teraz wściekły, nie uważasz?

- Monty?!

- Co znowu, kochanie! Edward. Odkąd przyjechaliśmy do Kylemore, aż strach do niego podejść! Z pewnością gryzie się z powodu Daisy.

- Taaak... - odparła z wahaniem Lawinia.

- Pomówmy lepiej o Hazel. Co za romantyczna historia! Kiedy wyjdzie za mąż, zostaniesz sama. Czy Edward nadal będzie się tobą opiekował?

Lawinia spojrzała na księżną ze zdumieniem. Nie przyszło jej do głowy, że mogłaby kontynuować podróż bez Daisy i Hazel. To byłby absurd! Edward z pewnością nie zamierzał opiekować się nią. Zresztą, wcale by mu na to nie pozwoliła; zbyt dobrze znała swą słabość do niego.

- Chyba dalsza podróż nie miałyby sensu, nieprawdaż? - zauważyła lekkim tonem.

- Nie miałyby sensu?! Ależ musisz zwiedzić Europę! Już tylko ty zostałeś bez pary. Jakże inaczej

chcesz znaleźć męża, Lawinio, jeśli nie w podróży?

Lawinia próbowała się uśmiechnąć.

- Przemawiasz jak dama z powieści Jane Austen! Wcale mi nie zależy na złapaniu męża. Prawdę mówiąc, chciałabym po ślubie Hazel zostać w Kylemore House i pomagać jej przy dzieciach.

- Ach tak, przy dzieciach. Oczywiście lepiej, żeby zostały tutaj niż obijały się po Europie. - Selena pochyliła się ku Lawinii i spojrzała na nią poważnie. - Wiesz, moja droga, na ich temat krążą okropne plotki.

Domyślasz się chyba, o co chodzi.

Lawinia machnęła lekceważąco ręką.

- Ludzie zawsze gadają. A w tym nie ma słowa prawdy. Przecież obie z Hazel jesteśmy za młode, by Jamie mógł być synem którejś z nas!

- Ale jest jeszcze Ewa i Fanny. - Księżna zmarszczyła brwi. - Hazel ma zostać księżną. Jej przeszłość powinna być czysta jak łąza.

- I taka właśnie jest! - Lawinia unikała wzroku Seleny. - Zresztą, jeśli zostanę tu i będę matkować dzieciom, wszystkie podejrzenia skupią się na mnie, nie na Hazel.

- A więc zdecydowałaś się na los starej panny, i w dodatku guwernantki? Rozczarowałaś mnie, Lawinio! Byłam pewna, że olśnisz swoimi seansami wszystkie koronowane głowy Europy.

- Skończyłam z tym raz na zawsze. Nie nadaję się do tego. Bardzo, bardzo mi przykro, że zraniłam Korneliusza. - Popatrzyła na Selenę oczami pełnymi bólu i skruchy. - Nigdy sobie tego nie wybaczę.

Księżna potrząsnęła głową.

- I nigdy go nie przekonasz, że to nie była Alicja. Lepiej nie wspominać przy nim o tej sprawie.

- Nie będę - obiecała Lawinia.

- O wilku mowa! - Uśmiechnęła się Selena. - Popatrz, kóż to zmierza w naszą stronę; Korneliusz we własnej osobie, w towarzystwie Rycerza Posepnego Oblicza, imć pana Stuyvesanta-Frencha!

Lawinia wstrzymała dech. Rozejrzała się po sali balowej, pełnej wirujących w tańcu, różnobarwnych atlasowych sukien i napotkała spojrzenie Edwarda. Patrzył wprost na nią, jak nieprzyjaciel mierzący wzrokiem przeciwnika na polu walki.

Serce zabiło jej gwałtownie. Poczuła, że krew napływa jej do twarzy.

Nie widziała Edwarda od pamiętnego seansu. A teraz wcale nie ucieszyła się na jego widok.

- Wybacz mi, ale muszę już iść. Hazel z pewnością potrzebuje mojej pomocy.

- Co ty wygadujesz, kochanie? Hazel wkrótce będzie księżną, służby jej nie braknie, więc siostra nie musi koło niej skakać!

- Nie, nie! Naprawdę powinnam już iść. Mam jeszcze kilka spraw... -

Lawinia odwróciła się i spostrzegła, że jest osaczona: z jednej strony zagradzał jej drogę roztańczony tłum, z drugiej podeszli nagle Korneliusz i Edward.

- Tu jesteście, moje panie! - huknął przyjaźnie Cook. Pocałował w rękę najpierw Selenę, potem Lawinie. Zrobiło jej się wstyd: nie zasługiwała na tyle względów z jego strony.

- Zechcesz ze mną zatańczyć, księżno? - spytał Korneliusz. Selena roześmiała się, gdy pomagał jej wstać.

- Prosisz do walca starszą panią w turbanie?! - zakpiła. Cook ukradkiem cmoknął ją w policzek.

- Takie damy lubię najbardziej. - Wmieszali się w roztańczony tłum.

Zapadło niezręczne milczenie. Lawinia spoglądała za odchodzącymi.

Nie rzuciła nawet okiem na stojącego u jej boku Edwarda. Nie odezwała się do niego, zdawała się nie dostrzegać jego obecności, póki nie ujął jej dłoni i nie podniósł do ust.

Chciała wyrwać rękę z jego uścisku i uciec, ale ze względu na Hazel powstrzymała się: wywołałaby skandal.

- Pozdrowienia od Jamiego - odezwał się spokojnie Edward, patrząc jej prosto w oczy. - Rzucił we mnie ostatnim arcydziełem Coltraina i oświadczył, że mnie nienawidzi.

Lawinia nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

- Jest jeszcze młody. Nie potrafi nad sobą zapanować.

- A ty potrafisz? - Nie czekając na odpowiedź, znów sięgnął po jej rękę. - Zatańczymy, panno Murphy?

Wcale nie chciała z nim tańczyć, ale wyrywanie się czy kategoryczna odmowa mogłyby dać powód do plotek.

Zabrzmiał *Cesarski Walc*. Edward objął ją mocno w talii. Jego policzek znalazł się niebezpiecznie blisko ich splecionych rąk. Zaczęli tańczyć.

- Świetnie pan tańczy walca, panie Stuyvesant. - Lawinia wpatrywała się w niego, chcąc utrwalić w pamięci każdy rys. Może już nigdy się nie spotkają?

- Zawsze lubiłem czuć w ramionach kobietę.

- Byle jaką? - szepnęła ze ściśniętym sercem.

- Uważasz się za byle jaką kobietę, Lawinio? Tak nisko cenisz swoje niezwykle talenty spirytystyczne i sypialniane? - Kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu. Wyglądał demonicznie ze swą ciemną bródką i bezlitośnie pięknymi zielonymi oczami. Wcielony diabeł!

Ogarnęło ją jeszcze większe przygnębienie. Edward nigdy nie potraktuje jej poważnie. W pewnym stopniu mogła to zrozumieć, ale buntowała się przeciw temu. Pragnęła jego miłości, byłaby jednak skazana na zagładę, miotając się wiecznie między nadzieją a rozpaczą.

- Nie będę już urządzać seansów. Chcę, żebyś o tym wiedział. I powtórz ode mnie Korneliuszowi, że zerwałam raz na zawsze ze spirytyzmem.

- Cóż cię do tego skłoniło? Z pewnością nie moje prośby! - stwierdził

sucho.

- Nie chciałam zranić Korneliusza. Pewnie mi nie uwierzysz, ale nie znoszę takich sytuacji i zawsze starałam się ich unikać.

Twarz Edwarda przybrała chłodny wyraz.

- Więc czemu to uczyniłaś?

Gorące łzy napłynęły jej do oczu.

- Uwierz mi wreszcie! Wcale nie zamierzałam wywoływać ducha Alicji! Wszystko wymknęło się spod kontroli. Pewnie dlatego, że Rawl się starzeje... Sama nie pojmuję, co się wówczas stało.

Wpatrywał się w nią długo, jakby chciał się przekonać, czy mówi prawdę. W końcu, gdy po raz trzeci mijali w tańcu drzwi balkonowe, nieoczekiwanie pociągnął ją ku nim i wymknęli się z sali balowej.

- Co to ma znaczyć? - wysapała Lawinia. Niemal biegła, by nadążyć za nim, gdy ciągnął ją ku balustradzie.

- Powtórz mi jeszcze raz, że nie chciałaś zranić Korneliusza - szepnął, spoglądając na oświetlone księżycem żyto i len, rosnące na pagórkowatym terenie wokół książęcego dworu.

- Nie chciałam zranić Korneliusza, tylko... - zniżyła głos do szeptu -

chciałam zranić ciebie.

Patrzył na nią uważnie.

Próbowała wyrwać mu się, ale jego ręce były niczym żelazne kajdany.

- Chciałaś mnie zranić? I dlatego sprawiłaś przykrość Korneliuszowi, bo wiedziałaś, że mnie to zaboli?

- Ależ skąd! Nie chciałam zranić nikogo, prócz ciebie. Tylko ciebie! -

powtórzyła mściwie. Łzy spływały jej po policzkach. - Otworzyłam przed tobą serce, a ty się z tego śmiałeś!

- Nie - odrzekł, nie patrząc na nią. - Wcale mi nie było do śmiechu.

- Potraktowałeś mnie jak ostatnią dziwkę. Tak samo, jak twój ojciec potraktował Alicję... - Lawinia otarła łzy grzbietem dłoni. - Krążysz wokół mnie, Edwardzie, jakbyś czegoś ode mnie chciał, ale ciągle mnie oskarżasz, że to ja chcę czegoś od ciebie. Niczego od ciebie nie chcę.

Rozumiesz? Niczego!

Pochylił się ku niej. Bez pośpiechu rozejrzał się dokoła. Na balkonie było ciemno. Byli sami.

- Niczego ode mnie nie chcesz, Lawinio? Więc mi to udowodnij! -

Mimo ciemności wpatrywał się w jej oczy. - Przysięgnij, że wszystkie nasze wspólne chwile nic dla ciebie nie znaczą. A gdy będę cię całował

tak, jak tego pragnę, odwróć głowę i powiedz, że mnie nienawidzisz. Nie oddawaj mi pocałunków! Nie okazuj słowem ani gestem przychylności, która mogłaby sprowadzić cię na manowce. Dopiero wówczas uwierzę, że niczego ode mnie nie chcesz!

Lawinia nie odrywała od niego wzroku. Objął ją i trzymał tak mocno, jakby nigdy nie zamierzał jej puścić.

- Nie chcę niczego! - powtórzyła.

- Wymaż więc przeszłość. Zaprzecz, że pragnęłaś być ze mną, zostać przy mnie na zawsze. Że chciałaś kiedyś mnie uszczęśliwić.

- Spodziewam się od życia czegoś lepszego niż przelotny romans z tobą.

Wciąż na niego patrzyła. Dusza się w niej rozdzierała. Ujrzała nagle z absolutną jasnością, co ją czeka. Albo ulegnie mu całkowicie, a gorzka miłość sprawi, że przyjmie wszystko, co Edward zechce jej dać. Albo zwycięży w niej duma i rozstanie się z nim na zawsze, wiedząc dobrze, że nikt inny nie wypełni pustki w jej sercu.

Spojrzenie Edwarda stało się twarde i okrutne.

- Czemu nie odpowiada ci moja propozycja? Czy dlatego, że nie mogę się poszczycić książęcym

tytułem, jak wielbiciel twojej siostry?... A może dlatego, że jesteśmy oboje stworami z tego samego rynsztoka?

- Nie! - wykrzyknęła półgłosem, usiłując się wyrwać. Ale trzymał ją mocno i przyciągnął jeszcze bliżej.

- Ukaż swoje prawdziwe oblicze! Udowodnij, że mylę się co do ciebie! Przekonaj mnie, że nie jesteś sprzedajną dziwką, polującą na łup z zimnym wyrachowaniem, gotową dla hrabiowskiego tytułu pogardzić miłością!

- A więc doszliśmy wreszcie do miłości? - zawołała. - Czyją to miłością pogardzę, jeśli zdecyduję się wyjść za Bucha?

- Moją, Lawinio. Moją.

Nogi ugięły się pod nią. Podtrzymał ją i przygarnął do siebie.

Jakby z wahaniem ujął w dłonie jej twarz. Mruknął coś, co brzmiało jak przekleństwo i zbliżył usta do jej ust - bardzo powoli, jak gdyby w każdej chwili spodziewał się odtrącenia.

Nie odtrąciła go. Całował ją zachłannie, nie myśląc o tym, że są o krok od pełnej gości sali balowej. Lawinia poddała mu się drżąc na całym ciele. W jej duszy znów zbudziła się nadzieja. Pewnie nigdy nie zostanie żoną Edwarda, ale może to, że będą razem jest już dostatecznym szczęściem? Nie pragnęłaby niczego więcej, gdyby ją kochał. Gdyby zawsze był przy niej.

Gdyby...

*Każda prawda miewa swoich męczenników.*

Robert Ruthven

Zegar wybił północ. Ponieważ pogłoski o mającym nastąpić wydarzeniu rozniosły się już wśród gości, otoczyli tłumnie podium, na którym stanął Kylemore, mając po jednej stronie Hazel, po drugiej zaś księżną Selenę. Za nimi stał Buch, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Panie i panowie, drodzy przyjaciele i szanowni goście! Zaprosiliśmy was wszystkich nie tylko po to, by ugościć, jak najgodniej, w siedzibie naszego rodu, ale również po to, by powiadomić o wydarzeniu, które wiąże się z jego przyszłością.

Kyle spojrzął na Selenę. Puściła jego ramię i zbliżyła się o krok do zgromadzonych gości.

Wznosząc w górę kielich szampana, księżna uśmiechnęła się do Hazel i przemówiła.

- Drodzy państwo, z ogromną radością pragnę oznajmić wam o zaręczynach mojego kochanego bratanka Kylemore'a z panną Hazel Mae Murphy z Nowego Jorku.

Podniosła kieliszek do ust, pijąc zdrowie szczęśliwych narzeczonych.

Goście poszli za jej przykładem. Buch pierwszy wznosił okrzyk na cześć młodej pary.

- Niech żyją! Niech żyją! - podchwycili wszyscy.

Hazel rozplakała się z radości. Kylemore przytulił ją mocno, a Selena ucałowała w policzek.

Lawinia niewiele z tego widziała. Oczy miała pełne łez, a serce tak przepelnione szczęściem, że omal nie pękło. Zwróciła się do Edwarda:

- Widać los bardziej nam sprzyja niż sądziłam.

Stuyvesant ścisnął jej rękę.

Kylemore postukał łyżeczką w kieliszek na znak, że ma coś więcej do powiedzenia. Zapadła cisza.

- Drodzy przyjaciele, dzisiejszy dzień obfituje w radosne wydarzenia.

Spokojnie i wnikliwie rozważyliśmy z moją narzeczoną i z księżną wdową (skinął głową w stronę Seleny) sytuację młodszego rodzeństwa panny Murphy. Podczas podróży morskiej z Ameryki do Anglii ciocia Selena i ja przywiązaliśmy się bardzo do tych dzieci. Pragnę oznajmić, że zaraz po ślubie z moją najdroższą Hazel zamierzam adoptować całą trójkę. Nawet taki stary kawaler jak ja, czuje, że już najwyższy czas, by w Kylemore House zabrzmiał dziecięcy śmiech. - Księżę uśmiechnął się i uniósł w górę kieliszek.



Goście również spełnili toast. Wśród radosnego gwaru nie od razu usłyszano, że ktoś dobija się do drzwi sali balowej.

Lawinia zmartwiała. Nie miała pojęcia, kim jest kobieta, stojąca w obramowaniu ciężkich, podwójnych, rzeźbionych drzwi. Hazel z pewnością również jej nie знаła. Ujrawszy jednak spłoszony wzrok siostry, Lawinia domyśliła się, kim jest owa dama.

- Nie pozwolę, byś mnie porzucił dla tej awanturnicy i jej bękartów! -

Nowo przybyła odsunęła zagradzających jej drogę lokajów, którzy stali przy drzwiach z dość niepewnymi minami. Nawet oni poznali od razu po wytwornej toalecie, klejnotach i nienagannym uczesaniu jasnowłosej damy, że jest to ktoś, z kim należy się liczyć.

- Odejdź stąd, Delio! - Księżę Kylemore wyglądał tak, jakby był o krok od apopleksji.

W tłumie liczącym co najmniej sto osób, zapadło całkowite milczenie.

- Nie odejdę! - Delia Carmichael rozplakała się. - Wiem o niej wszystko! To upadła kobieta! Mogę to udowodnić!

Hazel była blada jak płótno.

Lawinia podbiegła do przybranej siostry.

- Nie odchodź, Hazel! - błagał Kylemore.

Hazel potrząsnęła głową. Łzy spływały jej z oczu strumieniami.

Selena przeszła Delię morderczym spojrzeniem. Buch wydawał się całkiem ogłuszony.

- Idziemy! Nie mów nic. Ani słowa! - szepnęła Lawinia do Hazel, objęła ją w talii i wprowadziła z powrotem na podwyższenie.

- Czy nie masz ani krzty honoru, wasza książęca mość? Tak cię opętała ta ordynarna Amerykanka?! - Delia wbiegła w tłum, który rozstał się przed nią niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem. I ona również weszła na podium. - Czemu jej nie spytasz, czy to jej dzieci? I tak wszyscy o tym mówią, więc zapytaj otwarcie! Niech przy wszystkich zaprzeczy! - Delia z brzydkim grymasem spojrzała na Hazel i Lawinie. -

A może się boisz, że to potwierdzi?

- Bóg cię skarże, ty podła suko! - syknął cicho Kylemore. Oczy płonęły mu wściekłością.

Delia pozostała nieugięta. Skrzyżowała ramiona na piersi.

- No, dalej, mój drogi! Zapytaj o dzieci! A ona niech lepiej powie prawdę. Mój ojciec zwrócił się już o informacje do odpowiednich instytucji na terenie Stanów Zjednoczonych. Oczekuje

szczegółowego raportu o bękartach, zrodzonych przez niezamężne matki nazwiskiem Murphy! Z pewnością dowie się wszystkiego, co trzeba. Znasz przecież mojego ojca.

- O Boże! - jęknęła Hazel i rozplakała się na ramieniu Lawinii.

Lawinia patrzyła na Delię Carmichael i robiło jej się niedobrze. Tą diabolicą powodował tylko gniew i urażona duma. Czemuż wszyscy nie wyjdą, nie zostawią ich samych! Delia nie miała pojęcia, ile ten ślub znaczył dla Hazel. Świadomość tego, że wszystko przepadło, że skończyło się straszliwym skandalem, piekła Lawinie jak otwarta rana.

- Musimy to wytrzymać. Nie odzywaj się! - ostrzegła przyjaciółkę stanowczym tonem.

Edward zbliżył się do podium. Korneliusz podszedł do Seleny i podtrzymał ją, bo trzęsła się z gniewu.

- Przestań wygadywać te kłamstwa! - syknął Kyle do Delii. Ale ona z oskarżycielską miną wskazała palcem na Hazel.

- Zmuś ją, by zaprzeczyła oskarżeniu lub przyznała się do winy! Tak czy inaczej dowiem się prawdy i to małżeństwo, gdybyś nawet je zawarł, zostanie unieważnione!

Kyle rzucił się na nią. W tłumie podniosły się krzyki. Buch schwycił

brata za ramiona, nim stało się coś złego.

- Precz stąd! - wrzeszczał księżę do Delii.

- Niech zaprzeczy! Przy świadkach! Czemu milczy? Bo to wszystko prawda! - Delia równocześnie śmiała się i płakała.

Lawinia z pewnym wahaniem zabrała głos. To, co zamierzała zrobić, było równoznaczne z samobójstwem, ale nie widziała innej rady.

- Pani ojciec, panno Carmichael, nie musi zadawać sobie trudu. Pięć lat temu w St. Louis istotnie pewna panna Murphy urodziła nieślubne dziecko. Z tego jednego faktu zrodziły się wszystkie plotki. Niczego więcej pan Carmichael z pewnością by nie odkrył.

Delia popatrzyła z triumfem na Kyle'a.

Lawinia czuła, że i jej łzy płyną strumieniami po policzkach. Ten postępek wiązał się z ogromnym ryzykiem. Wszyscy Kylemore'owie albo odwrócą się od niej z pogardą, albo sami narażą się na ogólne potępienie. Przepęlniał ją ogromny ból na myśl, że już nigdy nie spotka się z Seleną, może nawet z Hazel i dziećmi. Nie mogła jednak pozwolić, by całe życie Hazel legło w gruzach, i to w chwili, gdy wszystkie jej marzenia miały się spełnić! Ona, Lawinia, miała znacznie mniej do stracenia. W najlepszym wypadku mogła zostać kochanką bogatego despoty!

- To było moje dziecko, panno Carmichael - powiedziała. - Moje. To ja jestem upadłą kobietą. Nie

moja siostra! Nie Hazel!

- Nie! - wykrztusiła Hazel wśród łez. Na jej twarzy malowało się przerażenie.

- Lawinio! - zawołał Edward z najwyższym zdumieniem.

- Musiałam to zrobić - szepnęła Lawinia. - Musiałam! - Rozpłakała się na widok jego twarzy. Lepiej niż inni wiedział, że to wierutne kłamstwo.

Nie mogła jednak stać spokojnie i patrzeć na zgubę swej przybranej siostry i jej dziecka. To była przecież jej rodzina. Jedyna, jaką kiedykolwiek będzie miała. Musiała stanąć przy niej, ocalić ją. Tym bardziej, że nie traciła przez to żadnego księcia, żadnego małżeństwa.

Krótko mówiąc: i tak nie miała żadnych szans!

- To szaleństwo! - stwierdził Edward, stanąwszy wreszcie u boku Lawinii. Odciągnął ją od Hazel i mocno nią potrząsnął. - Coś ty narobiła?! Teraz nigdzie nie będą cię przyjmować! Dobrze wiem, jak cię potraktują! Tak samo jak moją matkę. - Na jego twarzy malował się ból, gniew, ale i odrobina podziwu.

- Nie wolno ci tego robić! Nie pozwolę ci! - płakała Hazel.

- Musisz się na to zgodzić! - wybuchnęła Lawinia. - Nie możesz ponosić odpowiedzialności za coś, co nie było twoją winą. Nie jesteś grzesznicą, Hazel, tylko ofiarą! Wyjdź za swego księcia i zamieszkać razem z nim w pięknym pałacu. Wyjdź za niego! Wyjdź! Nikt bardziej niż ty nie zasługuje na takiego męża. On cię kocha! Wyjdź za niego, Hazel, zaklinam cię! Przyjmij ode mnie ten weselny prezent. - Lawinia całkiem się załamała. Patrzyła na tłum gości, na morze zdumionych, przerażonych twarzy. Śmietanka towarzyska nie życzyła sobie kontaktów z takimi kobietami jak ona. Z przyjemnością uwolni tych państwa od swej obecności. Buch podszedł do Hazel, by ją pocieszyć.

Kylemore odciągnął Lawinie na bok, gdzie nikt nie mógł ich usłyszeć.

- Hazel nie ponosi żadnej winy, możesz mi wierzyć. Zabiorę Ewę i nigdy nie sprawimy kłopotu mieszkańcom Kylemore House -

przysięgała wśród łez Lawinia.

- Co takiego?! Chcesz odebrać matce jej dziecko, tylko dlatego, że Hazel ma zostać księżną?!

Lawinia popatrzyła w osłupieniu na Kylemore'a. Była w szoku.

- Więc ty... wiedziałeś?

- Oczywiście, że wiedziałem! Myślisz, że Hazel mogłaby zataić przede mną coś tak istotnego? Zwłaszcza że porozumiałem się już z adwokatami w sprawie adopcji Ewy i pozostałej dwójki?

- I mimo to chcesz się z nią ożenić? Gdyby prawda wyszła na jaw, traktowano by was jak

trędownych! - wyjąkała przez łzy Lawinia.

- Podejmę to ryzyko. Nie rozłączę Ewy z jej matką, a wyższe sfery niech diabli wezmą!

Lawinia położyła mu rękę na ramieniu.

- Prawda nie byłaby w tym wypadku korzystna, zwłaszcza dla dzieci.

Powinny wzrastać otoczone ludzkim szacunkiem.

- I tak się stanie. Zaadoptuję je nie tylko na papierze, ale całym sercem. A plotki prędej czy później ucichną.

- Ucichną znacznie wcześniej Jeśli stąd wyjadę. Nie chcę być wam zawadą. Wracam prosto do Nowego Jorku. Tu nie ma dla mnie miejsca.

Poza tym... - Podniosła oczy i pochwyciła spojrzenie Edwarda.

Wpatrywał się w nią tak, jakby prócz niej nie było tu nikogo. Znow odwróciła się do księcia. - ...Poza tym nie dbam o opinię, tak jak Hazel.

Jestem zwykłym, niezbyt ucziwym medium i pewnie zawsze nim będę.

- Ucałowała księcia w policzek. Kylemore miał więcej charakteru niż przypuszczała. Poczowała radosną dumę na myśl, że Hazel spotkała tak szlachetnego człowieka i zdobyła jego miłość.

- Odwiedzisz nas, prawda? Hazel i dzieci będą o tobie myśleć.

- A ja o nich. Ale teraz pobierzcie się jak najszybciej! Nie pozwólcie, by ten przykry incydent zatruł wam szczęście. Kiedy plotkarze znajdą sobie inny, ciekawszy temat, przyjadę tu znowu i spotkam się z moją rodziną. - Uśmiechnęła się przez łzy i zesła z podwyższenia. Niemal ślepa od płaczu biegła ku drzwiom, przez które wtargnęła Delia, by zniszczyć radosną uroczystość. Potem szybko przebyła trzy kondygnacje schodów i schroniła się w swoim pokoju.

# Epilog

*Od dziewięciu lat działa jako medium. Jego rodzina rozpadła się, jego żona, dla której był przedtem najzacieńszym mężem, została opuszczona, a on podróżuje ze swą kochanką, która odgrywa rolę jego sekretarki. Ubiegłej jesieni obdarowała go - jak to określają -*

*„duchowym dziecięciem”, które jednak okazało się na tyle materialne, by ważyć aż dziewięć funtów!*

Benjamin F. Hatch, o Johnie Spearze, 1859

Ktoś zastukał do drzwi. Lawinia nawet się nie odezwała. Pospiesznie pakowała rzeczy, zamierzając nazajutrz rano opuścić Kylemore House.

Myślała tylko o tym, by oszczędzić Hazel dalszych wyrzutów sumienia i niezręcznych sytuacji.

Drzwi się otworzyły. Lawinia skamieniała.

Na progu stał Edward ze skrzyżowanymi ramionami, z ironiczną miną, którą tak dobrze знаła.

- Jestem wstrząśnięty. Po prostu wstrząśnięty.

Lawinia wzruszyła ramionami.

- Skąd wiedziałeś, że to mój pokój?

- Kyle mi powiedział.

- Lepiej już idź, bo z mojej nadszarpniętej reputacji nie zostaną nawet strzępy! Poza tym, mam jeszcze masę roboty przed wyjazdem do Nowego Jorku.

Edward wszedł jednak do pokoju, zostawiając szeroko otwarte drzwi na korytarz.

Wziął Lawinie za obie ręce.

- Nie wrócisz do Nowego Jorku! Ani do tych jarmarcznych sztuczek!

Mówiłaś sama, że to był twój ostatni seans.

- Powiedziałam to bez zastanowienia. Szczerze mówiąc, liczyłam na to, że zostanę tu przy Hazel. Teraz trzeba wziąć się w garść i zmienić plany. Tutaj nie ma dla mnie miejsca. Muszę wyjechać.

- Więc wybierz się ze mną do Egiptu.

Lawinia nawet na niego nie spojrzała. Wyrwawszy ręce z jego uścisku, zaczęła wpychać do kufra jakieś szale.

- Wiem, że nikogo by nie zdziwiło, gdybym wyjechała razem z tobą.

Ale ja... - Serce nagle tak jej zaciążyło, że opadła na najbliższe krzesło. -

Wiem, że nie powinnam się wahać. Nie jestem niewiniątkiem i wcale go nie udaję. Ale są pewne sprawy, które kobieta powinna załatwić, nim zwiąże się z kimś takim jak ty. Mogłabym na przykład zająć w ciążę. -

Spojrzała na niego z niemym wyrzutem. - Lepiej dobrze się nad tym zastanowić! Dziecko potrzebuje obojga rodziców. Gdybym poszła za tobą, a potem okazałoby się, że jestem... Nie, tego nie mogłabym zrobić!

- Chcesz po prostu powiedzieć, że mi nie ufasz. Prawda, Lawinio? -

Twarz Edwarda spochmurniała. - Sądzisz, że porzucę własne dziecko równie łatwo jak jego matkę.

- Nie wiem - powiedziała znużona, kryjąc twarz w dłoniach. - Sama już nie wiem, co myśleć ani w co wierzyć. Wiem tylko jedno: wszystko ma swoje konsekwencje i byłabym głupia, gdybym...

- Gdybyś mi zaufała? - Wziął ją pod brodę i musiała spojrzeć mu w oczy. - Pragniesz legalnego, wiążącego zabezpieczenia. Chcesz mieć czarno na białym, że uznam dzieci, które zrodzą się z naszego związku.

Zgoda! Każę swoim doradcom prawnym jak najszybciej przygotować odpowiednie dokumenty.

Lawinia wstała i znów zabrała się do pakowania.

- Nie znoszę prawników. Z dwojga złego lepsi już spirytyści.

- Chcesz się mnie pozbyć, Lawinio? A może przyprzeć do muru? -

huknął.

Po jej policzkach popłynęły łzy gniewu.

- Powiedz, że mnie kochasz! Że chcesz mnie za żonę, że chcesz mnie na zawsze! Wtedy pójdę za tobą, Edwardzie. Albo zostaw mnie w spokoju! - Serce jej pękało. - Nie pozwolę, żebyś mnie wziął, a potem rzucił do rynsztoka! Nie pozwolę ci na to! - Zaniósła się płaczem. Tak rozpaczliwie pragnęła, by ją pokochał, by się z nią ożenił, by okazał, że jest dla niego coś warta. Wiedziała jednak, że go do tego nie zmusi. Nie Edwarda, tego uparciucha o żelaznej woli!

- A więc przypierasz mnie do muru? Dobrze. Ale ostrzegam cię... -

powiedział cicho.

Lawinia przestała płakać. Popatrzyła na niego oczami pełnymi łez i potrząsnęła głową.

- Nie chcę, żebyś odszedł! Jak możesz mnie tak dręczyć swoimi pogroźkami, kiedy wiesz, jak bardzo cię kocham?...

Wziął ją w ramiona i wpatrywał się w nią, ocierając jej łzy.

- Ja też cię kocham. - Delikatnie ucałował drżące usta.

Lawinia patrzyła na niego; wiedziała już, że pójdzie za nim wszędzie -

mimo hańby i bólu. Miłość była torturą, ale godziła się na nią, byle tylko być razem z nim. Łzy znów napłynęły jej do oczu.

- Pojadę z tobą do Egiptu. Będę twoją kochanką. A jeśli urodzę ci dziecko, wierzę, że go nie porzucisz.

Ujął jej twarz w obie ręce.

- Ale ja podjąłem już decyzję. Przyparłaś mnie skutecznie do muru.

- Nie, nie zostawiaj mnie! Chcę być z tobą! Muszę być z tobą! -

błagała go, zapominając o dumie.

- Więc wyjdź za mnie. Cóż innego moglibyśmy zrobić? Przyjmij moją rękę, moje nazwisko i moją miłość. - Zniżył głos do szeptu. - Proszę, powiedz, że to zrobisz.

Patrzyła na niego w osłupieniu. Nie mogła wymówić słowa.

Oświadczyły to w końcu całkiem prosta sprawa, ale żeby podobne słowa padły z ust Edwarda Stuyvesanta? Były pełne pokory, zdumiewające, głębokie, wzruszające.

Lawinia podniosła rękę do ust, jakby się bała odezwać. Edward był jej życiem, światłem jej duszy. Teraz już rozumiała swoich pogrążonych w żałobie klientów, którzy tak pragnęli skontaktować się z ukochanymi zmarłymi. Gdyby to ona była duchem, odnalazłaby Edwarda i pozostała przy nim, nawet gdyby nie mógł się z nią porozumieć, zobaczyć jej ani dotknąć. Nie opuściłaby go, a on czułby jej bliskość - i to bez pomocy jakichś jarmarcznych mediów!

- Odpowiesz na moją rozpaczliwą prośbę, czy mam zawołać Selenę, by ci wbiła trochę rozumu do głowy?

Wpatrywał się w nią, a w jego głosie brzmiał niepokój, jakby nie był

pewien odpowiedzi Lawinii.

- Tak... - wykrztusiła, a jej oczy znów napełniły się łzami. - Zgadzam się! - zawołała, obejmując go za szyję.

- Dzięki Bogu, wreszcie się udało! Myślałam, że ta niepewność mnie zabije. - Przez otwarte drzwi sypialni wkroczyła Selena, a za nią Korneliusz. Zupełnie jakby to był ich wspólny pokój!

- Podśłuchiwaliście?! - zdumiała się Lawinia, nadal obejmując Edwarda.

- Oczywiście! Czyżbyś sądziła, że rodzina Kylemore'ów pozwoli ci uciec bez słowa?! Przecież znajomość z tobą i z resztą Murphych była dla nas najwspanialszym darem losu! - Selena przysiadła na pobliskiej kanapce i uśmiechnęła się do Edwarda.

- No to pomyślmy... - Księżna wdowa zaczęła wyliczać na palcach: -

Jutro wy oboje, Kyle i Hazel wymkniecie się do Londynu i weźmiecie cichy ślub - w dwie pary. Potem, kochany Edwardzie, odszukasz swoją siostrę i tego wspaniałego młodzieńca, który tak się w niej zakochał.

Pogodzisz się z nimi niezwłocznie! I przywieziesz oboje tutaj, na małe weselne przyjęcie.

- Tak jest, proszę księżnej - przytaknął potulnie Edward. Selena z uśmiechem skinęła głową. Ametyst na jej turbanie sypnął iskrami.

- A potem, moje niemądre gołąbki, lećcie sobie do Egiptu czy gdzie tam chcecie! Ale pamiętajcie: jak mały Stuyvesant-French da o sobie znać, macie tu wracać, i to natychmiast! Żądam, by wszystkie dzieci z naszej rodziny przychodziły na świat w Kylemore House.

- Nawet potomstwo Buchanona? - mrugnął do niej Korneliusz. - Ten chłopak ruszył w pościg za Delią. Gdy stało się jasne, że nie odzyska już swego księcia, uciekła, zalewając się łzami. Buch pewnie ją teraz pociesza.

- Jedno warte drugiego! - skrzywiła się Selena.

- Nawet najłagodniejsza kobieta zmienia się w zmię, gdy ktoś wzgardzi jej sercem - zażartował Korneliusz.

Selena uszczypnęła go w policzek.

- Tak, tak, mój drogi! Nie zapominaj o tym, a będzie nam jak w raju, choć jestem od ciebie trochę starsza.

- Wpadłem we własne sieci! - jęknął Cook.

- Jeszcze jedna ofiara! - szepnął Edward do Lawinii.

- Wcale nie musisz tego robić - zapewniła go, choć serce podeszło jej do gardła.

- Właśnie, że muszę! - odparł. - Alicja wyraźnie sobie życzyła, żebym pokochał cię raz na zawsze. Wiesz co, Lawinio? Nigdy ci o tym nie wspomniałem, ale masz więcej zaskakujących talentów niż sądzisz. Już się nie mogę doczekać kolejnego cudu, którym mnie zadziwisz: naszego syna!



- A jeśli to będzie córka? - Lawinia wstrzymała dech. Ucałował ją.
- Będę w siódmym niebie, byle tylko nie zdradzała skłonności do rozmów z duchami!
- Kocham cię, Edwardzie! - szepnęła.
- I ja cię kocham, duszku - odparł równie cicho i zamknął jej usta pocałunkiem.